

Prószński i S-ka

TERRY PRATCHETT CIEKAWY CZASY



ŚWIAT DYSKU

Terry Pratchett

Ciekawe czasy

* * *

Kiedy kurierski albatros przybywa z żądaniem przysłania „Wielkiego Maga”, Rincewind zostaje wezwany do trapionego niepokojami Imperium Hongów, Sungów, Fangów, Tangów i McSweeneyów, gdzie decydują się losy tronu.

Rincewindowi pomaga Cohen Barbarzyńca, a także napędzany mrówkami komputer HEX, fraktalny motyl pogody ze skrzydełkami Mandelbrota oraz przerażająca, choć dość powolna armia, złożona z sześciu staruszków - Srebrna Orda.

Ich misją jest albo obronić, albo zdobyć Zakazane Miasto Hunghung. Niestety, instrukcje nie są jasne...

* * *

Jest miejsce, gdzie bogowie toczą gry losami ludzi, na planszy, która jest równocześnie zwykłym polem gry i całym światem. A Los zawsze wygrywa.

Los zawsze wygrywa. Większość bogów rzuca kośćmi, ale Los gra w szachy i nikt się nie orientuje - dopóki nie jest za późno - że przez cały czas miał dwie królowe.

Los wygrywa. Przynajmniej taka panuje opinia. Cokolwiek się zdarzy, ludzie potem mówią, musiało być zrzędzeniem Losu* [przyp.: Ludzie rzadko kiedy są w tym konsekwentni, podobnie jak w przypadku cudów. Kiedy

dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności ktoś uniknie pewnej śmierci, mówią, że to prawdziwy cud. Lecz kiedy ktoś ginie wskutek dziwnego ciągu wydarzeń - olej rozlany akurat w tym miejscu, bariera zabezpieczająca pęknięta właśnie tu - to także musiał być cud. Fakt, że zdarzenie nie było miłe, nie oznacza jeszcze, że nie było cudowne.]

Bogowie mogą przybierać dowolną postać, a jedynym aspektem, którego zmienić nie potrafią, są oczy, zdradzające ich prawdziwą naturę. Oczy Losu to właściwie nie oczy - jedynie czarne otwory ukazujące nieskończoność z jasnymi plamkami czegoś, co może jest gwiazdami, jednak może też być czymś zupełnie innym.

Teraz zamrugał nimi i uśmiechnął się do współgraczy z tą wyższością, jaką demonstrują zwycięzcy tuż przed zostaniem zwycięzcami.

- Oskarżam Najwyższego Kapłana w Zielonej Szacie w bibliotece, z dwuręcznym toporem - oświadczył.

I wygrał.

Rozpromienił się.

- Nikt nie lubi takich, czo nie umieją wygrywać - burknął Offler, Bóg Krokodyl, poprzez kły.

- Chyba dzisiaj sobie sprzyjam - stwierdził Los. - Może ktoś zagra w coś innego?

Bogowie wzruszyli ramionami.

- Szaleni Władcy? - zaproponował Los. - Nieszczęśni Kochankowie?

- Mam wrażenie, że zgubiliśmy do nich zasady - przypomniał Ślepy Io, przywódca bogów.

- A może w Marynarzy Wyrzuconych przez Sztorm na Brzeg?

- Zawsze wygrywasz - mruknął Ślepy Io.

- Susze i Powodzie? - Los nie ustępował. - To łatwe.

Cień padł na planszę. Bogowie unieśli głowy.

- Och - mruknął Los.

- Niech rozpocznie się gra - rzekła Pani.

Od niepamiętnych czasów toczyły się dyskusje, czy nowo przybyła w ogóle jest boginią. Z całą pewnością nikt do niczego nie doszedł, oddając jej cześć; miała też skłonność do pojawiania się wtedy, kiedy najmniej jej oczekiwano - jak choćby w tej chwili. A ludzie, którzy pokładali w niej wiarę, rzadko przeżywali. Każda zbudowana dla niej świątynia z pewnością byłaby wkrótce trafiona piorunem. Lepiej żonglować toporami na linie, niż wymawiać jej imię. Można ją określić kelnerką w saloonie Ostatniej Szansy.

Zwykle nazywano ją Panią, a oczy miała zielone - nie tak jak ludzkie oczy są zielone, ale szmaragdowe od brzegu do brzegu. Podobno był to jej ulubiony kolor.

- Och - powtórzył Los. - A w co zagramy?

Usiadła naprzeciw niego. Zebrani bogowie spojrzeli z ukosa po sobie. Widowisko zapowiadało się ciekawie. Ta dwójka była odwiecznymi wrogami.

- Może... - zawahała się. - Potężne Imperia?

- Nie, tego nie cierpię - burknął Offler, przerywając milczenie. - Wszyscy na końcu giną.

- Tak - zgodził się Los. - W samej rzeczy. - Skinął Pani głową i po chwili tonem, jakim zawodowi gracze mówią „As bierze?”, zapytał: - Upadek Wielkich Rodów? Przeznaczenie Narodów Wiszące na Cienkiej Nitce?

- Oczywiście.

- Doskonale. - Los machnął dłonią ponad planszą. Pojawił się świat Dysku.

- A gdzie zagramy?

- Na Kontynencie Przeciwwagi - odparła Pani. - Gdzie pięć szlachetnych rodów od wieków walczy ze sobą nawzajem.

- Naprawdę? A jakież to rody? - zainteresował się Io. Rzadko miewał do czynienia z pojedynczymi ludźmi. Na ogół zajmował się gromami i błyskawicami, więc z jego punktu widzenia jedynym celem istnienia ludzkości było dać się przemoczyć, a w niektórych sytuacjach przypalić.

- Hongowie, Sungowie, Tangowie, McSweeneyowie i Fangowie.

- Oni? Nie wiedziałem, że są szlachetni.

- Wszystkie są bardzo bogate, wszystkie wybiły lub zamęczyły na śmierć miliony ludzi jedynie dla swej zachcianki lub z dumy - wyjaśniła Pani.

Bogowie ze zrozumieniem pokiwali głowami. Z całą pewnością było to zachowanie szlachetne. Sami by tak postąpili.

- McSweeneyowie? - zdziwił się Offler.

- Ród bardzo stary i szacowny - zapewnił Los.

- Aha.

- I teraz walczą między sobą o imperium - stwierdził Los. - Bardzo dobrze. Którymi chcesz zagrać?

Pani spojrzała na rozwiniętą przed nimi historię.

- Hongowie są najpotężniejsi - zauważyła. - Nawet w czasie naszej rozmowy opanowali kolejne miasta. Widzę, że Los gotuje im zwycięstwo.

- Zatem, bez wątpienia, wybierzesz słabszy ród.

Los znowu skinął ręką. Pojawiły się figury i pionki. Zaczęły poruszać się na planszy, jakby posiadały własne życie. Naturalnie, tak właśnie było.

- Jednakże - rzekł - zagramy bez kostek. Nie ufam ci przy kostkach. Rzucasz je tam, gdzie ich nie widzę. Zagramy stałą, taktyką, polityką i wojną.

Pani kiwnęła głową.

Los przyjrzał się swojej przeciwniczce.

- Twój ruch? - zapytał.

Uśmiechnęła się.

- Już go wykonałam.

Spuścił wzrok.

- Ale nie widzę twoich figur na planszy.

- Nie ma ich jeszcze na planszy - odparła.

Rozprostowała palce.

Na dłoni miała coś czarno-żółtego. Dmuchnęła na to, a wtedy rozłożyło skrzydełka.

To był motyl.

Los zawsze wygrywa...

Przynajmniej kiedy ludzie trzymają się zasad.

* * *

Według filozofa Ly Tin Wheedle'a największą obfitość chaosu można znaleźć tam, gdzie szuka się porządku. Chaos zawsze pokonuje porządek, gdyż jest lepiej zorganizowany.

* * *

To motyl burz.

Skrzydółka ma nieco bardziej wystrzępione niż u pospolitych motyli. W rzeczywistości, dzięki fraktalnej naturze wszechświata, oznacza to, że te postrzępione brzegi są nieskończone - tak jak nieskończona jest dowolna linia brzegowa, mierzona z ostateczną, mikroskopową dokładnością. A jeśli nawet nie, to przynajmniej jest tak bliska nieskończonej, że w pogodne dni można stamtąd zobaczyć samą Nieskończoność.

Zatem, skoro mają nieskończenie długi obwód, same skrzydła - to logiczne - muszą być nieskończenie wielkie.

Być może, wydają się mieć rozmiar odpowiedni dla motyla, ale tylko dlatego, że istoty ludzkie zawsze przedkładają zdrowy rozsądek nad logikę.

Kwantowy motyl pogody (*Papilio tempestae*) ma całkiem zwyczajny żółty kolor, choć mandelbrotowskie desenie na skrzydłkach powinny wzbudzić zainteresowanie. Jego najbardziej niezwykłą cechą jest zdolność wpływania na pogodę.

Wszystko zaczęło się prawdopodobnie od typowej walki o przetrwanie - nawet wyjątkowo głodnemu ptakowi mogło przeszkodzić w posiłku niewygodnie zlokalizowane tornado* [przyp.: Zwykle o średnicy rzędu

sześciu cali.]. Potem ta zdolność stała się zapewne drugorzędną cechą płciową, jak barwne upierzenie u ptaków albo worki gardłowe niektórych żab. Popatrz na mnie, mówił samiec, leniwie trzepocząc skrzydełkami w listowiu tropikalnego lasu. Może i mam całkiem nieciekawe żółte ubarwienie, ale za dwa tygodnie, o tysiąc mil stąd, Silne Szkwały spowodują Chaos na Drogach.

To motyl burz.

Porusza skrzydełkami...

* * *

Oto świat Dysku, sunący w przestrzeni na grzbiecie gigantycznego żółwia.

Większość światów czyni tak na pewnym etapie ich percepcji. To kosmologiczna wizja, do jakiej ludzki umysł został zaprogramowany.

Na płaskowyżu czy równinie, w zamglonej dżungli czy milczącej czerwonej pustyni, na bagnach czy wśród trzcin, a właściwie w każdym miejscu, gdzie na widok nadchodzącego człowieka coś zsuwa się z pluskiem z płynącej kłody, ma miejsce jedna z wersji poniższego dialogu. Jest to kluczowy, choć wczesny punkt rozwoju mitologii plemiennej.

- Widziałeś to?

- Co?

- Właśnie plumneło z tej kłody.

- Taa? I co?

- Tak se myślę... se myślę... znaczy myślę, że świat to tak se leży na

grzbiecie jakiegoś takiego.

Chwila milczenia, gdy przedstawiona hipoteza astrofizyczna zostaje rozważona, po czym...

- Cały świat?
- Pewno. Ale kiedy mówiem: jakiś taki, chodzi mi o takiego wielkiego.
- Musi być wielki, ni ma co.
- Znaczy... strasznie wielki.
- Zabawne chyba, ale... łapiem, o co biega.
- Ma sens, nie?
- Ma sens, jasne. Tylko...
- Co?
- Mam nadzieje, że on nigdy nie plumnie.

Lecz to jest prawdziwy Dysk, który ma nie tylko żółwia, ale i cztery ogromne słonie, na których spoczywa rozległy, obracający się wolno krąg świata* [przyp.: Ludzie zastanawiają się, jak to możliwe, ponieważ taki słoń świata raczej nie mógłby zbyt długo dźwigać wirującego ciężaru bez poważnych otarć i nawet oparzeń. Ale równie dobrze można by pytać, dlaczego oś planety nie skrzypi albo jaki dźwięk wydaje kolor żółty.].

Jest tu Morze Okrągłe, mniej więcej w połowie drogi między Osią i Krawędzią. Wokół niego leżą krainy, które - według Historii - definiują cywilizację, to znaczy są w stanie utrzymać historyków. Te krainy to: Efeb, Tsort, Omnia, Klatch i rozległe miasto-państwo Ankh-Morpork.

Ta opowieść jednak rozpoczyna się gdzie indziej: w miejscu gdzie

pewien człowiek leży na tratwie unoszącej się w wodach błękitnej, zalanej słońcem laguny. Podpiera głowę rękami. Jest szczęśliwy - w jego przypadku to stan tak rzadki, że niemal bez precedensu. Człowiek pogwizduje prostą melodyjkę i macha nogami w kryształowo czystej wodzie.

Ma różowe stopy z dziesięcioma palcami, które wyglądają jak małe różowe serdelki.

Z punktu widzenia sunącego nad rafą rekina wyglądają jak drugie śniadanie, obiad i podwieczorek.

* * *

Jak zawsze była to kwestia protokołu. Albo dobrych manier. Albo starannie przestrzeganej etykiety. Czy też, ostatecznie, alkoholu. A przynajmniej iluzji alkoholu.

Lord Vetinari, jako najwyższy władca Ankh-Morpork, mógł teoretycznie wezwać do siebie nadrektora Niewidocznego Uniwersytetu, a nawet posłać go na egzekucję, gdyby nie wykonał polecenia.

Z drugiej strony jednak Mustrum Ridcully, jako głowa uczelni magicznej, uprzejmie, acz stanowczo dał do zrozumienia, że on z kolei może zmienić Patrycjusza w niewielkiego płaza, a potem nawet zacząć uprawiać w pokoju zabawy ze skakanką.

Alkohol tworzył wygodny pomost nad tą dyplomatyczną przepaścią. Zdarzało się, że lord Vetinari zapraszał nadrektora do pałacu na towarzyskiego drinka. Oczywiście, nadrektor składał mu wtedy wizytę, gdyż nieuprzejmie byłoby odmówić. Obie strony doskonale rozumiały swoje pozycje i zachowywały się z wyszukaną grzecznością, co pozwalało uniknąć niepokojów społecznych i mokrych plam na dywanie.

Było piękne popołudnie. Vetinari siedział w pałacowych ogrodach i z

delikatną irytacją obserwował motyle. Dostrzegał coś lekko obraźliwego w tym, jak fruwały sobie dookoła i cieszą się życiem w sposób bezproduktywny.

Uniósł głowę.

- Och, to pan, nadrektorze - powiedział. - Jakże miło mi pana widzieć. Proszę usiąść. Mam nadzieję, że zdrowie panu dopisuje?

- W samej rzeczy - przyznał Ridcully. - A pan? Nie narzeka pan na zdrowie?

- Nigdy nie czułem się lepiej. Pogoda, jak widać, znowu się poprawiła.

- Moim zdaniem wczorajszy dzień był wyjątkowo udany. - Jutrzejszy, jak słyszałem, może być jeszcze piękniejszy.

- Z pewnością nie zaszkodzi nam trochę słońca.

- Istotnie.

- Tak.

- Ach...

- Bez wątpienia.

Patrzyli na motyle. Kamerdyner podał zimne drinki.

- Co one właściwie robią z kwiatami? - zainteresował się Vetinari.

- Co?

Patrycjusz wzruszył ramionami.

- Mniejsza z tym. To nie takie ważne. Ale skoro już pan tu jest,

nadrektorze, skoro postanowił pan odwiedzić mnie po drodze do spraw, jestem pewien, nieskończenie bardziej istotnych... To naprawdę bardzo uprzejme z pana strony... Zastanawiam się, czy mógłby mi pan zdradzić: kto jest Wielkim Magiem?

Ridcully zastanowił się chwilę.

- Pewnie dziekan - stwierdził. - Waży chyba ze dwieście pięćdziesiąt funtów.

- Z jakiegoś powodu mam wrażenie, że nie jest to właściwa odpowiedź - rzekł Vetinari. - Z kontekstu wnioskuję, że „wielki” oznacza wybitnego.

- W takim razie nie dziekan.

Vetinari spróbował sobie przypomnieć grono profesorskie Niewidocznego Uniwersytetu. Wizja, jaka pojawiła mu się w umyśle, przedstawiła niewielkie pasmo wzgórz w spiczastych kapeluszach.

- Kontekst, jak przypuszczam, raczej nie sugeruje dziekana - oświadczył.

- Ehm... A jakież to kontekst? - zapytał Ridcully.

Patrycjusz sięgnął po laskę.

- Chodźmy - zaproponował. - Sądzę, że lepiej będzie, jeśli sam pan zobaczy. To bardzo niepokojące.

Idąc za Vetinarim, Ridcully rozglądał się z zaciekawieniem. Nieczęsto miał okazję zwiedzać ogrody, które opisywano we wszystkich podręcznikach ogrodnictwa - w rozdziałach „Jak tego nie robić”.

Były położone - trudno znaleźć bardziej adekwatne określenie - przez sławnego, a raczej niesławnego specjalistę aranżacji pejzażu i ogólnego wynalazcę Bezdennie Głupiego Johnsona. Jego roztargnienie i ślepotę na elementarną matematykę zmieniały każdy krok w igranie z

niebezpieczeństwem. Geniusz Johnsona... cóż, o ile Ridcully to rozumiał, jego geniusz był dokładnym przeciwieństwem tego geniuszu, który wznosił konstrukcje ziemne sięgające do tajemnych, ale dobroczynnych sił terenów wiejskich.

Nikt nie był całkiem pewien, do jakich sił próbowały sięgać projekty Bezdennie Głupiego, ale wybijający godziny zegar słoneczny często wybuchał, obłkańcze chodniki popełniały samobójstwa, a ogrodowe meble z kutego żelaza przynajmniej trzykrotnie się roztopiły.

Patrycjusz prowadził przez bramę do czegoś przypominającego gołębnik. Trzeszczące drewniane stopnie wiodły w górę po wewnętrznej stronie ściany. Kilka niezniszczalnych dzikich gołębi z Ankh-Morpork gruchało coś i parskało w mroku.

- Co to takiego? - zapytał Ridcully, kiedy zaskrzypiały pod nim schody.

Patrycjusz wyjął z kieszeni klucz.

- Zawsze wydawało mi się, że pan Johnson zaplanował to wstępnie jako ul. Jednakże wobec braku dziesięciostopowych pszczoł znaleźliśmy... inne zastosowania.

Otworzył drzwi do przestronnego, kwadratowego pomieszczenia z dużym, nieoszlonym oknem w każdej ze ścian. Każdy otwór otoczony był drewnianą konstrukcją z przymocowanym dzwonem na sprężynie. Było jasne, że jeśli coś dostatecznie dużego przemieści się przez okno, musi poruszyć dzwonem.

W samym środku stał na stole największy ptak, jakiego Ridcully w życiu oglądał. Ptak odwrócił głowę i spojrzał na wchodzących swym żółtym, paciorkowatym okiem.

Patrycjusz sięgnął do kieszeni i wyjął słoik anchois.

- Muszę przyznać, bardzo nas zaskoczył - wyjaśnił. - Już chyba dziesięć

lat minęło, odkąd dotarła poprzednia wiadomość. Zwykle trzymaliśmy w lodzie kilka makreli.

- To bezcelowy albatros? - domyślił się Ridcully.

- W samej rzeczy. I znakomicie wytresowany. Powróci dzisiaj wieczorem. Sześć tysięcy mil na jednym słoiku anchois i butelce pasty rybnej, którą znalazł w kuchni mój sekretarz, Drumknott. Zadziwiające.

- Słucham? - nie zrozumiał Ridcully. - Powróci? Dokąd?

Vetinari spojrzał mu w oczy.

- Nie, muszę wyraźnie to zaznaczyć, nie na Kontynent Przeciwwagi - oświadczył. - Nie jest to jeden z ptaków, jakie Imperium Agatejskie wykorzystuje w służbie kurierskiej. Powszechnie wiadomo, że nie utrzymujemy żadnych kontaktów z tą tajemniczą krainą. A ten ptak nie jest pierwszym od wielu lat, który do nas dotarł, i nie przyniósł dziwnej, zagadkowej wiadomości. Czy to jasne?

- Nie.

- Dobrze.

- To nie jest albatros?

- Aha. - Patrycjusz uśmiechnął się. - Widzę, że zaczyna pan rozumieć.

Mustrum Ridcully, choć posiadał duży i sprawny mózg, nie był wprawiony w sztuce obłudy. Przyjrzał się groźnemu dziobowi.

- Mnie on wygląda na jakiegoś diabelnego albatrosa, nie ma co. A pan przed chwilą mówił, że to właśnie on. Spytałem, czy to...

Patrycjusz z irytacją machnął ręką.

- Zostawmy teraz nasze ornitologiczne rozważania - rzekł. - Chodzi o to, że ptak miał w swojej kurierskiej sakiewce ten oto papier...

- Chce pan powiedzieć, że nie miał tego oto papieru? - upewnił się Ridcully, próbując pojąć zasady.

- A tak. Oczywiście. To właśnie chciałem powiedzieć. To nie ten. Niech pan obejrzy. - Wręczył nadrektorowi niewielki arkusik.

- Wygląda na malowanki.

- To agatejskie piktogramy.

- Znaczy: to nie są agatejskie piktogramy?

- Tak, tak. Z całą pewnością. - Patrycjusz westchnął. - Widzę, że dobrze pan przyswoił podstawowe zasady dyplomacji. A teraz... co pan o tym sądzi, jeśli wolno spytać?

- Wygląda jak maz, maz, maz, maz, Maggusa - stwierdził Ridcully.

- A z tego wnioskuje pan...?

- Studiował malarstwo, bo nie radził sobie z ortografią? Znaczy, kto właściwie to pisał? Chciałem powiedzieć: malował?

- Nie wiem. Wielcy wezyrowie przesyłali nam czasem jakieś wiadomości, ale jak rozumiem, w ostatnich latach trwają tam niepokoje. Nie jest podpisana, jak pan pewnie zauważył. Jednakże nie mogę jej zignorować.

- Maggus, maggus... - powtarzał w zadumie Ridcully.

- Piktogramy oznaczają „Przyślijcie nam natychmiast Wielkiego” - przetłumaczył Vetinari.

- ...Maggusa - dokończył Ridcully, stukając palcem w papier.

Patrycjusz rzucił albatrosowi anchois. Ptak łakomie połknął rybę.

- Imperium ma pod bronią milion ludzi. Na szczęście władcom odpowiada udawanie, że wszystko poza jego granicami jest bezwartościowym, mrocznym pustkowiem zamieszkanym tylko przez wampiry i upiory. Zwykle nie interesują się tam naszymi sprawami. To szczęśliwy dla nas zbieg okoliczności, gdyż są jednocześnie chytry, bogaci i potężni. Prawdę mówiąc, liczyłem, że o nas zapomnieli. Aż nagle to... Mam nadzieję, że zdołam szybko wysłać tę nieszczęsną osobę i zamknąć całą sprawę.

- ...maggus, maggus... - powtarzał Ridcully.

- Może chciałby pan wyjechać gdzieś na wakacje? - spytał Patrycjusz z cieniem nadziei w głosie.

- Ja? Nie. Nie znoszę zagranicznych potraw - odparł pośpiesznie Ridcully. Raz jeszcze powtórzył, jakby do siebie: - Maggus...

- To słowo zdaje się pana fascynować.

- Gdzieś już je widziałem, właśnie tak zapisane. Nie mogę sobie przypomnieć...

- Z pewnością pan sobie przypomni. I zdoła wyekspediować wielkiego magga, jakkolwiek by się pisał, do Imperium. Przed kolacją.

Ridcully otworzył usta.

- Sześć tysięcy mil? Za pomocą magii? Zdaje pan sobie sprawę, jakie to trudne?

- Cenię swoją ignorancję w tej kwestii.

- Poza tym - mówił dalej nadrektor - oni tam wszyscy są... zagraniczni. Myślałem, że mają dość własnych magów.

- Doprawdy, trudno mi powiedzieć.

- Czy wiemy, po co im ten mag?

- Nie. Ale jestem przekonany, że znajdzie pan kogoś zbytecznego. Mam wrażenie, że jest was tam strasznie dużo.

- Znaczy, może być im potrzebny w jakimś strasliwym, zagranicznym celu - powiedział Ridcully. Z jakiegoś powodu w jego umyśle pojawiła się twarz dziekana. Rozpromienił się. - Może wystarczy im dowolny mag, byle wielki? Jak pan sądzi?

- Pozostawiam to całkowicie pańskiej decyzji. Ale wieczorem chciałbym wysłać wiadomość, że Wielki Maggus jest już w drodze, jak należy. Potem możemy o wszystkim zapomnieć.

- Oczywiście niezwykle trudno będzie ściągnąć go z powrotem. - Ridcully znów pomyślał o dziekanie. - To praktycznie niemożliwe - dodał z zadowoleniem, niezbyt odpowiednim do sytuacji. - Przypuszczam, że przez długie miesiące będziemy się bezskutecznie starali. Przypuszczam, że wypróbujemy wszystkie znane metody, ale nie zadziałają. Co za pech...

- Widzę, że nie może się pan doczekać podjęcia tego wyzwania - rzekł Patrycjusz. - Niech mi pan nie pozwoli zatrzymywać pana przed powrotem na uniwersytet i rozpoczęciem właściwych działań.

- Ale... maggus... - mrucał do siebie Ridcully. - Jakoś mi się kojarzy... Chyba gdzieś to już widziałem.

* * *

Rekin nie zastanawiał się specjalnie. Rekiny rzadko to robią. Ich procesy myślowe są w większej części wyrażane przez znak „=”.

Widzisz = zjadasz.

Ale kiedy sunął przez wody laguny, jego mały mózdzek zaczął odbierać niewielkie porcje egzystencjalnego, spodoustego lęku, który można określić jako wątpliwości.

Wiedział, że jest największym rekinem w okolicy. Wszyscy konkurenci uciekli albo zderzyli się ze starym, dobrym „=”. Jednakże ciało podpowiadało mu, że coś zbliża się szybko z tyłu.

Zawrócił z gracją i pierwsze, co zobaczył, były setki stóp i tysiące palców - cała fabryka serdelków.

* * *

Wiele rzeczy działo się na Niewidocznym Uniwersytecie. Niestety, nauczanie musiało być jedną z nich. Grono profesorskie już dawno uwzględniło ten fakt i opracowało wiele sposobów unikania go. Ale było to całkiem uczciwe, ponieważ - trzeba szczerze przyznać - podobnie postępowali studenci.

System działał bardzo skutecznie i - jak się często zdarza w takich wypadkach - uzyskał status tradycji. Wykłady najwyraźniej się odbywały, gdyż były wypisane czarno na białym w planie zajęć. Fakt, że nikt nie uczęszczał, stanowił tylko nieistotny szczegół. Od czasu do czasu ktoś twierdził, że wynika z tego, iż wykłady wcale się nie odbywają, ponieważ jednak nikt nie uczęszczał, więc nikt nie mógł stwierdzić, czy to prawda. Zresztą i tak padały argumenty ze strony wykładowcy mętnego myślenia* [przyp.: Które jest trochę jak logika rozmyta, tylko bardziej.], że wykłady odbywają się *in essence*, czyli wszystko jest w porządku.

Tym samym edukacja na Niewidocznym Uniwersytecie działała uświęconą przez wieki metodą umieszczania dużej grupy młodych ludzi w pobliżu dużego zbioru książek, w nadziei że coś przejdzie z jednych na drugich. Tymczasem zainteresowani młodzi ludzie najchętniej umieszczali się w pobliżu oberży i tawern - z tego samego powodu.

W tej chwili, wczesnym popołudniem, kierownik katedry studiów nieokreślonych wygłaszał wykład w sali 3B. Zatem jego obecność, drzemiącego przed kominkiem w sali klubowej, była technicznym szczegółem, którego nie komentowałyby żaden człowiek obdarzony zmysłem dyplomacji.

Nadrektor kopnął go w łydkę.

- Au!

- Przepraszam, że przerywam, kierowniku - rzucił niedbale Ridcully. - Bogowie świadkami, że potrzebuję Rady Magów. Gdzie są wszyscy?

Kierownik studiów nieokreślonych potarł nogę.

- Wiem, że wykładowca run współczesnych prowadzi wykład w sali 3B* [przyp.: Wszystkie wirtualne wykłady odbywały się w sali 3B, niemożliwej do zlokalizowania na żadnym planie pomieszczeń Niewidocznego Uniwersytetu, a także - jak uważano - mającej nieskończoną wielkość.] - powiedział. - Ale nie mam pojęcia, gdzie jest. To bolało...

- Proszę zebrać wszystkich. W moim gabinecie. Za dziesięć minut - polecił Ridcully.

Głęboko wierzył w takie działania. Mniej bezpośredni nadrektor wędrowałby po całym budynku i szukał profesorów. On tymczasem wyznawał politykę znalezienia jednej osoby i utrudniania jej życia, dopóki wszystko nie ułoży się tak, jak sobie życzył* [przyp.: Politykę taką zaadaptowała większość menedżerów i kilku co ważniejszych bogów.].

* * *

Nic istniejącego w naturze nie ma aż tylu stóp. Owszem, niektóre stworzenia mają wiele nóg - wilgotne, wijące się stworzenia żyjące pod

kamieniami - ale ich nogi nie posiadają stóp. Ich nogi kończą się bez zbytecznych ceremonii.

Coś bardziej inteligentnego niż rekin zachowałoby czujność.

Jednak „=” zdradziecko włączyło się do gry i pchnęło go naprzód.

Był to jego pierwszy błąd.

W tych okolicznościach jeden błąd = koniec egzystencji.

* * *

Ridcully czekał niecierpliwie, aż starsi magowie zjawią się kolejno z ważnych wykładów w sali 3B. Starsi magowie potrzebowali licznych wykładów, aby dobrze przetrwać posiłki.

- Wszyscy obecni? - zapytał w końcu. - Dobrze. Siadajcie. Słuchajcie uważnie. Po kolei... Do Vetinariego nie dotarł albatros. Nie leciał tu aż z Kontynentu Przeciwwagi i nie przyniósł dziwnej wiadomości z poleceniem, które najwyraźniej musimy wypełnić. Jak dotąd jasne?

Magowie wymienili spojrzenia.

- Mam wrażenie, że pewne szczegóły nie są do końca zrozumiałe - oznajmił dziekan.

- Używałem języka dyplomacji.

- Czy mógłby pan być odrobinę bardziej bezpośredni, nadrektorze?

- Musimy posłać maga na Kontynent Przeciwwagi - wyjaśnił Ridcully. - I musimy to załatwić do podwieczorku. Ktoś poprosił o Wielkiego Magusa i wychodzi na to, że musimy jakiegoś wysłać. Tyle że piszą to przez dwa „g”:

Maggus.

- Uuk?

- Słucham, bibliotekarzu?

Bibliotekarz Niewidocznego Uniwersytetu, który drzemał z głową opartą o stół, wyprostował się gwałtownie. Potem odsunął krzesło i wściekle machając rękami dla zachowania równowagi, wybiegł, kołysząc się na krzywych nogach.

- Pewnie przypomniał sobie o nieoddanej książce - stwierdził dziekan. Zniżył głos. - Przy okazji, czy tylko ja uważam, że mała w gronie profesorskim nie poprawia wizerunku naszej uczelni?

- Tak - odparł chłodno Ridcully. - Tylko ty, dziekanie. Mamy jedyne bibliotekarza, który nogą potrafi wyrwać rękę. Ludzie umieją to uszanować. Nie dalej jak parę dni temu szef Gildii Złodziei pytał, czy nie moglibyśmy zmienić w małą ich bibliotekarza. Poza tym on jeden z was wszystkich, leniuchy, jest aktywny dłużej niż godzinę dziennie. Zresztą...

- W każdym razie ja uważam, że to krępujące - upierał się dziekan. - W dodatku on nie jest normalnym orangutanem. Czytałem w książce. Piszą tam, że dominujący samiec powinien mieć wielkie twory skórne po obu stronach twarzy. Czy on ma twory skórne? Nie wydaje mi się. I jeszcze coś...

- Przestań marudzić, dziekanie - przerwał mu Ridcully. - Bo nie wyśle cię na Kontynent Przeciwwagi.

- Nie rozumiem, dlaczego zgłoszenie w pełni uzasadnionych... Co?

- Proszę o Wielkiego Magga - wyjaśnił nadrektor. - A ja od razu pomyślałem o tobie.

Jako jedynym znanym mi człowieku, który potrafi siedzieć na dwóch krzesłach równocześnie, dodał w myślach.

- Do Imperium Agatejskiego? - pisał dziekan. - Ja? Przecież oni nienawidzą cudzoziemców!

- Ty też. Powinieneś świetnie sobie poradzić.

- To sześć tysięcy mil! - Dziekan spróbował innego argumentu. - Wszyscy wiedzą, że nie da się dotrzeć tak daleko tylko z pomocą magii.

- Ehm... Właściwie to można, moim zdaniem - odezwał się głos z drugiego końca stołu.

Wszyscy obejrzeni się na Myślaka Stibbonsa, najmłodszego i najbardziej rozpaczliwie gorliwego członka grona wykładowców. Trzymał w rękach skomplikowany mechanizm z przesuwających się deseczek i ponad nim spoglądał na magów.

- Eee... To nie powinno sprawić kłopotów - dodał. - Wszyscy uważali, że tak, ale moim zdaniem to tylko kwestia absorpcji energii i przeliczenia prędkości względnych.

Oświadczenie to wywołało chwilę tego zdumionego, podejrzliwego milczenia, jakie zwykle następowało po uwagach Myślaka.

- Prędkości względne - powtórzył Ridcully.

- Tak, nadrektorze.

Myślak spuścił wzrok na swój prototyp suwaka logarytmicznego i czekał. Wiedział, że nadrektor uzna za niezbędne, by dodać w tym miejscu jakiś komentarz, demonstrując, że coś jednak zrozumiał.

- Moja matka umiała ruszać się jak błyskawica, kiedy...

- Chodziło mi o to, jak szybko lecą jedne rzeczy w porównaniu do innych rzeczy - wyjaśnił Myślak szybko, ale nie dostatecznie szybko. - Powinniśmy wyliczyć to bez większych problemów. Ehm. HEX wyliczy.

- No nie - zaprotestował wykładowca run współczesnych, odsuwając krzesło. - Tylko nie to. To majstrowanie przy sprawach, których nie rozumiemy.

- Przecież jesteśmy magami - zauważył nadrektor. - Wręcz powinniśmy majstrować przy sprawach, których nie rozumiemy. Jeśli będziemy siedzieć i czekać, aż zrozumiemy te sprawy, nigdy niczego nie załatwimy.

- Nie mam nic przeciwko wezwaniu jakiegoś demona i wypytaniu go - zapewnił wykładowca. - To normalne. Ale budowa mechanicznej aparatury, żeby za nas myślała, to... to wbrew Naturze. Poza tym - dodał odrobinę mniej złowieszczym tonem - ostatnim razem, kiedy na tej przeklętej maszynie rozwiązywaliście poważny problem, zepsuła się i wszędzie mieliśmy pełno mrówek.

- Usunęliśmy tę usterkę - zapewnił Myślak. - Jesteśmy...

- Muszę zauważyć, że kiedy ostatnio tam zaglądałem, zauważyłem w samym środku baranią czaszkę - wtrącił Ridcully.

- Musieliśmy ją dołączyć. Okazała się niezbędna do transformacji okultystycznych. Ale...

- I jeszcze kółka zębate i śruby.

- Mrówki nie radzą sobie za dobrze z analizą różniczkową, więc...

- A ta dziwna, trzęsąca się rzecz z kukułką?

- To zegar czasu nierzeczywistego. Owszem, jest niezbędny do przeprowadzania...

- Zresztą to całkiem nieistotne - przerwał im dziekan - ponieważ nie mam zamiaru nigdzie wyruszać. Jeśli już musicie, poślijcie jakiegoś studenta. Tych nam nie brakuje.

- Prosić można jeśli, śliwkowego dżemu odrobinę jeszcze - powiedział kwestor.

Wszyscy umilkli.

- Ktoś to zrozumiał? - zapytał po chwili Ridcully.

Technicznie rzecz ujmując, kwestor nie był obłąkany. Już jakiś czas temu pokonał wiry szaleństwa i teraz wiosłował na spokojnym zalewie po drugiej stronie. Często bywał dość rozsądny, choć nie według normalnych ludzkich ocen.

- Hm... Chyba przeżywa jeszcze raz dzień wczorajszy - odgadł pierwszy prymus. - Ale tym razem wstecz.

- Powinniśmy wysłać kwestora - stwierdził stanowczo dziekan.

- Wykluczone! Nie znajdzie tam pewnie pigulek z suszonej żaby...

- Uuk!

Bibliotekarz wbiegł do gabinetu, wymachując czymś gwałtownie.

To coś było czerwone, a przynajmniej miało taki kolor w jakimś punkcie przeszłości. W jakimś punkcie przeszłości mogło nawet być spiczastym kapeluszem, ale teraz szpic się zapadł, a większa część ronda spłonęła. Na kapeluszu wyhaftowano cekinami litery. Wiele się przypaliło, lecz

MAGGUS

wciąż dawał się rozpoznać jako blady napis na przypalonym tle.

- Byłem pewien, że już to gdzieś widziałem - ucieszył się Ridcully. - Na półce w bibliotece, tak?

- Uuk.

Nadrektor obejrzał resztki kapelusza.

- Maggus - przeczytał. - Co za smętny, beznadziejny człowieczek musi pisać MAGGUS na swoim kapeluszu?

* * *

Na powierzchnię wypłynęło kilka bąbli powietrza; tratwa zakołysała się lekko. Po chwili wynurzyły się kawałki skóry rekina.

Rincewind westchnął i odłożył wędkę. Wiedział, że pozostała część rekina zostanie wyciągnięta na brzeg nieco później. Nie miał pojęcia dlaczego. Przecież rekiny nie nadawały się zbytnio do jedzenia - smakowały jak stare buty rozmoczone w urynie.

Sięgnął po zaimprovizowane wiosło i popłynął do brzegu.

Wysepka nie była zła. Sztormy jakoś ją omijały, podobnie jak statki. Rosły tu palmy kokosowe i drzewa chlebowe. Nawet eksperymenty z alkoholem okazały się udane, choć potem przez dwa dni nie mógł chodzić prosto. Laguna dostarczała krewetek, ostryg, krabów i homarów, a w głębokich zielonych wodach poza kręgiem raf srebrzyste ryby walczyły o przywilej ugryzienia kawałka wykrzywionego drutu na końcu długiej linki. Po sześciu miesiącach na wyspie Rincewindowi brakowało tylko jednego. Właściwie nigdy wcześniej tego nie dostrzegał. Teraz myślał o tym - a dokładniej: o nich - przez cały czas.

To dziwne. W Ankh-Morpork nawet o nich nie pamiętał - zwyczajnie były na miejscu, kiedy tylko miał na nie ochotę. Teraz, kiedy ich brakło, pragnął ich.

Tratwa uderzyła o brzeg mniej więcej w tej samej chwili, gdy wielkie kanoe okrążyło rafę i wpłynęło do laguny.

* * *

Ridcully siedział przy biurku, otoczony przez starszych magów, którzy usiłowali wytłumaczyć mu różne rzeczy. Nie zwracali uwagi na dobrze znane ryzyko związane z próbami tłumaczenia Ridcully'emu czegokolwiek - takie mianowicie, że wybierał tylko fakty, które mu odpowiadały, i oczekiwał, że pozostali nadrobią dystans.

- Czyli - rzekł - to nie jest rodzaj sera.

- Nie, nadrektorze - zapewnił kierownik studiów nieokreślonych. - Rincewind jest rodzajem maga.

- Był - poprawił wykładowca run współczesnych.

- Nie ser. - Ridcully nie chciał zrezygnować ze swojej teorii.

- Nie.

- Brzmi to jak nazwa, która kojarzy się z serem. Znaczy: funt dojrzałego rincewinda... dobrze się układa na języku.

- Na wszystkich bogów, Rincewind nie jest serem! - krzyknął dziekan, na moment tracąc cierpliwość. - Rincewind nie jest jogurtem, ani też żadnym produktem ze skwaśniałego mleka! Rincewind to prawdziwe utrapienie! Całkowita i nieodwracalna hańba dla wszystkich magów! Dureń! Nieudacznik! Poza tym nie widziano go od czasu tych... nieprzyjemności z czarodzieciem przed laty.

- Doprawdy? - zdziwił się Ridcully z pewną złośliwą uprzejmością. - Słyszałem, że spora grupa magów fatalnie się wtedy zachowała.

- Istotnie - przyznał wykładowca run współczesnych, zerkając gniewnie na dziekana, który obruszył się tylko.

- Nic o tym nie wiem, wykładowco. Nie byłem wtedy dziekanem.
- Nie, ale zajmowałeś niezłe stanowisko.
- Być może, ale dla twojej informacji, akurat przypadkiem byłem wtedy z wizytą u ciotki.
- O mało co nie zburzyli całego miasta.
- Ciotka mieszka w Quirmie.
- Quirm także był zaangażowany, o ile pamiętam.
- Pod Quirmem. W pobliżu. Ale właściwie wcale nie tak blisko. Spory kawałek drogi wzdłuż wybrzeża...
- Ha!
- Nawiasem mówiąc, jakoś dziwnie dobrze jesteś poinformowany, wykładowco - zauważył dziekan.
- Ja... co? Ja wtedy... studiowałem książki. Bardzo intensywnie. Właściwie nie zauważyłem nawet, że coś się dzieje...
- Połowa uniwersytetu legła w gruzach! - Dziekan opanował się nagle. - To znaczy... tak słyszałem. Później. Kiedy już wróciłem od ciotki.
- Tak, ale mam bardzo grube drzwi...
- A przypadkiem wiem, że pierwszy prymus był tutaj, ponieważ...
- ...z takim sukiennym obiciem, że prawie nic nie słyszać...
- Drzemkę moją na czas już chyba.
- Zamknijcie się w tej chwili!

Ridcully spojrzał na kolegów czystym, niewinnym wzrokiem człowieka, który u narodzin został pobłogosławiony całkowitym brakiem wyobraźni i który podczas niedawnych, krępujących rozdziałów historii uczelni rzeczywiście znajdował się setki mil stąd.

- Dobrze - powiedział, kiedy wszyscy się uspokoili. - Ten Rincewind. Trochę idiota, tak? Ty mówisz, dziekanie. Reszta milczy.

Dziekan nieco stracił pewność siebie.

- No więc, tego... To nie ma sensu, nadrektorze. On nawet nie potrafił rzucać zaklęć. Na co mógłby się komuś przydać? Poza tym... gdziekolwiek idzie Rincewind... - zniżył głos - ...podążają za nim kłopoty.

Ridcully zauważył, że magowie skupili się ciaśniej.

- To chyba dobrze - zauważył. - To najlepsze miejsce dla kłopotów: za tobą. Nikt raczej nie chce mieć kłopotów przed sobą.

- Nie rozumie pan, nadrektorze. Kłopoty podążają za nim na setkach maleńkich nóżek.

Uśmiech nadrektora pozostał w miejscu, ale cała reszta twarzy stężała na kamień.

- Dobrałeś się do pigułek kwestora, dziekanie?

- Zapewniam cię, Mustrum...

- Więc nie opowiadaj bzdur.

- Oczywiście, nadrektorze. Ale zdaje pan sobie chyba sprawę, że odnalezienie go może nam zabrać całe lata?

- Ehm... - wtrącił Myślak. - Gdybyśmy odszyfrowali jego sygnaturę thaumiczną, HEX poradziłby sobie z tym w jeden dzień.

Dziekan rzucił mu gniewne spojrzenie.

- To nie jest magia - burknął. - To... mechanika!

* * *

Rincewind przeszedł po płyciźnie i ostrym kamieniem odciął czubek orzecha kokosowego, który chłodził się w dogodnie ocienionej kałuży. Przytknął orzech do ust.

Wtedy padł na niego cień.

- Eh... - powiedział Rincewind. - Witaj?

* * *

Jeśli mówiło się do nadrektora przez kilka godzin, istniała możliwość, że pewne fakty się precysną.

- Chcecie powiedzieć - rzekł w końcu Ridcully - że ten Rincewind był ścigany przez właściwie wszystkie armie świata, rzucony po powierzchni życia jak groszek na bębnie, że jest prawdopodobnie jedynym magiem, który wie cokolwiek o Imperium Agatejskim, gdyż przyjaźnił się... - zerknął w notatki - ...z „dziwnym niskim człowieczkiem w okularach”, który to człowieczek właśnie stamtąd przybył i podarował mu ten zabawny przedmiot z nóżkami, do którego wciąż robicie jakieś aluzje. I zna ich język. Jak dotąd się zgadza?

- Absolutnie, nadrektorze - potwierdził dziekan. - Może mnie pan nazwać idiotą, ale nie rozumiem, na co mógłby się przydać.

Ridcully raz jeszcze zajrzał do notatek.

- To znaczy, że sam zdecydowałeś się tam polecieć?

- Nie, oczywiście, że nie...

- Myślę, że czegoś tu nie dostrzegasz, dziekanie. - Ridcully uśmiechnął się z satysfakcją. - Czegoś, co mógłbym nazwać wspólnym mianownikiem. Ten chłopak jakoś uchodzi z życiem. Ma talent. Odnajdźcie go. I sprowadźcie tutaj. Gdziekolwiek jest. Biedak mógł się przecież znaleźć twarzą w twarz z czymś potwornym.

* * *

Kokos pozostał nieruchomy, ale oczy Rincewinda przesunęły się szaleńczo tam i z powrotem.

Trzy postacie wkroczyły w pole jego widzenia. Były w oczywisty sposób kobiece. Były bardzo obficie kobiece. Nie miały na sobie zbyt wiele odzieży i wydawały się trochę za dobrze uczesane jak na kogoś, kto przed chwilą jeszcze wiosłował w wojennym kanoe, ale tak często bywa z pięknymi wojowniczkami Amazonek.

Cienka strużka mleczka kokosowego pociekła Rincewindowi po brodzie.

Prowadząca kobieta odgarnęła długie złote włosy i uśmiechnęła się promiennie.

- Wiem, że brzmi to niewiarygodnie - powiedziała - ale ja i moje obecne tu siostry reprezentujemy nieodkryte dotąd plemię. Wszyscy nasi mężczyźni zostali unicestwieni przez śmiertelną, lecz krótkotrwałą i wysoce specyficzną zarazę. Teraz przeszukujemy te wyspy, by znaleźć mężczyznę, który pozwoli nam przedłużyć naszą linię.

- „Jak myślicie, ile on waży?”

Rincewind uniósł brwi. Kobieta skromnie spuściła wzrok.

- Zastanawiasz się pewnie, dlaczego wszystkie jesteśmy blondynkami o jasnej skórze, podczas gdy inni mieszkańcy wysp w okolicy są smagli - powiedziała. - Wydaje się, że to po prostu jakiś genetyczny kaprys.

- „Jakieś sto dwadzieścia, może sto dwadzieścia pięć funtów. Dorzućcie na stos jeszcze funt czy dwa śmieci. Ehm... Czy wykrywacie... no wiecie... TO?”

- „Coś takiego na pewno się nie uda, panie Stibbons. Po prostu wiem.”

- „Jest zaledwie sześćset mil stąd, wiemy, gdzie się znajduje, i to jest odpowiednia połówka Dysku. Zresztą sprawdziłem z pomocą HEX-a i nic nie może się nie udać.”

- „Owszem, ale czy ktoś zauważył... to... wie pan... na nóżkach?”

Rincewind poruszył brwiami. Z jego krtani dobiegł zduszony odgłos.

- „Nie widzę... tego. Przestańcie chuchać na moją kryształową kulę!”

- I oczywiście, jeśli popłyniesz z nami, możemy ci obiecać... cielesne i zmysłowe rozkosze, takie jak te, o których dotąd śniłeś...

- „No dobrze. Na trzy...”

Kokos upadł na piasek. Rincewind przełknął ślinę. W jego oczach pojawiło się wygłodniałe, rozmarzone spojrzenie.

- Mogą być puree? - zapytał.

- „JUŻ!”

* * *

Najpierw wystąpiło wrażenie ucisku. Świat otworzył się przed Rincewindem i wessał go do środka.

Potem rozciągnął się i brzęknął.

Rozmyte prędkością chmury pomknęły ze wszystkich stron. Kiedy odważył się wreszcie otworzyć oczy, daleko przed sobą zobaczył małą czarną plamkę.

Powiększała się.

Po chwili zmieniała się w obłok lecących blisko siebie przedmiotów. Były tam dwa ciężkie rondle, duży mosiężny lichtarz, kilka cegieł, krzesło i wielka mosiężna forma do galaretki, w kształcie zamku.

Trafiały go kolejno, a forma galaretkowa wydała zabawny dźwięk, odbijając się od jego głowy. Potem, wirując, odleciała w tył.

Zaraz potem zobaczył ośmiokąt. Wyrysowany kredą.

Uderzył w niego.

* * *

Ridcully przyjrzał się uważnie.

- Odrobinę mniej niż sto dwadzieścia pięć funtów - stwierdził. - Ale poza tym... dobra robota, panowie.

Rozczochrany strach na wróble pośrodku kręgu wstał chwiejnie i zgasił jeden czy dwa płomyki na ubraniu. Potem rozejrzał się mętym wzrokiem.

- Hehehe? - powiedział.

- Może być trochę zdezorientowany - mówił dalej nadrektor. - W końcu to ponad sześćset mil w dwie sekundy. Unikajmy gwałtownych ruchów.

- Jak z lunatykami, chce pan powiedzieć? - upewnił się pierwszy prymus.

- Jak to z lunatykami?

- Jeśli obudzi się nagle lunatyka, odpadają mu nogi. Tak twierdziła moja babcia.

- Jesteście pewni, że to Rincewind? - spytał dziekan.

- Oczywiście, że to Rincewind - zapewnił pierwszy prymus. - Szukaliśmy go przez parę godzin.

- Ale to może być groźna kreatura okultystyczna - upierał się dziekan.

- W takim kapeluszu?

Kapelusz był spiczasty. W pewnym sensie. Przypominał rodzaj szamańskiego nakrycia głowy z rozszczepionych gałązek bambusa i liści palmy kokosowej, i powstał zapewne w nadziei ściągnięcia przelotnej magowatości. Na nim, ułożone z muszelek mocowanych trawą, widniało słowo MAGGUS.

Właściciel kapelusza patrzył poprzez magów, jakby ich nie dostrzegał. Pchnięty nieoczekiwanym wspomnieniem, utykając, pospiesznie wyszedł z ośmiokąta i ruszył do drzwi.

Magowie ostrożnie poszli za nim.

- Nie jestem pewien, czy można jej wierzyć. Ile razy widziała coś takiego?

- Nie wiem. Nie mówiła.
- Kwestor lunatykuje prawie każdej nocy.
- Naprawdę? Kuszące...

Rincewind, jeśli takie imię nosiła ta istota, wyszedł na plac Sator.

Plac był zatłoczony. Powietrze falowało nad piecykami sprzedawców kasztanów i pieczonych ziemniaków; rozbrzmiewały tradycyjne uliczne okrzyki Ankh-Morpork* [przyp.: Takie jak „Auu!”, „Aargh!”, „Oddaj moje pieniądze, ty szubrawcu!” oraz „To mają być kasztany? Według mnie to przypalone kawałki węgla, ot co!”].

Istota zbliżyła się do chudego mężczyzny w za dużym płaszczu, który podpiekał coś nad palnikiem olejowym ustawionym na szerokiej, zawieszanej u szyi tacy.

Być-może-Rincewind chwycił brzeg tacy.

- Masz... może... ziemniaki? - wycharczał.
- Ziemniaki? Nie, szefuniu. Mam kiełbaski w bułce.

Być-może-Rincewind znieruchomiał. A potem zalał się łzami.

- Kiełbaska w buuułce! - zajęczał. - Kochana kiełbaska w buuułce! Daj mi kiełbaskę w buuułceee!

Porwał z tacy trzy sztuki i próbował zjeść je równocześnie.

- Wielcy bogowie... - szepnął Ridcully.

Istota odbiegła, potykając się. Kawałki bułki i fragmenty produktów wieprzowych sypały się kaskadą ze splątanej brody.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś zjadł aż trzy kiełbaski w bułce Gardła Dibblera i wyglądał na tak zachwyconego - rzekł pierwszy prymus.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś zjadł aż trzy kiełbaski w bułce Gardła Dibblera i wyglądał tak pionowo - stwierdził dziekan.

- Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś zjadł cokolwiek od Gardła Dibblera i zdołał odejść bez płacenia - zauważył wykładowca run współczesnych.

Istota zataczała się radośnie po placu, a łzy spływały jej po twarzy. Krętą trajektorią dotarła w pobliże wylotu zaułka, skąd wyskoczyła jakaś niewielka postać i z pewnymi kłopotami uderzyła ją w tył głowy.

Zjadacz kiełbasek osunął się na kolana.

- Au! - zwrócił się do świata jako takiego.

- *Nienie nienie nienie nie!* - Starszy mężczyzna wynurzył się z zaułka i stanowczo wyjął z niewprawnych dłoni młodzieńca pałkę. Tymczasem ofiara bełkotała coś na klęczkach. - Powinieneś przeprosić tego biednego pana. Nie wiem, co sobie pomyśli. Popatrz tylko na niego: ułatwił ci zadanie, jak tylko potrafił, i co go za to spotkało? Znaczy, niby co to było, twoim zdaniem?

- Mru-mru-mru-mru, panie Boggis - odpowiedział chłopiec, wpatrując się w czubki swoich butów.

- Co takiego? Głośniej!

- Trzaśnięcie znad Ramienia, panie Boggis.

- To miało być Trzaśnięcie znad Ramienia? Coś takiego nazywasz Trzaśnięciem znad Ramienia? To... przepraszam pana uprzejmie, postawimy pana na nogi, tylko chwila... O, to jest Trzaśnięcie znad Ramienia!

- Au! - krzyknęła ofiara, po czym, ku zdumieniu wszystkich zainteresowanych, dodała: - Cha, cha, cha, cha!

- A ty zrobiłeś coś takiego... przepraszam, że się narzucamy, szanowny panie, to potrwa najwyżej minutkę... zrobiłeś tak...

- Au! Cha, cha cha, cha!

- Wszyscy się przyjrzeni? Chodźcie no tu, stańcie bliżej...

Pół tuzina młodych ludzi wyszło z zaułka i utworzyło nierówny krąg wokół pana Boggisa, pechowego studenta i ofiary, przypadkowego człowieka, który zataczał się wkoło, wydawał z siebie ciche „umf, umf, ale wciąż z jakiegoś powodu wydawał się niezwykle rozradowany.

- Słuchajcie uważnie - rzekł pan Boggis tonem starego, doświadczonego fachowca, który stara się przekazać swą wiedzę niewdzięcznej potomności. - Kiedy z klasycznego wylotu zaułka sprawiacie kłopot klientowi, właściwa procedura... Och, dzień dobry, panie Ridcully, nie zauważyłem pana.

Nadrektor przyjaźnie skinął mu głową.

- Nie chcielibyśmy przeszkadzać, panie Boggis. Szkolenie Gildii Złodziei, tak?

Boggis wzniósł oczy.

- Nie wiem, czego ich uczą w szkole - westchnął. - Nic tylko czytanie i pisanie, bez przerwy. Kiedy ja byłem takim dzieciakiem, w szkole uczyliśmy się czegoś pożytecznego. No dobrze... Ty, Wilkins, natychmiast przestań chichotać, twoja kolej, przepraszam na moment, drogi panie...

- Au!

- *Nienie nienie nienie nienie* ! Moja babcia staruszka lepiej by sobie poradziła. Patrz na mnie. Podchodzisz sprężystym krokiem, kładasz dłoń na ramieniu dla zachowania kontroli... no już, rób, co mówię... a potem elegancko...

- Au!

- Czy ktoś może mi powiedzieć, co Wilkins zrobił źle?

Boggis zaczął na Wilkinsie demonstrować bardziej wyrafinowane frazy głównej perkusji. Tymczasem ofiara odczołgała się, niezauważona przez nikogo prócz magów.

Podniosła się chwiejnie i pobrała przed siebie ulicą. Poruszała się jak zahipnotyzowana.

- On płacze - zauważył dziekan.

- Nic dziwnego - powiedział nadrektor. - Ale dlaczego równocześnie się uśmiecha?

- Zdziwniej i zdziwniej - stwierdził pierwszy prymus.

Posiniaczona, a możliwe że i otruta postać skierowała się na powrót do bramy Niewidocznego Uniwersytetu. Magowie szli za nią.

- Na pewno chodziło ci o „dziwnie i coraz dziwniej”, prawda? A nawet wtedy nie ma to właściwie sensu.

Postać minęła bramę, ale tym razem chwiejnie przeszła przez korytarz do biblioteki.

Bibliotekarz już czekał. Trzymał - z zadowolonym uśmieszkiem na twarzy, a orangutany naprawdę potrafią wyrazić zadowolenie - pognieciony kapelusz.

- Zadziwiające - uznał Ridcully. - To prawda! Mag zawsze wróci po swój kapelusz!

Postać chwyciła kapelusz, eksmitowała kilka pajaków, odrzuciła smętną imitację z liści i wcisnęła go sobie na głowę.

Rincewind zamrugał, patrząc na zaskoczonych profesorów. Po raz pierwszy w głębi jego oczu błysnęło światelko, jak gdyby aż do tej chwili funkcjonował wyłącznie dzięki odruchom.

- Tego... co przed chwilą zjadłem?

- No... trzy sztuki najlepszych kiełbasek Dibblera - odparł Ridcully. - Z tym że kiedy mówię „najlepsze”, chodzi mi o „najbardziej typowe”, to chyba jasne?

- Rozumiem. A kto mnie uderzył?

- Uczniowie Gildii Złodziei na praktyce terenowej.

Rincewind mrugnął.

- To Ankh-Morpork, prawda?

- Tak.

- Tak myślałem. - Rincewind znów zamrugał, powoli. - No to - powiedział, padając na twarz - wróciłem.

* * *

Pan Hong puszczał latawca. Była to czynność, którą wykonywał w sposób doskonały.

Pan Hong wszystko robił w sposób doskonały. Jego akwarele były doskonałe. Poezje były doskonałe. Kiedy składał arkusik papieru, doskonała była każda krawędź - twórcza, oryginalna i skończenie doskonała. Pan Hong już dawno zaprzestał pogoni za doskonałością, gdyż trzymał ją zakutą gdzieś w lochu.

Pan Hong miał dwadzieścia sześć lat, był szczupły i przystojny. Nosił bardzo małe, bardzo okrągłe okulary w stalowych oprawkach. Kiedy go opisywali, ludzie używali określenia „gładki” albo wręcz „śliski”* [przyp.: * A często także zdania „To łajdak, któremu lepiej nie wchodzić w drogę, i ja tego nie powiedziałem”]. Osiągnął przywództwo jednego z najbardziej wpływowych rodów Imperium Agatejskiego dzięki nieustępliwym staraniom, całkowitej koncentracji umysłu i sześciu dobrze zrealizowanym skrytobójstwom. Ostatnią ofiarą był jego ojciec, który umierał szczęśliwy, wiedząc, że syn podtrzymuje rodzinną tradycję. Szlachetne rody szanowały swych zmarłych przodków i nie widziały nic złego w szybszym powiększaniu ich grona.

A teraz jego latawiec - czarny, z wymalowaną parą wielkich oczu - zanurkował z nieba. Hong starannie obliczył kąt; nie trzeba chyba dodawać, że doskonale. Sznurek latawca, pokryty klejem i tłuczonym szkłem, przeciął linki współzawodników, a ich latawce odfrunęły, wirując.

Widzowie zaklaskali uprzejmie. Ludzie z łatwością odkrywali, że oklaskiwanie pana Honga dowodzi rozsądku.

Hong oddał sznurek służącemu, uprzejmie skinął głową pokonanym współzawodnikom i wszedł do namiotu.

Tam usiadł i spojrzał na swego gościa.

- Wysłaliśmy wiadomość - poinformował go przybysz. - Nikt nas nie widział.

- Wręcz przeciwnie - poprawił go pan Hong. - Widziało was dwudziestu ludzi. Czy wyobrażasz sobie, jak trudno jest strażnikowi patrzeć prosto przed siebie i niczego nie zauważać, kiedy ktoś się przekrada w pobliżu, robi tyle hałasu, co cała armia, i jeszcze szepcze, żeby być cicho? Szczerze powiem, że twoi ludzie chyba nie mają rewolucyjnych talentów. Co ci się stało w rękę?

- Albatros mnie dziobnął.

Hong uśmiechnął się. Przyszło mu do głowy, że ptak mógł wziąć jego rozmówcę za anchois, i nie bez powodu. Miał takie samo rybnie spojrzenie.

- Nie rozumiem, panie - poskarżył się gość, którego imię brzmiało Dwa Ogniste Ziola.

- To dobrze.

- Przecież oni wierzą w Wielkiego Magga, a ty chcesz, żeby tu przybył?

- Ależ oczywiście. Mam swoich ludzi w... - próbował wymówić obce sylaby - ...Ankh-Morep-Ork. Ten, którego tak naiwnie zwą Wielkim Maggusem, rzeczywiście istnieje. Ale, mogę ci to wyznać, znany jest ze swojej niekompetencji, tchórzliwości i uległości. Są wręcz przysłowiowe. Dlatego uznałem, że Czerwona Armia powinna dostać wytęsknionego przywódcę, nie sądzisz? To... podniesie ich morale. - Uśmiechnął się znowu.
- To polityka.

- Aha.

- A teraz odejdz.

Kiedy gość wyszedł, pan Hong sięgnął po książkę. Choć trudno byłoby ją nazwać prawdziwą książką: kartki papieru związane sznurkiem, a tekst wpisano ręcznie. Hong czytał ją już wiele razy, wciąż jednak go bawiła - autor zdołał pomylić się w tak wielu kwestiach.

Teraz, za każdym razem, gdy kończył stronę, wyrywał ją i czytając następną, starannie składał arkusz w kształt chryzantemy.

- Wielki Mag - powiedział głośno. - W samej rzeczy, bardzo wielki.

* * *

Rincewind się przebudził. Leżał w czystej pościeli i nikt nie mówił niczego w stylu „Przeszukajcie mu kieszenie”, co uznał za obiecujący początek.

Nie otwierał oczu na wypadek, gdyby w pobliżu znalazł się ktoś, kto - widząc, że już nie śpi - postarałby się utrudnić mu życie.

Słyszał dyskusję podstarzałych męskich głosów.

- Pomijacie to, co najważniejsze. Przecież on ciągle jest żywy. Powtarzacie ciągle, jakie miał straszne te przygody, a jednak ciągle żyje.

- O co panu chodzi, nadrektorze? Przecież jest cały w bliznach!

- To właśnie miałem na myśli, dziękuję. A większość blizn ma na plecach. Zostawia kłopoty za sobą. Ktoś tam na górze chyba go lubi.

Rincewind skrzywił się lekko. Od dawna zdawał sobie sprawę, że ktoś tam na górze ma coś do niego. Nigdy by nie podejrzewał, że chodzi o sympatię.

- Nie jest nawet prawdziwym magiem! Na egzaminach nigdy nie przekroczył dwóch procent!

- Chyba się ocknął - powiedział ktoś.

Rincewind poddał się i otworzył oczy. Pochylały się nad nim liczne brodate, mocno rumiane twarze.

- Jak się czujesz, mój drogi? - spytała jedna z nich, a pod nią wysunęła się ręka. - Jestem Ridcully, nadrektor. Jak się czujesz?

- Wszystko źle się skończy - oznajmił spokojnie Rincewind.

- O co ci chodzi, mój drogi?

- Po prostu wiem. Wszystko pójdzie źle. Wydarzy się coś potwornego. Tak właśnie myślałem, że to zbyt piękne, by mogło potrwać dłużej.

- Widzicie? - odezwał się dziekan. - Setki nówek. Mówiłem. Ale czy ktoś mnie słucha?

- Nie próbujcie nawet być dla mnie mili - rzekł Rincewind. - Nie proponujcie winogron. Jeszcze nigdy nikomu nie byłem potrzebny do czegoś przyjemnego.

Przez jego umysł przepłynęły niewyraźne wspomnienia niedawnych wydarzeń i doświadczył ulotnej chwili żalu, że ziemniaki - choć w owej chwili zajmowały poczesne miejsce w jego marzeniach - nie miały podobnej pozycji w myślach tamtej młodej damy. Zaczynał sobie jednak uświadamiać, że nikt, kto tak się ubiera, nie myśli raczej o żadnej z roślin bulwiastych.

- No dobrze. - Westchnął. - Co teraz?

- Jak się czujesz?

Rincewind potrząsnął głową.

- To na nic - stwierdził. - Nie znoszę, kiedy ludzie są dla mnie mili. To znaczy, że zaraz stanie się coś strasznego. Czy mógłby pan krzyknąć?

Ridcully miał już tego dosyć.

- Wstawaj z łóżka, ty paskudny leniuchu! I za mną, bo pożałujesz!

- O, tak już lepiej. Od razu czuję się jak w domu. Teraz przynajmniej wszystko jasne - stwierdził smętnie Rincewind.

Spuścił nogi na podłogę i wstał ostrożnie.

Ridcully zatrzymał się w połowie drogi do drzwi, gdzie ustawili się pozostali magowie.

- Wykładowco?

- Słucham, nadrektorze - odpowiedział wykładowca run współczesnych głosem ociekającym niewinnością.

- Co takiego chowasz za plecami?

- Nie rozumiem, nadrektorze.

- Wygląda mi to na jakieś narzędzie - zauważył Ridcully.

- Ach, to... - Wykładowca run współczesnych zdziwił się, jakby dopiero teraz zauważył trzymany w ręku ośmioletowy młot. - Coś takiego... To chyba młotek, prawda? Zdziwiające. Młotek. Musiałem chyba... skądś go zabrać. Wie pan. Żeby sprzątnąć.

- Trudno też nie zauważyć - mówił dalej Ridcully - że dziekan stara się ukryć topór bojowy.

Coś brzęknęło melodyjnie zza kierownika studiów nieokreślonych.

- A to brzmiało mi jak piła - uznał Ridcully. - Czy jest tu ktoś, kto nie ma przy sobie jakiegoś narzędzia? No tak... U demonów, może ktoś by mi wytłumaczył, co wyprawiacie?

- Ha! Nie ma pan pojęcia, co to takiego - mruknął dziekan, unikając spojrzenia nadrektora. - W tamtych czasach człowiek bał się na pięć minut odwrócić plecami. Mógł usłyszeć tupanie tych przeklętych stóp i...

Ridcully nie zwracał na niego uwagi. Objął chude ramiona Rincewinda i poprowadził go w stronę Głównego Holu.

- Wiesz, Rincewindzie - powiedział - słyszałem, że nie jesteś zbyt dobry w magii.

- To prawda.

- Nigdy nie zdałeś żadnych egzaminów ani nic?

- Obawiam się, że ani jednego.

- Wszyscy jednak nazywają cię magiem Rincewindem.

Rincewind spojrzał na czubki własnych butów.

- No bo... tak jakby pracowałem tutaj, jako niby taki zastępca bibliotekarza...

- Druga mała - wtrącił dziekan.

- ...i wie pan, załatwiałem różne rzeczy i w ogóle tak jakby pomagałem...

- Powiedziałem coś! Czy nikt nie zauważył? Druga mała? Dość zabawne, moim zdaniem.

- Ale tak naprawdę to nigdy nie miałeś uprawnień, by nazywać siebie magiem? - upewnił się Ridcully.

- Formalnie chyba nie.

- Rozumiem. No to mamy problem.

- Mam taki kapelusz z wyszytym słowem „Maggus” - przypomniał z nadzieją Rincewind.

- Obawiam się, że to nie na wiele się zda. Hm... Sytuacja może nam sprawić pewne trudności. Pozwól, że zapytam: jak długo potrafisz wstrzymać oddech?

- Nie wiem. Parę minut. Czy to ważne?

- Owszem, zwłaszcza w kontekście przybicia głową w dół do jednej z podpór Mosiężnego Mostu na okres dwóch przypływów, a następnie ścięcia

głowy. Niestety, to statutowa kara dla kogoś, kto udaje maga. Sprawdziłem. Nikomu nie będzie bardziej przykro niż mnie, mogę cię zapewnić. Ale prawo jest prawem.

- Nie!

- Naprawdę przepraszam. Nie mam wyboru. Inaczej wszędzie roiłoby się od ludzi w spiczastych kapeluszach, do których nie mają żadnego prawa. To straszne. Nic nie mogę poradzić, choćbym chciał. Kodeks mówi, że można zostać magiem, jedynie kończąc w normalny sposób studia na Niewidocznym Uniwersytecie albo spełniając jakąś usługę z wielką korzyścią dla magii, a mam wrażenie...

- Czy nie moglibyście mnie zwyczajnie odesłać na moją wyspę? Podobało mi się tam. Było nudno!

Nadrektor ze smutkiem pokręcił głową.

- Nic z tego, niestety. Wykroczenie było popełniane w sposób ciągły przez wiele lat. A że nie zdałeś żadnego egzaminu, ani nie... - lekko podniósł głos - ...spełniłeś żadnej usługi z wielką korzyścią dla magii, niestety będę musiał polecić pedlom* [przyp.: Woźni NU. Słynni w całym gronie profesorskim z twardości czaszek, tępoty w obliczu rozsądnej argumentacji oraz głębokiego przekonania, że bez nich cała uczelnia by runęła.], żeby przynieśli kawał sznura i...

- Ehm... Wydaje mi się, że kilka razy ocaliłem świat - wtrącił Rincewind. - Czy to coś pomoże?

- Czy ktoś z Niewidocznego Uniwersytetu widział, jak to robisz?

- Nie, raczej nie.

Ridcully pokręcił głową.

- Prawdopodobnie zatem to się nie liczy. Fatalnie. Gdybyś bowiem

SPEŁNIŁ JAKĄŚ USŁUGĘ Z WIELKĄ KORZYŚCIĄ DLA MAGII, wtedy z radością pozwoliłbym ci zatrzymać ten kapelusz, a także coś, na czym mógłbyś go nosić, ma się rozumieć.

Rincewind był załamany. Ridcully westchnął i spróbował jeszcze raz.

- Czyli - rzekł - ponieważ najwyraźniej nie zdałeś egzaminów ani nie SPEŁNIŁEŚ USŁUGI Z WIELKĄ KORZYŚCIĄ DLA MAGII, to...

- Myślę... Mógłbym spróbować spełnić usługę - zaproponował Rincewind z miną człowieka, który wie, że światelko na końcu tunelu to nadjeżdżający pociąg.

- Naprawdę? Hm... to jest jakiś pomysł.

- O jakie usługi chodzi?

- Och, zwykle należy... to tylko przykład, naturalnie... wyruszyć z misją albo znaleźć odpowiedź na bardzo starożytne i ważne pytanie... Co to jest to z nogami?

Rincewind nawet się nie obejrzał. Wyraz twarzy zerkającego przez ramię nadrektora był całkiem znajomy.

- Ach, to - powiedział Rincewind. - Chyba go znam.

* * *

Magia jest inna niż matematyka. Jak całym światem Dysku, rządzi nią raczej zdrowy rozsądek niż logika. Jest też inna niż gotowanie. Ciasto to ciasto: trzeba zmieszać odpowiednie składniki, upiec je w odpowiedniej temperaturze, a ciasto samo się pojawia. Żadna zapiekanka nie wymaga promieni księżycowych. Żaden suflet nigdy nie żądał, żeby mieszała go dziewczica.

Mimo to ci, których natura obdarzyła umysłem badawczym, często się zastanawiali, czy istnieją jakieś reguły magii. Znane jest ponad pięćset różnych zaklęć gwarantujących miłość innej osoby; ich zakres sięga od sztuczek z zarodnikiem paproci o północy, do robienia czegoś raczej nieprzyjemnego z rogiem nosorożca o dowolnej porze, choć prawdopodobnie nie zaraz po posiłku. Czy jest możliwe (zastanawiały się umysły badawcze), że analiza wszystkich tych zaklęć wykryje jakiś niewielki, ale potężny wspólny mianownik, swego rodzaju metazaklęcie, jakieś niewielkie równanie, które doprowadzi do pożądanego celu o wiele prościej? A przy okazji przyniesie wielką ulgę nosorożcom?

By szukać odpowiedzi na takie pytania, zbudowano HEX-a. Co prawda Myślak Stibbons był trochę niepewny co do poprawności użycia w tym kontekście słowa „zbudowano”. On i kilku inteligentnych studentów złożyli HEX-a własnoręcznie, to fakt, ale... no cóż... czasami wydawało się, że jego części - jakkolwiek dziwnie by to brzmiało - po prostu się pojawiają.

Na przykład był całkiem pewien, że nikt nie projektował generatora faz księżyca, ale był tam - najwyraźniej jako element całości. Zbudowali natomiast zegar czasu nierzeczywistego, choć nikt dokładnie nie wiedział, jak działa.

Podejrzewał, że mają tu do czynienia z bardzo specyficznym przypadkiem samokształtującej przyczynowości, zawsze groźnej w takich miejscach jak Niewidoczny Uniwersytet, gdzie rzeczywistość ulegała rozciągnięciu i stawała się bardzo cienka, a zatem podatna na liczne niezwykle podmuchy. Jeśli tak było naprawdę, to właściwie niczego realnie nie budowali. Okrywali tylko fizycznością ideę, która już tam była - cień czegoś czekającego na zaistnienie.

Długo tłumaczył gronu profesorskiemu, że HEX nie myśli. To przecież oczywiste, że myśleć nie może. Jego fragmentem był mechanizm sprężynowy. Dużą część stanowiła wielka farma mrówek (interfejs, gdzie mrówki biegały po małym taśmociągu obracającym pewne ważne kółko zębate, Myślak uważał za maleńkie arcydzieło). Precyzyjnie kierowany bieg mrówek przez labirynt szklanych rurek tworzył najważniejszy element.

Sporo rzeczy też zwyczajnie się... nazbierało - choćby akwarium i dzwonki, które teraz wydawały się niezbędne. Jakaś mysz zbudowała gniazdo w samym środku i chyba stało się elementem instalacji, gdyż HEX zatrzymywał się, kiedy je usuwali. Nic w tym zestawie nie potrafiło myśleć, chyba że w bardzo ograniczonym zakresie - o serze i cukrze. Mimo to... w środku nocy, gdy HEX pracował pełną mocą, a szklane rurki roiły się od maszerujących mrówek, kiedy różne elementy nagle robiły „brzdęk!” bez żadnego dostrzegalnego powodu, a akwarium opuszczało się na stojaku, żeby operator miał na co patrzeć przez długie godziny... Właśnie wtedy człowiek zaczynał się czasem zastanawiać, czym właściwie jest mózg, czym jest myśl, czy rzeczy, które nie są żywe, potrafią myśleć, i czy mózg nie jest jedynie bardziej skomplikowaną wersją HEX-a. A niekiedy, około czwartej nad ranem, gdy elementy mechanizmu sprężynowego nagle zmieniały kierunek ruchu, a mysz piszczała - czy nie jest mniej skomplikowaną wersją HEX-a. I rozważał, czy przypadkiem całość nie tworzyła czegoś, co nie występowało w jej częściach.

Krótko mówiąc, Myślak był trochę niespokojny.

Siedział teraz przy klawiaturze. Była prawie tak duża, jak cała reszta HEX-a, by zmieścić wszystkie niezbędne dźwignie i armaturę. Różne klawisze pozwalały małym kartom z dziurkami spadać na krótko w szczeliny i kierować mrówki na odpowiednie szlaki.

Sporo czasu zajęło mu sformułowanie problemu, ale w końcu zaparł się nogą o konstrukcję i szarpnął dźwignię ENTER.

Mrówki pobiegły nowymi ścieżkami. Zakreśliły się kółka. Nieduży mechanizm, co do którego Myślak gotów był przysiąc, że jeszcze wczoraj go tu nie widział, a który wyglądał jak aparat do pomiaru szybkości wiatru, zawirował szybko.

Po paru minutach do tacy wyjściowej spadło kilka klocków z symbolami okultystycznymi.

- Dziękuję - powiedział Myślak i natychmiast poczuł się głupio z tego

powodu.

W urzędzeniu wyczuwało się napięcie, wrażenie bezgłośnego wysiłku, dążenia do jakiegoś odległego, niepojętego celu. Jako mag, Myślak zaobserwował podobne zjawisko jedynie u żółędzi: cieniutki, niesłyszalny głosik wołający: Tak, jestem tylko małym, zielonym, prostym obiektem... ale śnię o puszczech.

Ledwie parę dni temu Adrian Rzepiszcz wpisał „Dlaczego?”, żeby sprawdzić, co się stanie. Niektórzy studenci przewidywali, że HEX zwariuje, próbując odpowiedzieć. Myślak spodziewał się raczej, że HEX odpowie: „?????”, co czynił z irytującą częstotliwością.

Zamiast tego, po okresie niezwyklej ruchliwości mrówek, HEX wypisał: „Dlatego”.

Wszyscy przyglądali się zza pospiesznie przewróconego biurka, jak Rzepiszcz wpisuje: „Dlaczego cokolwiek?”.

Odpowiedź pojawiła się w końcu: „Dlatego Że Wszystko. ????? Błąd Domeny Wieczystej. +++++ Zacznij Z Początku +++++”.

Nikt nie wiedział, gdzie leży Początek, kim jest ów Zacznij, ani dlaczego przysyła stamtąd wiadomości. Ale zrezygnowali z takich pytań - nikt nie chciał ryzykować, że otrzyma odpowiedź.

Wkrótce potem pojawiło się coś podobnego do złamanego parasola ze śledziami na czubku, zaraz za tym czymś podobnym do piłki plażowej, która co czternaście minut robi „ping!”.

Oczywiście, księgi magiczne uzyskiwały pewnego rodzaju... osobowość pochodzącą z całej tej mocy zawartej na ich kartach. Dlatego właśnie nierozsądnie jest bez kija wchodzić do uniwersyteckiej biblioteki. A teraz Myślak pomógł zbudować maszynę do studiowania magii. Magowie od dawna wiedzieli, że akt obserwacji zmienia przedmiot obserwowany, ale czasami zapominali, że zmienia też obserwatora.

Myślak zaczynał podejrzewać, że HEX sam się przebudowuje.

A przed chwilą mu podziękował. Czemuś, co wyglądało na dzieło dręczonego czkawką dmuchacza szkła.

Spojrzał na otrzymane zakłęcie, zapisał je szybko i wybiegł.

HEX klikał jeszcze chwilę do siebie w pustej już teraz sali. Rzecz, która robiła „ping!”, robiła „ping!”. Zegar czasu nierzeczywistego tykał w bok.

Coś zagrzechotało w szczelinie wyjściowej.

„Nie Ma O Czym Mówić. ++ ????? ++ Błąd: Brak Sera. Zaczynij Z Początku”.

* * *

Minęło pięć minut.

- Fascynujące - stwierdził Ridcully. - Myśląca grusza, tak?

Przyklęknął, usiłując zajrzeć pod spód.

Bagaż cofnął się trochę. Był przyzwyczajony do grozy, terroru, przerażenia i paniki.

Nadrektor wstał i otrząpał kolana.

- Oho - powiedział, widząc zbliżającą się niewysoką postać. - Jest już ogrodnik z drabiną. Dziekan wisi na żyrandolu, Modo.

- Zapewniam, że jest mi tu całkiem wygodnie - odezwał się głos z okolic sufitu. - Może ktoś zechciałby podać moją herbatę?

- Byłem zdumiony, gdy pierwszy prymus zdołał jednak zmieścić się do kredensu - dodał Ridcully. - To niezwykle, jak człowiek potrafi się złożyć.

- Ja tylko... sprawdzałem srebra - odpowiedział mu głos z głębin kredensu.

Bagaż uchylił wieko. Kilku magów odskoczyło gwałtownie.

Ridcully obejrzał zęby rekina powbijane tu i ówdzie w drewno.

- Zabija rekiny, mówiłeś?

- Tak - potwierdził Rincewind. - Czasami wyciąga je na brzeg i skacze po nich.

Ridcully był pod wrażeniem. W krainach pomiędzy Ramtopami, a Morzem Okrągłym myśląca grusza występuje niezwykle rzadko. Prawdopodobnie nie przetrwało już ani jedno żywe drzewo. Kilku magów miało szczęście i odziedziczyło laski z myślącej gruszy.

Ekonomika emocji należała do mocnych punktów osobowości Ridcully'ego. Był pod wrażeniem. Był zafascynowany. Był nawet trochę wstrząśnięty, kiedy to coś wylądowało w środku grupy magów i wywołało zadziwiające zjawisko pionowej akceleracji dziekana. Ale nie był przestraszony, ponieważ brakowało mu wyobraźni.

- Wielkie nieba! - odezwał się jakiś mag.

Nadrektor uniósł głowę.

- Tak, kwestorze?

- To ta książka, Mustrum, którą pożyczył mi dziekan. O małpach.

- Doprawdy?

- Jest wręcz fascynująca - zapewnił kwestor, obecnie w środkowej części swego cyklu psychicznego, a zatem mniej więcej na właściwej planecie, choćby i odizolowany pięcioma milami umysłowej waty. - To prawda, co mówił. Piszą tutaj, że dorosły samiec orangutana nie ma żadnych tworów skórnych, chyba że jest samcem dominującym.

- I to jest takie fascynujące?

- No tak, bo przecież on ich nie ma. Zastanawiam się dlaczego. Trudno chyba zaprzeczyć, że dominuje w bibliotece.

- Rzeczywiście - zgodził się pierwszy prymus - ale wie też, że jest magiem. A w takim razie nie dominuje w całym uniwersytecie.

Każdy mag, gdy już wypowiedź trafiła mu do wyobraźni, spoglądał z uśmiechem na nadrektora.

- Przestańcie się tak gapić na moje policzki! - krzyknął Ridcully. - Ja nad nikim nie dominuję!

- Ja tylko...

- Więc lepiej się zaniknijcie, bo będą kłopoty!

- Powinieneś przeczytać - poradził kwestor, wciąż przebywający w szczęśliwej dolinie pigulek z suszonej żaby. - To niezwykle, czego można się z niej dowiedzieć.

- Co takiego? - zainteresował się dziekan.

- Na przykład... jak pokazywać ludziom pośladki?

- Nie, dziekanie - poprawił go pierwszy prymus. - To robią pawiany.

- Przepraszam bardzo, ale chyba raczej gibony - zauważył kierownik studiów nieokreślonych.

- Nie. Gibony to te, co wrzeszczą. Jeśli ktoś chce zobaczyć pośladki, powinien szukać pawianów.

- Mnie nigdy nie pokazywał - stwierdził nadrektor.

- No nie, tego by nie zrobił - uznał głos z kandelabru. - W końcu jest pan dominującym samcem i w ogóle.

- Dziekanie, złaż tu natychmiast!

- Chyba się zaplątałem, Mustrum. Świeca mnie trzyma.

- Ha!

Rincewind pokręcił głową i odszedł. Z pewnością zaszły tu spore zmiany od czasu, kiedy ostatni raz przebywał na Niewidocznym Uniwersytecie. A skoro już o tym mowa, nie był pewien, jak dawno to było.

Nigdy nie prosił o ekscytujące życie. Tym, co naprawdę lubił, czego przy każdej okazji poszukiwał, była nuda. Kłopot z nudą jednak polegał na tym, że miała tendencję do wybuchania człowiekowi w twarz. Kiedy już wierzył, że ją osiągnął, nagle zostawał wmieszany w coś, co inni - bezmyślne, nieodpowiedzialne osoby - nazwaliby pewnie przygodą. Rincewind musiał wtedy odwiedzać dalekie krainy i spotykać barwnych ludzi, choć nie na długo, bo zwykle wtedy uciekał. Widział kreacje wszechświata, choć nie miał wtedy najlepszego miejsca, odwiedził piekło i tamten świat. Bywał chwytyany, więziony, ratowany, gubiony i wyrzucany na brzeg, czasami wszystko to jednego dnia.

Przygoda! Ludzie mówili o niej, jakby była czymś wartym wysiłku, a nie mieszaniną marnego jedzenia, niewyspania i dziwnych osób, z niewyjaśnionych powodów próbujących wbijać w kawałki Rincewinda różne ostre przedmioty.

Sądził, że jego zasadniczym problemem jest fakt, że cierpiał z powodu karmy wyprzedzającej. Jeśli się choćby zapowiadało, że coś miłego zdarzy

mu się w bliskiej przyszłości, coś złego musiało się zdarzyć już teraz. I działało się aż do chwili, kiedy to dobre powinno już nastąpić, więc tak naprawdę nigdy go nie doświadczał. Całkiem jakby jeszcze przed posiłkiem dostawał z przejedzenia ataku niestrawności tak straszliwej, że nigdy nie udawało mu się potem nic zjeść.

Gdzieś na świecie, jak podejrzewał, żył człowiek siedzący na drugim końcu huśtawki, ktoś w rodzaju lustrzanego Rincewinda, którego życie składało się z samych cudownych wydarzeń. Miał nadzieję, że spotka kiedyś tego człowieka, najlepiej trzymając w ręku solidny kij.

Teraz ci tutaj paplali o wysłaniu go na Kontynent Przeciwwagi. Słyszał, że życie tam jest nudne... a nade wszystko pragnął nudy.

Naprawdę podobało mu się na wyspie. Lubił Kokosowe Niespodzianki. Rozbijał orzech kokosowy, a tam w środku - coś podobnego! - był kokos. Takie niespodzianki odpowiadały mu najbardziej.

Otworzył drzwi.

Pomieszczenie za nimi było kiedyś jego pokojem. Panował tu straszny bałagan. Pod ścianą stała duża, odrapana komoda, i to właściwie wszystko, jeśli chodzi o prawdziwe meble. Chyba że ktoś chciałby poszerzyć znaczenie tego słowa tak, by obejmowało wiklinowy fotel bez siedzenia i na trzech nogach, i materac, tak pełen życia zamieszkującego zwykle materace, że czasami przesunął się wolno po podłodze i zderzał z innymi przedmiotami. Pozostałą część zajmowały rozmaite śmieci ściągnięte tutaj z ulicy: stare skrzynki, kawałki desek, worki...

Rincewind poczuł nagły ucisk w krtani. Niczego tu nie zmienili od dnia, kiedy stąd odszedł.

Otworzył komodę i szperał w nawiedzanej przez mole ciemności, aż jego poszukująca dłoń natrafiła na...

...ucho...

...umocowane do krasnoluda.

- Au!

- Co robisz w mojej komodzie? - zapytał Rincewind.

- Komoda? Zaraz... Jak to? To nie jest magiczne Królestwo Radosności?
- zdumiał się krasnolud, starając się nie okazywać zakłopotania.

- Nie, a te buty, które trzymasz, nie są złotymi klejnotami królowej wrózek - odparł Rincewind, wyrywając je złodziejowi. - To nie jest różdżka niewidzialności ani cudowne skarpety wielkiego Zrędonosa, ale to jest mój but...

- Au!

- I trzymaj się z daleka od mojego pokoju!

Krasnolud podbiegł do drzwi i zatrzymał się, choć tylko na moment. Akurat tyle, żeby krzyknąć:

- Mam kartę Gildii Złodziei! I nie powinieneś bić krasnoludów! To gatunkizm!

- I dobrze - odparł Rincewind, wydając dalsze elementy ubrania.

Znalazł zapasową szatę i włożył ją na siebie. Tu i tam mole ćwiczyły na niej sztukę koronkarstwa, a większa część czerwonego koloru wyblakła do odcieni brązu i pomarańcza, ale z ulgą się przekonał, że wciąż jest odpowiednia dla maga. Trudno być imponującym użytkownikiem magii z gołymi kolanami.

Lekkie kroki zabrzmiały mu za plecami i ucichły. Odwrócił się.

- Otwórz.

Bagaż posłusznie uchylił wieko. W teorii powinien być pełen rekina; w rzeczywistości zawierał same orzechy kokosowe. Rincewind wyrzucił je na podłogę i włożył do kufra resztę swoich rzeczy.

- Zamknij.

Wieko się zatrzasnęło.

- A teraz idź do kuchni i przynieś mi ziemniaków.

Kufer wykonał skomplikowany wielonożny zwrot i podreptał na korytarz. Rincewind ruszył za nim, ale skierował się do gabinetu nadrektora. Za sobą słyszał kłócących się wciąż magów.

Przez długie lata na Niewidocznym Uniwersytecie zdążył dobrze poznać ten gabinet. Na ogół bywał tutaj, by odpowiedzieć na trudne pytania typu: „Jak ktokolwiek może dostać negatywną ocenę z podstaw ogniotwórstwa?”. Długie i ciężkie chwile spędzał wpatrzony w instalacje, a ludzie prawili mu kazania.

W gabinecie także nastąpiły zmiany. Zniknęły alembiki i bulgoczące kolby, tradycyjne rekwizyty magii. Poczesne miejsce zajmował pełnowymiarowy stół bilardowy, na którym nadrektor składał papiery, aż nie było już miejsca na kolejne i nigdzie nawet nie prześwitywało zielone sukno. Ridcully zakładał, że coś, o czym ludzie mieli czas napisać, nie może być ważne.

Ze ścian patrzyły na Rincewinda wypchane głowy licznych zaskoczonych zwierząt. Z rogów któregoś z jeleni wisały przeżarte buty, w których Ridcully w młodości zwyciężył z drużyną uniwersytecką w zawodach wioślarskich* [przyp.: Z wyjątkiem stanu powodziowego niezwykle trudno jest przemieszczać się po Ankh. Wioślarskie zespoły uniwersyteckie współzawodniczą, biegając po powierzchni rzeki. Jest to na ogół całkiem bezpieczne, pod warunkiem że sportowcy nie stoją zbyt długo w jednym miejscu. I oczywiście przeżera to podeszwy ich butów.].

W kącie stał wielki model Dysku na czterech drewnianych słoniach. Rincewind dobrze go znał. Jak każdy student...

Kontynent Przeciwwagi był niewyraźną plamą, plamą w niezbyt zachęcającym kształcie przecinka. Marynarze przywozili o nim wieści. Twierdzili, że na jednym z końców rozsypany jest łańcuch sporych wysp ciągnący się wzdłuż Krawędzi, aż do jeszcze bardziej tajemniczej Bhangbhangduc i całkowicie mitycznego lądu na mapach oznaczanego tylko jako XXXX.

Niewielu żeglarzy wyruszało w pobliże Kontynentu Przeciwwagi. Wiadomo było, że Imperium Agatejskie przymyka oko na niewielki przemysł - zapewne Ankh-Morpork miało coś, co uznawali za przydatne. Ale niczego nie ogłoszono oficjalnie; statek mógł powrócić wyładowany jedwabiem i rzadkimi gatunkami drewna, a ostatnio także przerażonymi uchodźcami, albo mógł powrócić z kapitanem przybitym głową w dół do masztu. Mógł też wcale nie powrócić.

Rincewind bywał już prawie wszędzie, ale Kontynent Przeciwwagi był ziemią nieznaną, *terror incognito*. Na co mogą potrzebować maga?

Westchnął. Wiedział, co powinien teraz zrobić.

Nie powinien nawet czekać na powrót Bagażu z jego wyprawy do kuchni. Dochodzące stamtąd wrzaski i odgłos czegoś wielokrotnie uderzanego ciężką miedzianą patelnią sugerowały, że stara się wypełnić misję.

Powinien zebrać to, co zdoła udźwignąć, i wynieść się stąd jak najszybciej. Powinien...

- Ach, Rincewind - odezwał się nadrektor, który jak na tak potężnego mężczyznę miał zdumiewająco cichy chód. - Widzę, że nie możesz się już doczekać wyjazdu.

- Rzeczywiście - potwierdził Rincewind. - O tak. Jak najbardziej.

* * *

Kadra Czerwonej Armii spotkała się na potajemnej sesji. Zebranie rozpoczęli od odśpiewania kilku rewolucyjnych pieśni, ale że komuś o agatejskim charakterze nieposłuszeństwo wobec władz nie przychodzi łatwo, miały one tytuły takie jak: „Ciągły postęp i ograniczone nieposłuszeństwo przy zachowaniu ściśle określonych dobrych manier”.

Potem nadeszła pora na przekazanie wieści.

- Wielki Mag przybędzie. Wysłaliśmy wiadomość, mimo ogromnego ryzyka.

- Skąd będziemy wiedzieli, kiedy przybędzie?

- Jeśli jest Wielkim Magiem, usłyszymy o tym. A wtedy...

- Delikatnie odepchniemy siły represji! - krzyknęli chórem.

Dwa Ogniste Zioła przyjrzał się pozostałym członkom kadry.

- Właśnie - zgodził się. - A potem, towarzysze, musimy uderzyć w samo serce zgnilizny. Musimy ruszyć do szturm na Pałac Zimowy!

Kadra zamilkła.

- Przepraszam, Dwa Ogniste Zioła - odezwał się ktoś po chwili. - Przecież mamy czerwiec.

- W takim razie uderzymy na Pałac Letni!

* * *

Podobna sesja, choć bez śpiewów i ze starszymi uczestnikami, odbywała się na Niewidocznym Uniwersytecie. Niestety, jeden z członków senatu uczelni odmówił zejścia z kandelabru, co mocno zirytowało bibliotekarza, który zwykle zajmował to miejsce.

- No dobrze, jeśli nie wierzycie moim obliczeniom, to jaki mamy wybór? - pytał rozgorączkowany Myślak.

- Statek? - zaproponował kierownik Katedry Studiów Nieokreślonych.

- One toną - przypomniał Rincewind.

- Dopłyniesz na miejsce, zanim się obejrzysz - uspokoił go pierwszy prymas. - W końcu jesteśmy magami. Możemy cię wyposażać we własny zestaw wiatrów.

- Tak. Dziekana na rufę - wtrącił uprzejmie Ridcully.

- Słyszałem! - zawołał głos z góry.

- Trasa lądowa - stwierdził wykładowca run współczesnych. - Wokół Osi. Prawie cały czas po lodzie.

- Nie - rzekł krótko Rincewind.

- Przecież na lodzie się nie tonie.

- Nie. Człowiek przewraca się i potem tonie. A potem lód wali go w głowę. I jeszcze są orki, i te wielkie foki z taaakimi zębiskami.

- To jak ze ściany, wiem - oświadczył radośnie kwestor.

- Co takiego? - zdziwił się wykładowca run współczesnych.

- Haczyk do wieszania obrazów.

Przez chwilę trwała krępująca cisza.

- Wielcy bogowie, już tak późno? - wystraszył się nadrektor, spoglądając na zegarek. - Rzeczywiście. Masz buteleczkę w lewej kieszeni, przyjacielu. Weź trzy.

- Nie, magia to jedyny sposób - upierał się Myślak Stibbons. - Działała, kiedy go tu sprowadziliśmy, prawda?

- No pewnie - mruknął ponuro Rincewind. - Posyłacie mnie tysiące mil stąd, w takim pośpiechu, że chyba portki mi się zapalą, a nie wiecie nawet, gdzie wyląduję? Tak, to idealna metoda. Jasne.

- No to świetnie. - Ridcully był odporny na ironię. - To wielki kontynent. Nie możemy przecież chybić, nawet korzystając z precyzyjnych rachunków pana Stibbonsa.

- A jeśli skończę zmiażdżony we wnętrzu góry?

- Niemożliwe. Kiedy rzucimy zaklęcie, skała zostanie przeniesiona tutaj - wyjaśnił Myślak, który nie lubił żartów ze swoich zdolności matematycznych.

- Czyli będę tkwił w samym środku góry w mojąkształtnej dziurze - stwierdził Rincewind. - Doskonale. Natychmiastowa skamielina.

- Nie martw się - pocieszył go Ridcully. - To tylko kwestia tej... gie... coś tam... No wiesz, tej historii o trzech kątach prostych tworzących trójkąt...

- Czy ma pan może na myśli geometrię? - upewnił się Rincewind, zerkając w stronę drzwi.

- Coś w tym rodzaju, rzeczywiście. I będziesz miał ze sobą tego swojego bagażowego stwora. Praktycznie rzecz biorąc, to tak jakbyś jechał na wakacje. Prosta sprawa. Oni prawdopodobnie chcą tylko, no... no... zapytać cię o coś albo co. Słyszałem też, że masz talent do języków* [przyp.:

Przynajmniej to było prawdą. Rincewind umiał wołać o litość w dziewiętnastu językach i po prostu wrzeszczeć* [przyp.: To ważne. Niedoświadczeni podróżnicy mogą przypuszczać, że „Aargh!” jest wyrażeniem uniwersalnym, jednak w beTrobi oznacza to „Wielce radosne”, w Howondalandzie natomiast rozmaicie: albo „Chciałbym zjeść twoją stopę”, albo „Twoja żona jest wielkim hipopotamem”, albo też „Witam, myśli pan Fioletowy Kot”. Pewne plemię zyskało przerażającą reputację okrutników tylko dlatego, że jeńcy krzyczą - ich zdaniem - ”Szybko! Dolać wrzącego oleju!”.] w kolejnych czterdziestu czterech.], więc nie przewiduję żadnych problemów. Nie sądzę, żebyś tam został na dłużej niż kilka godzin. Dlaczego stale mruczysz pod nosem „akurat”?

- Mruczałem?

- I kiedy wrócisz, wszyscy będą ci bardzo wdzięczni.

Rincewind spojrzał wokół siebie - w jednym przypadku w górę - na członków senatu.

- A jak wrócę? - zapytał.

- W taki sam sposób. Znajdziemy cię i sprowadzimy tutaj. Z chirurgiczną precyzją.

Rincewind jęknął. Wiedział, co w Ankh-Morpork oznacza chirurgiczna precyzja. Oznaczała: „co do cala czy dwóch, przy akompaniamencie głośnych wrzasków, a potem gorąca smoła w miejsce, gdzie pacjent niedawno miał nogę”. Ale... gdyby na moment zapomnieć o absolutnej pewności, że coś na pewno pójdzie przerażająco fatalnie, cały plan wydawał się niezawodny. Niestety, zawód maga łączył się z pomysłowością - także w wyszukiwaniu słabych punktów.

- I wrócę potem do mojej dawnej pracy?

- Oczywiście.

- I będę mógł oficjalnie nazywać siebie magiem?
- Naturalnie. Niezależnie od pisowni.
- I nigdy nie będę musiał stąd wyjeżdżać, dopóki żyję?
- Zgoda. Jeśli chcesz, możemy nawet zakazać ci opuszczania terenu.
- I dostanę nowy kapelusz?
- Co?
- Nowy kapelusz. Ten ma już właściwie dosyć.
- Dwa nowe kapelusze.
- Cekiny?
- Bez wątpienia. I jeszcze te, no wiesz, takie jak w szklanych kandelabrach. Całe mnóstwo wokół całego ronda. Ile tylko zechcesz. A Magggusa napiszemy przez trzy g.

Rincewind westchnął.

- No dobrze. Zrobię to.

* * *

Geniusz Myślaka natrafiał na poważne trudności, gdy przychodziło tłumaczyć coś innym. Tak jak w tej właśnie chwili, gdy wszyscy magowie zgromadzili się, by dokonać poważnych czarów.

- Tak, ale widzi pan, nadrektorze, posyłamy go na przeciwną stronę Dysku, więc...

Ridcully westchnął.

- On wiruje, prawda? I wszyscy poruszamy się w tym samym kierunku. To przecież rozsądne. Gdyby ludzie poruszali się w drugą stronę tylko dlatego, że są na Kontynencie Przeciwwagi, zderzalibyśmy się z nimi raz w roku. To znaczy dwa razy.

- Tak tak. Wirują w tę samą stronę, oczywiście, ale kierunek ruchu jest przeciwny. Czyli... - Myślak przeszedł na logikę. - Musi pan pamiętać o wektorach, to znaczy... znaczy, powinien pan sobie wyobrazić, w jakim kierunku by się poruszali, gdyby nie było Dysku.

Magowie przyglądali mu się niepewnie.

- W dół - oświadczył Ridcully.

- Ależ nie. Wcale nie, nadrektorze. Nie spadliby w dół, bo nie byłoby niczego, co by ich na dół ściągało. Oni...

- Nie potrzeba niczego, co by ściągało w dół. Dół to tam, gdzie się spada, jeśli nic człowieka nie przytrzyma u góry.

- Oni poruszaliby się nadal w tym samym kierunku! - krzyknął Myślak.

- Zgadza się. Dookoła. W kółko. - Ridcully zatarł ręce. - Musisz dobrze się trzymać, mój chłopcze, jeśli chcesz zostać magiem. Jak nam idzie, wykładowco?

- Ja... coś tam widzę - poinformował wykładowca run współczesnych, zezując w kryształową kulę. - Mam silne zakłócenia...

Magowie zebrali się wokół niego. Kryształ wypełniały białe plamki. Wśród nich tkwiły jakieś ledwie widoczne sylwetki. Niektóre mogły być ludzkie.

- Bardzo spokojna okolica, Imperium Agatejskie - stwierdził Ridcully. -

Wyjątkowo spokojna. Bardzo kulturalni ludzie. Uprzedzająco grzeczni.

- Niby tak - zgodził się wykładowca run współczesnych. - To dlatego, jak słyszałem, że ci, co nie są cisi i spokojni, miewają obcięte ważne kawałki. Słyszałem też, że w Imperium Agatejskim mają tyrański system rządów i że uciskają obywateli.

- Cóż to za forma rządów? - zdziwił się Myślak Stibbons.

- Tautologiczna - odpowiedział mu z góry dziekan.

- Jak ważne są te kawałki? - chciał wiedzieć Rincewind.

Nie zwracali na niego uwagi.

- Słyszałem, że złoto jest tam całkiem pospolite - oznajmił dziekan. - Leży wszędzie jak piasek. Tak mówią. Rincewind mógłby przywieźć choć worek.

- Wolałbym raczej przywieźć wszystkie kawałki siebie.

W końcu, pomyślał, tylko ja trafię w sam środek tego wszystkiego. Proszę więc nie sprawiać sobie kłopotu słuchaniem mnie.

- Możesz usunąć to zamglenie? - spytał nadrektor.

- Przykro mi...

- Te kawałki... chodzi o duże kawałki czy małe kawałki? - dopytywał się bez skutku Rincewind.

- Proszę nam tylko znaleźć otwartą przestrzeń z czymś mniej więcej odpowiednich rozmiarów i wagi.

- Trudno jest...

- Bardzo poważne kawałki? Czy chodzi tu o kawałki kategorii rąk i nóg?
- Podobno jest tam wyjątkowo nudno. Ich najcięższe przekleństwo brzmi: „Obyś żył w ciekawych czasach”.
- Mam coś takiego... Bardzo zamglone. Przypomina taczki albo co. Chyba jest całkiem małe.
- Czy może palce, uszy i takie rzeczy?
- Dobrze, zaczynamy - zdecydował Ridcully.
- Ehm... Myślę, że pomogłoby, gdyby Rincewind był trochę cięższy od tego, co przesuniemy tutaj - oświadczył Myślak. - Wtedy dotrze do celu z niewielką prędkością. Sądzę...
- Tak, tak. Bardzo dziękuję, panie Stibbons, ale teraz niech pan stanie w kręgu i pokaże, jak iskrzy ta pańska laska. Zuch chłopak.
- Paznokcie? Włosy?
- Rincewind pociągnął za rękaw Stibbonsa, który wydawał się nieco bardziej rozsądny niż pozostali.
- Przepraszam... co mam teraz zrobić?
- Hm... jakieś sześć tysięcy mil. Mam nadzieję.
- Ale... chodzi o to... może mi pan coś doradzi?

Myślak zastanowił się, jak to wyrazić. Myślał tak: Zrobiłem z HEX-em, co mogłem, ale sam transport zostanie zrealizowany przez bandę magów, którzy procedurę eksperymentalną rozumieją tak, że trzeba coś rzucić, a potem usiąść i kłócić się, gdzie spadnie. Chcemy zmienić twoją pozycję z tym czymś oddalonym o sześć tysięcy mil, co - niezależnie od wyobrażeń nadrektora - sunie w przestrzeni w przeciwnym kierunku. Kluczem jest

precyzja. Nie warto nawet używać żadnego ze starych zaklęć podróżnych. Rozleci się w połowie drogi, a ty razem z nim. Jestem właściwie pewny, że dostarczymy cię na miejsce w jednym, najwyżej w dwóch kawałkach. Ale nie mamy sposobu zmierzenia ciężaru tego obiektu, który zamieniamy na ciebie. Jeśli waży mniej więcej tyle samo co ty, wszystko może się udać, o ile nie przeszkadza ci krótki bieg w miejscu lądowania. Ale jeśli to coś jest o wiele cięższe, podejrzewam, że zjawisz się nad miejscem przeznaczenia z szybkością osiąganą normalnie - i to w sposób ostateczny - jedynie przez lunatyków w wioskach nad przepaściami.

- Ehm - powiedział. - Bój się. Bardzo się bój.

- Ach, to - odetchnął Rincewind. - Żaden problem. W tym jestem świetny.

- Próbujemy przenieść pana w środek kontynentu, gdzie podobno leży Hunghung.

- Stolica?

- Tak. I jeszcze... - Myślak poczuł wyrzuty sumienia. - Proszę pamiętać, cokolwiek się zdarzy, jestem przekonany, że dotrze pan na miejsce żywy. To więcej, niż gdybym im zostawił całą sprawę. I jestem prawie pewien, że wyląduje pan na właściwym kontynencie.

- Cieszę się.

- Chodźmy już, panie Stibbons! - zawołał Ridcully. - Nie możemy się już doczekać, aż nam pan powie, jak należy to zrobić.

- No tak. Właśnie. Już. Teraz pan, panie Rincewind. Zechce pan stanąć na środku ośmiokąta... dziękuję. Hm. Widzicie, panowie, zasadniczym problemem teleportacji na duże odległości była zasada nieoznaczoności Heisenberga* [przyp.: Nazwana tak od maga, Sangrita Heisenberga, a nie od tego sławniejszego Heisenberga, znanego z wynalezienia możliwe że najlepszego piwa na świecie.], ponieważ obiekt teleportowany... to odtele ,

„widzę” *iparte* , „iść”, całość oznacza więc: „widzę, że poszedł”... Tego... Obiekt teleportowany, niezależnie od swej wielkości, zostaje zredukowany do cząstki thaumicznej, a zatem jest przedmiotem fatalnej w rezultacie dychotomii: może wiedzieć albo czym jest, albo dokąd zmierza, ale nie może wiedzieć jednego i drugiego równocześnie. Napięcie, jakie to zjawisko wytwarza w polu morficznym, w końcowym rezultacie powoduje dezintegrację obiektu, zmieniając go w losowo ukształtowany obłok, no... rozsmarowany po nawet jedenastu wymiarach. Ale jestem pewien, że wszyscy to wiecie.

Rozległo się ciche chrapanie kierownika Katedry Studiów Nieokreślonych, który nagle zaczął prowadzić wykład w sali 3B.

Rincewind się uśmiechał. A w każdym razie wargi miał rozciągnięte i ukazywał zęby.

- Przepraszam bardzo - powiedział. - Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek wspominał o rozsmar...

- Naturalnie - przerwał mu Myślak. - Obiekt, no... nie doświadczy tego realnie...

- Aha.

- ...o ile wiemy...

- Co?

- ...choć jest teoretycznie możliwe, że psyche pozostaje obecna...

- Znaczy jak?

- ...by przez moment obserwować wybuchową dekorporację.

- Zaraz!

- Wszyscy znamy metodę wykorzystania zaklęcia jako osi, znaczy tak, że nie przemieszcza się jednego obiektu, ale po prostu zamienia pozycję dwóch obiektów o zbliżonej masie. Moim celem dzisiaj jest, no, jest wykazanie, że dzięki nadaniu obiektowi...

- Mnie?

- ...odpowiedniego momentu obrotowego i maksymalnej prędkości od samego startu, uzyskujemy praktycznie pewność...

- Praktycznie?

- ...by utrzymać go w całości na dystansach do, hm, do sześciu tysięcy mil...

- Do?

- ...z dokładnością do dziesięciu procent...

- Dziesięciu?

- Jeśli więc... przepraszam, dziekanie, czy mógłby pan przestać kapać woskiem? Jeśli zajmiecie pozycje, które zaznaczyłem na podłodze...

Rincewind spojrzał tęsknie na drzwi. Dla doświadczonego tchórza odległość była doprawdy znikoma. Mógłby zwyczajnie stąd wybiec, a oni... oni by...

Co by zrobili? Mogliby po prostu odebrać mu kapelusz i nie pozwolić, by kiedykolwiek wrócił na Niewidoczny Uniwersytet. Jeśli się chwilę zastanowić, to gdyby za trudno było go znaleźć, pewnie nawet by się nie przejmowali tym przybijaniem do mostu.

I na tym polegał problem. Nie zginąłby, ale też nie byłby magiem. A przecież, myślał, podczas gdy magowie dreptali na swoje miejsca i przykręcali gałki na czubkach lasek, nie uważać siebie za maga to jakby

umrzeć.

Rozpoczęło się zaklęcie.

Szewc Rincewind? Żebrak Rincewind? Złodziej Rincewind? Właściwie wszystko oprócz trupa Rincewinda wymagało szkolenia lub zdolności, których nie posiadał.

Nie nadawał się do niczego innego. Magia była jedyną ucieczką. Właściwie w magii też sobie nie radził, ale przynajmniej nie radził sobie definitywnie. Zawsze uważał, że ma prawo do roli maga w taki sam sposób, jak zero do roli liczby. Nie można zajmować się poważną matematyką bez zera, które właściwie nie jest żadną liczbą, ale gdyby je zabrać, mnóstwo większych liczb zostałoby w bardzo głupiej sytuacji. Ta niejasna myśl rozgrzewała go w czasie tych okazjonalnych przebudzeń około trzeciej nad ranem, kiedy oceniał swoje życie i stwierdzał, że waży mniej niż obłoczek ciepłego wodoru. Owszem, prawdopodobnie rzeczywiście kilka razy ocalił świat, ale na ogół działo się to przypadkiem, kiedy starał się robić coś innego. I prawie na pewno nie uzyskał za to żadnych punktów karmicznych. Takie rzeczy liczyły się chyba tylko wtedy, kiedy człowiek przystępował do nich, myśląc, najlepiej głośno: „Tam u licha, demonicznie odpowiednia chwila, żeby ocalić świat, i nie ma co się zastanawiać”, a nie: „O szlag, tym razem naprawdę chyba zginę!”.

Zaklęcie się rozwijało.

I chyba rozwijało się nie najlepiej.

- No dalej, chłopcy! - zawołał Ridcully. - Przyłóżcie się trochę! - Jesteście pewni, że to... to... to tylko coś małego? - upewnił się zlany potem dziekan.

- Wygląda jak... taczki - mruknął wykładowca run współczesnych.

Gałka na czubku łaski nadrektora zaczęła dymić.

- Patrzcie tylko, jakiej magii ja używam! - krzyknął Ridcully. - Co się dzieje, panie Stibbons?

- Tego... Oczywiście, rozmiar to nie to samo co masa...

I wtedy - tak jak zwykle, kiedy sporego wysiłku wymaga otworzenie zacinających się drzwi, a przewrócenie się jak długi na ich progu idzie już całkiem łatwo - zakłęcie zaskoczyło.

Myślak miał potem nadzieję, że to, co zobaczył, było tylko złudzeniem. Z pewnością nikt normalnie nie rozciąga się nagle na dwanaście stóp wzrostu, a potem nie kurczy do zwykłego kształtu tak szybko, że buty trafiają pod brodę.

Rozległ się jeszcze krótko okrzyk „ooooooooózzzzeeee...”, który urwał się nagle. Prawdopodobnie tym lepiej.

* * *

Jakie wrażenia odnosił Rincewind na Kontynencie Przeciwwagi?

Najpierw - zimno.

Potem kolejno, w porządku określonym przez kierunek lotu: zaskoczony człowiek z mieczem, drugi człowiek z mieczem, trzeci człowiek, który upuścił swój miecz i próbował uciekać, jeszcze dwaj ludzie, którzy byli mniej czujni i w ogóle go nie zauważyli, niewysokie drzewo, jakieś dwadzieścia sążni karłowatych krzewów, zaspą, większa zaspą, parę głazów oraz jeszcze jedna, zdecydowanie ostatnia zaspą.

* * *

- Odleciał. - Ridcully spojrzał na Myślaka Stibbonsa. - Ale czy coś nie powinno zjawić się zamiast niego?

- Nie jestem pewien, czy przeskok jest natychmiastowy.

- Trzeba wziąć pod uwagę czas przelotu przez okultystyczne wymiary?

- Coś w tym rodzaju. Według HEX-a oczekiwanie może trwać do kilku...

Z głośnym puknięciem coś pojawiło się nagle w ośmiokącie - dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej stał Rincewind. I przetoczyło się o parę cali.

Miało cztery nieduże kółka, jak wózek. A raczej nie były to prawdziwe, przyzwoite kółka, tylko dyski - takie, jakie mocuje się do czegoś ciężkiego na nieczęste okazje, kiedy trzeba to coś przesunąć.

Powyżej kółek obiekt stawał się bardziej interesujący.

Miał z boku duży, okrągły cylinder, trochę podobny do beczki. W jego konstrukcję włożono sporo wysiłku; poświęcono znaczną ilość mosiądzu, by upodobnić obiekt do bardzo dużego i grubego psa z otwartym pyskiem. Mniej rzucającą się w oczy cechą był wetknięty z boku kawałek sznurka, który dymił i syczał, ponieważ się palił.

Obiekt nie zachowywał się groźnie. Po prostu tkwił w miejscu, a dymiący sznurek stawał się z wolna coraz krótszy.

Magowie otoczyli przybysza.

- Wygląda na ciężki - stwierdził wykładowca run współczesnych.

- Statua psa z wielkim pyskiem. Nic ciekawego - ocenił kierownik studiów nieokreślonych.

- Pokojowego psa w dodatku - mruknął Ridcully.

- Poświęcili mu sporo pracy - zauważył dziekan. - Nie rozumiem, dlaczego ktoś próbował go podpalić.

Ridcully zajrzał do szerokiej rury.

- Tu jest jakaś duża kula - oznajmił głucho. - Niech ktoś mi poda łaskę albo coś. Sprawdzę, czy uda się ją wydostać.

Myślak wpatrywał się w płonący sznurek.

- Tego... - zaczął niepewnie. - Ja, no... uważam, że powinniśmy się odsunąć, nadrektorze. Właśnie. Trzeba się odsunąć, tak, odsunąć się kawałek.

- Ach tak? Doprawdy? Koniec z procedurą badawczą? - rzucił ironicznie Ridcully. - Nie przeszkadzają panu zabawy z kółkami zębatymi i mrówkami, ale kiedy trzeba naprawdę sprawdzić, jak coś działa i...

- Samemu ubrudzić ręce - odpowiedział wykładowca run współczesnych.

- ...tak, samemu ubrudzić ręce, jakoś się pan wycofuje.

- Nie o to chodzi, nadrektorze - zapewnił Myślak. - Sądzę tylko, że to może być niebezpieczne.

- Chyba ją obluzowałem - oświadczył Ridcully, grzebiąc w otworze rury. - Podejdźcie, panowie, i przechylcie to trochę...

Myślak cofnął się o kilka kroków.

- Ja naprawdę nie myślę...

- Nie myśli pan, tak? Nazywa pan siebie magiem, ale pan nie myśli? A niech to! Łaska mi się zaklinowała! Tak się kończy słuchanie pana, panie Stibbons, kiedy człowiek powinien uważać.

Myślak usłyszał jakieś stuki za sobą. Bibliotekarz, którego zwierzęcy instynkt ostrzegał przed niebezpieczeństwem, a ludzki przed kłopotami, przewrócił stolik i teraz wyglądał zza niego ostrożnie. Na głowę włożył kociołek, a jeden z uchwytych wsunął pod brodę jak pasek hełmu.

- Naprawdę myślę, nadrektorze, że...

- Aha, teraz znowu pan myśli? A kto powiedział, że myślenie należy do pańskich obowiązków? Au! Teraz złapało mi palce, niech to demony!

Myślak zebrał się na odwagę.

- Myślę... że to może być rodzaj fajerwerków, nadrektorze.

Magowie równocześnie spojrzeli na skwierczący sznurek.

- Znaczy... kolorowe światła, gwiazdy i takie rzeczy? - upewnił się Ridcully.

- Możliwe, nadrektorze.

- Musieli planować niezłe pokazy. Najwyraźniej bardzo lubią fajerwerki w tym Imperium Agatejskim. - Ridcully mówił tonem człowieka, do którego bardzo powoli dociera świadomość, że chyba właśnie zrobił coś bardzo nierozsądnego.

- Czy chce pan, żebym zgasił ten sznurek, nadrektorze? - zapytał Myślak.

- Tak, drogi chłopcze. Dlaczegoż by nie? Niezły pomysł. Widzę, że myślisz.

Myślak podszedł i zgasił płomyk palcami.

- Mam nadzieję, że niczego nie zepsuliśmy - mruknął.

* * *

Rincewind otworzył oczy.

To nie była chłodna pościel. Owszem, była biała i była zimna, ale brakowało jej innych zasadniczych cech pościelowatości. Nadrabiała to potężną ilością śnieżystości.

I bruzdą. Długą bruzdą.

Chwileczkę... Pamiętał wrażenie ruchu. Niejasno przypominał też sobie coś małego, ale z wyglądu bardzo ciężkiego, co przeleciało ze świstem w przeciwnym kierunku. A potem był już tutaj; nadleciał z taką prędkością, że stopy pozostawiły w śniegu tę...

...bruzdę. Tak, bruzdę, pomyślał z bez troską kogoś, kto właśnie doznał lekkiego wstrząsu. I tych ludzi, co leżą dookoła i stękają.

Wyglądali jednak na takich, co kiedy tylko przestaną czołgać się w śniegu i stękać, wyjmą miecze, które mieli przy sobie, po czym ze szczególną uwagą zajmą się ważnymi kawałkami.

Wstał nieco chwiejnie. Właściwie nie miał dokąd uciekać. Wokół rozciągała się tylko rozległa, zaśnieżona równina otoczona łańcuchem gór.

Żołnierze stanowczo wyglądali już na bardziej przytomnych. Rincewind westchnął. Kilka godzin temu siedział na rozgrzanej plaży, a młode kobiety miały mu właśnie ofiarować ziemniaki* [przyp.: W tej kwestii wciąż nie miał całkowitej pewności.]. Potem nagle znalazł się na tym wietrznym, chłodnym pustkowiu z grupą potężnych mężczyzn, którzy zaraz ofiarują mu przemoc.

Zauważył, że podeszwy jego butów ciągle parują.

I wtedy ktoś zawołał:

- Ej, ty! Czy jesteś...jesteś tym, no... jakże mu było... Rincewind, tak?

Rincewind obejrzał się.

Za nim stał bardzo stary człowiek. Mimo ostrego wiatru nie miał na sobie nic prócz skórzanej przepaski biodrowej i splątanej brody tak długiej, że przepaska nie była właściwie potrzebna, w każdym razie z punktu widzenia przyzwoitości. Nogi z zimna nabrały sinoniebieskiej barwy, a nos poczerwieniał od wiatru, co dawało mu wygląd ogólnie patriotyczny dla kogoś, kto pochodzi z odpowiedniego kraju. Nosił opaskę na oku, ale o wiele bardziej zwracały uwagę jego zęby. Skrzyły się.

- Nie stój tak i nie gap się jak wielka gapa! Zdejmij ze mnie to draństwo!

Kostki i przeguby skuwały mu ciężkie kajdany; łańcuch prowadził do grupy jednakowo ubranych ludzi, którzy zbici w ciasną grupkę obserwowali Rincewinda ze zgrozą.

- Ha... myślą, że jesteś jakimś demonem - zaśmiał się starzec. - Ale ja tam od razu poznam maga! Ten drań, co tam leży, trzyma klucze. Przykop mu porządnie.

Rincewind zrobił kilka ostrożnych kroków w stronę nieruchomego strażnika i zerwał mu z pasa pęk kluczy.

- Dobrze - pochwalił go staruszek. - Rzuć mi je. A potem gdzieś się schowaj.

- Czemu?

- Bo chyba nie chcesz być cały zachlapany krwią.

- Przecież nie masz żadnej broni i jesteś tylko jeden, a oni mają wielkie miecze i jest ich pięciu!

- Wiem - zgodził się staruszek, z profesjonalną starannością owijając

pięść łańcuchem. - To nierówna walka, ale nie mogę czekać tu przez cały dzień.

Uśmiechnął się.

Klejnoty błysnęły w porannym słońcu. Każdy ząb w szczęcie starca był diamentowy. A Rincewind znał tylko jednego człowieka, który miał dość odwagi, bo nosić zęby trolli.

- Cohen Barbarzyńca? Tutaj?

- Ciii!*Ingconitar* ! A teraz chowaj się, przecież mówiłem. - Błysnął zębami w stronę strażników, którzy powrócili już do pionu. - Chodźcie, chłopaki. W końcu jest was pięciu. A ja mam już swoje lata. Mru-mru, mru-mru, oj, moja noga, ekcetra...

Trzeba przyznać strażnikom, że zawahali się. Sądząc po ich twarzach, raczej nie z powodu tego, że jest coś nagannego w ataku pięciu dobrze zbudowanych i ciężko uzbrojonych mężczyzn na jednego kruchego staruszka. Mogło chodzić o to, że w tym kruchym staruszku było coś niezwykłego - choćby to, jak uśmiechał się mimo nieuchronnej zguby.

- No, chodźcie wreszcie - rzucił Cohen.

Żołnierze zbliżyli się trochę; każdy czekał, aż któryś z kolegów wykona pierwszy ruch.

Cohen podszedł o kilka kroków i ze znużeniem machnął ręką.

- No nie - powiedział. - Wstyd mi się robi, słowo daję. Nie tak się atakuje; nie należy kręcić się dookoła jak banda kręćków. Kiedy kogoś się atakuje, koniecznie trzeba uwzględnić element... zaskoczenia...

Dziesięć sekund później zwrócił się do Rincewinda.

- Już dobrze, panie magu. Możesz otworzyć oczy.

Jeden strażnik wisiał głową w dół na drzewie, inny był tylko parą stóp sterczących ze śniegu, dwóch opierało się bezwładnie o głązy, a ostatni był... ogólnie rzecz biorąc, w pobliżu. Tu i tam. Włóczył się chyba po okolicy, bo wyglądał na rozwłózonego.

Cohen w zadumie ssał własny nadgarstek.

- Temu ostatniemu już naprawdę niewiele brakowało, żeby mnie załatwić - przyznał. - Chyba się starzeję.

- Skąd się tu wziął... - Rincewind urwał nagle. Jeden pakiet ciekawości wyprzedził inny. - A ile właściwie masz lat?

- Czy wciąż mamy Stulecie Nietoperza?

- Tak.

- Och, sam nie wiem. Dziewięćdziesiąt? Może i dziewięćdziesiąt. Albo dziewięćdziesiąt pięć? - Cohen wygrzebał ze śniegu klucze i podszedł do grupy więźniów, jeszcze bardziej przerażonych niż dotąd. Rozpiął pierwsze kajdany i rzucił klucze oszołomionemu mężczyźnie.

- Zjeżdżajcie stąd wszyscy - poradził nie bez życzliwości. - I nie dajcie się więcej złapać.

Wrócił do Rincewinda.

- A ciebie co sprowadza do tej nory?

- No więc...

- To ciekawe - przerwał mu Cohen i tym zamknął temat. - Ale nie mogę tak z tobą gadać przez cały dzień. Mam robotę. Idziesz czy nie?

- Co?

- Jak tam chcesz.

Cohen obwiązał się w pasie łańcuchem i wsunął za niego dwa miecze.

- A przy okazji - powiedział jeszcze. - Co zrobiłeś ze Szczekającym Psem?

- Jakim psem?

- Zresztą to bez znaczenia.

Rincewind powlókł się za odchodzącym starcem. Nie dlatego, że czuł się bezpieczny w pobliżu Cohena Barbarzyńcy. Nikt nie czuł się bezpieczny, kiedy w pobliżu był Cohen Barbarzyńca. Proces starzenia się w jego wypadku przebiegał nietypowo. Cohen zawsze był barbarzyńskim bohaterem, ponieważ barbarzyńskie bohaterstwo to jedyne, co potrafił. A kiedy się zestarzał, zrobił się twardszy, jak dąb.

Lecz był człowiekiem znajomym, a zatem uspokajał. Tyle że znalazł się w niewłaściwym miejscu.

- Po tamtej stronie Ramtopów w moim fachu nie ma już przyszłości - tłumaczył Cohen, kiedy brnęli w śniegu. - Płoty i farmy, płoty i farmy... wszędzie. Zabijesz teraz smoka, a ludzie narzekają. I wiesz co? Wiesz, co mi się przydarzyło?

- Nie. Co się przydarzyło?

- Przyszedł do mnie jakiś gość i powiedział, że moje zęby są obraźliwe dla trolli. I co na to powiesz?

- No, są przecież zrobione z...

- Powiedziałem, że żaden mi się jeszcze nie poskarżył.

- No wiesz, a w ogóle dałeś im sza...

- Powiedziałem: kiedy zobaczę w górach trolla w naszyjniku z ludzkich czaszek, życzę mu powodzenia. Krzemowa Liga Antydefamacyjna... Mogą mnie pocałować. I wszędzie to samo. Pomyślałem, że spróbuję szczęścia po drugiej stronie czapy lodowej.

- Czy to nie jest niebezpieczne, taka wędrówka obok Osi?

- Kiedyś była. - Cohen uśmiechnął się przerażająco.

- Dopóki nie opuściłeś tamtych terenów, znaczy?

- Zgadza się. A ty ciągle masz tę skrzynię na nogach?

- Pojawia się i znika. Ale na ogół kręci się w pobliżu. Wiesz, jak jest.

Cohen zachichotał.

- Pewnego dnia wyrwę paskudztwu to przekłete wieko, zapamiętaj moje słowa. O, są konie.

Było ich pięć, wszystkie w niewielkiej depresji - psychicznej i geograficznej.

Rincewind obejrzał się na uwolnionych więźniów, którzy kręcili się dookoła bez wyraźnego celu.

- Nie weźmiemy chyba wszystkich pięciu koni? - zapytał.

- Weźmiemy. Mogą nam się przydać.

- Ale... jeden dla mnie, jeden dla ciebie... Na co nam reszta?

- Na obiad, kolację i śniadanie?

- To trochę... nieuczciwe. Ci ludzie wyglądają na nieco... oszołomionych.

Cohen parsknął lekceważąco z miną człowieka, który nigdy nie był naprawdę uwięziony, choćby nawet siedział w więzieniu.

- Uwolniłem ich - rzekł. - Po raz pierwszy w życiu są wolni. Pewnie to dla nich szok. Czekają, aż ktoś im powie, co robić.

- No...

- Jak chcesz, mogę im kazać zagłodzić się na śmierć.

- No...

- Och, już dobrze. Hej, wy! Ustawić mi się, raz-dwa, ale już, rach-ciach-ciach!

Cała grupka podbiegła do Cohena i stanęła wyczekująco za jego koniem.

- I powiem ci szczerze, nie żałuję. To kraina wielkich możliwości - opowiadał Cohen, poganiając konia do truchtu. Nieco zakłopotani wolni ludzie potruchtali za nim. - Nie uwierzysz, ale miecze są tu zakazane. Nikomu nie wolno posiadać broni, tylko żołnierzom, arystokratom i gwardii imperialnej. Nie mogłem uwierzyć! Ale to szczerza prawda. Posiadanie miecza jest przestępstwem, więc tylko przestępcy posiadają miecze. A to... - Cohen rzucił pejzażowi jeszcze jeden migotliwy uśmiech - ...nadmierzają mi odpowiada.

- Ale... byłeś przecież w łańcuchach - przypomniał mu Rincewind.

- Dobrze, że mi przypomniałeś. Tak. Znajdziemy chłopaków, a potem lepiej sprawdzę, kto mi to zrobił, i porozmawiam sobie z nimi.

Ton jego głosu sugerował, że pewnie powiedzą: „Wielce radosne! Twoja żona jest wielkim hipopotamem!”.

- Chłopaków?

- Jednoosobowe barbarzyństwo nie ma przyszłości - wyjaśnił Cohen. - Dlatego zebrałem sobie... Zresztą sam zobaczysz.

Rincewind obejrzał się na biegnącą za nimi grupkę, popatrzył na śnieg, potem na Cohena.

- Słuchaj... wiesz, gdzie leży Hunghung?

- Jasne. To miasto ich szefa. Jedziemy tam. No, mniej więcej. W tej chwili trwa oblężenie.

- Oblężenie? Znaczy, no... na zewnątrz mnóstwo żołnierzy, wewnątrz ludzie jedzą szczury i w ogóle?

- Tak, ale to jest Kontynent Przeciwwagi, rozumiesz, więc to bardzo grzeczne oblężenie. W każdym razie ja to nazywam oblężeniem. Stary cesarz umiera, no to wielkie rody czekają, żeby zająć jego miejsce. Tak to załatwiają w tej okolicy. Jest pięciu takich ważniaków i wszyscy pilnują się nawzajem. Nikt tam nie robi pierwszego ruchu. Trzeba myśleć nie wprost, ale bokiem, żeby w ogóle coś tutaj zrozumieć.

- Cohen...

- Tak, chłopcze?

- Co się tu dzieje, do demona?

* * *

Pan Hong obserwował ceremonię parzenia herbaty. Zajmowała trzy godziny, ale nie wolno ponaglać, jeśli ma się ochotę na filiżankę czegoś dobrego.

Równocześnie grał w szachy przeciwko sobie. To był jedyny sposób, by

znaleźć przeciwnika dorównującego mu klasą. Obecnie jednak doprowadził do sytuacji patowej, gdyż obie strony zastosowały strategię obronną. Trzeba przy tym przyznać, że niezwykle pomysłową.

Pan Hong czasami marzył, że znajdzie przeciwnika równie inteligentnego jak on sam. Albo, ponieważ był rzeczywiście bardzo inteligentny, że znajdzie przeciwnika prawie tak inteligentnego. Czy też zdolnego do przebłyków strategicznego geniuszu, jednak obciążonego jakimś kluczowym słabym punktem. Tymczasem ludzie byli tacy głupi... Rzadko kiedy myśleli na więcej niż kilkanaście ruchów naprzód.

Skrytobójstwa na hunghungskim dworze były jak mięso i napoje; co więcej, mięso i napoje często służyły jako środek ich realizacji. Tę grę prowadzili wszyscy. Zabójstwa były w niej tylko jednym z możliwych posunięć. Oczywiście, zamordowanie cesarza uznano by za dowód złych manier; poprawne zagranie polegało na ustawieniu cesarza w sytuacji, która pozwalała zachować nad nim kontrolę. Ale gry na tym poziomie zawsze były niebezpieczne; arystokraci z radością walczyli między sobą, jednak bez wątplenia zjednoczyliby się przeciw każdemu, kto zagrażałby im wyjściem przed stado. Pan Hong zaś wyrastał niczym chleb, przekonując wszystkich po kolei, że wprowadzie oni są oczywistymi kandydatami do tronu, jednak on, pan Hong, będzie lepszy od dowolnej innej alternatywy.

Z rozbawieniem przyjmował fakt, że sądzili, iż spiskuje, by przejąć perłę Imperium...

Uniósł głowę znad szachownicy i pochwycił spojrzenie młodej kobiety zajętej przy stoliku do picia herbaty. Zarumieniła się i odwróciła wzrok.

Odsunęły się drzwi. Na kolanach wszedł jeden z jego ludzi.

- Tak? - rzucił Hong.

- Eee... O panie...

Hong westchnął. Ludzie rzadko zaczynali w ten sposób, jeśli mieli do

przekazania dobre wieści.

- Co się stało?

- Ten, którego nazywają Wielkim Magiem, przybył, panie. Stało się to w górach. Dosiadał smoka wiatru. Przynajmniej tak mówią - dodał szybko posłaniec, znając poglądy pana Honga na zabobony.

- Dobrze. Ale? Bo zakładam, że jest jakieś ale.

- Tego... Straciliśmy jednego ze Szczekających Psów. Wiesz, panie? Ta nowa partia... którą nakazałeś wypróbować... nie całkiem... to znaczy... sądzimy, że kapitan Trzy Wysokie Drzewa mógł wpaść w zasadzkę. Nasze informacje nie są zbyt precyzyjne. Nasz, hm, informator twierdzi, że Wielki Mag odesłał gdzieś Szczekającego Psa czarami. - Posłaniec schylił się niżej.

Pan Hong tylko westchnął znowu. Magia w Imperium Agatejskim wypadła z łask, chyba że stosowano ją w najbardziej przyziemnych celach. Była... niekulturalna. Wkładała moc w ręce ludzi, którzy nie umieli napisać przyzwoitego poematu, choćby miało im to ocalić życie. I często nie pisali.

O wiele mocniej wierzył w zbiegi okoliczności niż w magię.

- To niezwykle irytujące - rzekł.

Wstał i zdjął miecz ze stojaka. Miecz był długi, wygięty - dzieło najlepszego płatnerza Imperium Agatejskiego, czyli pana Honga. Słyszał, że opanowanie tej sztuki zajmuje dwadzieścia lat, więc przyłożył się bardziej. Poświęcił całe trzy tygodnie. Ludzie nie potrafią się skupić, na tym polega ich problem...

Posłaniec czołgał się po podłodze.

- Oficer odpowiedzialny został stracony? - zapytał pan Hong.

Posłaniec usiłował zagrzebać się w podłodze; postanowił, że prawda

musi wystarczyć za szczerość.

- Tak! - pisnął.

Pan Hong ciął. Zabrzmiał syk, jakby spływającego jedwabiu, zaraz potem stuk i grzechot, jakby upadł orzech kokosowy, i brzęk zastawy. Posłaniec otworzył oczy. Skoncentrował się na regionie szyjnym, w obawie że najlżejszy ruch może drastycznie zmniejszyć mu wzrost. Różne historie opowiadano o mieczach pana Honga.

- Och, wstań już - polecił Hong.

Starannie wytarł ostrze i umieścił miecz na stojaku. Potem schylił się i spod szaty herbaciarki wyjął czarną buteleczkę.

Odkorkował; wylało się kilka kropli, które zasyczały, spadając na podłogę.

- Doprawdy - rzekł pan Hong - nie rozumiem, po co się męczą. - Podniósł wzrok, - Pan Tang lub pan McSweeney zapewne ukradli Szczekającego Psa, żeby zepsuć mi humor. Czy mag uciekł?

- Tak się wydaje, panie.

- To dobrze. Dopilnuj, żeby o mało co nie stała mu się krzywda. I przyślij nową herbaciarkę. Ale kogoś z głową na karku.

* * *

Jedno trzeba Cohenowi uczciwie przyznać. Jeśli nie miał powodu, żeby człowieka zabijać - na przykład takiego, że człowiek ten ma przy sobie dużą ilość skarbów albo znalazł się pomiędzy Cohenem, a miejscem, gdzie Cohen chce się dostać - był świetnym towarzyszem. Rincewind spotkał go już kilka razy, na ogół uciekając przed czymś.

Cohen nie męczył rozmówców pytaniami. Z jego punktu widzenia ludzie pojawiali się i ludzie znikali. Po pięciu latach przerwy mówił tylko: „O, to ty”. Nigdy nie dodawał: „Co słyszeć?”. Człowiek był żywy, mógł chodzić - to właściwie wszystko, co się liczy.

Po zejściu z gór zrobiło się o wiele cieplej. Ku uldze Rincewinda, zapasowy koń nie został zjedzony, ponieważ jakiś podobny do leoparda stworzyskokoczył z gałęzi drzewa i usiłował rozpruć Cohenowi brzuch.

Miał dość ostry smak.

Rincewind jadł już kiedyś konia. Przez lata nauczył się jeść wszystko, co nie uciekało mu z widelca. Ale i tak był mocno roztrzęsiony, nawet bez zjadania kogoś, kogo mógłby nazywać Kasztankiem.

- Jak cię złapali? - zapytał, gdy znowu ruszyli w drogę.

- Byłem zajęty.

- Cohen Barbarzyńca zbyt zajęty, by walczyć?

- Nie chciałem wystraszyć młodej damy. Nie mogłem się powstrzymać. Zszedłem do wioski, żeby posłuchać wieści, jedno doprowadziło do drugiego i zanim się obejrzałem, żołnierze byli już w całej okolicy, jak marna zbroja. A nie umiem za dobrze walczyć z rękami skutymi na plecach. Dowodził taki paskudny drań z gębą, której długo nie zapomnę. Zebrali nas pół tuzina, całą drogę kazali pchać tego Szczekającego Psa, potem przykuli do drzewa, a ktoś zapalił kawałek sznurka. Tamci schowali się za zaspą. Wtedy ty się zjawiłeś i go zniknąłeś.

- Wcale go nie zniknąłem. W każdym razie nie całkiem ja.

Cohen pochylił się w stronę Rincewinda.

- Myślę, że chyba wiem, co to było - powiedział i wyprostował się, wyraźnie z siebie zadowolony.

- Tak?

- Myślę, że to coś w rodzaju fajerwerków. Szaleją tu z fajerwerkami.

- Chodzi ci o takie coś, że zapala się niebieską papierową spłonkę i wtyka sobie do nosa?* [przyp.: UWAGA, DZIECI! Czegoś takiego próbują tylko bardzo niemądrzy magowie z chorymi zatokami. Rozsądni ludzie chodzą na ogrodzony linami teren, gdzie mogą oglądać człowieka w ciężkiej odzieży ochronnej, który ze średniej odległości zapala (za pomocą bardzo długiego kija) coś, co robi „fsst!”. A potem mogą krzyczeć „hurra!”.]

- Używają ich do odpędzania złych duchów. Bo tu jest mnóstwo złych duchów, rozumiesz. To przez te rzezie.

- Rzezie?

Rincewind zawsze słyszał, że Imperium Agatejskie jest spokojnym krajem. Cywilizowanym. Tutaj wynajdywali różne rzeczy. On sam, jak pamiętał, stał się instrumentem, za pośrednictwem którego w Ankh-Morpork pojawiło się sporo tutejszych urządzeń. Prostych, niewinnych urządzeń, takich jak zegarki działające na demony, pudełka malujące obrazki i dodatkowe szklane oczy, które można nosić na własnych i które pomagają lepiej widzieć, choć człowiek sam wtedy robi z siebie widowisko.

Powinno tu być nudno.

- Tak, prawdziwe rzezie - potwierdził Cohen. - Weźmy taki przykład: ludność jest trochę do tyłu z podatkami. Wybierasz jakieś miasto, gdzie mieszkańcy sprawiali kłopoty, zabijasz wszystkich, miasto podpalasz, burzysz mury, a popioły każesz zaorać. W ten sposób pozbywasz się kłopotów, wszystkie inne miasta nagle zaczynają zachowywać się wzorowo, a zaległe podatki spływają wielką falą, co zawsze jest wygodne dla rządu, jak rozumiem. Jeśli ktoś znowu zacznie robić problemy, wystarczy ci powiedzieć: „Pamiętacie Nangnang?” czy cokolwiek w tym rodzaju. A oni zapytają: „Gdzie jest Nangnang?”, na co ty: „O to mi właśnie chodzi”.

- To straszne. Gdyby w domu spróbowali czegoś podobnego...

- Tylko, że ten kraj leży bardzo daleko od domu. Myślą, że tak właśnie należy rządzić państwem. Ludzie robią, co im się każe. Traktowani są jak niewolnicy.

Cohen skrzywił się.

- Powiedzmy jasno, że nie mam nic przeciwko niewolnikom, rozumiesz. Swego czasu miałem ich paru. Raz, czy dwa sam byłem niewolnikiem. Ale tam, gdzie są niewolnicy, czego byś się jeszcze spodziewał?

Rincewind zastanowił się.

- Batów? - powiedział w końcu.

- Właśnie. Od razu trafiłeś. Baty. Jest coś... uczciwego w niewolnikach i batach. Tylko... tutaj nie mają żadnych batów. Mają coś gorszego.

- Co takiego? - zapytał Rincewind w lekkiej panice.

- Sam zobaczysz.

Rincewind obejrzał się na pół tuzina innych więźniów, którzy podążali za nimi lękliwie, w bezpiecznej odległości. Dał im kawałek leoparda, na którego z początku patrzyli, jakby to była trucizna, a potem zjedli, jakby to był posiłek.

- Oni ciągle za nami idą - powiedział.

- No tak. Dałeś im mięso - zarechotał Cohen, zwijając poobiedniego papierosa. - Nie warto. Powinieneś im zostawić wasy i szpony. Zdziwiłbyś się, co by z tego ugotowali. Wiesz, jakie jest ich pokazowe danie na wybrzeżu?

- Nie.

- Zupa ze świńskiego ucha. Co ci to mówi o tym kraju?

Rincewind wzruszył ramionami.

- Bardzo oszczędni ludzie?

- Jakiś inny łobuz kasuje całą świnie.

Cohen odwrócił się w siodle. Grupka byłych więźniów cofnęła się natychmiast.

- Posłuchajcie no! - zawołał. - Przecież mówiłem. Jesteście wolni. Rozumiecie?

- Tak, panie - odpowiedział mu najodważniejszy.

- Nie jestem waszym panem. Jesteście wolni. Możecie iść, dokąd tylko chcecie, chyba że pójdziecie za mną, a wtedy was pozabijam. A teraz idźcie sobie!

- Dokąd, panie?

- Dokądkolwiek. Byle nie tutaj.

Mężczyźni spojrzeli po sobie niespokojnie, po czym cała grupa jak jeden mąż odbiegła truchtem.

- Pewnie idą prosto do swojej wioski. - Cohen westchnął ciężko. - Mówię ci, to gorsze niż bat.

Kiedy jechali dalej, wskazał chudą ręką okolicę.

- Wściekle dziwny kraj - stwierdził. - Wiedziałeś, że postavili mur dookoła całego Imperium Agatejskiego?

- Ma nie dopuścić do środka... barbarzyńskich najeźdźców.

- O tak, znakomita ochrona - mruknął z ironią Cohen. - Takie tam: och, na bogów, tu jest dwudziestostopowy mur, ojej, chyba lepiej zawróćmy przez tysiąc mil stepu, a nie na przykład rozważmy możliwość zastosowania drabin wynikającą z rosnącego tam sosnowego lasu. Nie. Mur jest po to, żeby trzymać ludzi w środku. A reguły? Mają tu reguły na wszystko. Nawet do wychodka nikt nie chodzi bez papieru.

- Wiesz, prawdę mówiąc, ja też...

- Papieru, który potwierdza, że możesz iść do wychodka. O to mi chodziło. Bez zezwolenia nie wolno opuścić wioski. Bez zezwolenia nie wolno się ożenić. Bez zezwolenia nie wolno się nawet wy... No, jesteśmy na miejscu.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się Rincewind.

Cohen zerknął na niego podejrzliwie.

- Skąd wiesz? - zapytał.

Rincewind spróbował się zastanowić. Miał za sobą ciężki dzień. Właściwie dzień był nawet - wskutek thaumicznej zmiany strefy czasowej - o kilka godzin dłuższy niż inne dni, jakie przeżył. Zawierał dwie pory obiadowe, jednak żadna z nich nie zawierała niczego wartego zjedzenia.

- No... myślałem, że to taka ogólna uwaga filozoficzna - spróbował. - Wiesz, coś w rodzaju: „Jesteśmy tutaj, więc musimy sobie jakoś radzić”.

- Chodziło mi o to, że dotarliśmy do mojej kryjówki - wyjaśnił Cohen.

Rincewind rozejrzał się uważnie. Rosły tu karłowate krzewy, leżało kilka głazów, wyrastała stroma skalna ściana.

- Niczego nie widzę - poskarżył się.

- Pewno. Po tym właśnie poznasz, że to moja.

* * *

Sztuka Wojny była główną podstawą dyplomacji Imperium Agatejskiego.

Wojna w oczywisty sposób musiała istnieć. Była kluczowym elementem procesu rządzenia. W ten sposób Imperium Agatejskie dobierało przywódców. System egzaminów konkursowych służył wyłanianiu biurokratów i urzędników publicznych, natomiast wojna wskazywała przywódców. W pewnym sensie była dla nich jedynie innym typem egzaminu konkursowego. W końcu ten, kto przegrał, na ogół tracił prawo do pozostania na stanowisku przez kolejny rok.

Musiały jednak obowiązywać pewne reguły. Bez nich wojna zmieniała się w barbarzyńską bójkę.

Zatem, sześćset lat temu, stworzono Sztukę Wojny. Była to księga reguł. Niektóre z nich dotyczyły bardzo konkretnych spraw: nie wolno toczyć walk w Zakazanym Mieście, osoba cesarza jest święta... Inne zawierały ogólniejsze wskazówki prawidłowego i cywilizowanego prowadzenia działań wojennych. Były więc reguły dotyczące pozycji, taktyki, zachowania dyscypliny w szeregach, właściwej organizacji linii zaopatrzeniowych. Sztuka wytyczała optymalny kurs w każdej możliwej do wyobrażenia sytuacji. Spowodowała, że wojny w Imperium Agatejskim stały się bardziej rozsądne i zwykle złożone z krótkich okresów aktywności przedzielanych długimi okresami, kiedy wszyscy przeszukiwali indeks.

Nikt nie pamiętał autora. Niektórzy twierdzili, że był nim Jedna Pieśń Tzu, inni uważali, że Trzy Słoneczne Pieśni. Być może, jakiś nieopiewany w legendach geniusz spisał, czy raczej namalował pierwszą regułę: Poznaj wroga i poznaj siebie.

Pan Hong uważał, że siebie zna doskonale, i rzadko miewał problemy z poznaniem swoich wrogów. Pamiętał też, by zachowywać swych wrogów

przy życiu i w dobrym zdrowiu.

Weźmy na przykład panów Sunga, Fanga, Tanga i McSweeneya. Cenił ich. Cenił ich adekwatność. Posiadali adekwatne militarne umysły, co znaczy, że nauczili się na pamięć Pięciu Reguł i Dziewięciu Zasad Sztuki Wojny. Pisali adekwatną poezję i byli dostatecznie sprytni, by nie dopuszczać do przewrotów we własnych szeregach. Od czasu do czasu nasyłali na niego skrytobójców dostatecznie kompetentnych, by podtrzymać jego zaniepokojenie i czujność, a także dostarczyć rozrywki.

Podziwiał nawet ich adekwatne zdrady. Wszyscy musieli już rozumieć, że to pan Hong będzie następnym cesarzem, ale kiedy nadejdzie decydująca chwila, mimo wszystko wybuchnie walka o tron. Przynajmniej oficjalnie. W rzeczywistości każdy z wodzów prywatnie przysiągł panu Hongowi osobiste poparcie; był bowiem adekwatnie inteligentny i wiedział, co go zapewne czeka, gdyby odmówił. Oczywiście, muszą stoczyć bitwę, bo tak każe tradycja. Ale pan Hong miał w swym sercu miejsce dla każdego dowódcy skłonnego sprzedać swoich ludzi.

Znaj swoich wrogów... Pan Hong postanowił więc znaleźć godnego siebie wroga. Zadbął, by otrzymywać informacje i książki z Ankh-Morpork. Były na to sposoby. Miał swoich szpiegów. W tej chwili Ankh-Morpork samo nie wiedziało, że jest jego wrogiem, a to najlepszy rodzaj wroga z możliwych.

Pan Hong najpierw był zdziwiony, potem zaintrygowany, wreszcie ogarnięty podziwem dla tego, co odkrył...

Powinienem właśnie tam się urodzić, myślał, obserwując innych członków Rady Spokoju. Och, zagrać w szachy z kimś takim jak lord Vetinari... Z pewnością by patrzył na szachownicę co najmniej trzy godziny, nim wykona pierwsze posunięcie...

Pan Hong zwrócił się do eunucha protokolującego spotkanie Rady Spokoju.

- Możemy przejść do rzeczy?

Eunuch nerwowo polizał pędzelek.

- Już prawie skończyłem, panie.

Pan Hong westchnął.

Przeklęta kaligrafia! To musi się zmienić! Język pisany zawiera siedem tysięcy znaków, a trzeba całego dnia, żeby zapisać trzynastozgłoskowy wiersz o białym kucyku biegnącym przez pole dzikich hiacyntów. Pan Hong musiał przyznać, że to wspaniałe i piękne, i nikt nie pisał piękniejszych wierszy od niego. Ale Ankh-Morpork miało alfabet złożony z dwudziestu kilku pozbawionych wyrazu, brzydkich i prymitywnych liter, odpowiednich dla chłopów i rzemieślników... a stworzyło poezje i dramaty, które pozostawiały rozpalone do białości ślady na duszy. W dodatku można było ich użyć, by porządek dzienny pięciominutowego spotkania zapisać w czasie krótszym niż dzień.

- Jak daleko dotarłeś?

Eunuch odchrząknął grzecznie.

- Jak miękko kwiat more..." - zaczął.

- Tak, tak - przerwał mu pan Hong. - Czy moglibyśmy dziś wyjątkowo zrezygnować z poetyckiej struktury? Proszę.

- Hm... „Złożono podpisy pod protokołem poprzedniego zebrania”.

- I to wszystko?

- No... widzisz, panie, muszę dokończyć malowania płatków na...

- Chciałbym, by ta narada zakończyła się przed wieczorem. Odejdź.

Eunuch spojrzał lękliwie na zebranych, zebrał swoje pędzelki i zwoje, po czym wyszedł.

- Dobrze - rzekł pan Hong.

Skinął głową pozostałym dostojnikom. Szczególnie przyjazne skinienie zarezerwował dla pana Tanga. Pan Hong badał tę ideę z pewnym zdziwieniem i zainteresowaniem, lecz naprawdę wydawało się, że pan Tang jest człowiekiem honoru. Był to honor nieco lękliwy i skrzywiony, ale jednak gdzieś w nim tkwił i trzeba będzie jakoś sobie z tym radzić.

- I tak zresztą lepiej, panowie, jeśli tę rozmowę poprowadzimy na osobności - rzekł. - Chodzi o buntowników. Dotarły do mnie niepokojące wieści o ich działaniach.

Pan McSweeney pokiwał głową.

- Dopilnowałem, żeby stracono trzydziestu buntowników w Sum Dim - oznajmił. - Jako przykład.

Jako przykład bezmyślności pana McSweeneya, pomyślał pan Hong. Wiedział dobrze, a nikt nie dysponował lepszą niż on wiedzą, że w Sum Dim nie było nawet kadry Czerwonej Armii. Ale teraz już prawie na pewno jest. To doprawdy aż nazbyt łatwe.

Inni wodzowie także ogłosili krótkie, lecz dumne mowy o swoich staraniach przekształcenia ledwie dostrzegalnych niepokojów w krwawą rewoltę. Chociaż oni oceniali to inaczej.

Pod całą swoją brawurą byli nerwowi jak psy pasterskie, gdy nagle dostrzegą możliwość istnienia świata, w którym owce nie uciekają.

Pan Hong rozkoszował się ich zdenerwowaniem. W odpowiednim czasie zamierzał je wykorzystać. Uśmiechał się zatem i uśmiechał...

- Jednakże, panowie - rzekł w końcu - mimo waszych najwyższej próby

wysiłków sytuacja pozostaje niebezpieczna. Mam informacje, że jeden z najważniejszych magów z Ankh-Morpork przybył z misją pomocy buntownikom w Hunghung, oraz że powstał spisek, by obalić organizację niebiańskiego świata i zamordować cesarza, oby żył dziesięć tysięcy lat. Muszę naturalnie założyć, że stoją za tym cudzoziemskie diabły.

- Nic o tym nie wiem! - burknął pan Tang.

- Drogi panie Tang, nie sugerowałem nawet, że pan powinien - zapewnił pan Hong.

- Chciałem powiedzieć...

- Pańskie oddanie cesarzowi nie podlega żadnej dyskusji - mówił dalej pan Hong gładko niby nóż rozcinający ciepłe masło. - To prawda, że niemal na pewno pomaga tym ludziom ktoś bardzo wysoko postawiony, ale nawet strzęp dowodu nie wskazuje na pana.

- Mam nadzieję, że nie!

- W samej rzeczy.

Panowie Fang i McSweeney odsunęli się odrobinę od pana Tanga.

- Jak mogliśmy do tego dopuścić? - odezwał się pan Fang. - Prawdą jest, oczywiście, że pewni ludzie... głupi, szaleni ludzie... wyruszali czasem poza Mur. Ale pozwolić któremuś z nich na powrót...

- Obawiam się, że wielki wezyr w owym czasie był człowiekiem o zmiennych nastrojach - wyjaśnił pan Hong. - Uznał, że ciekawie będzie sprawdzić, jakie wieści przyniesie.

- Wieści? - oburzył się pan Fang. - To miasto... Ankh-Morep... Ork... to obrzydliwość! Czysta anarchia! Jak się zdaje, arystokracja nie ma tam wpływu na nic, a społeczeństwo przypomina kopiec termitów! Lepiej by dla nas było, panowie, gdyby zetrzeć je z powierzchni Dysku!

- Pańskie celne uwagi zostaną pilnie zapamiętane, panie Fang - zapewnił pan Hong, gdy część jego umysłu tarzała się po podłodze ze śmiechu. - W każdym razie - podjął - dopilnuję, by przy komnatach cesarza ustawić dodatkowych strażników. Jakkolwiek zaczęły się te niepokoje, musimy sprawić, by zakończyły się natychmiast.

Widział, jak na niego patrzą... Myślę, że chcę rządzić Imperium, uznał. Wszyscy zatem - z wyjątkiem pana Tanga, zbuntowanego towarzysza podróży, co się niewątpliwie okaże - zastanawiają się, jakie wyciągnąć z tego korzyści.

Zakończył naradę i wrócił do swoich komnat.

Było niewątpliwym faktem, że upiory i demony, żyjące za Murem, nie znały żadnej kultury i z pewnością nawet nie wyobrażały sobie czegoś takiego jak książki. Posiadanie więc tak oczywiście niemożliwego obiektu, jak pochodząca zza Muru książka, było karane śmiercią. I konfiskatą.

Pan Hong zebrał już całkiem obfitą bibliotekę. Zdobył nawet mapy.

I coś więcej niż mapy. Miał kufer, który zawsze trzymał zamknięty w pokoju z pełnowymiarowym zwierciadłem...

Nie teraz. Później...

Ankh-Morpork... Sama nazwa rozbrzmiewała bogactwem.

Potrzebował tylko jednego roku. Przerażająca zhora rewolucji pozwoli mu sięgnąć po władzę, o jakiej nie marzyli nawet najbardziej szaleni cesarze. A wtedy będzie rzeczą nie do pomyślenia, by nie zbudować potężnej floty i nie ponieść zemsty i terroru do krainy cudzoziemskich demonów. Dzięki ci, panie Fang. Twoje uwagi zostaną zapamiętane.

Tak jakby było ważne, kto zostanie cesarzem! Imperium to dodatkowa premia, którą można zagarnąć później, wręcz mimochodem. Jemu wystarczy Ankh-Morpork z jego pracowitymi krasnoludami i przede wszystkim ze

znajomością maszyn. Weźmy takie Szczekające Psy. W połowie prób wybuchały. Były niecelne. Zasada okazała się słuszna, ale wykonanie fatalne, a straty duże. Zwłaszcza kiedy Psy wybuchały.

Pewnym objawieniem dla Honga było spojrzenie na problem w sposób ankhmorporski. Uświadomił sobie, że może lepiej byłoby powierzyć funkcję Szczęśliwego Konstruktora Psów jakiemuś wieśniakowi, mającemu niezłe pojęcie o metalach i wybuchowej ziemi, niż urzędnikowi, który uzyskał najwyższe oceny na egzaminie polegającym na stworzeniu najpiękniejszego poematu o żelazie. W Ankh-Morpork ludzie byli praktyczni.

Och, przespacerować się po Brad-Wayu jako właściciel, skosztować pasztecików sławnego pana Dibblera... Zagrać choć jedną partię szachów z lordem Vetinari... Naturalnie, to oznaczało pozostawienie mu tylko jednej ręki.

Cały aż drżał z podniecenia. Nie później... Teraz. Sięgnął do tajnego kluczyka wiszącego na łańcuszku u szyi.

* * *

Trudno było to nazwać ścieżką. Króliki przeszłyby obok, nie zwracając na nią uwagi. A człowiek przysięgałby, że widzi nagą, niedostępną ścianę skalną - dopóki nie natrafiłby na szczelinę.

Nawet kiedy ją znalazł, nie była warta trudu. Prowadziła do długiego parowu z kilkoma naturalnymi jaskiniami w ścianach, paroma kępkami trawy i źródłem.

I - jak się okazało - bandy Cohena. Tyle że on sam nazywał ją ordą. Siedzieli na słońcu i narzekali, że jakoś nie grzeje już tak mocno jak kiedyś.

- No to wróciłem, chłopaki - oznajmił Cohen.

- Wychodziłeś, co?

- Co? Co on gada?

- Powiedział, ŻE WRÓCIŁ.

- Co skrócił?

Cohen uśmiechnął się promiennie.

- Przyprowadziłem ich ze sobą - wyjaśnił. - Jak mówiłem, w dzisiejszych czasach samotna walka nie ma przyszłości.

Rincewind odchrząknął zakłopotany.

- Czy któryś z tych ludzi ma poniżej osiemdziesięciu lat? - zapytał.

- Pokaż się, Mały Willie.

Wysuszony staruszek, tylko odrobinę mniej pomarszczony od pozostałych, podniósł się z ziemi. Szczególnie mocno zwracały uwagę jego stopy - nosił buty na bardzo, ale to bardzo grubej podeszwie.

- To żeby moje nogi dotykały gruntu - wyjaśnił.

- Ale czy, no... czy nie dotykają gruntu w normalnych butach?

- Nie. Kłopoty ortopedyczne. Rozumiesz... dużo jest takich, co mają jedną nogę krótszą od drugiej. Zabawna rzecz, ale ja...

- Nie mów - przerwał mu Rincewind. - Czasami miewam zadziwiające przebłyłski intuicji. Masz każdą z nóg krótszą od drugiej, tak?

- Niesamowite. Widzę, że jesteś magiem - stwierdził Mały Willie. - Znasz się na takich sprawach.

Rincewind uśmiechnął się radośnie i obłąkańczo do kolejnego członka ordy. Był on niemal na pewno istotą ludzką, gdyż pomarszczone małpy nie poruszają się zwykle na wózkach inwalidzkich i nie noszą hełmów z rogami. Pasażer wózka wykrzywił się w odpowiedzi.

- To jest...

- Co? Co?

- Wściekły Hamish.

- Co? Jaki?

- Założę się, że ten wózek budzi przerażenie - uznał Rincewind. - Zwłaszcza ostrza.

- To była piekielna robota, przeciągnąć go przez mur - wyznał Cohen. - Ale zdziwiłbyś się, jaki jest szybki.

- Co?

- A to jest Truckle Nieuprzejmy.

- Spadaj, magu.

Rincewind uśmiechnął się do eksponatu B.

- Te kule... Fascynujące. Duże wrażenie robią wyryte na nich słowa: KOCHAĆ i NIENAWIDZIĆ.

Cohen uśmiechnął się z dumą.

- Truckle'a uważali kiedyś za jednego z najwredniejszych dupków na świecie.

- Naprawdę? Jego?

- Ale zadziwiające, czego mogą dokonać ziołowe czopki.

- Wsadź je sobie - rzucił Truckle.

Rincewind zamrugał niepewnie.

- Tego... możemy zamienić słówko, Cohen?

Odciągnął prastarego barbarzyńcę na bok.

- Nie chcę, byś uznał, że przyszedłem się tu czepiać - zapewnił. - Ale czy nie zauważyłeś, że ci ludzie, jak by to określić, przekroczyli już swoją datę ważności? Są trochę, żeby zbytnio nie precyzować, trochę starzy?

- Co? Co on gada?

- Mówi, ŻE SIĘ JARZY.

- Co?

- Co ty opowiadasz? - obruszył się Cohen. - Masz przed sobą prawie pięćset lat skoncentrowanego doświadczenia bohatersko-barbarzyńskiego.

- Pięćset lat doświadczenia to dobra rzecz w jednostce bojowej - przyznał Rincewind. - Naprawdę dobra. Ale powinna się dzielić na więcej osób. Znaczy, czego właściwie się po nich spodziewasz? Że będą się przewracać na ludzi?

- Niczego im nie brakuje - zapewnił Cohen. Wskazał kruchego staruszka, który w skupieniu wpatrywał się w spory blok tekowego drewna. - Popatrz na starego Caleba Rozpruwacza, o tam. Widzisz? Gołymi rękami zabił ponad czterystu ludzi. Ma osiemdziesiąt pięć lat, ale jak mi bogowie mili, wciąż jest świetny.

- A co on robi, u licha?

- Rozumiesz, oni tu stosują walkę wręcz. Są całkiem sprawni w walce wręcz, bo prawie nikomu nie wolno nosić broni. No więc Caleb uznał, że zajmie się czymś pożytecznym. Widzisz ten kawał drewna? Nie uwierzyłbyś. Wydaje z siebie mrozący krew w żyłach okrzyk i...

- Cohen, ci ludzie są bardzo starzy.

- To sama śmietanka!

Rincewind westchnął.

- Oni są raczej serem, Cohen. Po co ciągnąłeś ich aż tutaj?

- Mają mi pomóc coś ukraść.

- Co? Jakiś klejnot albo coś takiego?

- Coś - odparł nadąsany Cohen. - Jest w Hunghung.

- Naprawdę? Coś podobnego. Ale w Hunghung mieszka pewnie sporo ludzi?

- Jakieś pół miliona.

- Wielu strażników, bez wątpienia.

- Będzie ze czterdzieści tysięcy. Tak słyszałem. Jakieś trzy czwarte miliona, gdyby wliczyć wszystkie armie.

- Właśnie - stwierdził Rincewind. - I z tymi paroma staruszkami...

- Ze Srebrną Ordą - poprawił go z dumą Cohen.

- Co? Nie zrozumiałem.

- Tak się nazywają. Nazwa jest ważna w barbarzyńskim interesie.

Srebrna Orda.

Rincewind obejrzał się. Kilku członków Srebrnej Ordy drzemało.

- Srebrna Orda - powtórzył. - Niezłe. Pasuje do koloru ich włosów. Przynajmniej tych, którzy jeszcze mają włosy. No więc z tą Srebrną Ordą zamierzasz zaatakować miasto, wybić strażę i ukraść skarb?

Cohen przytaknął.

- Coś w tym rodzaju. Oczywiście, nie musimy zabijać wszystkich strażników...

- Ach, nie?

- To by za długo trwało.

- Oczywiście. No i pewnie chcielibyście coś sobie zostawić na następny dzień.

- Chodzi o to, że będą zajęci rewolucją i w ogóle.

- Jeszcze rewolucja? Nie do wiary.

- Mówią, że nadchodzi czas wróżb. Oni...

- Dziwię się, że mają jeszcze czas myśleć o różach.

- Najlepiej zrobisz, jak zostaniesz z nami - poradził Dżyngis Cohen. - Będziesz bezpieczniejszy.

- Nie jestem tego pewien. - Rincewind wyszczerzył zęby. - Wcale nie jestem pewien.

Kiedy będę sam, pomyślał, mogą mi się zdarzyć tylko zwyczajne straszliwe rzeczy.

Cohen wzruszył ramionami. Rozejrzał się dookoła i odnalazł niewysokiego mężczyznę siedzącego w pewnym oddaleniu od pozostałych.

- Popatrz na niego - powiedział dobrodusznie jak człowiek, który chwali się psem demonstrującym trudną sztuczkę. - Ciągłe trzyma nos w książce. - Podniósł głos. - Ucz! Podejdź tu. Pokażesz temu magowi drogę do Hunghung.

Zwrócił się do Rincewinda.

- Ucz powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć, bo on wszystko wie. Zostawię cię z nim. Muszę jeszcze pogadać ze Starym Vincentem. - Machnął ręką z lekceważeniem. - Nie to, żeby było z nim coś nie tak - zapewnił wyzywającym tonem. - Tyle że pamięć mu szwankuje. Mieliśmy z nim trochę kłopotów po drodze. Cały czas mu tłumaczę, że gwałci się kobiety, a pali domy.

- Gwałci? - przestraszył się Rincewind. - To nie...

- Ma osiemdziesiąt siedem lat. Nie niszczy marzeń starego człowieka.

Ucz okazał się wysokim, chudym mężczyzną z przyjaźnie roztargnionym wyrazem twarzy i wianuszkami siwych włosów na czaszce - oglądany z góry przypominałby stokrotkę. Absolutnie nie wyglądał na żadnego krwi rozbójnika, choć nosił kolczugę, trochę na sobie za dużą, i wielką pochwę, w której jednak nie miał miecza, ale liczne zwoje i pędzelki. W kieszonce kolczugi trzymał skórzany futerał z trzema piórami o różnych kolorach.

- Ronald Saveloy - przedstawił się, ściskając dłoń Rincewinda. - Ci dżentelmeni zakładają posiadanie przeze mnie istotnej wiedzy. Zobaczmy... Chce się pan dostać do Hunghung, tak?

Rincewind zastanowił się.

- Chcę poznać drogę do Hunghung - powiedział ostrożnie.

- Tak. Oczywiście. O tej porze roku ruszyłbym w stronę zachodzącego słońca, dopóki nie opuściłbym gór i nie dotarł na aluwialną równinę. Znajdzie pan tam drumliny i kilka pięknych przykładów głazów narzutowych. To jakieś dziesięć mil.

Rincewind patrzył na niego zdumiony. Barbarzyńskie wskazówki brzmiały zwykle jakoś „prosto obok płonącego miasta, potem skrócić w prawo za wszystkimi mieszkańcami powieszonymi za uszy”.

- Te drumliny wydają się groźne - zauważył.

- To tylko rodzaj wzgórz polodowcowych - wyjaśnił Saveloy.

- A głazy narzutowe? Brzmi jak coś takiego, co rzuca się na...

- To głazy pozostałe po cofającym się lodowcu. Nie ma się czego obawiać. Pejzaż nie jest niebezpieczny.

Rincewind nie uwierzył. Wiele już razy grunt uderzył go bardzo mocno.

- Jednakże - dodał Saveloy - trochę niebezpieczne jest w tej chwili samo Hunghung.

- Naprawdę? - zdziwił się odruchowo Rincewind.

- To nie jest w ścisłym sensie oblężenie. Wszyscy czekają na śmierć cesarza. Trwa to, co nazywają tutaj... - Saveloy uśmiechnął się lekko - ...ciekawymi czasami.

- Nie znoszę ciekawych czasów.

Pozostali ordynicy rozeszli się gdzieś, posnęli albo skarżyli się sobie nawzajem na obolałe stopy. Z daleka dobiegał głos Cohena: „Popatrz, to jest zapalka, a to jest...”.

- Wie pan, wydaje się pan człowiekiem nieźle wykształconym jak na

barbarzyńcę.

- Ależ nie. Nie zaczynałem jako barbarzyńca. Kiedyś byłem nauczycielem w szkole. Dlatego nazywają mnie Ucz.

- A czego pan uczył?

- Geografii. Interesowały mnie również badania Aurientu* [przyp.: Ankhmorporska nazwa Kontynentu Przeciwwagi i pobliskich wysp, oznaczająca „miejsce, skąd bierze się złoto”]. Ale zrezygnowałem i postanowiłem zarabiać na życie mieczem.

- Chociaż wcześniej przez całe życie był pan nauczycielem?

- Przyznaję, wymagało to zmiany perspektywy.

- Ale... no... przecież... niedostatki, straszliwe zagrożenia, codzienne narażanie życia...

Saveloy ucieszył się wyraźnie.

- Więc pan też uczył kiedyś w szkole?

Rincewind obejrzał się, słysząc czyjeś krzyki. Dwóch członków Srebrnej Ordy kłóciło się, stojąc niemal nos w nos.

Saveloy westchnął ciężko.

- Próbuję nauczyć ich szachów - wyjaśnił. - To kluczowe dla zrozumienia aurientalnej duszy. Obawiam się jednak, że obca im jest koncepcja wykonywania ruchów po kolei. A gambit otwierający rozumieją tak, że król razem ze wszystkimi pionkami pędzą przez szachownicę i podpalają obie wieże.

Rincewind przysunął się bliżej.

- Tak między nami... Przecież to Dżyngis Cohen - powiedział. - Czy on całkiem oszalał? Znaczący... zabić paru geriatrycznych kapłanów i ukraść parę błyskotek, to owszem. Ale samotny atak na czterdziestotysięczną gwardię to pewna śmierć!

- Ależ on nie będzie atakował samotnie!

Rincewind niepewnie zamrugął. Było w Cohenie coś takiego, że ludzie zarażali się jego optymizmem jak gripą.

- No tak. Tak, oczywiście. Przepraszam. Całkiem o tym zapomniałem. Siedmiu przeciwko czterdziestu tysiącom? Nie sądzę, żebyście mieli jakieś kłopoty. Chyba już pójdę. I to raczej szybko.

- Mamy plan - wyjaśnił Saveloy. - To jakby... - zastanowił się. - No wie pan.... coś takiego... pszczoły tak robią. I osy też. I chyba niektóre meduzy. Niech to, uciekło mi słowo... W każdym razie to będzie największe w historii.

Rincewind raz jeszcze spojrzał na niego tępo.

- Widziałem gdzieś chyba zapasowego konia - powiedział.

- Może dam panu to - zaproponował Saveloy. - Wtedy pewnie pan zrozumie. Tu właściwie wszystko jest wyjaśnione.

Wręczył Rincewindowi niewielki plik kartek związanych przeciągniętym przez róg sznureczkiem. Mag wcisnął je szybko do kieszeni. Zauważył tylko tytuł na pierwszej stronie.

Tytuł brzmiał:

CO ROBIŁEM NA WAKACJACH

* * *

Wybór był dla Rincewinda całkiem jasny. Z jednej strony istniało miasto Hunghung, oblegane, pulsujące rewolucją i niebezpieczeństwem. Z drugiej strony była reszta świata.

Uznał zatem za ważne, by wiedzieć, gdzie leży Hunghung, aby przypadkiem tam nie trafić. Dokładnie wysłuchał wskazówek Saveloya, po czym ruszył w przeciwną stronę.

Znajdzie jakiś statek i wróci do domu. Oczywiście, magowie będą zdziwieni, kiedy go zobaczą, ale zawsze może powiedzieć, że nie zastał nikogo w domu.

Góry ustąpiły miejsca porośniętym krzakami pagórkom, a te z kolei nieskończonej z pozoru, wilgotnej równinie. W zamglonej dali widział rzekę tak krętą, że połowę dystansu musiała płynąć do tyłu.

Równina była pokryta szachownicą pól. Rincewind lubił wiejskie tereny, pod warunkiem że nie wznosiły się nagle, by się z nim zderzyć. Wolał też, by - jeśli to możliwe - znajdowały się po przeciwnej stronie miejskich murów. Ale to właściwie nie były wiejskie tereny, przypominały raczej ogromną, pozbawioną płotów farmę. Od czasu do czasu wyrastały z pól wielkie głązy, wyglądające niebezpiecznie narzutowo.

Niekiedy dostrzegał w oddali pracujących ciężko ludzi. O ile mógł zauważyć, ich zadanie polegało na przemieszczaniu błota z miejsca na miejsce.

Z rzadka widział człowieka stojącego po kostki w zalewającej pole wodzie i trzymającego na sznurku bawołu. Bawół pasł się, a czasem wypróżniał jelita. Człowiek trzymał sznurek. Zdawało się, że to jego jedyne zajęcie i cel życia.

Na drodze spotykał niewielu podróżnych. Na ogół pchali taczki wyładowane bawolim nawozem, a może i błotem. Nie patrzyli na Rincewinda. Więcej nawet: bardzo starannie nie zwracali na niego uwagi. Przechodzili obok, wpatrzeni w skupieniu na rozgrywające się na polu sceny dynamiki błota albo bydlęcych ruchów jelitowych.

Rincewind pierwszy był skłonny przyznać, że myśli dość powoli* [przyp.: W rzeczywistości był siedemdziesiątym trzecim skłonnym to przyznać.]. Ale bywał w świecie i potrafił zaobserwować pewne objawy. Ci ludzie nie zwracali na niego uwagi, ponieważ zwyczajnie nie widzieli jadących konno.

Prawdopodobnie pochodzili od ludzi, którzy nauczyli się, że zbyt uważne przyglądanie się komuś na koniu powoduje ostry ból, jaki może być skutkiem uderzenia trzcinką w ucho. Niezwracanie uwagi na konnych stało się cechą dziedziczną. Ludzie przyglądający się konnym w sposób, który można uznać za natarczywy, nie dożywali wieku umożliwiającego rozmnażanie.

Postanowił przeprowadzić eksperyment. Kolejne taczki, jakie mijał, nie wiozły błota, ale ludzi - sześciu, na siedzeniach po obu stronach dużego centralnego koła. Napęd wspomagający stanowił niewielki żagiel wzniesiony nad pojazdem, by chwycił wiatr. Zasadniczym jednak napędem było źródło energii dominujące w wiejskich społecznościach, to znaczy czyjś pradziadek. A przynajmniej ktoś wyglądający na pradiadka.

Cohen mówił: „Są tu ludzie, co potrafią pchać taczki przez trzydzieści mil na misce prosa z jakimiś śmieciami. Co ci to mówi? Bo mnie to mówi, że ktoś podświnia całe mięso”.

Rincewind postanowił więc zbadać dynamikę społeczną, a przy okazji odkurzyć znajomość języka. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz używał agatejskiego, ale musiał uczciwie przyznać, że Ridcully się nie pomylił. Rzeczywiście miał talent do języków. Agatejski składał się z kilku podstawowych zgłosek, wszystko inne zaś polegało na tonie, intonacji i kontekście. Gdyby nie one, słowo określające przywódcę wojskowego było

też słowem oznaczającym długiogoniastego świstaka, męski organ płciowy i stary kurnik.

- Hej, wy tam! - zawołał. - Tego... zginać bambusa? Wyrażenie dezaprobaty? No... chciałem powiedzieć... Stać!

Taczka zwolniła i zatrzymała się. Nikt na niego nie patrzył. Spoglądali gdzieś poza niego, wokół niego albo na jego stopy.

W końcu popychacz taczki odezwał się jak człowiek, który wie, że narazi się, cokolwiek by zrobił.

- Wasza miłość rozkaże?

Później Rincewindowi było przykro z powodu tego, co powiedział.

A powiedział:

- Oddajcie mi całą żywność i... niechętnie psy. Ale szybko.

Przyglądali mu się obojętnie.

- Niech to... chodziło mi o... ustawione żuki? Rozmaitość wodospadów? A tak... Pieniądze!

Nastąpiło ogólne poruszenie i grzebanie w zakamarkach ubrań. Po chwili popychacz taczek zbliżył się do Rincewinda bokiem, ze spuszczoną głową. Podsunął mu swój kapelusz, który mieścił trochę ryżu, trochę suszonej ryby i mocno podejrzone jajko. Oraz mniej więcej funt złota w dużych, okrągłych monetach.

Rincewind patrzył na złoto.

Złoto na Kontynencie Przeciwwagi było równie pospolite jak miedź - to jeden z niewielu powszechnie znanych faktów dotyczących tego miejsca. Plan Cohena, by dokonać jakiegoś większego rabunku, zwyczajnie nie miał

sensu. Istniała przecież granica tego, co można unieść. Równie dobrze mógłby napaść na jakąś małą wioskę i żyć jak król przez resztę swego żywota. Zresztą nie potrzebowałby aż tyle.

„Później” dopadło Rincewinda nagle - i rzeczywiście zrobiło mu się przykro. Ci ludzie właściwie niczego nie mieli, jeśli nie liczyć stosów złota.

- Ehm... dziękuję. Bardzo dziękuję. Tak. Tylko sprawdzałem. Możecie to zabrać z powrotem. Jasne. Ja... tego... zatrzymam... starą babcię... biec na ukos... niech to... rybę.

Zawsze dotąd zajmował miejsce na samym dnie społecznego stosu. Nie liczyło się, jak duży to stos. Szczyt wznosił się wyżej albo niżej, ale dno zawsze było w tym samym miejscu.

Przynajmniej jednak był to ankhmorporski stos.

W Ankh-Morpork nikt się przed nikim nie kłaniał. Każdy, kto w Ankh-Morpork spróbowałby tego, czego on przed chwilą, teraz szukałby w rynsztoku własnych zębów i jękiem uskarżał się na ostry ból w kroczu. Jego koń byłby już dwa razy przemalowany i sprzedany nabywcy, który by przysięgał, że ma go od lat.

Rincewind czuł niejasną dumę z tego faktu.

Coś dziwnego uniosło się z bagnistych głębin jego duszy. Ku własnemu zdumieniu odkrył, że to odruch wielkoduszności.

Zsunął się z siodła, trzymając w ręku wodze. Koń jest przydatny, ale przecież zwykle radził sobie bez niego. Poza tym, na krótkim dystansie, człowiek potrafi biec szybciej od konia, która to prawda była niezwykle droga sercu Rincewinda.

- Bierzcie go - powiedział. - Za rybę.

Popychacz taczek wrzasnął, złapał uchwyty swego pojazdu i przerażony

pognał przed siebie. Kilka osób wypadło na drogę, niemalże rzuciło Rincewindowi ukradkowe spojrzenie, także wrzasnęło i pobiegło za uciekinierem.

Gorsze od bata, mówił Cohen. Mają to coś gorszego od bata. Batów już nie używają. Rincewind miał nadzieję, że nigdy nie odkryje, co to takiego, skoro tak działa na ludzi.

Jechał dalej wśród nieskończonej panoramy pól. Nie widział nawet kępki krzaków, ani jednej gospody. Gdzieś między polami majaczyły jakieś kształty, które mogły być miasteczkami czy wioskami. Nie prowadziły jednak do nich żadne ścieżki - być może dlatego, że ścieżki zajmowały cenne błoto uprawne.

W końcu usiadł na głazie, którego zapewne nawet zbiorowe wysiłki wieśniaków nie były w stanie ruszyć z miejsca, i sięgnął do kieszeni po swój haniebny posiłek z suszonej ryby.

Palce natrafiły na plik kartek, który dostał na pożegnanie od Saveloya. Wyjął je i strzepnął okruchy.

„Tu wszystko jest wyjaśnione”, powiedział barbarzyński nauczyciel. Nie wspomniał tylko, co za „wszystko”.

„Co robiłem na wakacjach”, głosił tytuł wypisany ręcznie niezbyt wyrobionym charakterem. A właściwie wymalowany. Agatejczycy pisali pędzelkami, tworząc z poręcznych składników małe obrazkowe słowa. Jeden obraz nie tylko był wart tysiąca słów - on był tysiącem słów.

Rincewind nie najlepiej radził sobie z językiem pisanym. W bibliotece Niewidocznego Uniwersytetu znalazł tylko kilka agatejskich książek. Zresztą ta akurat wyglądała jak napisana przez kogoś, kto usiłował zrozumieć zjawiska całkiem dla siebie obce.

Rincewind przerzucił kilka stron. Autor opowiadał o Wielkim Mieście, gdzie znalazł wspaniałe rzeczy, między innymi „piwo mocne jak wół” i

„paszteciki zawierające wiele części świni”. Wszyscy mieszkańcy wydawali się posiadać mądrość, dobroć, siłę albo wszystkie trzy naraz, a już zwłaszcza jakaś postać określana mianem Wielkiego Maga, która odgrywała znaczącą rolę w opowieści.

Zdarzały się tajemnicze komentarze, na przykład: „Zobaczyłem, jak pewien człowiek nadepnął na palce Miejskiego Strażnika, który rzekł do niego: Twoja żona jest wielkim hipopotamem, na co człowiek ów odparł: Wsadź to sobie w miejsce, którego słońce swym blaskiem nie oblewa, wielka osobo, po czym Strażnik [ten fragment zapisano czerwonym tuszem i trochę niewyraźnie, jak gdyby piszący był bardzo podekscytowany] nie pozbawił tego człowieka głowy zgodnie z prastarym obyczajem”. Po zdaniu następował piktogram psa oddającego moc, który z niejasnych powodów był agatejskim odpowiednikiem wykrzyknika. Tutaj wyrysowano ich aż pięć.

Rincewind przewracał strony. Wypełniały je takie same nudne historie, zdania stwierdzające rzeczy porażająco oczywiste, jednak często zakończone kilkoma psami w potrzebie. Choćby takie: „Oberżysta powiedział, że Miasto żąda podatku, ale on nie zamierza go płacić; zapytany, czy się nie lęka, udzielił odpowiedzi: [Skomplikowany piktogram] ich wszystkich oprócz jednego, a on niech sam się [skomplikowany piktogram], [sikający pies, sikający pies]. Następnie mówił dalej: A ten [piktogram oznaczający Najwyższego Władcę] jest [inny piktogram, który - po chwili namysłu i przyjrzeniu mu się pod różnymi kątami - Rincewind uznał, że oznacza koński zadek], i możecie mu to powtórzyć. I wtedy Strażnik w oberży nie wypruł mu wnętrzości [sikający pies, sikający pies], ale rzeki: Ode mnie też mu to powiedzcie [sikający pies, sikający pies, sikający pies, sikający pies, sikający pies]”.

Co w tym dziwnego? Ludzie w Ankh-Morpork mówili tak przez cały czas - a w każdym razie wyrażali podobne uczucia. Tyle że nie dodawali psa, oczywiście.

Chociaż z drugiej strony państwo, które ściera z powierzchni Dysku całe miasto, żeby udzielić lekcji innemu miastu, to obłąkane państwo. Może ta książka jest po prostu zbiorem żartów, a on zwyczajnie ich nie rozumie.

Może komedianci tutaj wzbudzają wśród publiczności wybuchy śmiechu powiedzeniami w stylu: „Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie, w drodze do teatru spotkałem pewnego człowieka, a on nie odrąbał mi nóg, sikający pies, sikający pies...”.

Rincewind słyszał brzęk uprzęży na drodze, ale nie zwrócił na to uwagi. Nie uniósł nawet głowy, gdy zabrzmiały zbliżające się kroki. Kiedy wreszcie pomyślał, żeby spojrzeć, było już za późno, bo ktoś przygniatał mu butem kark.

- Oj, sikający pies - mruknął i zemdlał.

* * *

Nastąpił gwałtowny podmuch i w powietrzu pojawił się Bagaż. Runął ciężko w zaspę. W jego wieku tkwił tasak do mięsa.

Przez dłuższą chwilę Bagaż pozostał nieruchomy, po czym, wykonując nóżkami skomplikowany taniec, okręcił się dookoła o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni.

Bagaż nie myślał. Nie miał niczego, co mogłoby służyć do myślenia. Jakiegokolwiek procesy zachodziły w jego wnętrzu, miały zapewne więcej wspólnego ze sposobem, w jaki drzewo reaguje na słońce, deszcze i niespodziewaną burzę; w jego przypadku jednak były to reakcje bardzo przyspieszone.

Po chwili chyba zorientował się w położeniu i poczłapał przez topniejący śnieg.

Bagaż także nie odczuwał. Nie miał czym odczuwać. Reagował jednak, tak jak drzewo reaguje na zmiany pór roku.

Przyspieszył.

Był blisko domu.

* * *

Rincewind musiał przyznać, że krzyczący człowiek ma rację. Nie w tym, ma się rozumieć, że ojciec Rincewinda był gnijącą wątrobą pewnej odmiany górskiej pandy, a matka wiadrem żółtego śluzu. Rincewind nie pamiętał osobistych spotkań z żadnym z rodziców, przypuszczał jednak, że oboje byli przynajmniej w przybliżeniu humanoidalni, choćby i przez krótki czas. Jednak w kwestii posiadania skradzionego konia trafił Rincewinda w czuły punkt, a także postawił mu stopę na karku. Stopa na karku to dziewięć dziesiątych prawa.

Poczuł, że czyjeś dłonie przeszukują mu kieszenie.

Inny człowiek - Rincewind niewiele widział poza kilkoma calami aluwialnej gleby, jednak sądził z kontekstu, że był to człowiek raczej niesympatyczny - włączył się do krzyków.

Ktoś szarpnięciem postawił Rincewinda na nogi.

Gwardziści okazali się całkiem podobni do tych, których Rincewind spotykał na całym Dysku. Dysponowali akurat odpowiednim intelektem, jaki jest niezbędny, by tłuc ludzi i wlec ich do jam ze skorpionami. Byli też mistrzami ligi w konkurencji wrzeszczenia na ludzi z odległości kilku cali od ich twarzy.

Efekt ten wydawał się nieco surrealistyczny, gdyż sami gwardziści nie mieli twarzy, a przynajmniej nie taką, którą mogliby nazwać własną. Na ich ozdobnych, pokrytych czarną emalią hełmach wymalowano wielkie, wąsate oblicza. Odkryte pozostawały tylko usta właściciela, aby mógł na przykład nazwać dziadka Rincewinda skrzynią nędznych odchodów złotych rybek.

Ktoś machał mu przed oczami „Co robiłem na wakacjach”.

- Worku gnijących ryb!

- Nie wiem, co to znaczy - wyjaśnił Rincewind. - Ktoś niedawno dał mi...

- Stopo wyjątkowo przegniłego mleka!

- Czy mógłbyś, jeśli wolno, nie krzyczeć tak głośno? Obawiam się, że pękł mi bębenek.

Gwardzista przycichł, być może tylko dlatego, że zabrakło mu tchu. Rincewind wykorzystał tę chwilę ciszy, by się rozejrzeć.

Na trakcie stały dwa powozy. Jeden wyglądał jak klatka na kołach; dostrzegł tam jakieś twarze i oczy obserwujące go ze zgrozą. Drugi był rzeźbioną lektyką niesioną przez ośmiu wieśniaków. Z boków osłaniały ją haftowane zasłony; zauważył jednak, że w jednym miejscu są rozsunięte, aby pasażer lektyki mógł mu się przyjrzeć.

Gwardziści zdawali sobie z tego sprawę. I chyba byli trochę speszeni.

- Jeśli mogę wytłu...

- Cisza, ty gębo... - gwardzista się zawahał.

- Wykorzystałeś już żółwia, złotą rybkę i coś, co chyba miało być serem
- podpowiedział Rincewind.

- Gębo kurzego żołądka!

Długa, wąska dłoń wysunęła się zza zasłony i skinęła jeden raz.

Rincewinda pchnięto naprzód. Dłoń miała najdłuższe paznokcie, jakie w życiu widział u czegoś, co nie mruczy.

- Ukorz się.

- Słucham?

- Ukorz się!

Wydobyto miecze.

- Nie wiem, o co wam chodzi! - jęknął Rincewind.

- Ukorz się, proszę - szepnął mu do ucha jakiś głos. Nie był szczególnie przyjazny, ale w porównaniu z innymi wydawał się wręcz czuły. Brzmiał tak, jakby należał do bardzo młodego człowieka. I mówił całkiem czystym ankhmorporskim.

- Jak?

- Nie wiesz tego? Uklęknij, dotknij czołem ziemi. To znaczy, jeśli chcesz jeszcze kiedyś nosić kapelusz.

Rincewind zawahał się. Był wolnym obywatelem Ankh-Morpork, a na liście rzeczy, których wolny obywatel nie robi, wpisano także kłanianie się jakimukolwiek, bez obrazy, ale cudzoziemcowi.

Z drugiej strony na samym szczycie listy rzeczy, jakich nie robi wolny obywatel, umieszczono pozwolenie na odrąbanie swojej głowy.

- Teraz lepiej. Całkiem dobrze. Skąd wiedziałeś, że należy się trząść?

- Sam to wymyśliłem.

Dłoń kiwnęła palcem.

Gwardzista trzasnął Rincewinda w twarz zabłoconym egzemplarzem „Co robiłem...”. Zmieszany Rincewind chwycił plik kartek, a gwardzista pospieszył ku palcowi swego pana.

- Głosie... - zaczął Rincewind niepewnie.

- Tak?

- Co się stanie, jeśli powołam się na swój immunitet jako cudzoziemiec?

- Jest taki specjalny zabieg, który przeprowadzają z drucianą siatką i tarką do sera.

- Aha.

- A w Hunghung są oprawcy, którzy potrafią utrzymać człowieka przy życiu przez całe lata.

- Mam wrażenie, że nie mówisz o zdrowych porannych przebieżkach i diecie bogatej w błonnik?

- Nie. Dlatego bądź cicho. Przy odrobinie szczęścia zostaniesz wysłany jako niewolnik do pałacu.

- Szczęście to moje drugie imię - zapewnił niewyraźnie Rincewind. - Co prawda moje pierwsze imię to: Nie.

- Pamiętaj, żeby bełkotać i się płaszczyć.

- Postaram się jak najlepiej.

Biała dłoń wysunęła się znowu, trzymając skrawek papieru. Strażnik odebrał go, odwrócił się do Rincewinda i odchrząknął.

- Wysłuchaj mądrej i sprawiedliwej decyzji zarządcy dystryktu Kee, bąblu gazu bagiennego! Nie on jest bąblem, znaczy, tylko ty!

Odchrząknął znowu i przysunął papier do oczu jak człowiek, który uczył się czytać, bardzo starannie rozpoznając literkę po literce.

Biały kucyk biegnie przez... przez...

Gwardzista odwrócił się i odbył szeptem krótką rozmowę z zasłoną.
Potem wrócił do czytania.

...kwiecie... cie chryzantem,
Zimny wiatr porusza gałęziami
Drzew moreli. Poślijcie go do
Pałacu; niech tam pracuje
Dopóki wszystkie kończyny
Nie odpadną
Mu.

Kilku gwardzistów zaczęło bić brawo.

- Unieś głowę i klaszcz - poradził Głos.

- Obawiam się, że kończyny mi odpadną.

- To bardzo wielka tarka.

- Brawo! Bis! Rewelacja! Zwłaszcza to o kwiecieciu chryzantem.
Cudowne!

- Dobrze. Teraz słuchaj. Jesteś z Bes Pelargic. Masz odpowiedni akcent, choć niech mnie demony porwą, jeśli wiem skąd. To port morski i ludzie są tam trochę dziwaczni. Napadli cię bandyci, ale uciekłeś, porywając im konia. Dlatego nie masz żadnych dokumentów. Papiery są tu potrzebne do wszystkiego, w tym do bycia kimkolwiek. I udawaj, że mnie nie znasz.

- Przecież cię nie znam.

- Tym lepiej. Niech żyje walka o zmianę stanu rzeczy na bardziej sprawiedliwy, z zachowaniem jednak należnego szacunku dla tradycji naszych przodków i oczywiście z wyłączeniem ataku na świętą osobę cesarza!

- Dobrze. Tak. Co?

Gwardzista kopnął Rincewinda w okolice nerek. To sugerowało - w międzynarodowym języku buta - że powinien wstać.

Z trudem podniósł się na kolano i wtedy zobaczył Bagaż.

To nie był jego Bagaż. I było ich trzy.

* * *

Bagaż wbiegł truchtem na szczyt pagórka i zatrzymał się tak szybko, że zostawił w ziemi mnóstwo małych bruzd.

Oprócz nieposiadania organów zdolnych do myślenia i odczuwania Bagaż nie miał także żadnych narządów wzroku. Jego sposób percepcji zdarzeń był całkowitą tajemnicą.

W tej chwili dokonał percepcji innych Bagaży.

Cała ich trójka stała cierpliwie rzędem za lektyką. Były duże. Były

czarne.

Nóżki Bagażu zniknęły wewnątrz korpusu.

Po chwili ostrożnie uchylił wieko - tylko odrobinę.

* * *

Z trzech faktów, znanych powszechnie na temat konia, trzeci to ten, że na krótkim dystansie koń nie potrafi biec tak szybko jak człowiek. Rincewind przekonał się już, ku swej korzyści, że koń ma więcej nóg do rozplątania.

Człowiek zyskiwał też dodatkową przewagę, jeśli a) ludzie na koniach nie spodziewali się, że zacznie uciekać, i b) przypadkiem, ale bardzo dogodnie, zajął już lekkoatletyczną pozycję startową.

Wyrwał się niczym bumerangowe curry z delikatnego żołądka.

Słyszał krzyki, ale - co pocieszające i co najważniejsze - wszystkie rozlegały się za nim. Wkrótce spróbują go dogonić, ale na razie nie warto się tym martwić. Później zastanowi się także, dokąd właściwie ucieka. Jednak doświadczony tchórz nie dba o „dokąd”, dopóki „przed czym” stanowi problem tak fascynujący.

Biegacz z mniejszą praktyką zaryzykowałby może szybki rzut oka za siebie, ale Rincewind instynktownie wiedział wszystko o oporze powietrza i tendencji przypadkowych kamieni do układania się pod nieuważną stopą. Zresztą po co oglądać się za siebie? I tak biegł już najszybciej, jak potrafił. Nic, co zobaczy, nie skłoni go do zwiększenia prędkości.

Przed sobą widział sporą, bezkształtną wioskę, zbudowaną najwyraźniej z błota i nawozu. Wieśniacy na polach odrywali się od pracy, by popatrzeć na pędzącego uciekiniera.

Może sobie to tylko wyobrażał, ale mógłby przysiąc, że słyszy okrzyki:

- Oby najdłuższe trwanie Czerwonej Armii! Żałosny zgon bez niepotrzebnych cierpień siłom opresji!

Zanurkował między chaty, gdy żołnierze ruszyli na chłopów.

Cohen miał rację. Rzeczywiście szykowałą się tu rewolucja. Ale Imperium Agatejskie istniało niezmiennie od tysięcy lat, a grzeczność i szacunek dla protokołu wplotły się w samą jego ośnowę. Sądząc po tym, co usłyszał, rewolucjoniści musieli dopiero opanować sztukę nieuprzejmych sloganów.

Rincewind wolał ucieczkę od ukrywania się. Kryjówka jest wygodna, ale kiedy już człowieka znajdą, to po nim. Jednak wioska była jedyną osłoną w promieniu wielu mil, a niektórzy żołnierze mieli konie. Człowiek może i jest szybszy od konia na krótkim dystansie, lecz wśród tych płaskich, otwartych pól nie miałby z koniem żadnych szans.

Wskoczył do najbliższego budynku i pchnął pierwsze drzwi, na jakie trafił.

Na drzwiach wisiała kartka ze słowami: „Cisza! Egzamin!”.

Czterdzieści wyczekujących, trochę niespokojnych twarzy uniosło się znad stolików. Nie były to twarze dzieci, ale ludzi całkiem dorosłych.

Pod ścianą stał pulpit, a na nim stos kartek przewiązanych wstążką i zapieczętowanych lakiem.

Rincewind wyczuł znajomą atmosferę. Oddychał już taką, choć działo się to na drugim końcu świata. Wypełniał ją odór zimnego potu wydzielanego wskutek nagłej świadomości, że chyba już za późno na powtórkę materiału, którą człowiek stale odkładał. Rincewind przeżył wiele straszliwych momentów, jednak żaden nie zajmował tak poczesnego miejsca w leksykonie grozy, jak te kilka sekund po tym, gdy ktoś powie: „Odwróćcie

teraz kartki i przeczytajcie pytania”.

Kandydaci patrzyli na niego.

Z zewnątrz dobiegały krzyki.

Podbiegł do pulpitu, zerwał pieczęć i jak najszybciej rozdał kartki. Potem wrócił za bezpieczny pulpit, zdjął kapelusz i zdążył się pochylić, nim ktoś powoli otworzył drzwi.

- Wyjść! - wrzasnął. - Trwa egzamin!

Niewidoczny intruz za drzwiami wymruczał coś do kogoś innego. Drzwi się zamknęły.

Kandydaci wciąż na niego patrzyli.

- No tak. Dobrze. Odwróćcie kartki.

Zabrzmiały szelesty, kilka chwil pełnej grozy ciszy, a potem odgłosy pracujących pędzelków.

Egzaminy konkursowe. Tak. Kolejny powszechnie znany fakt na temat Imperium Agatejskiego. Był to jedyny sposób, by zdobyć jakiekolwiek publiczne stanowisko i łączące się z nim bezpieczeństwo. Wszyscy uważali, że to świetny system, ponieważ daje szansę ludziom kompetentnym.

Rincewind sięgnął po zapasową kartę.

Nagłówek brzmiał: Egzamin na stanowisko Asystenta Czyściciela Latryn w dystrykcie Wung.

Rincewind przeczytał pierwsze zadanie. Wymagało, by kandydaci napisali szesnastowersowy poemat na temat mgły unoszącej się nad trzcinami.

Pytanie drugie dotyczyło użycia metafory w jakiejś książce, o której nigdy nie słyszał.

Trzecie było pytanie o muzykę...

Przeczytał kartę kilka razy. Nie znalazł żadnej wzmianki, nigdzie, o takich rzeczach jak „nawóz”, „wiadro” albo „taczki”. Ale prawdopodobnie system taki prowadził do wyższej klasy pracowników niż metoda ankhmorporska, gdzie zadawano tylko jedno pytanie: „Masz własną łopatę?”.

Krzyki na zewnątrz chyba przycichły; Rincewind zaryzykował i wyrzwał za drzwi. Zauważył jakieś poruszenie na drodze, ale chyba nie wiązało się już z jego ucieczką.

Puścił się biegiem.

Kandydaci nie przerywali egzaminu. Jeden z odważniejszych podwinął jednak nogawkę spodni i skopiował poemat o mgle, który z wielkim wysiłkiem ułożył jakiś czas temu. Po kilku próbach człowiek zaczyna się domyślać, jakie pytania zadadzą egzaminatorzy.

Rincewind biegł przed siebie, starając się trzymać rowów wszędzie tam, gdzie nie wypełniało ich głębokie po kolana rzadkie błoto. Nie była to okolica stworzona do ukrywania się. Agatejczycy uprawiali każdy kawałek ziemi, z którego ziarno się staczało. Poza rzadkimi głazami zauważał wyraźny brak miejsc, gdzie mógłby się przyczaić.

Kiedy opuścił wioskę, nikt właściwie nie zwracał na niego szczególnej uwagi. Czasami operator bawołu oglądał się i patrzył na niego, póki nie zniknął z pola widzenia, ale nie zdradzał przesadnej ciekawości. Po prostu Rincewind był odrobinę bardziej interesujący niż defekacja bawołu.

Szedł równolegle do traktu i o zmroku dotarł do skrzyżowania.

Stała tam gospoda.

Rincewind nic nie jadł od czasu leoparda. Gospoda oznaczała posiłek, ale posiłek oznaczał zapłatę. Rincewind był głodny i nie miał pieniędzy.

Zbeształ sam siebie za takie negatywne myślenie. To nie było właściwe podejście. Powinien wejść do gospody i zamówić solidny posiłek. Wtedy zamiast być głodny i bez pieniędzy, będzie najedzony i bez pieniędzy - zdecydowana poprawa w stosunku do obecnej sytuacji. Oczywiście, świat zechce pewnie zgłosić jakieś obiekcje, ale doświadczenie podpowiadało Rincewindowi, że niewiele jest problemów, których nie rozwiąże głośny wrzask i dobre trzydzieści stóp wyprzedzenia na starcie. W dodatku będzie wtedy właśnie po solidnym posiłku.

Poza tym lubił hunghungańską kuchnię. Uchodźcy często otwierali w Ankh-Morpork restauracje i Rincewind zaczął się uważać za niezłego znawcę ich potraw* [przyp.: Takich jak potrawa ze Lśniącej Brązowej Substancji, potrawa ze Lśniącej Chrupiącej Pomarańczowej Substancji i potrawa z Miękkich Białych Grud.].

W gospodzie jedyna sala było ciemna od dymu i - o ile dało się to ocenić przez chmury i kłęby - raczej zatłoczona. Para staruszków siedziała przed skomplikowaną konstrukcją kafelków z kości słoniowej: grali w Shibo Yangcong-san. Nie był pewien, co takiego palą, ale wydawali się zadowoleni, że właśnie to wybrali.

Rincewind przecisnął się aż do paleniska, gdzie chudy mężczyzna pilnował kociołka.

Rincewind uśmiechnął się do niego uprzejmie.

- Dzień dobry. Czy mógłbym spożyć twój słynny smakowity zestaw A na dwie osoby z dodatkowym krakersem krewetkowym?

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Hm... w takim razie... czy mogę zobaczyć bolesne ucho... rehot żaby... menu?

- Cóż to jest menu, przyjacielu?

Rincewind pokiwał głową. Wiedział, co oznacza, kiedy obcy takim tonem zwraca się do niego „przyjacielu”. Ktoś, kto w ten sposób nazywa kogoś innego przyjacielem, nie jest przyjaźnie usposobiony.

- Chodzi mi o to, co masz do jedzenia.

- Makaron, gotowana kapusta i świńska szczecina.

- To wszystko?

- Świńska szczecina nie rośnie na drzewach, san.

- Przez cały dzień mijam bawoły na polach. Czy wy tu nigdy nie jadacie wołowiny?

Chochla z pluskiem wpadła do kotła. Gdzieś z tyłu stuknęła o podłogę kamień shibo. Kark Rincewinda zaczął mrowić od czujnych spojrzeń.

- Buntownik... nie podajemy - oznajmił głośno oberżysta.

Pewnie byłby zbyt mięsisty, pomyślał Rincewind. Miał jednak wrażenie, że słowa były skierowane do świata jako takiego, a nie do niego konkretnie.

- Miło to słyszeć - zapewnił. - Ponieważ...

- W samej rzeczy - zapewnił oberżysta jeszcze trochę głośniejszym głosem. - Buntownicy nie są tu mile widziani.

- To mi odpowiada, gdyż...

- Gdybym wiedział o jakichś buntownikach, z pewnością zawiadomiłbym władzę! - huknął oberżysta.

- Nie jestem buntownikiem. Jestem tylko głodny. Ja, tego... poproszę

misce.

Miska została napełniona. Tęczowe błyski tańczyły na oleistej powierzchni.

- Należy się pół rhinu - oświadczył oberżysta.
- To znaczy, że mam zapłacić przed jedzeniem? - zdziwił się Rincewind.
- Potem mógłbyś odmówić, przyjacielu.

Rhinu to więcej złota, niż Rincewind kiedykolwiek posiadał. Dramatycznym gestem poklepał się po kieszeniach.

- Chwileczkę... Zdaje się, że niestety...

Coś uderzyło o deski obok niego - „Co robiłem na wakacjach” wypadło na podłogę.

- Bardzo dziękuję, to zupełnie wystarczy - zwrócił się oberżysta do całej sali.

Wcisnął Rincewindowi miskę w ręce, jednym płynnym ruchem podniósł książeczkę i wsunął ją magowi do kieszeni.

- Idź, usiądź w rogu! - szepnął. - Potem się dowiesz, co robić!
- Ale ja przecież wiem, co robić. Zanurzyć łyżkę w misce, podnieść łyżkę do ust...
- Siadaj!

Rincewind znalazł najciemniejszy kąt i usiadł. Ludzie ciągle mu się przyglądali. By uniknąć ich spojrzeń, wyjął „Co robiłem...” i otworzył w przypadkowym miejscu. Chciał się dowiedzieć, dlaczego książka tak magicznie podziałała na oberżystę.

„...sprzedał mi bułkę zawierającą coś, co nazywano [skomplikowany piktogram] zrobioną całkowicie z wnętrzości świń [sikający pies]. Podobne do niej można było nabyć za niewielką monetę o dowolnej porze, mieszkańcy zaś byli tak syci, że mało kto kupował te [skomplikowany piktogram] ze straganu [skomplikowany piktogram, ale zdawało się, że przedstawia również brzytwę]”.

Kiełbaski napelnione częściami świni, myślał Rincewind. Cóż, może i są zadziwiającą potrawą, jeśli do tej pory ktoś za solidny posiłek uważał pomyje z czymś krzepnącym na wierzchu.

Ha! Pan Co Robiłem na Wakacjach powinien następnym razem przyjechać do Ankh-Morpork. Zobaczylibyśmy, jak by mu smakowały kiełbaski... od... Dibblera... pełne... naturalnych... świńskich... produktów...

Łyżka chlupnęła do miski.

Rincewind nerwowo przewracał strony.

„...spokojne ulice, po których spacerowaliśmy, były całkiem bezpieczne, wolne od przestępstw i napadów...”.

- Pewnie że były, ty czterooki łobuzie! - wykrzyknął Rincewind. - To dlatego, że wszystko przytrafiało się mnie!

„Miasto, gdzie wszyscy ludzie są wolni...”.

- Wolni? Wolni?! No tak, wolni, by głodować, dawać się obrabować przez Gildię Złodziei... - powiedział Rincewind do książki.

Zajrzał na inną stronicę.

„Moim towarzyszem był Wielki Mag [skomplikowany piktogram, ale teraz, kiedy Rincewind mu się przyjrzał, z bijącym sercem zauważył, że zawiera kilka linii przypominających agatejski znak oznaczający wiatr], najwybitniejszy i najpotężniejszy mag w całym kraju...”.

- Nigdy tego nie mówiłem! Przecież... - Rincewind urwał nagle. Zdradziecka pamięć podsunęła mu kilka zdań, takich jak „Och, nadrektor słucha wszystkiego, co mu powiem” albo „Gdyby nie ja, wszystko tu rozsypałoby się na kawałki”. Ale nie takie rzeczy człowiek opowiada po paru piwach, nikt chyba nie byłby tak naiwny, żeby napisać...

W pamięci Rincewinda pojawił się wizerunek szczęśliwego, uśmiechniętego małego człowieczka w wielkich okularach, z ufnym, niewinnym podejściem do życia, który gdziekolwiek zawędrował, sprowadzał grozę i zniszczenie. Dwukwiat nie potrafił uwierzyć, że świat jest zły i wrogi, przede wszystkim dlatego, że dla niego nie był. Wszystko, co najgorsze, trzymał dla Rincewinda.

Życie Rincewinda nie obfitowało w zdarzenia, dopóki nie spotkał Dwukwiata. Od tego dnia, o ile sobie przypominał, zawierało zdarzenia w ogromnych ilościach.

A mały człowieczek wrócił do domu, prawda? Do Bes Pelargic - jedyne prawdziwego portu morskiego w Imperium Agatejskim. Z pewnością nikt nie byłby tak naiwny, żeby napisać coś takiego.

Z pewnością nikt poza jedną osobą nie byłby tak naiwny.

Rincewind nie interesował się polityką, ale pewnych spraw potrafił się domyślić nie dlatego, że miały związek z polityką, ale dlatego że wynikały z ludzkiej natury. Nieprzyjemne obrazy wsunęły się na miejsca niczym paskudne dekoracje.

Imperium było otoczone murem. Jeśli człowiek żył w Imperium, uczył się gotować zupę ze świńskich chrząkań i oblizywać się, ponieważ tak się to robi; żołnierze się nad nim znęcali, ponieważ tak właśnie funkcjonuje świat.

Ale jeśli ktoś napisał taką wesołą książeczką o...

...o tym, co robił na wakacjach...

...w miejscu, gdzie świat funkcjonuje całkiem inaczej...

...wtedy, niezależnie od tego, jak zastygłe jest społeczeństwo, zawsze znajdą się ludzie, którzy zaczną stawiać niebezpieczne pytania. Na przykład „Gdzie jest wieprzowina?”.

Rincewind wpatrywał się ponuro w ścianę. Wieśniacy Imperium Agatejskiego, powstańcie! Nie macie nic do stracenia prócz głów, rąk, nóg, a jeszcze dochodzi to coś, co robią z drucianą siatką i tarką do sera...

Spojrzał na okładkę, ale nie znalazł nazwiska autora. Była tylko krótka wiadomość: „Zwiększona szczęśliwość! Zrób kopię! Wydłużone trwanie i szczęście dla uczestników!”.

W Ankh-Morpork także czasami zdarzały się rewolucje. Ale nikt nie starał się ich organizować. Ludzie po prostu łapali jakąś broń i wychodzili na ulice. Nikt nie myślał o oficjalnych zawołaniach bojowych, polegając raczej na sprawdzonym: „Tam idzie! Łapcie go! Macie? To teraz dajcie mu kopa!”.

Chodzi o to, że... że cokolwiek powodowało takie wypadki, na ogół nie było ich przyczyną. Kiedy Szalony Lord Snapcase zawisł ze swym figginem* [przyp.: Tak mówią książki historyczne. Jednak, podobnie jak wszyscy studenci, Rincewind z nadzieją sprawdził „figgin” w słowniku i odkrył, że oznacza „chrupiące ciasteczko z rodzynkami”. To znaczyło, że albo język zmienił się trochę przez lata, albo było coś przerażającego w zawieszeniu człowieka obok herbatnika.] w pętli, to przecież naprawdę nie dlatego, że zmusił biednego Spoonera Boggisa do zjedzenia własnego nosa, ale z powodu długich lat pomysłowych złośliwości, które zbierały się, aż poczucie krzywdy osiągnęło...

Z drugiego końca sali rozległ się przerażający krzyk. Rincewind zdążył się już niemal poderwać, gdy zauważył niewielką scenę i aktorów. Na podłodze przysiadła trójka muzyków. Wszyscy klienci odwrócili się, by popatrzeć.

Przedstawienie było na swój sposób interesujące. Rincewind nie całkiem

rozumiał fabułę, ale chodziło mniej więcej o to, że chłopak zdobywa dziewczynę, chłopak traci dziewczynę, która woli innego chłopaka, chłopak rozrąbuje oboje na połowy, chłopak rzuca się na własny miecz, wszyscy stają na brzegu sceny i kłaniają się, co pewnie było agatejskim odpowiednikiem „znów nastały szczęśliwe dni”. Trudno było zorientować się w szczegółach, gdyż aktorzy często krzyczeli „Hurrrraa!”, większość czasu spędzali na rozmowach z publicznością, a ich maski wydawały się Rincewindowi całkiem identyczne. Muzycy przebywali chyba we własnym świecie, czy też - sądząc po dźwiękach - w trzech różnych światach.

- Ciasteczko szczęścia?

- Co?

Rincewind wynurzył się z głębin kontemplacji sztuki aktorskiej i zobaczył obok siebie oberżystę, który podtykał mu pod nos tacę ciastek o małżowatym kształcie.

- Ciasteczko szczęścia?

Rincewind wyciągnął rękę. Kiedy już miał chwycić jedno z nich, oberżysta gwałtownie szarpnął tacę o cal czy dwa, podsuwając mu pod palce inne ciasteczko.

Co tam... Wziął je. Sztuka rozwijała się hałaśliwie.

Problem polega na tym, myślał dalej, że w Ankh-Morpork można przynajmniej złapać w ręce jakąś prawdziwą broń.

Biedaczyska... Trzeba czegoś więcej niż chwytliwe hasła i mnóstwo entuzjazmu, żeby przeprowadzić porządną rewolucję. Potrzebni są wyćwiczeni bojownicy, a przede wszystkim sprawny dowódca. Miał nadzieję, że znajdzie takiego, kiedy on sam będzie już daleko.

Przełamał ciasteczko i odruchowo przeczytał wróżbę. Nie zauważył, że oberżysta zachodzi go od tyłu.

Zamiast zwykłego: „Właśnie spożyłeś marny posiłek” znalazł na papierku całkiem złożony piktogram. Przesuwał palcami po liniach tuszu.

- „Serdeczne... serdeczne... przeprosiny...”. Co to za...

Muzyk głośno uderzył talerzami.

Drewniana pałka odbiła się od głowy Rincewinda.

Starcy przy kościach shibo z zadowoleniem pokiwali głowami i wrócili do gry.

* * *

Wstał piękny poranek. W kryjówce rozlegały się głosy Srebrnej Ordy wstającej, stękającej, mocującej różnego typu protezy domowej roboty, narzekającej, że nie można znaleźć okularów, i przez pomyłkę wkładającej cudze sztuczne szczęki.

Cohen moczył nogi w ciepłej wodzie i rozkoszował się promieniami słońca.

- Ucz!

Były nauczyciel geografii był całkowicie skupiony na mapie, którą kreślił.

- Słucham, Dżyngis?

- Czemu Wściekły Hamish jest taki wściekły?

- Twierdzi, że chleb jest czerstwy, a on nie może znaleźć swoich zębów.

- Powiedz mu, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, niedługo może mieć

tuzin młodych kobiet, które przeżują ten chleb dla niego.

- To niehigieniczne, Dżyngis. - Saveloy nawet nie uniósł głowy. - Pamiętaj, opowiadałem wam o higienie.

Cohen nie trudził się z odpowiedzią. Myślał: Sześciu starych ludzi. A Uczą właściwie trudno liczyć, jest myślicielem, nie wojownikiem.

Zwątpienie nie było czymś regularnie wizytującym czaszkę Cohena. Kiedy człowiek usiłuje w jednej ręce nieść wyrywającą się dziewczę ze świątyni i worek skradzionych świątynnych skarbów, a drugą walczy z kilkoma rozzłoszczonymi kapłanami, niewiele pozostaje mu czasu na refleksje. Dobór naturalny sprawił, że zawodowi bohaterowie, którzy w kluczowym momencie skłonni są zadawać sobie pytania w rodzaju: „Jaki jest cel mojego życia?”, w krótkim czasie tracą i cel, i życie.

Ale sześciu starych ludzi... A Imperium Agatejskie ma prawie milion pod bronią.

Kiedy oceniało się stosunek sił w chłodnym świetle poranka, a nawet w tym przyjemnym, ciepłym świetle poranka, skłaniał on, by zastanowić się i zająć arytmetyką śmierci. Jeśli plan się nie powiedzie...

Cohen w zadumie przygryzł wargę. Jeśli plan się nie powiedzie, całe tygodnie miną, zanim uda im się zabić wszystkich. Może jednak powinien zabrać ze sobą Thoga Rzeźnika, chociaż musiał co dziesięć minut przerywać walkę i iść do ubikacji.

Co tam... teraz nie mógł się już wycofać, więc pozostało mu tylko jak najlepiej wykorzystać sytuację.

Kiedy Cohen był małym chłopcem, ojciec zabrał go kiedyś na szczyt góry i wyjaśnił credo bohatera. Powiedział też, że nie ma większej radości niż zginąć w bitwie.

Cohen natychmiast dostrzegł błąd w tym rozumowaniu, a późniejsze

życiowe doświadczenie umocniło tylko jego przekonania. Uważał, że jeszcze większą radością jest zabić w bitwie tego drugiego, a potem żyć sobie, siedząc na wysokim po nos stosie złota. Było to spostrzeżenie, które dobrze mu się przysłużyło.

Wstał i przeciągnął się w słonecznym cieple.

- Piękny mamy ranek, chłopcy - oświadczył. - A ja czuję się jak milion dolarów. Wy nie?

Odpowiedział mu niechętny pomruk aprobaty.

- To dobrze - uznał Cohen. - Chodźmy i zdobądźmy ich trochę.

* * *

Wielki Mur całkowicie otacza Imperium Agatejskie. Kluczowym słowem jest tu „całkowicie”.

Mur zwykle ma około dwudziestu stóp wysokości, jest pionowy i gładki po wewnętrznej stronie. Ciągnie się wzdłuż brzegów rzek, przez nagie pustynie, a nawet na krawędziach stromych urwisk, gdzie szansa wrogiego ataku jest nikła. Na opanowanych wyspach, takich jak Tingling czy Bhangbhangduc, stoją podobne mury, będące metaforycznie tym samym Wielkim Murem. Dziwi to ludzi o bezmyślnie wojskowych charakterach, którzy nie zdają sobie sprawy, jaką naprawdę pełni funkcję.

To coś więcej niż mur - to znak. Po jednej jego stronie znajduje się Imperium, które w języku agatejskim określane jest takim samym słowem jak wszechświat. Po drugiej stronie nie ma nic. W końcu wszechświat to wszystko, co istnieje.

Naturalnie, może się wydawać, że są tam jakieś obiekty, takie jak morza, wyspy, inne kontynenty i tak dalej. Mogą sprawiać wrażenie całkiem

materialnych, możliwe jest podbicie ich, można po nich chodzić... ale nie są w istotnym sensie realne. W języku agatejskim cudzoziemiec określany jest tym samym słowem co upiór, a tylko o jedno pociągnięcie pędzelka różniącym się od słowa oznaczającego ofiarę.

Mury są wysokie, by zniechęcić te marudne osoby, które uparcie wierzą, że po drugiej stronie może być coś interesującego. Zadziwiające, ale wciąż zdarzają się tacy, którzy nawet po tysiącach lat nie potrafią zrozumieć prostego przekazu. Mieszkańcy wybrzeża budują tratwy i wyruszają przez nieprzyjazne morze ku mitycznym krainom. Ci w głębi lądu próbują korzystać z latawców albo foteli napędzanych fajerwerkami. Wielu z nich ginie podczas takich prób, naturalnie. Większość pozostałych zostaje szybko schwytana i zmuszona do życia w ciekawych czasach.

Ale niektórym udaje się dotrzeć do tego ogromnego tygla zwanego Ankh-Morpork. Przybywają bez pieniędzy - marynarze żądają tyle, ile może wytrzymać rynek, to znaczy wszystkiego - jednak z szaleńczym błyskiem w oczach. Otwierają sklepy i restauracje, by pracować tam dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nazywają to „ankhmorporskim snem” (zarobienie stosów pieniędzy w miejscu, gdzie twoja śmierć raczej nie bywa kwestią polityki państwa). A sen ten śni się najwyraźniej ludziom, którzy nie śpią.

* * *

Rincewind myślał czasami, że jego życie jest akcentowane przebudzeniami. Nie zawsze bywały brutalne, czasami jedynie nieuprzejme. Bardzo nieliczne - może jedno czy dwa - pamiętał jako całkiem miłe, zwłaszcza na wyspie. Słońce wstawało w swym monotonnym stylu, fale nudno obmywały piasek, a przy kilku okazjach udało mu się nawet przeskoczyć do stanu świadomości bez zwyczajowego krótkiego krzyku.

To przebudzenie nie było zwyczajnie brutalne - było wręcz bezczelne. Przetaczał się na boki, a ktoś wiązał mu ręce. Panowała ciemność - jej przyczyną był worek naciągnięty na głowę.

Rincewind dokonał pewnych obliczeń i uzyskał rezultat.

To siedemnasty najgorszy dzień mojego życia, pomyślał.

Cios w głowę połączony z utratą przytomności w barze był zjawiskiem całkiem zwyczajnym. Jeśli zdarzało się to w Ankh-Morpork, człowiek miał spore szansę, że ocknie się bez pieniędzy, leżąc na powierzchni Ankh. Czasem, gdy jakiś statek miał właśnie wyruszyć na długi i mało popularny rejs, człowiek budził się skuty łańcuchami w ładowni i z planem zajęć przewidującym na najbliższe dwa lata jedynie oranie morskich fal* [przyp.: Mało pociągająca perspektywa, zwłaszcza że konie cały czas toną.]. Na ogół jednak uderzający chciał zachować ofiarę przy życiu. Gildia Złodziei przestrzegała tego bardzo skrupulatnie. Jak mawiali: „Uderzysz kogoś za mocno, możesz go okraść tylko raz; uderzysz jak trzeba, a możesz okradać go co tydzień”.

Jeśli znalazł się w czymś, co sprawiało wrażenie wozu, to ktoś chyba miał jakiś cel w zachowaniu go przy życiu.

Natychmiast pożałował, że o tym pomyślał.

Ktoś ściągnął mu z głowy worek. Zobaczył przed sobą przerażające oblicze.

- Chciałbym zjeść twoją stopę - powiedział.

- Nie martw się. Jesteśmy przyjaciółmi.

Jego rozmówca zdjął maskę. Ukazała się twarz dziewczyny - okrągła, z zadartym nosem, całkiem inna od twarzy wszystkich tutejszych mieszkańców, jakich Rincewind spotykał do tej pory. To dlatego, uświadomił sobie nagle, że patrzyła wprost na niego. Jej ubranie, jeśli nawet nie oblicze, ostatnio oglądał na scenie.

- Nie krzycz - ostrzegła.

- Dlaczego? Co chcesz zrobić?

- Powitalibyśmy cię należycie, ale nie było czasu. - Dziewczyna usiadła między pakunkami w głębi kołyszącego się wozu. Przyjrzała mu się krytycznie. - Cztery Wielkie Sandały mówił, że przybyłeś na smoku i wyciąłeś w pień regiment wojska.

- Przybyłem?

- A potem rzuciłeś czar na szacownego starca i on zmienił się w wielkiego wojownika.

- Zmienił się?

- I chociaż Cztery Wielkie Sandały należy zaledwie do klasy pung, oddałeś mu prawdziwe mięso.

- Oddałem?

- Masz też kapelusz.

- A tak, rzeczywiście. Mam kapelusz.

- Mimo to - stwierdziła dziewczyna - nie wyglądasz na Wielkiego Maga.

- Aha. No tak. Widzisz, chodzi o to...

Dziewczyna wydawała się delikatna jak kwiat. Ale właśnie spomiędzy fałd swego kostiumu wyjęła nieduży, lecz całkiem solidny nóż.

Rincewind miał instynkt do takich spraw. Chwila prawdopodobnie nie była odpowiednia, by zaprzeczać swojej Wielkiej Magowości.

- Chodzi o to - powtórzył - że... A skąd mam wiedzieć, czy mogę ci zaufać?

Dziewczyna oburzyła się.

- Czy nie posiadasz zadziwiających mocy magicznych?

- O tak! Naturalnie! Tylko że...

- Powiedz coś w języku magów!

- Eee...*Isulcus, isulcus, isulcus, moriturus sum* . - Rincewind nie spuszczał wzroku z noża.

- „O udar, zaraz umrę”?

- To, no... to taka specjalna mantra, którą powtarzam, żeby wzbudzić magiczne potęgi.

Dziewczyna złagodniała trochę.

- Ale takie czarowanie jest bardzo męczące - wyjaśnił Rincewind. - Latanie na smokach, magiczna zamiana starców w wojowników... Stać mnie tylko na kilka podobnych czynów, a potem muszę odpocząć. W tej chwili jestem bardzo osłabiony z powodu ogromnych ilości magii, jakich użyłem. Rozumiesz.

Wciąż przyglądała mu się z powątpiewaniem.

- Wszyscy chłopcy wierzą w bliskie przybycie Wielkiego Maga - oświadczyła. - Ale jak rzecze wielki filozof Ly Tin Wheedle, „Kiedy wielu oczekuje wspaniałego rumaka, zobaczą podkowy i na mrówce”.

Raz jeszcze zmierzyła go wzrokiem.

- Na drodze korzyłeś się przed zarządcą dystryktu Kee. Mogłeś przecież zniszczyć go straszliwym magicznym ogniem.

- Grałem na czas, chciałem się rozejrzeć, wolałem się nie demaskować -

bełkotał Rincewind. - Tego... nie powinienem chyba od razu się ujawniać, prawda?

- Maskujesz się?

- Tak.

- Dobrze ci to wychodzi.

- Dziękuję. To dlatego...

- Tylko naprawdę wielki mag ośmieliłby się wyglądać na tak żalosnego przedstawiciela ludzkości.

- Dziękuję. Ale... Skąd wiesz, co się działo na drodze?

- Zabiliby cię tam na miejscu, gdybym ci nie mówiła, co robić.

- Ty byłaś tym gwardzistą?

- Musieliśmy szybko cię odnaleźć. Mieliśmy szczęście, że Cztery Wielkie Sandały cię widział.

- My?

Zignorowała pytanie.

- To byli zwykli prowincjonalni żołnierze. Taka sztuczka nie udałaby mi się w Hunghung. Ale potrafię zagrać wiele ról.

Odłożyła nóż. Rincewind miał jednak przeczucie, że nie skłonił jej, by mu uwierzyła, jedynie by go nie zabijała.

Chwycił się brzytwy.

- Mam magiczną skrzynię na nóżkach - oznajmił z dumą. - Wszędzie za

mną chodzi. Wydaje się, że chwilowo zgubiła drogę, ale to niezwykle przedmiot.

Dziewczyna spojrzała na niego lodowato. Potem wyciągnęła delikatną dłoń i szarpnięciem postawiła go na nogi.

- Czy to coś takiego?

Rozsunęła kotarę z tyłu wozu.

W kurzu drogi wlokły się dwa kufry. Były bardziej odrapane i wyglądały na tańsze niż Bagaż, ale wyraźnie należały do tego samego gatunku, jeśli można użyć tego słowa w stosunku do ekwipunku podróżnego.

- Eee... tak.

Puściła go. Rincewind stuknął głową o podłogę.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedziała. - Dzieje się wiele złego. Nie wierzę w wielkich magów, ale inni wierzą, a ludziom czasem trzeba takiej wiary. I jeśli ci ludzie zginą, ponieważ dostaliśmy maga nie za bardzo wielkiego, okaże się on magiem niezwykle wręcz pechowym. Może i jesteś Wielkim Magiem. Jeśli nie, sugeruję, żebyś bardzo się starał nim zostać. Czy wyrażam się jasno?

- E... tak.

Rincewind wiele już razy stawał twarzą w twarz ze śmiercią. Czasami sytuacja dotyczyła mieczy i zbroi. Tutaj miał do czynienia jedynie z piękną dziewczyną i nożem, jednak zaliczał tę chwilę do najgorszych.

Dziewczyna odstąpiła.

- Jesteśmy wędrownym teatrem - wyjaśniła. - To wygodne. Aktorzynie mogą podróżować.

- Nigdzie?

- Nie zrozumiałeś. My jesteśmy aktorami *nyeh* .

- Ależ graliście całkiem dobrze, naprawdę.

- Wielki Magu, *nyeh* to nierealistyczna, symboliczna forma teatru wykorzystująca archaiczny język, stylizowane gesty i akompaniament bębnów i piszczałek. Twoja udawana głupota jest wręcz mistrzowska. Mogłabym niemal uwierzyć, że z ciebie nie aktor.

- Przepraszam, jak ci właściwie na imię? - przerwał jej Rincewind.

- Piękny Motyl.

- Tak? Gdzie?

Spojrzała na niego gniewnie i prześliznęła się do przodu wozu.

Jechali dalej. Rincewind leżał z głową opartą o worek pachnący cebulą i metodycznie przeklinał różne rzeczy. Przeklinał kobiety z nożami, historię ogólnie, całe grono profesorskie Niewidocznego Uniwersytetu, swój nieobecny Bagaż oraz populację Imperium Agatejskiego. W tej chwili jednak na samym szczycie listy znalazł się człowiek, który zaprojektował ten wóz. Sądząc po wrażeniach, ktokolwiek uznał, że pełne drzazg deski są odpowiednim materiałem na podłogę, był tą samą osobą, która pomyślała, że trójkąt to elegancki kształt dla koła.

* * *

Bagaż przyczał się w rowie, obserwowany bez specjalnego zainteresowania przez człowieka trzymającego bawoła na sznurze.

Czuł się zawstydzony, zdumiony i zagubiony. Był zagubiony, ponieważ

wszystko wokół wydawało się... znajome. Światło, zapachy, dotyk ziemi... Ale nie czuł się posiadany.

Wykonano go z drewna. Drewno jest wyczulone na takie rzeczy.

Jedna z jego licznych stóp odruchowo kreśliła w błocie jakiś symbol. Był to przypadkowy, bezsensowny wzór znany każdemu, kto musiał stanąć przed całą klasą i wysłuchać pretensji nauczyciela. Wreszcie podjął coś, co było tak bliskie decyzji, jak to tylko możliwe dla drewna.

Został podarowany. Wiele lat wędrował przez egzotyczne krainy, spotykał egzotyczne stwory i skakał po nich. Teraz wrócił w miejsce, gdzie kiedyś był drzewem. A zatem odzyskał wolność.

Nie był to najbardziej logiczny ciąg myślowy, ale i tak całkiem przyzwoity jak na kogoś, kto do myślenia ma tylko uchwyt.

I bardzo chciałby coś zrobić.

* * *

- Kiedy będziesz gotowy, Ucz?

- Jeszcze chwilę, Dżyngis. Już kończę...

Cohen westchnął. Korzystając z chwili odpoczynku, ordyńcy siedli w cieniu drzewa i opowiadali sobie nawzajem kłamstwa o własnych wyczynach. Saveloy tymczasem stanął na czubku głazu, spoglądał przez jakiś ręcznie robiony aparat i rysował po mapach.

Światem rządzą kawałki papieru, myślał Cohen. Z pewnością rządzą tą jego częścią. A Ucz... Ucz rządzi kawałkami papieru. Może i nie jest materiałem na tradycyjnego barbarzyńskiego bohatera, mimo głębokiego przekonania, że wszystkich dyrektorów szkół należy przybić do wrót stodoły.

Ale znakomicie sobie radzi z kawałkami papieru.

W dodatku mówi po agatejsku. W każdym razie mówi lepiej od Cohena, który poznał przypadkiem tylko kilka niezbędnych słów. Twierdzi, że nauczył się języka z jakiejś starej książki. Podobno to zadziwiające, ile ciekawych rzeczy można znaleźć w starych książkach.

Cohen wspiał się na głaz i stanął obok Uczą.

- Co właściwie planujesz? - zapytał.

Saveloy popatrzył na Hunghung, ledwie widoczne na zamglonym horyzoncie.

- Widzisz ten pagórek za miastem? - spytał. - Taki wielki, okrągły kopiec?

- Wygląda jak kopiec pogrzebowy mojego taty - stwierdził Cohen.

- Nie, to z pewnością formacja naturalna. Jest o wiele za duży na sztuczną budowlę. Na szczycie stoi chyba jakaś pagoda. Ciekawe... Może później obejrzę ją dokładnie.

Cohen spojrzał na duży, kulisty pagórek. Był to duży, kulisty pagórek. Nie zagrażał mu i nie wyglądał na wartościowy. Koniec sagi, jeśli o niego chodziło. Miał ważniejsze sprawy.

- Wydaje się, że ludzie wkraczają i opuszczają miasto zewnętrzne - mówił dalej Saveloy. - Oblężenie zatem jest chyba raczej zagrożeniem niż rzeczywistością. Czyli dotrzemy tam bez problemów. Oczywiście, przedostać się do samego Zakazanego Miasta będzie o wiele trudniej.

- A może po prostu wszystkich zabijemy? - zaproponował Cohen.

- Dobry pomysł, ale mało praktyczny. I z pewnością wywoła nieprzychylnie komentarze. Nie. Moja obecna metodologia opiera się na

fakcie, że Hunghung leży w sporej odległości od rzeki, a mimo to ma prawie milion mieszkańców.

- Opiera się, rzeczywiście - przyznał Cohen.
- Lokalny układ geologiczny nie jest właściwy dla studni artezyjskich.
- Tak sobie właśnie pomyślałem...
- A jednocześnie nie widać nigdzie akweduktu, jak pewnie zauważyłeś. Zwykle studnie też raczej nie wchodzą w grę, bo nie widać żadnych żurawi.
- Nie ma akweduktu, zgadza się. Ani żurawi. Pewno odleciały na lato do Krawędzi. Niektóre ptaki tak robią.
- To skłania mnie, by wątpić w powiedzenie, że nawet mysz nie przemknie się do Zakazanego Miasta - stwierdził Saveloy z ledwie słyszalną w głosie dumą. - Podejrzewam, że mysz zdoła się dostać do Zakazanego Miasta, jeśli tylko potrafi wstrzymać oddech.
- Albo przeleci na jednym z tych niewidzialnych żurawi - dodał Cohen.
- Rzeczywiście.

* * *

Wóz zatrzymał się. Opadł worek. Rincewind zamiast tarki, której w głębi duszy oczekiwał, zobaczył przed sobą dwie młode, zatroskane twarze. Jedna z nich należała do dziewczyny, jednak z ulgą stwierdził, że nie jest to Piękny Motyl. Ta była młodsza i wzbudziła u niego przelotne wspomnienie ziemniaków* [przyp.: - W czasie pobytu na bezludnej wyspie może dojść do pomieszania rozmaitych potrzeb i pragnień.].

- Jak czujesz się? - zapytała w łamanym, ale zrozumiałym morporskim. -

Jest nam bardzo przykro. Teraz wszystko lepiej? Mówimy tobie w języku niebiańskiego miasta Ankh-Morep-Ork. Języku wolności i postępu. Języku Jeden Człowiek, Jeden Głos.

- Tak - zgodził się Rincewind. W jego myślach pojawił się obraz Patrycjusza. Jeden człowiek, jeden głos. Zgadza się. - Poznałem go. Faktycznie ma głos. Ale...

- Więcej szczęsnego sprzyjania sprawie ludu! - dodał chłopiec. - Naprzód z rozważą!

Wyglądał, jakby był zbudowany z cegieł.

- Przepraszam - przerwał mu Rincewind. - Ale dlaczego... papierowy lampion służący celom ceremonialnym... bela bawełny... mnie uratowaliście? Tego... znaczy, kiedy mówię uratowaliście, chodzi mi raczej o: dlaczego uderzyliście mnie w głowę, związaliście i przywieźliście tutaj, gdziekolwiek to jest? Najgorsze, co mogło mnie czekać w gospodzie, to trzepnięcie w ucho, bo nie zapłaciłem za jedzenie...

- Najgorsze, co by ci się przydarzyło, to śmierć na torturach trwających całe lata - oznajmiła Motyl.

Wyszła zza wozu i uśmiechnęła się groźnie do Rincewinda. Ręce miała skromnie ukryte pod kimonem, zapewne po to, by nie pokazywać noży.

- Ooo... dzień dobry - powiedział.

- Wielki Magu. - Motyl skłoniła się. - Z pewnością sam to wiesz, ale stoją przed tobą Kwiat Lotosu i Trzy Zaprzężone Woły, członkowie naszej kadry. Musieliśmy przywieźć cię tutaj w taki sposób, bo wszędzie są szpiedzy.

- Nieprzedwczesny zgon wszystkim nieprzyjaciołom! - zawołał rozpromieniony chłopak.

- Dobrze. Tak. Oczywiście - zgodził się Rincewind. - Wszystkim nieprzyjaciołom, bez wyjątku.

Wóz stał na dziedzińcu. Poziom hałasu po drugiej stronie wysokiego muru sugerował, że znaleźli się w mieście. W umyśle Rincewinda zaczęło krystalizować się niedobre przeczucie.

- I przywieźliście mnie do Hunghung, tak?

Kwiat Lotosu szeroko otworzyła oczy.

- A więc to prawda - szepnęła w języku Ankh-Morpork. - Rzeczywiście jesteś Wielkim Magiem!

- Zdziwiłabyś się, jakie rzeczy umiem przewidzieć - zapewnił smętnie Rincewind.

- Odprowadźcie konie do stajni - poleciała Motyl, nie odrywając oczu od Rincewinda. Kiedy Kwiat Lotosu i Trzy Zaprzężone Woły odeszli, oglądając się za siebie, podeszła bliżej. - Oni wierzą - stwierdziła. - Ja osobiście mam wątpliwości. Ale Ly Tin Wheedle powiada, że osioł może wykonać pracę wołu, jeśli zabraknie koni. Moim zdaniem to jeden z jego mniej przekonujących aforyzmów.

- Dziękuję ci. Co to jest kadra?

- Słyszałeś o Czerwonej Armii?

- Nie. To znaczy... słyszałem, jak ktoś krzyczał...

- Legenda mówi, że nieznany bohater, nazywany Wielkim Magiem, poprowadził pierwszą Czerwoną Armię do niemożliwego zwycięstwa. Oczywiście, działo się to tysiące lat temu. Ale ludzie wierzą, że Wielki Mag... to znaczy ty... powróci, by znów tego dokonać. Powinien więc zastać Czerwoną Armię gotową i oczekującą.

- No tak, ale po kilku tysiącach lat można trochę zeszywnieć...

Jej twarz nagle znalazła się o kilka cali od jego twarzy.

- Osobiście podejrzewam, że nastąpiło nieporozumienie - szepnęła. - Ale skoro już tu jesteś, to będziesz Wielkim Magiem, choćbym miała popychać cię do tego na każdym kroku!

Wróciło tamtych dwoje. Motyl w jednej chwili zmieniła się z warczącego tygrysa w pokorną łanię.

- A teraz koniecznie musisz się spotkać z Czerwoną Armią - powiedziała.

- Czy nie będą już trochę cuchnęli... - zaczął Rincewind i urwał, gdy zobaczył jej minę.

- Oryginalna Czerwona Armia była oczywiście legendą - oświadczyła Motyl w płynnym, bezbłędnym ankhmorporskim. - Ale legendy także można wykorzystać. Lepiej zatem, byś ją poznał... Wielki Magu. Kiedy Zwierciadło Jedyne go Słońca walczył ze wszystkimi armiami świata, Wielki Mag przybył mu z pomocą i sama ziemia wzniosła się do boju o Imperium. Błyskawice też miały swój udział. Armia powstała z ziemi, ale w jakiś sposób kierowała nią błyskawica. Owszem, błyskawica może zabić, ale podejrzewam, że brak jej dyscypliny. Natomiast ziemia nie potrafi walczyć. Nie ma wątpliwości, że owa armia z ziemi i nieba była ni mniej, ni więcej tylko chłopskim powstaniem. Teraz mamy nową armię i nazwę, która rozpala wyobraźnię. I Wielkiego Maga. Nie wierzę w legendy. Ale wierzę, że wierzą w nie inni.

Młodsza dziewczyna, która usiłowała nadążyć za tą przemową, podeszła bliżej i chwyciła Rincewinda za ramię.

- Idziesz zobaczyć Czerwoną Armię teraz - oświadczyła.

- Naprzód z masami! - dodał chłopak, chwytając drugą rękę Wielkiego Maga.

- Czy on zawsze tak mówi? - zapytał Rincewind, delikatnie ciągnięty ku drzwiom.

- Trzy Zaprzężone Woły nie studiuje - wyjaśniła dziewczyna.

- Większe sukcesy niech sprzyjają naszym przywódcom!

- Dwa pensy za wiadro, dobrze udeptane! - odpowiedział zachęcająco Rincewind.

- Więcej własności środków produkcji!

- Jak tam zapasy mydła twojej babci!

Trzy Zaprzężone Woły uśmiechnął się promiennie.

Motyl otworzyła drzwi. Wskutek tego Rincewind został na zewnątrz tylko z pozostałą dwójką.

- Bardzo użyteczne hasła - stwierdził, przesuwając się nieco w bok. - Ale chciałbym zwrócić waszą uwagę na słynną sentencję Wielkiego Maga Rincewinda.

- Cała zamieniam się w ucho - zapewniła grzecznie Kwiat Lotosu.

- Rincewind zwykł mawiać... Żeeegnaajcieeee...

Sandały pośliznęły się na kamieniach, ale pędził już szybko, kiedy uderzył o bramę. Okazało się, że jest zrobiona z bambusu i otworzyła się bez oporu.

Po drugiej stronie był uliczny targ. To coś, co Rincewind potem zapamiętał z Hunghung: gdy tylko pojawiała się wolna przestrzeń, jakakolwiek, choćby powstała wskutek przejazdu wozu czy przejścia muła, ludzie wypełniali ją natychmiast, zwykle bardzo głośno targując się o cenę kaczki, która wisiała między nimi trzymana za nogi i kwakała.

Stopą trafił w wiklinową klatkę z paroma kurami, ale biegł dalej, rozpychając na boki ludzi i towary. Na targu w Ankh-Morpork takie zachowanie wywołałoby przynajmniej jakieś komentarze. Tu jednak, ponieważ i tak chyba wszyscy dookoła wrzeszczeli innym prosto w twarz, Rincewind był tylko chwilowym i nieważnym zakłóceniem normalnego stanu. Na wpół biegł, na wpół utykał na gdaczącą nogę.

Za jego plecami tłum zlewał się w jedno. Może rozbrzmiewały jakieś krzyki pogoni, ale ginęły wśród gwaru.

Nie zatrzymywał się, dopóki nie znalazł przeoczonej przez wszystkich niszy pomiędzy straganem sprzedającym ptaki w klatkach a innym, handlującym czymś bulgoczącym w kociołku. Jego stopa zapiała.

Kopał nią o bruk, aż klatka się rozpadła. Oszołomiony wolnością kogut dziobnął go w kolano i odfrunął.

Nie było słychać pościgu. Jednak nawet batalion trolli w blaszanych butach z trudem byłby słyszalny na typowym ulicznym targu w Hunghung.

Rincewind powoli odzyskał oddech.

Znowu był niezależny. I mógł zapomnieć o Czerwonej Armii. Owszem, znalazł się w wielkim mieście, gdzie nie chciał trafić, więc było tylko kwestią czasu, nim przydarzy mu się coś innego i nieprzyjemnego. Na razie jednak się nie przydarzało. Niech tylko trochę się zorientuje, zyska pięć minut wyprzedzenia, a będą oglądać najwyżej kurz za nim. Albo błoto. Jednego i drugiego było tu pod dostatkiem.

Czyli... to jest właśnie Hunghung...

Zdawało się, że nie ma tu ulic w takim sensie, w jakim Rincewind rozumiał to słowo. Zaułki łączyły się z zaułkami, wszystkie wąskie i dodatkowo zwężone przez stojące wzdłuż nich stragany. Na targu przebywała spora populacja zwierząt. Większa część straganów wystawiała partie kur w klatkach, kaczek w workach i dziwnych, wijących się stworzeń w misach.

Przy jednym ze straganów żółw na szczycie kłębiącego się stosu innych żółwi, pod napisem: „3 r./szt., dobre na Ying”, rzucił Rincewindowi powolne spojrzenie mówiące „I myślisz, że to ty masz kłopoty?”.

Zresztą trudno określić, gdzie kończyły się stragany, a zaczynały budynki. Wyschnięte przedmioty wiszące na sznurze mogły być towarem wystawionym na sprzedaż, czymś praniem, a może i obiadem na przyszły tydzień.

Hunghungczycy nie lubili chyba siedzieć pod dachem. Sądząc po tym, co zobaczył, większą część życia spędzali na ulicy, i to wrzeszcząc na całe gardło.

Ruch naprzód był możliwy tylko dzięki brutalnemu rozpychaniu się łokciami, aż ludzie zeszli z drogi. Kto grzecznie powtarzał „przepraszam bardzo”, nieruchomo stał w miejscu.

Tłum rozstał się jednak na dźwięk dzwonu i serię głośnych trzasków. Ulicą przetańczyła grupa ludzi w białych szatach; rozrzucali dookoła fajerwerki, bębnil w gongi, patelnie i niekształtne kawałki metalu. Uzyskiwali hałas głośniejszy od gwaru ulicy, ale kosztowało ich to wiele wysiłku.

Rincewind niekiedy czuł na sobie zdumione spojrzenie kogoś, kto przestał wrzeszczeć na tyle długo, by go zauważyć. Nadszedł już chyba czas, by zachowywać się jak miejscowy.

Zwrócił się do najbliższej stojącej osoby.

- Nieźle grają, co?! - wrzasnął.

Osoba, drobna staruszka w słomkowym kapeluszu, przyjrzała mu się z niesmakiem.

- To pogrzeb pana Whu - burknęła i odeszła.

W pobliżu stało kilku żołnierzy. Gdyby to było Ankh-Morpork, pewnie paliliby na spółkę papierosa i starali się nie zauważać niczego, co mogłoby ich zdenerwować. Ale ci tutaj wyglądali na czujnych.

Rincewind wycofał się do innego zaułka. Tutaj niedoświadczony wędrowiec wyraźnie mógł wplątać się w kłopoty.

Ten zaułek był spokojniejszy, a na drugim końcu dobiegał do czegoś o wiele rozleglejszego i chyba pustego... Rincewind wiedział, że ludzie zwykle oznaczają zagrożenie, ruszył więc w tamtym kierunku.

Wreszcie znalazł się na otwartej przestrzeni. Bardzo otwartej. Trafił na wybrukowany plac, dostatecznie wielki, by pomieścić ze dwie armie. Zauważył drzewa wiśni rosnące wokół muru, a także - biorąc pod uwagę falujący tłum na zewnątrz - zaskakujący brak kogokolwiek...

- Ty!

...z wyjątkiem żołnierzy.

Pojawili się nagle, wychodzili zza każdego drzewa i posągu.

Rincewind spróbował odwrócić się i uciec, co okazało się złym pomysłem, gdyż za sobą także miał gwardzystę.

Spojrzał prosto w przerażająco wykrzywioną maskę.

- Wieśniaku, czy nie wiesz, że to Plac Imperialny? - spytała maska.

- Czy w tym placu jest duże P? - upewnił się Rincewind.

- Nie ty zadajesz pytania!

- Aha. Zakładam, że to znaczy tak. Czyli to ważne miejsce. Przepraszam. W takim razie zaraz sobie stąd pójdę...

- Zostań!

Rincewinda uderzył niezwykle wręcz dziwny fakt, że nikt go nie trzymał. A potem uświadomił sobie, że właściwie tutaj nie jest to nigdy potrzebne. Ludzie robią to, co się im każe.

W Imperium jest coś gorszego od bata, mówił Cohen.

W tym momencie, pomyślał Rincewind, powinienem już klęczeć. Pochylił się, opierając dłonie przed sobą.

- Ciekaw jestem - powiedział wesołym tonem, unosząc się do pozycji startowej - czy chwila jest odpowiednia, by zwrócić waszą uwagę na pewne słynne powiedzenie...

* * *

Cohen znał się na miejskich bramach. Swego czasu sporo ich wyłamał, wykorzystując taran, bombardę, a raz nawet własną głowę.

Ale brama w Hunglung należała do tych naprawdę solidnych. Nie tak jak brama w Ankh-Morpork, zwykle otwarta na oścież, by zwabić potencjalnego klienta z pieniędzmi, a jedyną jej funkcją obronną był napis „Dziękujemy za nieatakowanie naszego miasta. Bonum diem”. Tutaj brama była wykuta z metalu, stała przy niej wartownia i oddział niesympatycznych ludzi w czarnych zbrojach.

- Ucz!

- Słucham cię, Dżyngis?

- Dlaczego właściwie to robimy? Myślałem, że skorzystamy z tych niewidzialnych żurawi, co na nich latają myszy.

Saveloy pomachał palcem.

- Musimy tak wejść do Hunghung, żeby się dostać do samego Zakazanego Miasta. Mam nadzieję, że znajdziemy przejście już wewnątrz. A teraz pamiętajcie, czego was uczyłem. To ważne, żebyście umieli się zachować w metropolii.

- Ja tam dobrze wiem, jak się zachować w jakiejś nędznej metropolii - zapewnił Truckle Nieuprzejmy. - Grabić, gwałcić, rabować, a przed wyjściem podpalić, co się da. Jak w zwykłym mieście, tylko zajmuje więcej czasu.

- To wystarczy, jeśli tylko przejeżdżacie - odparł Saveloy. - Ale gdybyście zechcieli wrócić następnego dnia?

- Następnego dnia już mnie tam nie będzie, do demona!

- Panowie! Proszę o cierpliwość. Musicie nauczyć się cywilizacji.

Ludzie nie mogli zwyczajnie przejść przez bramę. Stali w kolejce. A gwardziści dość agresywnie otaczali każdego załęknionego przybysza, by sprawdzić jego dokumenty.

Wreszcie przyszła kolej na Cohena.

- Papiery, dziadku!

Cohen radośnie pokiwał głową i wręczył dowódcy gwardzistów arkusz papieru ze starannym napisem wykonanym przez Saveloya:

JESTEŚMY WĘDROWNYMI SZALEŃCAMI.

NIE MAMY DOKUMENTÓW. PRZEPRASZAMY.

Gwardzista uniósł wzrok znad kartki i spojrzał na przyjazny uśmiech Cohena.

- To się zgadza - mruknął złośliwie. - Umiesz mówić, dziadku?

Wciąż uśmiechnięty Cohen zerknął niepewnie na Saveloya. Tego fragmentu nie wypróbowali.

- Głupi staruch - stwierdził gwardzista.

Saveloy oburzył się.

- Myślałem, że ludziom niespełna rozumu powinniście okazywać szczególną troskę! - powiedział.

- Nie można być szaleńcem bez dokumentów stwierdzających, że się jest szaleńcem.

- Mam dość - wtrącił Cohen. - Mówiłem, że nic z tego nie wyjdzie, jeżeli trafimy na tępego strażnika.

- Bezczelny wieśniak!

- Nie jestem tak bezczelny jak moi koledzy.

Orda zgodnie pokiwała głowami.

- To my, platfusie.

- Całuj nas w tyłek.

- Co?

- Wyjątkowo durny żołnierz.

- Co?

Dowódca był zdumiony. Odruch posłuszeństwa głęboko się zakorzenił w duszach Agatejczyków. Jeszcze silniejszy był jednak kult przodków i szacunek dla starców, kapitan zaś nigdy jeszcze nie widział ludzi tak starych, a jednak zachowujących pozycję pionową. Oni praktycznie sami byli przodkami. Ten na wózku z całą pewnością pachniał jak przodek.

- Zabrać ich na wartownię! - krzyknął.

Orda pozwoliła się poprowadzić, co udało się całkiem dobrze. Saveloy ćwiczył z nimi przez długie godziny, gdyż wiedział, że ma do czynienia z ludźmi, którzy na klepięcie w ramię reagują obrotem i odrąbaniem komuś ręki.

W strażnicy, kiedy weszli gwardziści, Srebrna Orda i wózek inwalidzki Wściekłego Hamisha, zrobiło się ciasno. Jeden z żołnierzy przyjrzał się skulonemu pod kocem Hamishowi.

- Co tam trzymasz, dziadku?

Miecz przebił koc i trafił żołnierza w udo.

- Co? Co on mówi?

- Powiedział „Aargh!”, Hamish - poinformował Cohen.

Ostrze błysnęło mu w dłoni. Jednym ruchem chudych ramion chwycił dowódcę od tyłu i przystawił mu nóż do krtani.

- Co?

- Powiedział „Aargh!”.

- Co? Nawet zem nie jest żonaty.

Cohen odrobinę mocniej przycisnął nóż do grdyki dowódcy.

- Rozważ to dobrze, przyjacielu - rzekł. - Możemy załatwić sprawę łatwym sposobem albo trudnym.

- Krwiożercza świnio! To nazywasz łatwym sposobem?

- Przecież nawet się nie spociłem.

- Obyś żył w ciekawych czasach! Wolę zginąć, niż zdradzić swego cesarza!

- Jak sobie życzysz.

W ciągu ułamka sekundy dowódca uświadomił sobie, że Cohen - który zawsze mówił to, co myślał - zakłada podobną postawę u innych. Gdyby miał trochę czasu, mógłby pomyśleć, że celem cywilizacji jest uczynienie przemocy ostatnim brany pod uwagę rozwiązaniem, gdy dla barbarzyńcy jest ona pierwszym, preferowanym, a przede wszystkim najprzyjemniejszym. Ale było już za późno i osunął się na podłogę.

- Zawsze żyję w ciekawych czasach - stwierdził Cohen tonem człowieka dumnego z faktu, że wiele uczynił, by wciąż były ciekawe.

Skierował nóż ku pozostałym gwardzistom. Saveloy ze zgrozy rozdziawił usta.

- Tradycyjnie powinienem teraz wytrzeć klingę - oznajmił Cohen. - Ale nie warto się męczyć, jeśli zaraz znowu się zabrudzi. Osobiście chętniej bym was pozabijał, niż się wam przyglądał, ale ten tutaj Ucz twierdzi, że powinienem przestać to robić i stać się człowiekiem godnym szacunku.

Jeden z gwardzistów spojrzał z ukosa na kolegów i padł na kolana.

- Jakie jest twoje życzenie, panie?

- Aha, kandydat na oficera - pochwalił go Cohen. - Jak ci na imię, chłopcze?

- Dziewięć Drzewek Pomarańczy, panie.

Cohen obejrzał się na Saveloya.

- Co teraz?

- Weź ich do niewoli, proszę.

- Jak się to robi?

- No... Chyba trzeba ich związać albo coś w tym rodzaju.

- Aha! A potem poderżniemy im gardła?

- Nie! Nie. Rozumiesz, kiedy masz ich już w swojej mocy, nie wolno ci ich zabijać.

Srebrna Orda jak jeden mąż spojrzała zdumiona na byłego nauczyciela.

- Niestety, tak działa cywilizacja - dodał.

- Ale sam mówiłeś, że tępaki nie mają żadnej głupiej broni - przypomniał Truckle.

- Owszem. - Saveloy zadrżał. - Dlatego właśnie nie wolno ich zabijać.

- Oszalałeś? Masz wariackie papiery, co?

Cohen poskrobał się po brodzie. Pozostali przy życiu gwardziści obserwowali go z lękiem. Byli przyzwyczajeni do okrutnych i niezwykłych kar, ale nie do wcześniejszych dyskusji.

- Nie masz doświadczenia bojowego, Ucz, prawda? - zapytał.

- Poza klasą czwartą? Niewiele. Ale obawiam się, że tak trzeba to załatwić. Przykro mi. Sam mówiłeś, że chcesz...

- W każdym razie ja głosuję, żeby poderżnąć im gardła od razu - oświadczył Mały Willie. - Nie mam ochoty na te historie z braniem do niewoli. Niby kto ma ich potem karmić?

- Obawiam się, że my musimy.

- Kto? Niby ja też? Głosuję za tym, żeby kazać im zeżreć własne oczy. Kto za, ręka do góry!

Ordyńcy pomruczeli z aprobatą. Wśród uniesionych rąk Cohen dostrzegł także jedną należącą do Dziewięciu Drzewek Pomarańczy.

- Za czym głosujesz, chłopcze? - spytał zdziwiony.

- Przepraszam pana, czy mógłbym wyjść do ubikacji?

- Posłuchajcie mnie wszyscy - rzekł Cohen. - Całe to mordowanie i wyrzynanie nie pasuje do obecnych czasów. Mam rację? Tak mówi Saveloy, a on umie napisać słowo „marmolada”. To więcej niż wy potraficie. Wiadomo, po co tu jesteśmy, więc lepiej zacznijmy od razu, jeżeli chcemy cokolwiek osiągnąć.

- Tak, ale ty przed chwilą zabiłeś strażnika - zaprotestował Truckle.

- Pomału się przyzwyczajam. Do takiej cywilizacji należy się skradać powolutku.

- I tak uważam, że trzeba im obciąć głowy. Tak zrobiłem z kapłanami Obłąkanego Ssącego Demona z Ee.

Kłęczący gwardzista znowu podniósł rękę.

- Mogę? - zapytał niepewnie. - Panie...

- O co chodzi, chłopcze?

- Możecie zamknąć nas w tamtej celi. Wtedy nie będziemy już sprawiać kłopotów.

- Dobrze kombinuje - mruknął z uznaniem Cohen. - Zuch chłopak. Nie traci głowy w trudnych sytuacjach. Zamknijcie ich.

Trzydzieści sekund później Srebrna Orda, kulejąc, wkroczyła do miasta.

Gwardziści tkwili w ciasnej, dusznej celi.

- Kim oni byli? - zapytał któryś po dłuższej chwili.

- Myślę, że mogli być przodkami.

- Wydawało mi się, że trzeba być martwym, zanim się zostanie przodkiem.

- Ten na wózku wyglądał na martwego. Aż do chwili, kiedy pchnął mieczem Cztery Białe Lisy.

- Może zaczniemy wołać o pomoc?

- Mogą nas usłyszeć.

- Tak, ale jeśli ktoś nas nie wypuści, będziemy tu siedzieć. Ściany są bardzo grube, a drzwi bardzo mocne.

- To dobrze.

* * *

Rincewind wyhamował w jakiejś wąskiej uliczce. Nie przejmował się

nawet sprawdzaniem, czy ktoś go ściga. Jednym potężnym skokiem człowiek mógł tutaj się przenieść do wolności - pod warunkiem że uświadomi sobie taką możliwość.

W skład wolności, naturalnie, wchodziło odwieczne prawo do śmierci głodowej. Już bardzo dawno nie jadł przyzwoitego posiłku.

Jakby na wezwanie, w głębi uliczki rozległy się okrzyki.

- Ciasteczka ryżowe! Ciasteczka! Kupujcie smaczne ryżowe ciasteczka! Herbata! Stuletnie jaja! Jaja! Kupujcie, póki smaczne i wiekowe! Kupujcie... Tak? O co chodzi?

Do handlarza zbliżył się starszy mężczyzna.

- Dibhala-san! To jajko, które mi sprzedałeś...

- Co z nim, szacowny panie?

- Czy zechciałbyś je powąchać?

Handlarz pociągnął nosem.

- Tak, pięknie pachnie - stwierdził.

- Pięknie? Pięknie? To jajko jest praktycznie świeże!

- Ma sto lat co do dnia, szogunie - zapewnił handlarz. - Przyjrzyj się barwie skorupki: gładka i czarna...

- Czerń się ściera!

Rincewind słuchał uważnie. Coś jest w teorii, myślał, że na świecie żyje tylko kilka osób. Dlatego człowiek ciągle spotyka te same. Gdzieś pewnie istnieje ich forma wyjściowa.

- Chcesz powiedzieć, że mój towar jest świeży! Obym wnętrzości sobie wypruć honorowo! Posłuchaj, zrobię tak...

Tak, było w tym handlarzu coś znajomego i magicznego. Ktoś przyszedł poskarżyć się na świeże jajko, a jednak po kilku minutach dawał się namówić, by o jaju zapomnieć i jeszcze kupić dwa ryżowe ciasteczka oraz coś tajemniczego zawiniętego w liście. Ryżowe ciasteczka wyglądały całkiem smacznie. No, w każdym razie smaczniej niż inne artykuły.

Rincewind podszedł ostrożnie. Handlarz przestępował z nogi na nogę i pogwizdywał cicho. Przerwał jednak te czynności, by obdarzyć Rincewinda szerokim, szczerym i przyjaznym uśmiechem.

- Wspaniałe starożytne jajo, szogunie?

Miseczka ustawiona pośrodku tacy pełna była złotych monet. Rincewindowi zamarło serce. Za cenę jednego z cuchnących jajek Dibhali można było kupić całą ulicę w Ankh-Morpork.

- Pewnie nie udzielasz... kredytu? - upewnił się.

Dibhala rzucił mu znaczące spojrzenie.

- Udam, że w ogóle tego nie słyszałem, szogunie - oświadczył.

- Powiedz, nie masz przypadkiem jakichś krewnych za morzem?

To zyskało mu kolejne spojrzenie - z ukosa, nieufne.

- Co? Za morzami nie ma nic oprócz złych krwiożerczych upiorów. Wszyscy o tym wiedzą, szogunie. Dziwię się, że ty nie wiesz.

- Upiory?

- Próbują się tu przedostać, żeby nas skrzywdzić - dokończył Wnętrzości Sobie Wypruwam Honorowo Dibhala. - Może nawet ukraść

nasze towary. Trzeba im dołożyć porządnym fajerwerkiem, moim zdaniem. Nie lubią solidnego, głośnego huk.

Rzucił Rincewindowi kolejne spojrzenie, jeszcze dłuższe i wyrachowane.

- Skąd tu przybywasz, szogunie? - zapytał, a w jego głosie pojawiła się nuta podejrzliwości.

- Z Bes Pelargic - odparł szybko Rincewind. - To tłumaczy mój dziwny akcent i manieryzmy, które w innym wypadku mogłyby wzbudzić u kogoś przekonanie, że jestem cudzoziemcem.

- Och, Bes Pelargic... - westchnął Wnętrznosci Sobie Wypruwam Honorowo. - W takim razie znasz pewnie mojego starego przyjaciela Pięć Szczypiec, który mieszka przy ulicy Niebiańskiej?

Rincewind był przygotowany na tę starą sztuczkę.

- Nie - odparł. - Nigdy nie słyszałem ani o nim, ani o takiej ulicy.

Wnętrznosci Sobie Wypruwam Honorowo Dibhala uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Jeśli krzyknę teraz „cudzoziemski demon” odpowiednio głośno, nie zrobisz nawet trzech kroków - powiedział swobodnym tonem. - Gwardziści zawloką cię do Zakazanego Miasta, a tam jest coś specjalnego, co robią z...

- Słyszałem o tym - zapewnił szybko Rincewind.

- Pięć Szczypiec był przez trzy lata zarządcą dystryktu, a ulica Niebiańska to główny trakt miasta - wyjaśnił Wnętrznosci Sobie Wypruwani Honorowo. - Zawsze chciałem poznać krwiożerczego cudzoziemskiego upiora. Poczęstuj się ryżowym ciasteczkiem.

Rincewind rozglądał się nerwowo. Choć to dziwne, sytuacja nie

wydawała się jednak groźna, a w żadnym razie nieuchronnie groźna. Miał wrażenie, że niebezpieczeństwo podlega negocjacjom.

- Przypuśćmy, że przyznam, iż naprawdę przybywam zza Muru? - zapytał jak najciszej.

Dibhala skinął głową. Wsunął dłoń pod szatę i szybkim ruchem wysunął, by natychmiast ukryć z powrotem coś, co - jak Rincewind stwierdził bez wielkiego zdziwienia - nosiło tytuł „Co robiłem...”.

- Niektórzy utrzymują, że za Murem nie ma nic prócz rozpalonych pustyń, złych upiorów i straszliwych potworów - rzekł Dibhala. - Ale ja mówię: a co z możliwościami handlowymi? Ktoś posiadający odpowiednie kontakty... Rozumiesz, co mam na myśli, szogunie? Taki człowiek może daleko zajść w krainie krwiożerczych upiorów.

Rincewind kiwnął głową. Wolał nie informować, że gdyby ktoś pojawił się w Ankh-Morpork z garścią złota, co najmniej trzystu ludzi pojawiłoby się ze stałą w garści.

Dibhala ciągnął dalej:

- Tak jak ja to widzę, przy całej tej niepewnej sytuacji z cesarzem, z pogłoskami o buncie i w ogóle... i niech żyje jego wysokość Syn Niebios, naturalnie... może się znaleźć okazja dla handlowca z otwartym umysłem. Mam rację?

- Okazja?

- Okazja. Na przykład... Mamy taką tkaninę... - Dibhala nachylił się do ucha Rincewinda. - Pochodzi z [nieznany piktogram] gąsienic. Nazywa się jedwab. Służy...

- Tak, wiem - przerwał mu Rincewind. - Sprowadzamy ją z Klatchu.

- No to... Jest też taki krzak, rozumiesz. Suszy się liście, a potem, kiedy

zalać je gorącą wodą i wy...

- Herbata, wiem. Dociera do nas z Howondalandu.

W.S.W.H. Dibhala był wyraźnie zaszokowany.

- Mamy jeszcze taki proszek, który wsypuje się do rur...

- Sztuczne ognie? Mamy sztuczne ognie.

- A może delikatna porcelana? Jest tak...

- W Ankh-Morpork są krasnoludy, które wytwarzają porcelanę tak cienką, że można przez nią czytać książkę. Nawet jeśli są w niej takie przypisy drobnym drukiem.

Dibhala zmarszczył czoło.

- Wygląda na to, że sprytne z was krwiożercze upiory - przyznał, cofając się o krok. - Może to i prawda, że jesteście niebezpieczne.

- My? Nami się nie przejmuj - uspokoił go Rincewind. - W Ankh-Morpork właściwie nie zabijamy obcych. Strasznie trudno jest im potem coś sprzedać.

- A co takiego mamy, co jest wam potrzebne? Może zjedz jeszcze ciastko. Na koszt pagody. Może spróbujesz wieprzowych kulek? Na pałeczce.

Rincewind wybrał ciastko. Wolał nie pytać o inne dania.

- Macie złoto - rzekł.

- Ach, złoto... Za miękkie, żeby było praktyczne. Chociaż nadaje się na rynny i do krycia dachów.

- Aha. Mam przeczucie, że ludzie w Ankh-Morpork znajdą dla niego zastosowanie - zapewnił Rincewind.

Powrócił wzrokiem do monet na tacy Dibhali. Kraina, gdzie złoto jest tańsze od ołowiu...

- Co to jest? - zapytał, wskazując przysypany monetami, pomięty prostokąt.

W.S.W.H. Dibhala spojrział.

- To coś takiego, czego tu używamy - wyjaśnił, mówiąc bardzo powoli. - Oczywiście, dla ciebie to pewnie nowość. Nazywamy to pie-nią-dze. Służą do noszenia przy sobie...

- Chodziło mi o ten kawałek papieru - wtrącił Rincewind.

- Mnie również. To banknot dziesięciorhinuowy.

- Co to znaczy?

- To, co powiedziałem. Znaczy, że jest wart dziesięć takich. - Dibhala podniósł złotą monetę wielkości ryżowego ciasteczka.

- Ale kto by chciał kupić kawałek papieru?

- Tego się nie kupuje. To służy do kupowania.

Rincewind wytrzeszczył oczy.

- Idziesz na targ - tłumaczył Dibhala, powracając do powolnej wymowy dla ciężko myślących. - Mówisz: „Dzień dob-ry rzeź-ni-ku, ile za te psie nosy?” A on na to: „Trzy rhinu, szogunie”. Wtedy ty: „Mam tylko kucyka”. Widzisz, tu jest ry-ci-na kucyka, popatrz, takie właśnie są na banknotach dziesięciorhinuowych. On daje ci psie nosy i siedem monet tego, co nazywamy „resztą”. Gdybyś natomiast miał małpę, to znaczy pięćdziesiąt

rhinu, powiedziała by „Nie masz drob-nych?”, a...

- Przecież to tylko papier! - zawołał Rincewind.

- Dla ciebie to może być papier, ale dla mnie to dziesięć ryżowych ciasteczek - oświadczył W.S.W.H. - A czego używacie wy, zagraniczni krwio pijcy? Wielkich kamieni z dziurami?

Rincewind wpatrywał się w papierowe pieniądze.

W Ankh-Morpork działało kilkanaście papierni, a niektórzy specjaliści z Gildii Grawerów potrafili wygrawerować swoje nazwisko i adres na główce szpilki...

Nagle wezbrała w nim duma z osiągnięć rodaków. Są może przekupni i chciwi, ale na bogów, robią to dobrze i nigdy nie zakładają, że nie mają się już czego uczyć.

- Przekonasz się, jak sędzę - powiedział - że w Ankh-Morpork wiele budynków potrzebuje nowych dachów.

- Naprawdę? - ucieszył się Dibhala.

- Tak. Deszcz wlewa się do pokojów.

- A mają czym płacić? Bo słyszałem...

Rincewind raz jeszcze zerknął na papierowy pieniądz. Pokręcił głową. Warte więcej niż złoto...

- Zapłacą tymi... banknotami co najmniej tak dobrymi jak ten - zapewnił.
- Pewnie nawet lepszymi. Dam ci rekomendacje. A teraz - dodał pośpiesznie
- jak się stąd wydostać?

Dibhala podrapał się po głowie.

- Może być trudne - stwierdził. - Wokół miasta stoją wojska. A ty w tym kapeluszu wyglądasz trochę cudzoziemsko. Niełatwa sprawa...

W głębi uliczki nastąpiło jakieś poruszenie, a raczej wzrost napięcia poruszeń. Tłum rozstał się w sposób typowy dla nieuzbrojonych tłumów w obecności zbrojnych, a grupa gwardzistów ruszyła w stronę Wnętrzości Sobie Wypruwam Honorowo.

Handlarz odstąpił pod ścianę i rzucił im przyjazny uśmiech człowieka, który z radością udzieli zniżki klientowi z mieczem.

Dwaj gwardziści wlekli między sobą bezwładnego jeńca. Kiedy przechodzili obok, uniósł zakrwawioną trochę głowę.

- Przedłużone trwanie... - zdążył powiedzieć, nim dłoń w ciężkiej rękawicy trzepnęła go w usta.

Gwardziści przeszli dalej. Tłum wypełnił przestrzeń.

- No nie... - mruknął W.S.W.H. - Chyba znowu... ej! Gdzie jesteś?

Rincewind wyłonił się zza rogu. W.S.W.H. był pod wrażeniem - kiedy cudzoziemski upiór się poruszył, naprawdę huknął niewielki grom.

- Widzę, że złapali jeszcze jednego z nich - powiedział. - Pewnie naklejał ulotki na murach.

- Jeszcze jednego z kogo? - nie zrozumiał Rincewind.

- Z Czerwonej Armii.

- Aha.

- Nie zwracam na nich uwagi, ale podobno jakieś stare legendy mają znowu powrócić na świat. O cesarzu i w ogóle. Osobiście niczego takiego nie zauważyłem.

- Nie wyglądał legendarnie - zauważył Rincewind.
 - Niektórzy ludzie uwierzą we wszystko.
 - Co się z nim stanie?
 - Trudno powiedzieć teraz, kiedy cesarz jest umierający. Pewnie obetną mu dłonie i stopy.
 - Co? Dlaczego?
 - Bo jest młody. Może liczyć na pobłażliwość. Trochę więcej lat i skończyłby z głową zatknietą przy miejskiej bramie.
 - Taka jest kara za rozlepianie ulotek?
 - Rozumiesz, dzięki temu więcej tego nie robi - wyjaśnił W.S.W.H.
- Rincewind cofnął się.
- Dziękuję.
- Odszedł szybko.
- No nie - mówił do siebie, przeciskając się przez tłum. - Nie pozwolę się wmieszać w takie odrąbywanie ludziom głów...
- I wtedy znowu ktoś go uderzył. Ale bardzo grzecznie.
- Osuwając się na kolana, a potem na twarz, myślał jeszcze, gdzie się podziało dobre, staroświeckie „Hej, ty!”.

* * *

Srebrna Orda wędrowała po uliczkach Hunghung.

- Nie nazwałbym tego pieprzonym czesaniem miasta i rąbaniem każdego spotkanego głaba - mruczał Truckle. - Kiedy jeździłem z Bruce'em Hunem, nigdy nie wchodziliśmy przez główną bramę jak banda ckliwych matko...

- Panie Nieuprzejmy - przerwał mu pospiesznie Saveloy. - To chyba odpowiednia chwila, żeby zajrzeć do listy, którą dla pana przygotowałem.

- Jakiej pieprzonej listy? - zapytał Truckle, groźnie wysuwając szczękę.

- Listy przyjętych, cywilizowanych słów, prawda? - Saveloy zwrócił się do pozostałych. - Pamiętajcie, co wam mówiłem o cy-wi-li-zo-wa-nym zachowa-niu? Cywilizowane zachowanie jest kluczowe dla powodzenia naszej długoterminowej strategii.

- A co to jest długoterminowa strategia? - zainteresował się Caleb Rozpruwacz.

- To, co chcemy robić później - wyjaśnił Cohen.

- A co to takiego?

- To plan.

- No niech mnie za... - zaczął Truckle.

- Lista, panie Nieuprzejmy. Tylko słowa z listy - warknął gniewnie Saveloy. - Posłuchajcie, chylę czoło przed waszym doświadczeniem, gdy przychodzi wędrować przez pustkowia, ale to jest cywilizacja i musicie używać odpowiednich słów. Proszę.

- Lepiej rób, co on mówi, Truckle - poradził Cohen.

Naburmuszony Truckle wyłowił z kieszeni pomietą kartkę papieru. Rozwinął ją.

- Licho? - zawołał. - Co to jest lichy? I co ma kogo trafiać?

- To są... cywilizowane przekleństwa.

- No to możesz je sobie wsadzić...

- No! - Saveloy ostrzegawczo uniósł palec.

- Możesz je wepchnąć w...

- No!

- Możesz...

- No!

Truckle zamknął oczy i zacisnął pięści.

- Niech to wszystko piorun strzeli! - krzyknął.

- Dobrze - pochwalił go Saveloy. - Dużo lepiej.

Zwrócił się do Cohena, który uśmiechał się złośliwie, widząc zakłopotanie Truckle'a.

- Cohen, tam jest stragan z jabłkami. Masz ochotę na jabłko?

- No, zjadłoby się - przyznał Cohen ostrożnym tonem człowieka, który wręcza iluzjoniście swój zegarek, widząc przy tym, że tamten szczyrzy zęby i trzyma w ręku młotek.

- Dobrze. Klasa... to znaczy: uważajcie, panowie. Dżyngis chciałby jabłko. Tam oto widzimy stragan z owocami i orzechami. Co Dżyngis powinien zrobić? - Saveloy z nadzieją popatrzył na swych podopiecznych. - Ktoś wie? Tak?

- To łatwe. Trzeba zabić tego małego... - znowu zaszeleścił rozwijany papier - ...faceta za straganem...

- Nie, panie Nieuprzejmy. Ktoś jeszcze?

- Co?

- Można podpalić...

- Nie, panie Vincent. Jeszcze...?

- Zgwałcić...

- Nie, nie, panie Rozpruwacz - zaprotestował Saveloy. - Bierzemy trochę pie... pie...?

Spojrzał na nich wyczekująco.

- ...pieniędzy... - odpowiedziała chórem Srebrna Orda.

- I...? Co potem robimy? Przecież ćwiczylśmy to setki razy. Potem...

To był trudny element. Pokryte zmarszczkami twarze wykrzywiły się i pofałdowały jeszcze bardziej, gdy ordynicy próbowali wyrwać swe umysły z otchłani przyzwyczajień.

- Da... - zaczął z wahaniem Cohen.

Saveloy uśmiechnął się szeroko i zachęcająco kiwnął głową.

- Dajemy? Je... - Wargi Cohena aż pobiegały z wysiłku. - Jemu?

- Tak! Dobra odpowiedź. W zamian za jabłko. O braniu reszty i mówieniu „dziękuję” porozmawiamy kiedy indziej, kiedy będziecie do tego gotowi. A teraz, Dżyngis, masz tutaj monetę. Do dzieła.

Cohen otarł czoło. Zaczynał się pocić.

- A może pociąłbym go choć trochę...

- Nie. To jest cywilizacja.

Cohen przytaknął nerwowo. Wyprostował się i podszedł do straganu. Sprzedawca jabłek, który podejrzliwie obserwował całą grupę, skinął mu na powitanie.

Cohen zagapił się przed siebie. Poruszał bezgłośnie wargami, jakby powtarzał w pamięci scenariusz. Wreszcie się odezwał:

- Hej, tłusty handlarzu, oddaj mi wszystkie... jedno jabłko... a ja ci dam... tę monetę.

Obejrzał się. Saveloy wystawił kciuk do góry.

- Chcesz jabłko, dobrze zrozumiałem? - upewnił się sprzedawca.

- Tak!

Sprzedawca wybrał jeden owoc. Miecz Cohena pozostał ukryty w wózku inwalidzkim, jednak sprzedawca, reagując na jakiś podświadomy impuls, zadbał, żeby to było naprawdę dobre jabłko. Potem wziął monetę, co okazało się dość trudne, gdyż klient nie chciał jej wypuścić.

- No dalej, oddaj mi ją, czcigodny - powiedział sprzedawca.

Minęło pełne wydarzeń siedem sekund.

Kiedy skryli się już bezpiecznie za rogiem, Saveloy zwrócił się do ordynków.

- Uwaga! Kto mi powie, co Cohen zrobił nieprawidłowo?

- Nie powiedział proszę?

- Co?

- Nie.

- Nie powiedział dziękuję?

- Co?

- Nie.

- Walnął handlarza arbuzem, pchnął go w truskawki, kopnął w orzechy, podpalił stragan i ukradł wszystkie pieniądze?

- Co?

- Prawidłowa odpowiedź. - Saveloy westchnął. - Dżyngis, a tak dobrze ci szło...

- Mógł mnie nie nazywać, tak jak nazwał!

- Ale „czcigodny” znaczy stary i mądry, Dżyngis.

- O... naprawdę?

- Tak.

- No... ale zostawiłem mu pieniądze za jabłko.

- Owszem, tylko mam wrażenie, że zabrałeś wszystkie pozostałe.

- Ale za jabłko zapłaciłem - odparł Cohen trochę nadąsany.

Saveloy westchnął ciężko.

- Wiesz, Dżyngis, wydaje mi się czasem, że parę tysięcy lat powolnego

rozwoju zasad własności fiskalnej jakoś cię ominęło.

- Jeszcze raz?

- Niekiedy możliwe jest, by pieniądze legalnie należały do kogoś innego
- wyjaśnił cierpliwie Saveloy.

Orda przystanęła, by jakoś przyswoić tę ideę. Wiedzieli oczywiście, że fakt taki w teorii jest prawdziwy. Kupcy zawsze mieli pieniądze. Ale wydawało się niewłaściwe, by myśleć o pieniądzach jako należących do kupców; należały do tego, kto je zabrał. Kupcy nie byli właścicielami; po prostu dbali o nie, dopóki nie były potrzebne.

- Teraz inny temat. Widzę tam starszą damę sprzedającą kaczki. Myślę, że w kolejnym etapie... Panie Willie, nie stoję w tamtym miejscu; jestem pewien, że to, na co pan teraz patrzy, jest niezwykle interesujące, ale proszę raczej uważać na to, co mówię. W kolejnym etapie przećwiczymy stosunki towarzyskie.

- He, he, he - zarechotał Caleb Rozpruwacz.

- Chodzi mi o to, panie Rozpruwacz, że ma pan podejść do niej i zapytać, ile kosztuje jedna kaczka.

- He, he, he... Co?

- I nie wolno panu rozdzierać na niej ubrania. To niecywilizowane.

Caleb poskrobał się po głowie, sypiąc łupieżem.

- No to co właściwie mam robić?

- Eee... Zająć ją rozmową.

- Niby jak? O czym można gadać z jakąś babą?

Saveloy znów się zawahał. W pewnym zakresie terytorium to było obce również dla niego. Doświadczenia z kobietami w ostatniej szkole ograniczały się do zdawkowych rozmów z gospożą, a w jednym przypadku szkolna matrona pozwoliła mu położyć dłoń na swoim kolanie. Skończył czterdzieści lat, nim odkrył, że seks oralny nie polega na rozmowie o seksie. Kobiety zawsze jawiły mu się jako istoty odległe i cudowne, a nie - jak wierzyła cała Srebrna Orda - jako chwilowe zajęcie. Dlatego teraz był nieco zdenerwowany.

- O pogodzie? - zaproponował niepewnie. Pamięć podsunęła mu niewyraźne wspomnienia rozmów ciotki, starej panny, która go wychowała. - O zdrowiu? O kłopotach z dzisiejszą młodzieżą?

- I dopiero wtedy zerwę z niej ubranie?

- Możliwe. W końcu. Jeśli wyrazi chęć. Pragnę też zwrócić uwagę na naszą dyskusję sprzed kilku dni, dotyczącą regularnych kąpielii.. - albo chociaż rzadkich kąpielii, dodał w myślach - ...a także dbania o paznokcie, włosy i zmianę odzieży.

- To przecież skóra - zaprotestował Caleb. - Nie trzeba jej zmieniać. Nie gnije przez całe lata.

Po raz kolejny Saveloy musiał zmienić punkt widzenia. Sądził, że Cywilizacja nałoży się na Ordę jak okleina. Mylił się.

Ale zabawna historia, myślał, gdy Orda obserwowała żalosne próby Caleba nawiązania konwersacji z reprezentantką połowy ludzkości. Chociaż różnili się tak bardzo, jak to tylko możliwe, od ludzi, z którymi zwykle spotykał się w pokojach nauczycielskich - a może właśnie dlatego że różnili się tak bardzo, jak to tylko możliwe, od ludzi, których zwykle spotykał w pokojach nauczycielskich - naprawdę ich polubił. Każdy z nich uważał książkę albo za wyposażenie toalety, albo za przenośny zbiór zapalniczek, i sądził, że higiena to rodzaj powitania. Mimo to byli uczciwi (z ich specyficznego punktu widzenia), przyzwoici (z ich specyficznego punktu widzenia) i widzieli świat jako całkiem prosty. Rabowali bogatych kupców,

świątynie i królów. Nie napadali na ubogich. Nie dlatego że ubóstwo jest jakąś cnotą, ale dlatego że ludzie ubodzy nie mają pieniędzy.

I chociaż nie starali się rozdawać pieniędzy biedakom, jednak w ostatecznym rozrachunku to właśnie robili (jeśli przyjąć, że biedacy składają się z oberżystów, dam negocjowanej cnoty, kieszonkowców, szulerów i rozmaitych pieczeniarzy). Choć bowiem podejmowali niezwykle wysiłki, by ukraść pieniądze, potem zachowywali nad nimi taką kontrolę, jak człowiek próbujący pędzić przed sobą stado kotów. Pieniądze służyły do tego, by je wydawać i przepuszczać. Dbali więc o stały obrót kapitału, co w dowolnym społeczeństwie jest rzeczą godną pochwały.

Nigdy nie przejmowali się tym, co pomyślą inni. Saveloy uważał takie podejście za dziwnie atrakcyjne. On przez całe życie martwił się, co pomyślą inni, był pomijany przy awansach i wskutek tego traktowany jak fragment umeblowania. W dodatku ordynicy nigdy się niczym nie dręczyli, nie zastanawiali, czy postępują słusznie, i ogólnie mieli świetną zabawę. Kierowali się też swego rodzaju honorem.

Lubił ordę. Podobali mu się.

Caleb wrócił nietypowo dla siebie zamyślony.

- Gratuluję, panie Rozpruwacz! - zawołał Saveloy. - Jak widzę, nadal jest w pełni ubrana.

- No, co powiedziała? - dopytywał się Mały Willie.

- Uśmiechała się do mnie - wyznał Caleb. Poskrobał sztywną brodę. - W każdym razie trochę - dodał.

- Świetnie - pochwalił Saveloy.

- I ona, tego... powiedziała, że no... że chętnie by się ze mną spotkała... później...

- Dobra robota!

- Ale... Ucz, co to jest golenie?

Saveloy wyjaśnił.

Caleb wysłuchiwał uważnie, krzywiąc się od czasu do czasu. Niekiedy oglądał się, żeby spojrzeć na sprzedawczynię kaczek, która pomachała mu dyskretnie.

- Niech to... - powiedział. - Sam nie wiem. - Znów się obejrzał. - Jeszcze nigdy nie widziałem kobiety, która nie ucieka.

- Kobiety są jak jelenie - rzucił Cohen z miną znawcy. - Nie można się na nie rzucać, trzeba ścigać...

- He, he... przepraszam. - Caleb pochwycił spojrzenie nauczyciela.

- Myślę, że na tym skończymy lekcję - oświadczył Saveloy. - Nie chcemy chyba stać się za bardzo cywilizowani, prawda? Proponuję teraz przechadzkę dookoła Zakazanego Miasta.

Wszyscy je widzieli. Wyrastało nad centrum Hunghung, otoczone murem wysokości czterdziestu stóp.

- Przy bramie stoi dużo żołnierzy - zauważył Cohen.

- Tak powinno być. Wewnątrz znajduje się wielki skarb. - Saveloy nie podnosił wzroku. Zdawało się, że szuka czegoś na ziemi.

- Czemu zwyczajnie nie zaatakujem i nie wybijem wszystkich strażników? - zapytał Caleb. Wciąż był lekko oszołomiony.

- Co?

- Nie bądź durniem - oburzył się Cohen. - To nam zajmie cały dzień.

Zresztą - dodał z mimowolną dumą - Ucz przeniesie nas tam na niewidzialnym żurawiu. Prawda, Ucz?

Saveloy zatrzymał się nagle.

- Eureka - powiedział.

- To po efebiańsku - wyjaśnił ordyńcom Cohen. - Znaczy: „dajcie mi ręcznik”.

- Ach tak - mruknął Caleb, próbując ukradkowo rozsupłać splątaną brodę. - A niby kiedy byłeś w Efebie?

- Pojechałem tam kiedyś, żeby zdobyć nagrodę.

- Za kogo?

- Chyba za ciebie.

- Ha! I znalazłeś mnie?

- Nie pamiętam. Kiwnij głową i zobacz, czy ci odpadnie.

- Aha! Panowie, spójrzcie!

Ortopedyczny sandał Saveloya stuknął w ozdobny metalowy kwadrat w bruku.

- Spójrzeć na co? - zdziwił się Truckle.

- Co?

- Powinniśmy znaleźć takich więcej - rzekł Saveloy. - Ale myślę, że mamy to, co jest potrzebne. Teraz musimy tylko poczekać do wieczora.

* * *

Trwała zacięta dyskusja. Rincewind słyszał tylko głosy, ponieważ na głowę znów założono mu worek, a jego samego przywiązano do słupa.

- Czy on chociaż wygląda na Wielkiego Maga?

- Tak jest napisane na jego kapeluszu, w języku upiorów...

- Ty tak twierdzisz!

- A co z opowieścią Czterech Wielkich Sandałów?

- Był przemęczony. Mogło mu się wydawać.

- Wcale nie! Zjawił się w powietrzu, lecąc niby smok! Powalił pięciu żołnierzy! Trzy Maksymalne Szczęścia też to widział. I inni. A potem uwolnił czcigodnego starca i zmienił go w potężnego wojownika!

- Potrafi mówić naszym językiem, tak jak napisano w Księdze.

- No dobrze. Przypuśćmy, że jest Wielkim Magiem. W takim razie powinniśmy natychmiast go zabić.

W ciemnościach worka Rincewind energicznie pokręcił głową.

- Dlaczego?

- Bo stanie po stronie cesarza.

- Ale według legendy Wielki Mag poprowadził Czerwoną Armie!

- Tak. Dla cesarza Zwierciadło Jedyne Słońca. Armia zniewoliła lud.

- Nie, obaliła tylko bandyckich wodzów! Potem zbudowała Imperium!

- I co? Niby Imperium jest takie wspaniałe? Przedwczesny zgon siłom

opresji!

- Ale teraz Czerwona Armia stoi po stronie ludu! Maksymalny postęp wspólnie z Wielkim Magiem!

- Wielki Mag jest Wrogiem Ludu!

- Widziałem go, mówię przecież! Legion wojska padł od wiatru jego przelotu!

Wiatr jego przelotu zaniepokoił także Rincewinda.

- Jeśli jest takim wielkim magiem, to czemu ciągle stoi związany? Dlaczego nie sprawi, że więzy znikną w kłębie zielonego dymu?

- Może zachowuje magię na jeszcze wspanialsze czyny. Nie będzie robactwu puszczał fajerwerków.

- Ha!

- I miał Księgę! Szukał nas! Jego przeznaczeniem jest dowodzenie Czerwoną Armią!

Pokręcenie głową: nie, nie, nie.

- Sami możemy sobą dowodzić.

Kiwnięcie: tak, tak, tak.

- Niepotrzebni nam żadni podejrzani Wielcy Magowie z mitycznych krain!

Tak, tak, tak.

- Dlatego powinniśmy go zabić już teraz!

Tak, ta... Nie, nie, nie!

- Ha! Śmieje się z ciebie pogardliwie! Czekaj tylko, by sprawić, że twoja głowa wybuchnie ognistymi węzami.

Nie, nie, nie.

- Wiesz przecież, że kiedy my tu rozmawiamy, Trzy Zaprzężone Woły cierpi na torturach!

- Armia ludu to coś więcej niż pojedynczy ludzie, Kwiecie Lotosu!

W cuchnącym worku Rincewind skrzywił się ze złością. Zaczynał już żywić niechęć do pierwszego mówiącego, jak zresztą zwykle wobec ludzi, którzy nalegali, żeby zgładzić go bez zwłoki. Ale kiedy taki człowiek zaczynał opowiadać o rzeczach ważniejszych niż ludzie, Rincewind wiedział, że ma poważne kłopoty.

- Jestem pewna, że Wielki Mag potrafi uwolnić Trzy Zaprzężone Woły - odezwał się głos koło jego ucha. Należał do Motyl.

- Tak, bez trudu zdoła uwolnić Trzy Zaprzężone Woły! - zgodziła się Kwiat Lotosu.

- Tak uważacie? Dostanie się do Zakazanego Miasta? Niemożliwe! To pewna śmierć!

Tak, tak, tak.

- Nie dla Wielkiego Maga - odparła Motyl.

- Cicho bądź! - szepnął Rincewind.

- Chciałbyś wiedzieć, jak duży tasak trzyma w ręku Dwa Ogniste Ziola?
- odpowiedziała szeptem Motyl.

- Nie!

- Bardzo duży.

- Powiedział, że wejście do Zakazanego Miasta to pewna śmierć.

- Nie. To tylko prawdopodobna śmierć. Zapewniam cię, że jeśli znowu uciekniesz, naprawdę stanie się pewna.

Ktoś zdjął mu z głowy worek.

Twarz, jaka pojawiła się tuż przed nim, należała do Kwiatu Lotosu. A można zobaczyć wiele gorszych rzeczy niż jej twarz w świetle dnia. Przywołała myśli o śmietanie, kawałku masła i akurat właściwej ilości soli* [przyp.: O wiele później Rincewind musiał się w związku z tym poddać terapii. Proces terapeutyczny wykorzystywał piękną kobietę, półmisek ziemniaków oraz gruby kij z wbitym gwoździem.].

Jedną z rzeczy, którą mógłby zobaczyć, była na przykład twarz Dwóch Ognistych Ziół. Nie wyglądała miło. Była nalana i miała w oczach dwie maleńkie źrenice. Zdawała się żywym przykładem na to, że chociaż ludzie mogą dręczyć królowie, cesarze i mandaryni, zadanie to równie dobrze wykona zwykły człowiek z sąsiedztwa.

- Wielki Mag? Akurat - powiedział Dwa Ogniste Ziola.

- Potrafi! - zawołała Kwiat Lotosu (i serek śmietankowy, pomyślał Rincewind; i może jeszcze jakaś sałatka). - Jest Wielkim Magiem, który do nas powrócił! Czy nie prowadził Mistrza przez krainy upiorów i krwiożerczych wampirów?

- Nie powiedziałbym... - zaczął Rincewind.

- I taki wielki mag pozwolił się tu przynieść w worku? - zadrwił Dwa Ogniste Ziola. - Niech nam pokaże jakieś czary.

- Prawdziwie wielki mag nie zniży się do pokazywania sztuczek! - oświadczyła Kwiat Lotosu.

- To prawda - potwierdził Rincewind. - Nie zniży się.

- Wstyd, że Zioła proponuje coś takiego!

- Wstyd - zgodził się Rincewind.

- Poza tym cała moc będzie mu potrzebna, by wkroczyć do Zakazanego Miasta - dodała Motyl.

Rincewind odkrył, że nienawidzi dźwięku jej głosu.

- Zakazane Miasto - wymamrotał.

- Wszyscy wiedzą, że są tam straszne sidła, pułapki i wielu, bardzo wielu gwardzistów.

- Sidła, pułapki...

- I gdyby magia go zawiodła, bo pokazywał Ziołom sztuczki, trafi do najgłębszego lochu, gdzie będzie konał cal po calu.

- Po calu... ehm... O który konkretnie cal...

- Niech więc wstydzi się Dwa Ogniste Zioła!

Rincewind uśmiechnął się z przymusem.

- Prawdę mówiąc, nie jestem aż taki wielki. Dostyc wielki, owszem - dodał szybko, gdy Motyl zmarszczyła czoło. - Ale nie bardzo wielki.

- Pisma Mistrza stwierdzają wyraźnie, że pokonałeś wielu potężnych czarowników i mądrze znalazłeś wyjście z wielu trudnych sytuacji.

Rincewind smętnie pokiwał głową. To się mniej więcej zgadzało, chociaż w większości przypadków wcale nie miał takiego zamiaru. Natomiast Zakazane Miasto wyglądało, no... na zakazane. Nie wydawało się kuszące. Nie sprawiało wrażenia, jakby sprzedawano tam widokówki. Jediną pamiątką, jaką pewnie człowiekowi proponowali, były jego zęby. W torebce.

- Tego... Przypuszczam, że ten chłopak, Woły, siedzi w jakimś głębokim lochu, co?

- Najgłębszym - zapewnił Dwa Ogniste Zioła.

- I... jeszcze nigdy nikogo potem nie widzieliście? Znaczą z tych, których tam zamknęli?

- Widzieliśmy ich fragmenty - odparła Kwiat Lotosu.

- Zwykle głowy - dodał Dwa Ogniste Zioła. - Na hakach przy bramie.

- Ale nie głowę Trzech Zaprzężonych Wołów - oświadczyła stanowczo Kwiat Lotosu. - Wielki Mag przemówił!

- Właściwie to chyba nie powiedziałem...

- Przemówiłeś - przerwała mu Motyl.

Rincewind przyzwyczał się już do mroku i przekonał się, że jest w jakimś magazynie czy piwnicy. Przytłumiony gwar miasta dobiegał przez okratowane otwory w sklepieniu. Połowa pomieszczenia zastawiona była beczkami i pakami, a na każdej ktoś siedział. Panował wręcz ścisk.

Wszyscy obserwowali go w nabożnym skupieniu, ale nie tylko to mieli ze sobą wspólnego.

Rincewind obrócił się dookoła.

- Co to za dzieci? - zapytał.

- To jest hunghungska kadra Czerwonej Armii - odpowiedziała mu Kwiat Lotosu.

Dwa Ogniste Zioła parsknęły gniewnie.

- Dlaczego mu to zdradziłaś? - oburzył się. - Teraz trzeba będzie go zabić.

- Przecież są tacy młodzi!

- Może nie są zaawansowani w latach - odparł Dwa Ogniste Zioła - ale czcigodni pod względem odwagi i honoru.

- I doświadczeni w walce? Ci gwardziści, których widziałem, nie wyglądają na miłych ludzi. A czy wy macie chociaż jakąś broń?

- Broń wydrzemy z rąk naszych wrogów! - oświadczył Dwa Ogniste Zioła.

Zabrzmiały entuzjastyczne okrzyki.

- Naprawdę? A jak właściwie ich skłonicie, żeby ją puścili?

Rincewind wskazał małą dziewczynkę, która odsunęła się sprzed jego palca, jakby trzymał naładowaną kuszę. Wyglądała na siedem lat i ścisnęła pluszowego królika.

- Jak ci na imię?

- Jedna Ukochana Perła, Wielki Magu.

- A co robisz w Czerwonej Armii?

- Dostałam medal za rozlepianie ulotek, Wielki Magu.

- No tak... Na przykład „Niech niezbyt dobre rzeczy przytrafią się

naszym nieprzyjaciołom, jeśli można”? Takie hasła?

- No... - dziewczynka zerknęła niepewnie na Motyl.

- Rewolucja nie jest dla nas łatwa - wyjaśniła starsza dziewczyna. - Brakuje nam... doświadczenia.

- No więc przybyłem, by wam powiedzieć, że nie robi się rewolucji śpiewaniem pieśni, rozlepianiem ulotek i walką gołymi rękami! - zawołał Rincewind. - Nie wtedy, kiedy staje się przeciwko prawdziwym ludziom z prawdziwą bronią. Wy...

Przerwał, gdy uświadomił sobie, że sto par oczu obserwuje go w skupieniu, a dwieście uszu pilnie słucha.

Odtworzył swoje słowa w komorze ehowej własnej głowy. Powiedział: „przybyłem, by wam powiedzieć...”.

- ...to znaczy, nie do mnie należy mówienie wam czegokolwiek.

- Rzeczywiście - wtrącił Dwa Ogniste Ziola. - Zwycięzimy, bo po naszej stronie stoi historia.

- Zwycięzimy, bo po naszej stronie stoi Wielki Mag - poprawiła go surowo Motyl.

- Coś wam powiem! - krzyknął Rincewind. - Wolałbym raczej zaufać sobie niż historii! Niech to demony, naprawdę to powiedziałem?

- A zatem pomożesz Trzem Zaprzężonym Wołom - stwierdziła Motyl.

- Proszę! - zawołała Kwiat Lotosu.

Rincewind spojrzał na nią, na łzy w kącikach jej oczu, na bandę zasłuchanych dzieci i nastolatków, którzy naprawdę wierzyli, że śpiewając porywające pieśni, można pokonać armię.

Jeśli się dobrze zastanowić, miał tylko jedno wyjście.

Musi na razie udawać, że się zgadza, a potem wynieść się jak najszybciej i przy pierwszej okazji. Gniew Motyl był groźny, ale hak to hak. Oczywiście, przez jakiś czas potem będzie się czuł paskudnie, ale o to właśnie chodzi. Będzie się czuł paskudnie, ale nie będzie czuł haka.

Świat miał zbyt wielu bohaterów i na pewno nie potrzebuje następnego. Miał za to tylko jednego Rincewinda, więc Rincewind był światu winien utrzymywanie tego jedyne przy życiu jak najdłużej.

* * *

Przy drodze stała gospoda. Miała dziedziniec. I zagrodę dla Bagaży.

Stały tam wielkie kufry podróżne mogące pomieścić dwutygodniowe wyposażenie dla całej rodziny ze służbą. Były kupieckie walizki próbek, zwykłe kwadratowe skrzynki na prymitywnych nogach. Były eleganckie torby na krótkie trasy.

Szurały i przesuwwały się w zagrodzie. Od czasu do czasu brzęknął uchwył, skrzypnął zawias, raz czy dwa stuknęło wieko i zatupały kufry próbujące usunąć się z drogi.

Trzy z nich były duże i kryte nabijaną ćwiekami skórą. Wyglądały na taki ekwipunek podróżny, który włóczy się w pobliżu tanich hoteli i rzuca nieprzyzwoite uwagi damskim torebkom. Obiektem ich uwagi stała się niezbyt duża walizka z inkrustowanym wiekiem i na drobnych stopach. Wycofała się w sam kąt.

Największy z kufrów podchodził do niej coraz bliżej, a jego ciężkie, nabijane wieko kilka razy otworzyło się ze zgrzytem. Mniejsza walizka cofała się tak, że jej tylne nogi usiłowały już wdrapywać się na ogrodzenie.

Nagle zza muru dziedzińca rozległ się tupot nóg. Rozbrzmiewał coraz głośniejsze, aż ucichł nagle. Coś brzęknęło, jakby ciężki obiekt wylądował na naciągniętym dachu powozu. Na tle wschodzącego księżyca pojawiła się sylwetka czegoś koziółkującego wolno w powietrzu.

To coś wylądowało przed trzema wielkimi kuframi, podskoczyło i ruszyło do ataku.

W końcu podróżni wybiegli z gospody w noc, ale wtedy części odzieży leżały już rozrzucone i zdeptane na całym dziedzińcu. Trzy czarne kufry, podrapane i poobijane, znaleziono na dachu. Każdy skrobał nogami dachówki i odpychał pozostałe, próbując znaleźć się jak najwyżej. Inne Bagaże wpadły w panikę, wyłamały ogrodzenie i rozbiegły się po okolicy.

W końcu znaleziono wszystkie, prócz jednego.

* * *

Ordyńcy byli z siebie dumni, kiedy siadali razem do kolacji. Zachowywali się, zdaniem Saveloya, jak gromada chłopców, którzy właśnie dostali swoją pierwszą parę długich spodni.

Co zresztą właśnie się stało. Każdy miał na sobie workowate spodnie i długą szarą szatę.

- Robiliśmy zakupy - oznajmił z dumą Caleb. - Płaciliśmy za wszystko pieniędzmi. Jesteśmy ubrani jak ludzie cywilizowani.

- Istotnie - zgodził się pobłażliwie Saveloy.

Miał nadzieję, że doprowadzą misję do końca, zanim odkryją, jakich cywilizowanych ludzi noszą kostiumy. Kłopotliwe okazały się brody. Ludzie, którzy nosili takie ubrania w Zakazanym Mieście, zwykle nie mieli bród. Ich brak bród był wręcz przysłowiowy. Właściwie w ścisłym sensie

przysłowiowy był ich brak innych ważnych fragmentów, a w konsekwencji również zarostu.

Cohen przesunął się na krzesło.

- Drapie - stwierdził. - To są spodnie, tak? Nigdy jeszcze takich nie nosiłem. Koszuli też. Po co komu koszula, która nie jest kolczugą?

- Ale poszło nam świetnie - powiedział Caleb.

Poszedł nawet się ogolić, zmuszając cyrulika, by po raz pierwszy w swej karierze użył dłuta. Teraz co chwila gładził swój nagi, różowy podbródek.

- No, rzeczywiście byliśmy cywilizowani - uznał Vincent.

- Z wyjątkiem tego kawałka, kiedy podpaliłeś sprzedawcę - wtrącił Mały Willie.

- No, ale podpaliłem go tylko trochę.

- Co?

- Ucz!

- Słucham, Dżyngis.

- Dlaczego powiedziałeś sprzedawcy fajerwerków, że wszyscy, których znałeś, zginęli gwałtowną śmiercią?

Saveloy stopą trącał pod stołem dużą paczkę stojącą obok pięknego nowego kociołka.

- Żeby nie nabrał podejrzeń co do naszych zakupów.

- Pięć tysięcy fajerwerków?

- Co?

- Opowiadałem wam kiedyś - powiedział Saveloy - że gdy skończyłem uczyć geografii w Gildii Skrytobójców i Gildii Hydrauliczków, przez parę lat pracowałem w Gildii Alchemików?

- Alchemicy? Wariaci, co do jednego - ocenił Truckle.

- Ale bardzo pilni w geografii. Pewnie chcą wiedzieć, gdzie spadli. Jedzcie, panowie. Przed nami długa noc.

- Co to takiego? - zainteresował się Truckle, nabijając coś na pałeczkę.

- Eee... potrawka.

- No tak. Ale co to jest?

- Jakiś... tego, no... pies.

Orda spojrzała na niego nieruchomo.

- Nie ma w tym nic złego - zapewnił ze szczerością człowieka, kory dla siebie zamówił pędy bambusa i mleczko sojowe.

- Jadłem już wszystko - oświadczył Truckle. - Ale nie będę jadł psa. Miałem kiedyś psa. Łazika.

- Pamiętam - odezwał się Cohen. - Tego w obroży z kolcami? Tego, który zjadał ludzi?

- Mówcie sobie, co chcecie, ale dla mnie był przyjacielem. - Truckle odgarnął mięso na bok.

- A krwawą śmiercią dla wszystkich innych. Ja zjem twoją porcję. Zamów mu kurczaka, Ucz.

- Raz żem zjadł człowieka - wymamrotał Wściekły Hamish. - W oblężeniu to było.

- Zjadłeś kogoś? - zdziwił się Saveloy i skinął na kelnera.

- Tylko nogę.

- To okropne!

- Nie z musztardą.

A już sądziłem, że ich znam, pomyślał Saveloy.

Sięgnął po kieliszek. Ordyńcy także sięgnęli po swoje, obserwując go pilnie.

- Toast, panowie - powiedział. - I pamiętajcie, co mówiłem o żłopaniu. Od żłopania ma się wilgotne uszy. Tylko sączymy. Za cywilizację!

Ordyńcy dołączyli do niego, każdy z własnym toastem.

-*Pchan'kov* !* [przy.: Niech twoje stopy zostaną odcięte i pochowane parę sążni od twojego ciała, żeby twój duch nie chodził po świecie.]

- Kłaść się na podłodze, a nikomu nie stanie się krzywda!

- Obyś żył w ciekawych spodniach!

- Jakie jest magiczne słówko? Dawaj!

- Śmierć prawie wszystkim tyranom!

- Co?

* * *

- Mury Zakazanego Miasta mają czterdzieści stóp wysokości - poinformowała Motyl. - Bramy wykute są z mosiądzu, a strzegą ich setki gwardzistów. Ale oczywiście mamy Wielkiego Maga.

- Kogo?

- Ciebie.

- Przepraszam, stale zapominam.

- Owszem. - Motyl obrzuciła Rincewinda długim, badawczym spojrzeniem. Pamiętał, że tak patrzyli na niego nauczyciele, kiedy uzyskał wysoką ocenę w jakimś teście, zwyczajnie zgadując odpowiedzi.

Szybko spuścił wzrok.

Cohen by wiedział, co robić, myślał. Wyrąbałby sobie drogę mieczem. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, żeby się bać albo martwić. On jest człowiekiem, jakiego wam trzeba w takiej chwili.

- Na pewno znasz zaklęcia, którymi zburzysz mur - powiedziała Kwiat Lotosu.

Rincewind zastanowił się, co mu robią, kiedy się okaże, że nie zna. Niewiele, uznał, jeśli będzie już uciekał. Pewnie, mogą przekląć pamięć o nim i określać najgorszymi słowami, ale do tego był przyzwyczajony. Kamienie i kije przetrąca mi szyję, myślał. Niejasno zdawał sobie sprawę, że jest też druga część tego powiedzenia, ale nie przejmował się nią, gdyż zawsze ta pierwsza zajmowała całą jego uwagę.

Nawet Bagaż go opuścił. Owszem, to niewielki jaśniejszy punkt w całej sytuacji, ale Rincewindowi brakowało tupotu małych nówek...

- Zanim ruszymy - powiedział - powinniśmy chyba zaśpiewać jakąś

pieśń rewolucyjną.

Kadrze spodobał się ten pomysł. Kiedy zajęli się śpiewem, podszedł dyskretnie do Motyl, która rzuciła mu porozumiewawczy uśmieszek.

- Wiesz, że nie potrafię tego zrobić!
- Mistrz twierdził, że jesteś bardzo pomysłowy.
- Nie umiem wyczarować dziury w murze!
- Na pewno coś wymyślisz. I... Wielki Magu...
- Tak?
- Ukochana Perła, ta dziewczynka z pluszowym królikiem...
- Tak?

- Kadra to wszystko, co jej zostało. To samo dotyczy wielu innych. Kiedy wodzowie walczą, giną ludzie. Rodzice. Jako jedna z pierwszych przeczytałam „Co robiłem na wakacjach”, Wielki Magu. Zobaczyłam tam głupiego człowieka, któremu z jakiegoś powodu zawsze sprzyja szczęście. Wielki Magu, mam nadzieję, że dla dobra każdego z nas będziesz miał dzisiaj mnóstwo szczęścia. Zwłaszcza dla twojego.

* * *

Na dworze Cesarza Słońca szemrały fontanny. Pawie wydawały okrzyki brzmiące jak odgłos czegoś, co nie powinno wyglądać tak pięknie. Ornamentalne drzewka rzucały swój cień, jak tylko one potrafią - ornamentalnie.

Ogrody zajmowały serce miasta - dało się stąd usłyszeć zewnętrzny

hałas. Dobiegał przytłumiony, dzięki słomie rozsypanywanej codziennie na najbliższych ulicach, ale też dlatego że każdy dźwięk, uznany za zbyt głośny, zyskałby swemu autorowi bardzo krótki pobyt w więzieniu.

Ze wszystkich ogrodów najbardziej estetycznie udany był ten, który przygotował sam pierwszy cesarz, Zwierciadło Jedyne Słońca. Składał się tylko ze żwiru i kamieni, ale estetycznie zagrabionych tak, jakby pozostawił je górski strumień z wyrobionym gustem artystycznym. Właśnie tutaj cesarz Zwierciadło Jedyne Słońca, pod którego panowaniem zostało zjednoczone Imperium i wzniesiony Wielki Mur, przychodził, by odświeżyć duszę i dumać nad istotą jedności wszechrzeczy. Pijał przy tym wino z czaszki jakiegoś wroga, a może niezręcznego przy grabiach ogrodnika.

W tej chwili w ogrodzie przebywał Drugi Mały Wang, mistrz protokołu, który zjawił się, bo uznał, że pomoże mu to ukoić nerwy.

Pewnie chodzi o numer drugi, tłumaczył sobie często. To pechowy numer przy urodzinach. Być nazwanym Małym Wangiem to drobiazg, dowodzący jedynie braku uprzejmości, coś w rodzaju odchodów małej mewy po tym wielkim stosie bawolich ekskrementów, jakie Niebiosy zrzuciły wprost do jego horoskopu. Musiał też przyznać, że nie poprawił swej sytuacji, godząc się objąć stanowisko mistrza protokołu.

Wtedy wydawało się to znakomitym pomysłem. Awansował powoli w agatejskiej służbie państwowej, doskonaląc talenty niezbędne dla praktyki dobrego zarządzania (takie jak kaligrafia, origami, układanie kwiatów i Pięć Cudownych Form poezji). Pracowicie wypełniał powierzone mu obowiązki i tylko mimochodem zauważał, że wokół nie ma tak wielu jak kiedyś urzędników publicznych wysokiej rangi. Aż pewnego dnia grupa szacownych mandarynów - większość o wiele bardziej szacowna od niego - otoczyła go, gdy szukał rymu do „pomarańczy płotka”, i pogratulowała stanowiska nowego mistrza.

Stało się to trzy miesiące temu.

Ze wszystkich spraw, które przemyślał sobie przez te trzy miesiące,

najbardziej haniebną była ta: zaczął wierzyć, że Cesarz Słońce nie jest, jak sądził, Panem Raju, Filarem Nieba i Wielką Rzeką Łaskawości, ale złośliwym szaleńcem, którego zgon zbyt długo już się odwleka.

Przerażająca myśl. To tak jakby nienawidzić macierzyństwa i surowej ryby, jakby sprzeciwiać się słonecznemu światłu. Większość ludzi rozwija w sobie świadomość społeczną w młodości, w tym krótkim okresie pomiędzy ukończeniem szkoły a uznaniem, że niesprawiedliwość niekoniecznie jest całkiem złą. Odkrycie tego w wieku lat sześćdziesięciu powoduje jednak prawdziwy wstrząs.

To nie znaczy, że sprzeciwiał się Złotym Zasadom. Rozsądek podpowiadał, że człowiekowi skłonnemu do złodziejstwa należy odrąbać ręce; chroni go to przed kolejnymi kradzieżami i zbrukaniem duszy. Wieśniak, który nie może zapłacić podatku, powinien zostać stracony, by nie uległ pokusie lenistwa i by zapobiec niepokojom społecznym. A skoro Imperium zostało stworzone przez Niebiosa jako jedyny prawdziwy świat ludzkich istot, gdy wszystko poza nim jest krainą upiórów, to z całą pewnością należy usuwać osoby, które kwestionują ten stan rzeczy.

Czuł jednak, że nie wypada chichotać przy tym radośnie. Dokonywanie tych czynów powinno być jedynie koniecznym obowiązkiem, a nie przyjemnością.

Gdzieś z daleka usłyszał krzyki. To cesarz znowu grał w szachy. Lubił korzystać z żywych figur.

Drugiemu Małemu Wangowi ciążyła ta wiedza. Kiedyś czasy były lepsze - zdążył już to odkryć. Nie zawsze sprawy Imperium wyglądały tak jak teraz. Cesarze nie byli okrutnymi błaznami, których otoczenie jest bezpieczne jak bagna w sezonie krokodyli. Kiedy umierał władca, nie zawsze wybuchała wojna domowa. Arystokraci nie rządili krajem. Lud miał prawa, nie tylko obowiązki.

Aż pewnego dnia zakwestionowano prawo sukcesji, wybuchła wojna i od tego czasu nic jakoś nie mogło się poprawić.

Jeśli nie zdarzy się nic nadzwyczajnego, niedługo umrze cesarz. Bez wątplenia jest już dla niego przygotowywane specjalne piekło. Jak zwykle rozpęta się wojna, po czym na tron wstąpi nowy cesarz. Jeśli Drugi Mały Wang będzie miał wielkie szczęście, zostanie ścięty, co zwykle przytrafiało się ludziom, którzy objęli wysokie urzędy za poprzedniej władzy. Ale według obecnych norm nie jest to szczególne okrucieństwo, gdyż ostatnio można było stracić głowę za przeszkodzenie cesarzowi w myśleniu albo za stanie w niewłaściwym miejscu.

I wtedy Drugi Mały Wang usłyszał duchy.

Zdawało mu się, że są tuż pod jego stopami.

Mówiły obcym językiem, więc dla Drugiego Małego Wanga były to pozbawione znaczenia dźwięki. Brzmiały tak:

- „Gdzie jesteście, do demona?”

- „Gdzieś pod pałacem. Jestem pewien. Szukajcie następnej klapy w suficie.”

- „Co?”

- „Mam dość pchania tego przeklętego wózka.”

- „Mówię, że po wszystkim należy mi się gorący masaż stóp.”

- „To ma być sposób na wejście do miasta? To ma być wejście do miasta? Po pachy w wodzie? Nie tak wkraczaliśmy do jakiegoś pie... nędznego miasta, kiedy jeździłem z Bruce'em Hunem. Do tego... kochającego miasta wkraczało się na czele tysiąca konnych, ot co!”

- „Tak, ale w tej rurze i tak by się nie zmieścili.”

Głosy brzmiały głucho i dudniąco. Zdumiony i zafascynowany Drugi Mały Wang podązał za nimi przez zagrabiony żwir w sposób tak niedbały, że

mógł zyskać natychmiastowe wyrwanie języka z jego zwykłego miejsca pokoju i ukojenia.

- „Możemy się pospieszyć? Wolałbym, żeby nas już tu nie było, kiedy wybuchnie kociołek. A nie miałem czasu na eksperymenty z lontami.”

- „Wciąż nie łapie, o co chodzi z tym kociołkiem, Ucz.”

- „Mam nadzieję, że fajerwerki wybiją dziurę w murze.”

- „Jasne. Ale w takim razie dlaczego nas tam nie ma? Po co leżymy tą rurą?”

- „Bo wszyscy strażnicy pobiegną sprawdzić, co wybuchło.”

- „Właśnie. I powinniśmy na nich czekać.”

- „Nie! Powinniśmy być tutaj, Dżyngis. Ten manewr nazywa się „odwrócenie uwagi”. W ten sposób... jest bardziej cywilizowanie.”

Drugi Mały Wang przycisnął ucho do gruntu.

- „Ucz, jaka jest kara za wejście do Zakazanego Miasta? Możesz powtórzyć?”

- „O ile wiem, jest to egzekucja polegająca na powieszeniu, wyciąganiu i ćwiartowaniu. Dlatego, rozumiecie, lepiej, żeby...”

Coś bardzo cicho plusnęło.

- „A jak kogoś wyciągają?”

- „Wydaje mi się, że wypruwają wnętrzności i pokazują je skazańcowi.”

- „Po co?”

- „Właściwie nie wiem. Pewnie żeby sprawdzić, czy je rozpozna.”
- „Znaczy, niby jak? O, faktycznie, to moje nerki, a to moje śniadanie?”
- „A jak ćwiartują? Tną na ćwiartki?”
- „Sądząc z kontekstu, to bardzo prawdopodobne.”

Przez chwilę słyhać było tylko plusk sześciu par nóg i ciche zgrzytanie czegoś, co brzmiało jak koła.

- „No, a jak wieszają?”
- „Słucham?”
- „He, he, he... Przepraszam, żartowałem.”

Drugi Mały Wang potknął się o dwustuletnie drzewko bonsai i uderzył głową o kamień wybrany ze względu na swój fundamentalny spokój. Kiedy po kilku sekundach odzyskał przytomność, głosy umilkły. O ile w ogóle realnie istniały.

Duchy. Ostatnio sporo jest tu duchów. Drugi Mały Wang żałował, że nie ma przy sobie paru fajerwerków.

Bycie mistrzem protokołu okazało się gorsze nawet od szukania rymu do „pomarańczy płatka”.

* * *

Latarnie rozjaśniały uliczki Hunghung. Słyszac za sobą ciche rozmowy Czerwonej Armii, Rincewind dotarł do muru Zakazanego Miasta.

Nikt lepiej od niego nie wiedział, że jest absolutnie niezdolny do

prawdziwych czarów. Udawały mu się jedynie przypadkiem.

Był więc pewien, że jeśli pomacha ręką i wypowie kilka magicznych słów, mur najprawdopodobniej stanie się trochę mniej dziurawy niż w tej chwili.

Przykro będzie rozczarować Kwiat Lotosu, której ciało nasuwało na myśl talerz ozdobnie ciętych frytek. Chyba jednak najwyższy czas, by się nauczyła, że nie wolno polegać na magach.

A potem będzie mógł się stąd wynieść. Co może mu zrobić Motyl, jeśli spróbuje i zawiedzie?

Ku swemu zdziwieniu odkrył w sobie nadzieję, że zanim ucieknie, zdąży wsadzić Dwóm Ognistym Ziołom palec w oko. Był zdumiony, że inni nie poznali się na tym człowieku.

Znaleźli się pomiędzy bramami. Życie Hunghung oblewało mur niczym mulista fala; wszędzie widział stragany i stoiska. Rincewind myślał dotąd, że Ankhmorporkianie żyją praktycznie na ulicach, jednak w porównaniu z mieszkańcami Hunghung można by ich uznać za agorafobów. Pogrzeby (i połączone z nimi pokazy sztucznych ogní), wesela i ceremonie religijne odbywały się obok i mieszały z normalną działalnością targową, taką jak zarzynanie zwierząt w stylu wolnym i targowanie się na poziomie światowym.

Zioła wskazał odsłonięty odcinek muru. Pod ścianą leżał jedynie stos drewna.

- Mniej więcej tam, Wielki Magu - rzucił drwiąco. - I nie przemęczaj się nadmiernie. Wystarczy mały otwór.

- Przecież dookoła są setki ludzi!

- Czy to kłopot dla tak wybitnego maga? Czy może nie potrafisz, kiedy inni patrzą?

- Nie mam wątpliwości, że Wielki Mag nas zadziwi - oświadczyła Motyl.

- Kiedy ludzie zobaczą potęgę Wielkiego Maga, będą o niej opowiadać po wieczne czasy - dodała Kwiat Lotosu.

- Prawdopodobnie - mruknął Rincewind.

Kadra ucichła, choć wskazywały na to jedynie ich zamknięte usta. Przestrzeń pozostawioną przez to milczenie natychmiast wypełnił gwar tłumu.

Rincewind podwinął rękawy.

Nie był nawet pewien, jakie jest zakłęcie wysadzające obiekty murowane.

Niepewnie machnął ręką.

- Lepiej się odsuńmy - powiedział Zioła ze złośliwym uśmiechem.

-*Quanti canicula iila in fenestre* - powiedział Rincewind. - Tego...

Rozpaczliwie wpatrywał się w mur. Dzięki wyczuleniu zmysłów, jakie zdarza się ludziom na krawędzi paniki, zauważył kocioł częściowo przysypany drewnem. I chyba był do niego umocowany kawałek płonącego sznurka.

- Słuchajcie - powiedział. - Tam chyba jest...

- Jakies kłopoty? - spytał złośliwie Zioła.

Rincewind wyprostował się.

- ... - odparł z godnością.

Zabrzmiał dźwięk, jakby pianka lądowała delikatnie na talerzu, i wszystko przed nim rozjarzyło się bielą. Po chwili biel zmieniła się w czerwień z pasami czerni, a straszliwy huk klepnął go dłonią po uszach.

Sierpowaty fragment czegoś ściał czubek kapelusza i wbił się w najbliższy dom, który zajął się ogniem.

Ostro zapachniało przypalonymi brwiami.

Kiedy odłamki opadły, Rincewind zobaczył sporą dziurę w murze. Cegły wokół brzegów, zmienione teraz w rozgrzaną do czerwoności ceramikę, zaczynały stygnąć przy wtórze cichych trzasków.

Spojrzał na swe czarne od sadzy dłonie.

- Ale numer... - powiedział. A potem dodał jeszcze: - I dobrze!

Odwrócił się, by rzec dumnie: „I co wy na to?”, ale zamilkł, kiedy stało się oczywiste, że wszyscy pozostali leżą płasko na ziemi.

Kaczka obserwowała go podejrzliwie z klatki. Dzięki częściowej osłonie prętów miała pióra ubarwione w pasy na przemian naturalne i przypieczone.

Zawsze chciał rzucać takie czary. Zawsze potrafił doskonale je sobie wyobrazić. Tyle że nigdy mu nie wychodziły...

W otworze pojawili się gwardziści. Jeden, którego przerażający hełm sugerował oficera, popatrzył na czerniejące brzegi otworu, a potem na Rincewinda.

- Ty to zrobiłeś? - zapytał.

- Cofnijcie się! - krzyknął pijany swą potęgą Rincewind. - Jestem Wielkim Magiem, wiecie? Widzicie ten palec? Nie zmuszajcie mnie, żebym go użył!

Oficer skinął na swoich ludzi.

- Brać go.

Rincewind cofnął się o krok.

- Ostrzegam! Kto spróbuje mnie dotknąć, będzie przez resztę życia łykał muchy i podskakiwał!

Gwardziści podchodzili z determinacją ludzi skłonnych zaryzykować niepewne zagrożenie czarami wobec całkiem pewnej kary za niewykonanie rozkazu.

- Odstąpcie! To lada chwila eksploduje! No dobrze, skoro nie zostawiacie mi wyboru...

Machnął ręką. Kilka razy pstryknął palcami.

- Eee...

Gwardziści sprawdzili, że nie zmienili kształtu, po czym chwycili go za ramiona.

- To może działać z opóźnionym zapłonem... - ostrzegł, kiedy ścisnęli mocniej. - A może zainteresuje was wysłuchanie słynnego cytatu... - Gwardziści unieśli go nad ziemię. - Raczej nie.

Przenieśli Rincewinda, wciąż odruchowo przebierającego w powietrzu nogami, przed skryte za maską oblicze oficera, który ryknął:

- Na kolana, buntowniku!

- Chętnie, ale...

- Widziałem, co zrobiłeś z Czterema Białymi Lisami!

- Co? Kto to taki?

- Zabierzcie go do cesarza.

Wleczony Rincewind widział jeszcze przez chwilę, jak gwardziści z mieczami w dłoniach otaczają Czerwoną Armieję.

* * *

Metalowa płyta zakołysała się, po czym upadła na podłogę.

- Ostrożnie!

- Nie jestem przyzwyczajony do ostrożności! Bruce Hun nie był ostro...

- Zamknij się z tym Bruce'em Hunem!

- Ciebie też niech lichy porwie!

- Co?

- Jest tam ktoś?

Cohen wysunął głowę z tunelu. Pomieszczenie było ciemne, wilgotne, pełne rur i przewodów. Woda ciekła we wszystkich kierunkach, by napełniać fontanny i zbiorniki.

- Nie - stwierdził z rozczarowaniem.

Rozległy się głucho przekleństwa i zgrzyty, kiedy do długiej, niskiej piwnicy przeciskano wózek Hamisha.

Saveloy zapalił zapalkę, a ordynicy rozproszyli się i badali otoczenie.

- Gratulacje, panowie - rzekł. - Jak sądzę, jesteśmy już w pałacu.

- Jasne - mruknął Truckle. - Pokonaliśmy tę pie... kochającą rurę. Co komu z tego?

- Możem ją zgwałcić - odpowiedział Caleb.

- Patrzcie, to koło się obraca!

- Co to jest kochająca rura?

- Co robi ta dźwignia?

- Co?

- A może poszukamy drzwi, wypadniemy stąd i zabijemy wszystkich?

Saveloy przymknął oczy. Sytuacja wydawała mu się znajoma i po chwili przypomniał sobie dlaczego. Kiedyś zabrał całą klasę na szkolną wycieczkę do miejskiej zbrojowni. Jeszcze teraz w wilgotne dni dokuczała mu prawa noga.

- Nie, nie. Nie! - powiedział. - Co by nam z tego przyszło? Mały Willie, zostaw tę dźwignię.

- No, na przykład ja poczułbym się lepiej - odparł Cohen. - Przez cały dzień nikogo nie zabiłem, oprócz tego strażnika, a to się właściwie nie liczy.

- Przypominam, że mamy tutaj kraść, nie mordować. A teraz proszę wszystkich, żebyście zdjęli te mokre skóry i włożyli wasze ładne, nowe ubrania.

- To mi się nie podoba - oświadczył Cohen, wciągając koszulę. - Lubię, żeby ludzie wiedzieli, kim byłem.

- Właśnie - zgodził się Mały Willie. - Bez skór i kolczug mogą nas wiać

za bandę staruszków.

- I o to chodzi - wtrącił Saveloy. - To element podstępny.

- Czy to podobne do taktyki? - upewnił się Cohen.

- Tak.

- Niech będzie, ale i tak mi się nie podoba - narzekał Stary Vincent. - Przypuśćmy, że wygramy. Jaką pieśń zaśpiewają minstrele o ludziach, którzy atakowali przez rurę?

- Dudniącą - odgadł Mały Willie.

- Niczego takiego nie zaśpiewają - zapewnił stanowczo Cohen. - Jak mu dosyć zapłacisz, minstrel zaśpiewa, co tylko zechcesz.

Do drzwi prowadziło kilka mokrych stopni. Saveloy był już na górze i nasłuchiwał.

- Zgadza się - potwierdził Caleb. - Mówią przecież, że kto płaci muzykantowi, ten wybiera melodię.

- No tak, panowie - uzupełnił Saveloy, a oczy mu błyszczały - kto przystawi nóż do gardła muzykanta, ten pisze symfonię.

* * *

Skrytobójca sunął wolno przez komnaty pana Honga.

Był jednym z najlepszych w nielicznej, lecz ekskluzywnej gildii w Hunglung i z całą pewnością nie zaliczał się do buntowników. Nie lubił buntowników. Byli zwykłe ludźmi ubogimi, a zatem niewielką mieli szansę, by zostać klientami.

Poruszał się ostrożnie, choć w niezwykle sposób. Unikał podłogi - pan Hong znany był z tego, że nastrojał deski. Skrytobójca wykorzystywał raczej meble, ozdobne parawany, a czasem również sufit.

Był doskonale przygotowany. Kiedy przez odległe drzwi wkroczył posłaniec, skrytobójca zamarł na chwilę, po czym ruszył do swego celu w idealnie zgranym rytmie, pozwalając, by ciężkie stąpanie przybysza zagłuszało jego kroki.

Pan Hong robił kolejny miecz. Składanie metalu, wszystkie te męczące, choć konieczne okresy nagrzewania i kucia, pomagały mu jasno myśleć. Zbyt dużo czysto umysłowej aktywności szkodzi mózgowi, jak stwierdził. Lubił czasami popracować także rękami.

Wsunął klingę w palenisko i kilka razy poruszył miechem.

- Słucham - powiedział.

Posłaniec uniósł głowę tuż ponad podłogę.

- Dobre wieści, panie. Schwytiliśmy Czerwoną Armię!

- Cóż, to istotnie dobre wieści - przyznał pan Hong, starannie obserwując klingę i czekając na zmianę koloru. - W tym również tego, którego nazywają Wielkim Magiem?

- Tak jest. Ale wcale nie jest taki wielki, panie.

Uśmiech zniknął, gdy Hong zmarszczył brwi.

- Doprawdy? Raczej przeciwnie, gdyż podejrzewam go o dysponowanie ogromną i niebezpieczną mocą.

- Tak, panie. Nie chciałem...

- Dopilnuj, żeby wszyscy trafili do więzienia. I wyślij wiadomość do

kapitana Pięciu Ludzi Honga, by wykonał rozkazy, jakie wydałem mu dziś rano.

- Tak, panie.

- A teraz wstań.

Posłaniec wstał przerażony. Hong wciągnął grubą rękawicę i ujął rękojeść miecza.

- Broda do góry!

- Panie...

- Otwórz szeroko oczy!

Ten rozkaz był całkiem zbyteczny. Pan Hong spojrzał uważnie na maskę zgrozy, zauważył niewielki ruch, kiwnął głową, po czym jednym, niemal baletowym ruchem wyrwał gorące ostrze z paleniska, odwrócił się, pchnął...

Rozległ się bardzo krótki krzyk, a potem dłuższe syczenie.

Pan Hong pozwolił skrytobójcy osunąć się na podłogę. Potem wyrwał miecz z ciała i obejrzał parujące ostrze.

- Hm... - mruknął. - Ciekawe...

Zauważył przerażonego posłańca.

- Jeszcze tu jesteś?

- Nie, panie.

- Zrób, co mówiłem.

Pan Hong obrócił klingę tak, by odbijała światło. Starannie zbadał

powierzchnię.

- I jeszcze, no... Czy mam przysłać służbę, żeby usunęła to, eee... ciało?

- Co? - Pan Hong zamyślił się głęboko.

- Ciało, panie?

- Jakie ciało? A tak. Zajmij się tym.

* * *

Ściany były przepięknie dekorowane. Nawet Rincewind to zauważył, choć przesuwały się obok zamglone szybkością. Na niektórych wymalowano cudowne ptaki, czasem górskie pejzaże albo gęstwy listowia, a każdy liść czy pąk przedstawiony był ze wszystkimi szczegółami za pomocą kilku ledwie pociągnięć pędzelka.

Ceramiczne lwy patrzyły groźnie z marmurowych piedestałów. Przy ścianach korytarza stały wazy większe od Rincewinda.

Lakierowane drzwi otwierały się przed gwardzistami. Rincewind przelotnie dostrzegł wielkie, ozdobne i puste komnaty ciągnące się po obu stronach.

Wreszcie minęli kolejne drzwi i został rzucony na drewnianą podłogę. W podobnych okolicznościach, jak się już nieraz przekonał, lepiej nie podnosić głowy.

Po chwili odezwał się dumny głos.

- Co masz do powiedzenia na swoją obronę, nędzna wszo?

- No więc ja...

- Milcz!

Aha. Czyli to miała być taka rozmowa...

Inny głos, starczy, zgrzytliwy i sapiący, powiedział:

- Gdzie jest wielki... wezyr?

- Oddalił się do swych komnat, o wspaniały. Wyjawiał, że boli go głowa.

- Wezwijcie go... natychmiast.

Rincewind, z nosem przyciśniętym mocno do podłogi, doszedł do kolejnych wniosków. Wielki wezyr zawsze źle wróżył; na ogół oznaczał, że pojawią się propozycje dzikich koni i rozgrzanych do czerwoności łańcuchów. A kiedy kogoś nazywano „o wspaniały”, było właściwie pewne, że nie warto się odwoływać.

- To jest... buntownik, nieprawdaż? - Zdanie to zostało raczej wychrypione niż wypowiedziane.

- Rzeczywiście, o wspaniały.

- Myślę, że chętnie przyjdę... rzę się bliżej.

Rincewind usłyszał pomruk dowodzący, że grupa osób została zaskoczona tym żądaniem. Potem zgrzytnęły przesuwane meble. Miał wrażenie, że na granicy pola widzenia dostrzega kołdrę. Widocznie ktoś pchał łóżko...

- Niech on... wstanie.

Bulgot w środku zdania przypominał resztkę wody spływającą z wanny do otworu ściekowego. Chlupotał niczym cofająca się fala.

Po raz kolejny Rincewind dostał kopniaka w nerki, polecenie wyrażone

w prostym esperanto brutalności. Wstał.

To rzeczywiście było łożo, i to chyba największe, jakie w życiu oglądał. Na nim, okryty brokatami i niemal zagubiony wśród poduszek, leżał starzec. Rincewind nie widział jeszcze człowieka wyglądającego na tak chorego. Starzec miał twarz bladą z zielonkawym odcieniem; żyły pod skórą dłoni przypominały robaki w słoju.

Cesarz miał wszystkie charakterystyczne cechy trupa, tyle że - jak się okazało - wyjątkowo żywotnego.

- Czyli... to jest ten nowy Wielki Mag, o... którym tyle czytaliśmy, czy... tak?

Kiedy mówił, wszyscy cierpliwie przeczekiwali bulgot w środku zdania.

- No więc... - zaczął Rincewind.

- Milcz!

Rincewind wzruszył ramionami.

Nie wiedział, czego się spodziewać po cesarzu. Jednak w wyobraźni przewidział to stanowisko dla potężnego, tłustego człowieka z licznymi pierścieniami na palcach. Tymczasem rozmowa z tym tutaj tylko o włos różniła się od nekromancji.

- Możesz pokazać nam jeszcze jakieś... czary, Wielki Magu?

Rincewind zerknął na szambelana.

- Właś...

- Milcz!

Cesarz skinął dłonią, zabulgotał z wysiłku i spojrzał pytająco. Rincewind

postanowił spróbować jeszcze raz.

- Znam dobry czar - powiedział. - Sztuczka ze znikaniem.

- Możesz ją nam po... kazać?

- Tylko jeśli wszyscy pootwierają drzwi i odwrócą się plecami.

Wyraz twarzy cesarza nie zmienił się wcale. Cały dwór zamilkł. Potem zabrzmiał dźwięk, jakby kilka królików śmiertelnie się zakrztusiło.

Cesarz się śmiał. Kiedy stało się to oczywiste, wszyscy inni także wybuchnęli śmiechem. Nikt nie zyskuje takiego aplauzu jak człowiek, któremu łatwiej jest posłać kogoś na śmierć, niż wyjść do toalety.

- Co z tobą... poczniemy? - zapytał. - Gdzie jest... wielki... wezyr?

Dworzanie się rozstąpili.

Rincewind zaryzykował spojrzenie w bok. Gdy człowiek raz dostanie się w ręce wielkiego wezyra, jest już właściwie martwy. Wielcy wezyrowie zawsze są spiskującymi megalomanami. Prawdopodobnie takie są warunki zatrudnienia na tym stanowisku: „Czy jesteś przebiegłym, zdradzieckim, intrygującym szaleńcem? To świetnie, zostaniesz więc moim najbardziej zaufanym ministrem”.

- Ach, pan... Hong - ucieszył się cesarz.

- Łaski? - zaproponował Rincewind.

- Milcz! - wrzasnął szambelan.

- Powiedz mi, panie... Hong - rzekł starożytny cesarz - jaka jest kara dla... cudzoziemca... wkraczającego do Zakazanego Miasta?

- Usunięcie wszystkich kończyn, uszu i oczu, a następnie wypuszczenie

na wolność - odparł pan Hong.

Rincewind podniósł rękę.

- Pierwsze wykroczenie?

- Milcz!

- Zwykle staramy się dopilnować, by nie było już drugiego - zapewnił pan Hong. - Co to za osobnik?

- Podoba mi się - oświadczył cesarz. - Chyba go... zatrzymam. Śmiesz... mnie.

Rincewind otworzył usta.

- Milcz! - ryknął szambelan, zapewne niezbyt rozsądnie w świetle ostatnich wydarzeń.

- Eee... czy on mógłby przestać wrzeszczeć „milcz” za każdym razem, kiedy próbuję coś powiedzieć? - spytał Rincewind.

- Oczywiście... Wielki Magu - zgodził się cesarz. Skinął na gwardzistów.
- Zabierzcie stąd... szambelana i ode... tnijcie mu wargi.

- O wspaniały, ja...

- I uszy... także.

Nieszczęśnika wywleczono z komnaty. Zatrzasnęły się lakierowane skrzydła drzwi. Dworzanie skwitowali zajście oklaskami.

- Czy chciałbyś... popatrzeć, jak... je zjada? - zaproponował cesarz z radosnym uśmiechem. - To kapi... talna zabawa.

- Uhahaha - odparł Rincewind.

- Słuszna decyzja, panie - stwierdził pan Hong.

Odwrócił się w stronę maga i ku jego ogromnemu zdumieniu, ale i przerażeniu, mrugnął porozumiewawczo.

- O wspianiały - odezwał się pulchny dworzanin. Padł na kolana, odbił się lekko i zbliżył lękliwie do cesarza. - Zastanawiam się, czy może jest całkiem rozsądne, by okazywać taką łaskę owemu cudzoziemskiemu de...

Cesarz pochylił głowę. Rincewind mógłby przysiąc, że osypał się kurz.

W grupie dworzan nastąpiło delikatne poruszenie. Choć zdawało się, że nikt nie popełnił takiej niestosowności jak przesunięcie choćby stopy, jednak wokół klęczącego pojawił się rosnący pas pustej przestrzeni.

Cesarz się uśmiechnął.

- Twoja troska zasługuje na... pochwałę - powiedział. Dworzanin pozwolił sobie na pełen ulgi uśmiech. Cesarz dodał: - Jednak twoja arogancja... już nie. Zabijcie go powoli... niech to trwa kilka... dni.

- Aargh!

- Is... totnie. Dużo wrzącego... oleju.

- Znakomity pomysł, panie - pochwalił pan Hong.

Cesarz znów spojrzał na Rincewinda.

- Jestem pewien, że... Wielki Mag jest... moim przyjacielem - wycharczał.

- Ahahaha - zapewnił Rincewind.

Znajdował się już w takich sytuacjach, bogowie świadkami. Ale dotąd stawał przed kimś... no, zwykle przed kimś podobnym do Honga, a nie

wobec takiego niemal trupa, który tak daleko pogrążył się w obłąd, że normalności nie sięgał nawet długim kijem.

- Będziemy się do... skonale bawili - obiecał cesarz. - Dużo o... tobie czytałem.

- Ahahaha.

Cesarz znów skinął dworzanom ręką.

- Udam się teraz na spoczynek.

Zebrani zaczęli ostentacyjnie ziewać. Najwyraźniej nikt tu nie kładł się spać później od cesarza.

- Panie - odezwał się znużonym głosem pan Hong. - Co każesz nam uczynić z twoim tym oto Wielkim Magiem?

Starzec obrzucił Rincewinda spojrzeniem, jakie zwykle zyskuje prezent w chwili, gdy kończą się baterie.

- Wsadźcie go do specjalnego... lochu. Na razie.

- Tak, panie. - Pan Hong skinął na gwardzistów.

Wywlekany Rincewind zdążył się jeszcze obejrzeć. Cesarz leżał nieruchomo wśród poduszek i chyba całkiem o nim zapomniał.

- Zwariował czy co? - zapytał.

- Milcz!

Rincewind przyjrzał się gwardziście, który to powiedział.

- Z taką gębą człowiek łatwo może się tu wpakować w kłopoty - mruknął pod nosem.

* * *

Pan Hong zawsze wpadał w depresję, myśląc o ogólnym stanie ludzkości. Często wydawała mu się skażona. Brakowało jej koncentracji. Weźmy taką Czerwoną Armię. Gdyby to on był buntownikiem, cesarz zginąłby w zamachu już kilka miesięcy temu, a kraj stałby teraz w ogniu, z wyjątkiem części zbyt wilgotnych, by się paliły. A ci? Mimo tylu wysiłków ich pomysłem na działalność rewolucyjną były dyskretne ulotki na murach, głoszące hasła w stylu „Nieprzyjemności dla oprawców w dogodnej chwili”.

Próbowali podpalać strażnice. Dobrze - tak powinna wyglądać rewolucja, szkoda jednak, że najpierw starali się umówić z gwardzistami. Dużo wysiłków kosztowało pana Honga wywołanie wrażenia, że Czerwona Armia w ogóle odnosi jakieś zwycięstwa.

Cóż, dał im Wielkiego Maga, w którego tak szczerze wierzyli. Teraz nie mieli już nic na swoje usprawiedliwienie. Sądząc po wyglądzie, ten nędznik był tak tchórzliwy i pozbawiony talentów, jak pan Hong oczekiwał. Armia przez niego prowadzona albo ucieknie, albo pozwoli się wybić, otwierając drogę kontrrewolucji.

Kontrrewolucja na pewno nie będzie taka nieskuteczna. Pan Hong już tego dopilnuje.

Ale sprawy trzeba załatwiać po kolei. Wszędzie czają się wrogowie. Podejrzliwi wrogowie. Ścieżka człowieka ambitnego wiedzie po słowiczej podłodze: jeden fałszywy krok, a zaśpiewają deski. To przykre, że Wielki Mag okaże się takim specjalistą od zamków. Dziś w nocy bloku więziennego pilnują ludzie pana Tanga. Oczywiście, gdyby Czerwonej Armii udało się uciec, na pana Tanga nie padnie żadne podejrzenie...

Pan Hong zaryzykował cichy chichot, gdy powracał do swoich komnat. Dowód, to najważniejsze. Nie może być żadnych dowodów. Zresztą wkrótce nie będzie to miało znaczenia. Nic nie jednoczy ludu lepiej niż przerażająca,

krwawa wojna. A fakt, że Wielki Mag - czyli dowódca straszliwej armii buntowników - jest złowrogim cudzoziemskim wichrzycielem, stanie się iskrą, która podpali fajerwerki.

A potem... Ankh-Morpork [sikający pies].

Hunghung było stare. Kultura opierała się na tradycji, układzie pokarmowym bawołu i zdradzie. Pan Hong doceniał wszystkie trzy elementy, ale nie sumowały się one we władzę nad światem, a tę cenił przede wszystkim. Pod warunkiem, że zostanie osiągnięta przez pana Honga.

Gdybym był tradycyjnym typem wielkiego wezyra, pomyślał, siadając przy stoliku do herbaty, w tej chwili zanosiłbym się śmiechem.

Zamiast tego uśmiechnął się tylko do siebie.

Czas zajrzeć do kufra? Nie. Niektórym rzeczom oczekiwanie dodaje wartości.

* * *

Wózek inwalidzki Wściekłego Hamisha spowodował, że odwróciło się za nimi kilka głów, jednak nie padły żadne komentarze. Nadmierna ciekawość nie była cechą zwiększającą szansę przetrwania w Zakazanym Mieście. Ludzie skupiali się na pracy, która polegała chyba na nieskończonym przenoszeniu korytarzami stosów papierów.

Cohen przyjrzał się temu, co trzymał w ręku. Przez dziesiątki lat walczył różną bronią: mieczami naturalnie, ale też łukami, włóczniami, maczugami... Właściwie, kiedy się zastanowić, to praktycznie wszystkim.

Oprócz tego...

- Wcale mi się to nie podoba - stwierdził Truckle. - Dlaczego niesiemy

kawałki papieru?

- Ponieważ jeżeli w takim miejscu niesiesz kawałek papieru, nikt nie zwraca na ciebie uwagi - wyjaśnił Saveloy.

- Dlaczego?

- Co?

- To... taka magia.

- Lepiej bym się czuł, jakby to była broń.

- Prawdę mówiąc, papier może być bronią potężniejszą od wszystkich innych.

- Wiem. Właśnie się skaleczyłem - poskarżył się Mały Willie, ssąc palec.

- Co?

- Spójrzcie na to z innej strony, panowie - zaproponował Saveloy. - Oto jesteśmy w Zakazanym Mieście i nikt przy tym nie zginął.

- Tak. I dlatego tak... choroba... narzekamy - odparł Truckle.

Saveloy westchnął. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki Truckle używał słów. Nieważne, co naprawdę mówił, słyszało się to, co rzeczywiście miał na myśli. Mógłby samo powietrze doprowadzić do rumieńców, mówiąc „urwał nać”.

* * *

Drzwi zatrzasnęły się za Rincewindem. Potem jeszcze stuknęły

zapadające rygle.

Cele Imperium były całkiem podobne do tych w domu. Kiedy chce się uwięzić stworzenie tak pomysłowe jak typowa istota ludzka, zwykle polega się głównie na solidnych, staroświeckich żelaznych prętach i dużych ilościach kamieni. Wyglądało na to, że ten uświęcony tradycją wzorzec przyjęto tutaj już od dawna.

Cóż, trzeba przyznać, że z cesarzem nie poszło najgorzej. Ale z jakiegoś powodu fakt ten nie dodawał otuchy. Starzec sprawił wrażenie człowieka równie groźnego dla przyjaciół, jak dla wrogów.

Rincewind wspomniał Macarona Jacksona, jeszcze z czasów, kiedy dopiero zaczynał studia. Wszyscy chcieli przyjaźnić się z Macaronem, ale nie wiadomo czemu, kiedy człowiek trafił już do jego bandy, stale ktoś po nim deptał, ścigała go Straż Miejska albo obrywał w bójkach, których wcale nie zaczynał. Tymczasem Macaron znajdował się gdzieś na granicy całego zamieszania i śmiał się tylko.

Poza tym cesarz nie stał już u drzwi Śmierci, ale był w korytarzu, podziwiał dywan i wygłaszał komentarze na temat wieszaka. I nie trzeba być politycznym geniuszem, by wiedzieć, że kiedy ktoś taki umiera, rachunki zostają wyrównane, zanim jeszcze ostygnie ciało. Osoba publicznie nazwana przyjacielem ma oczekiwaną długość życia kojarzoną zwykle ze stworzeniami, które o zachodzie słońca unoszą się nad strumieniem pełnym pstrągów.

Rincewind odsunął na bok jakąś czaszkę i usiadł. Istniała zapewne szansa na ratunek, ale Czerwona Armia byłaby w ciężkich tarapatach, próbując ratować gumową kaczkę przed utonięciem. Zresztą wtedy znalazłby się znowu w rękach Motyl, która budziła w nim przerażenie prawie tak wielkie jak cesarz.

Musiał wierzyć, że bogowie nie planują, by Rincewind, po wszystkich swoich przygodach, zgnił w lochu.

Nie, pomyślał z goryczą. Bogowie zaplanowali pewnie coś bardziej pomysłowego.

Światło wpadało do lochu jedynie przez bardzo małą kratkę i wyglądało na bardzo zużyte. Umeblowanie składało się ze stosiku czegoś, co zapewne kiedyś było słomą. Usłyszał...

...delikatne stukanie w ścianę.

Raz, dwa... trzy razy.

Sięgnął po czaszkę i odpowiedział tym samym.

Zabrzmiało jedno stuknięcie.

Powtórzył je.

Potem dwa.

Stuknął dwukrotnie.

Cóż, nie pierwszy raz spotykał się z czymś takim. Komunikacja pozbawiona znaczeń... Poczuł się, jakby wrócił na Niewidoczny Uniwersytet.

- Świetnie - powiedział, a jego głos odbił się głuchym echem od ścian celi. - Świetnie. Mamy kontakt. Ale co właściwie mówimy?

Coś zazgrzytało cicho. Jeden z kamiennych bloków wysunął się ze ściany i spadł Rincewindowi na nogę.

- Aargh!

- Jaki hipopotam? - zapytał stłumiony głos.

- Co?

- Słucham?

- Co?

- Chciałeś poznać kod stukania? Rozumiesz, w ten sposób kontaktujemy się między celami. Jedno stuknięcie oznacza...

- Przepraszam, ale czy nie kontaktujemy się właśnie w tej chwili?

- Tak, ale nieoficjalnie. Więźniom... nie wolno... rozmawiać...

Głos mówił coraz wolniej, jakby jego właściciel nagle przypomniał sobie coś ważnego.

- A tak - zgodził się Rincewind. - Wciąż zapominam. To przecież... Hunghung. Wszyscy... przestrzegają... reguł...

Głos Rincewinda także ucichł.

Po obu stronach muru zapadła długa, pełna zadumy cisza.

- Rincewind?

- Dwukwiat? Co ty tu robisz? - zdumiał się Rincewind.

- Gniję w lochu.

- Ja też.

- Na bogów! Ileż to już lat? - zapytał stłumiony głos Dwukwiata.

- Co? Ileż to już lat czego?

- Ale ty... czemu...?

- Bo pisałeś tę przekłętą książkę!

- Myślałem, że będzie ciekawa dla innych.

- Ciekawa? Ciekawa?!

- Myślałem, że ludzie chętnie przeczytają opisy cudzoziemskiej kultury. Nie miałem zamiaru sprawiać kłopotów.

Rincewind oparł się o swoją stronę muru. Nie, oczywiście. Dwukwiat nie chciał sprawiać kłopotów. Niektórzy nigdy nie chcą. Prawdopodobnie ostatnim dźwiękiem słyszonym, nim wszechświat złoży się jak papierowy kapelusik, będzie głos kogoś pytającego „Co się stanie, jeśli zrobię o tak?”.

- Chyba Los cię tu zesłał - rzekł Dwukwiat.

- Owszem, on lubi takie rzeczy - zgodził się Rincewind.

- Pamiętasz, jaką mieliśmy razem zabawę?

- Naprawdę? Musiałem akurat zamknąć oczy.

- Przygody!

- Ach, one. Chodzi ci o wiszenie nad przepaściami i takie rzeczy...?

- Rincewindzie...

- Tak? Słucham.

- Czuję się o wiele lepiej, kiedy ty tu jesteś.

- Zadziwiające.

Rincewind rozkoszował się twardością muru. To były zwykłe kamienie. Czuł, że może na nich polegać.

- Chyba wszyscy mają kopie twojej książki - powiedział. - Jest dziełem

rewolucyjnym. I to rzeczywiście kopie. Wyglądają, jakby każdy przepisywał ją i oddawał następnemu.

- Tak. To się nazywa samizdat.

- Co to znaczy?

- Że trzeba przepisać samemu i dać egzemplarz innym. Na bogów... Sądziłem, że to tylko rozrywka. Nie spodziewałem się, że ludzie potraktują to poważnie. Nie narobiłem chyba zbyt wielkiego zamieszania?

- Wiesz, wasi rewolucjoniści są wciąż na etapie sloganów i ulotek. Ale to chyba nie pomoże, jeśli zostaną złapani.

- Ojej...

- Jak to się stało, że jeszcze żyjesz?

- Sam nie wiem. Podejrzewam, że o mnie zapomnieli. Wiesz, to się zdarza. Chodzi o papiery. Ktoś krzywo pociągnie pędzelkiem albo zapomni przepisać jedną linijkę... Myślę, że to dość częste przypadki.

- Chcesz powiedzieć, że ludzie siedzą w więzieniu, ale nikt już nie pamięta za co?

- O tak.

- No to dlaczego ich nie wypuszczają?

- Chyba są przekonani, że musieli kiedyś zrobić coś złego. Cóż, muszę przyznać, że nasz rząd pozostawia wiele do życzenia.

- Na przykład życzenia sobie innego rządu.

- Przestań. Za powtarzanie takich rzeczy można trafić do lochu.

* * *

Ludzie czasem spali, ale Zakazane Miasto nie zasypiało nigdy. Przez całą noc płonęły pochodnie w wielkim Bureaux, gdzie bezustannie toczyły się sprawy Imperium.

Polegało to, jak zauważył Saveloy, głównie na przekładaniu papierów.

Sześć Dobroczynnych Wiatrów był zastępcą administratora w dystrykcie Langtang. Dobrze wypełniał swoje obowiązki, które zresztą dość lubił. Nie był człowiekiem niegodziwym.

Owszem, miał poczucie humoru jak potrawka z kurczaka. Owszem, dla rozrywki grywał na akordeonie, intensywnie nie cierpiał kotów, a po ceremonii picia herbaty miał zwyczaj osuszać górną wargę serwetką w sposób, który skłaniał panią Dobroczynne-Wiatrową do regularnego popełniania w wyobraźni okrutnych zbrodni. W dodatku trzymał pieniądze w skórzanej portmonetce i starannie je liczył po każdym zakupie, zwłaszcza jeśli za nim stała kolejka.

Z drugiej strony jednak był dobry dla zwierząt i przekazywał niewielkie, ale regularne dotacje na cele dobroczynne. Często dawał skromną jałmużnę ulicznym żebrakom, choć zawsze zapisywał to w notesiku, z którym się nie rozstawał, aby potem nie zapomnieć odwiedzić ich w charakterze oficjalnym.

I nigdy nie zabierał ludziom więcej pieniędzy, niż mieli.

Nie był również - w przeciwieństwie do większości zatrudnionych w Zakazanym Mieście - eunuchem. Gwardziści też nie byli eunuchami, naturalnie. Poradzono sobie z tym, klasyfikując ich oficjalnie jako umeblowanie. Stwierdzono jednak, że urzędnicy podatkowi potrzebują każdego atutu, jaki mają do dyspozycji, by stawić czoło wybiegom prostego wieśniaka, który przejawia pożałowania godną skłonność do niepłacenia podatków.

W budynku można było spotkać osoby bardziej nie mile niż Sześć Dobroczynnych Wiatrów i tylko pech sprawił, że to w jego gabinecie odsunęły się nagle drzwi z papieru i bambusu. Za nimi stało sześciu dziwnie wyglądających i bardzo starych eunuchów, jeden z nich w jakiejś konstrukcji na kołach.

Nawet się nie pokłonili, nie mówiąc już o padnięciu na kolana. A przecież miał nie tylko swój urzędowy czerwony kapelusz, ale też przyszyty na nim biały guzik!

Pędzelek wypadł mu z dłoni, gdy starcy wkroczyli do gabinetu, jakby byli jego właścicielami. Jeden z nich zaczął wybijać dziury w ścianie i wydawać z siebie jakiś bełkot.

- „Hej, te ściany są z papieru! Zobaczcie, jak polizać palec, to przechodzi na wylot! Widzicie?”

- Zawołam strażę i każę was wszystkich wychłostać! - krzyknął Sześć Dobroczynnych Wiatrów, miarkując swój gniew ze względu na nadzwyczaj zaawansowany wiek intruzów.

- „Co on powiedział?”

- „Mówi, że zawoła strażę.”

- „Ooo, tak. Proszę, niech zawoła!”

- „Nie, na razie lepiej nie. Zachowujmy się normalnie.”

- „Znaczy, mamy mu poderżnąć gardło?”

- „Chodzi mi o normalniejsze normalne zachowanie.”

- „Ja właśnie takie bym nazwał normalnym.”

Jeden ze starców stanął przed oniemiałym urzędnikiem i uśmiechnął się

szeroko.

- Wybacz nam, wasza... „do licha, jakie to było słowo...” żagiel wózka...? ogromna skała...? „a tak...” czcigodność, ale chyba zabłądziliśmy.

Dwaj staruszkowie pocłapali za plecy Sześciu Dobroczynnych Wiatrów i zaczęli czytać - a raczej próbować czytać to, nad czym pracował. Wyrwali mu z ręki arkusz papieru.

- „Co tu pisze, Ucz?”

- Spójrzmy... „Pierwszy wiatr jesieni kołysze lotosu kwiatem. Siedem Szczęśliwych Kłód ma zapłacić jedno prosię i trzy [„wygląda jak czwororęki człowiek machający flagą”] ryżu pod karą otrzymania wielu uderzeń w jego [„dość stylizowany obrazek, nie bardzo rozumiem, co to takiego”]. Z rozkazu Sześciu Dobroczynnych Wiatrów, poborcy podatkowego, Langtang”.

Wśród starców nastąpiła subtelna przemiana. Teraz wszyscy się już uśmiechali, ale nie w taki sposób, by dodać otuchy. Jeden z nich, z zębami jak diamenty, pochylił się i powiedział w fatalnym agatejskim:

- Jesteś poborcą podatkowym, panie Gałko na Kapeluszu?

Sześć Dobroczynnych Wiatrów miał wątpliwości, czy zdoła wezwać strażę. W tych staruszkach było coś przerażającego. Wcale nie wyglądali na czcigodnych. Wyglądali na okropnie groźnych, a choć nie zauważył u nich broni, miał lodowatą pewność, że zginie, nim wypowie pierwszą sylabę. Poza tym w gardle mu zaschło, a spodnie miał mokre.

- Co złego w byciu poborcą... - wychrypiał.

- Ależ skąd - zapewnił Diamentowe Zęby. - Zawsze chętnie spotykamy poborców.

- Należą do naszych najulubieńszych ludzi tacy poborcy - dodał inny starzec.

- Oszczędzają zachodu - wyjaśnił Diamentowe Zęby.

- No - przyznał trzeci starzec. - Bo nie trzeba łązić po chałupach i zabijać wszystkich, co by zabrać kosztowności. Wystarczy poczekać i zabić tylko...

- Panowie, możemy zamienić słówko?

Mówiącym był starzec z nieco kozią twarzą, który wydawał się nie aż tak niemiły jak pozostali. Straszni ludzie zebrali się wokół niego, a Sześć Dobroczynnych Wiatrów usłyszał dziwaczne dźwięki chrapliwej cudzoziemskiej mowy.

- „Jak to? Przecież jest poborcą! Oni właśnie do tego służą!”

- „Co?”

- „Pamiętajcie, że stabilny system podatkowy jest fundamentem dobrych rządów, panowie.”

- „Wszystko zrozumiałem do słów »stabilny system«.”

- „Poza tym zabicie tego ciężko pracującego poborcy podatków w żaden sposób nie byłoby dla nas użyteczne.”

- „Będzie martwy. Moim zdaniem to bardzo użyteczne.”

Rozmowa trwała dłużej. Sześć Dobroczynnych Wiatrów aż podskoczył, kiedy grupa się rozstała, a staruszek z kozią twarzą uśmiechnął się do niego.

- Moi pokorni przyjaciele onieśmieleni są pana... odmianą śliwek... małym nożem do cięcia wodorostów... osobą, szlachetny panie - powiedział. Każdemu słowu zadawała kłam energiczna gestykulacja Truckle'a za jego plecami.

- „A może odetniemy mu tylko kawałek?”

- „Co?”

- Jak się tu dostaliście? - zapytał Sześć Dobroczynnych Wiatrów. - Drogi pilnuje wielu silnych gwardzistów.

- Wiedziałem, że coś przegapiliśmy - zmartwił się Diamentowe Zęby.

- Chcielibyśmy, panie, byś oprowadził nas po Zakazanym Mieście - powiedział Kozia Twarz. - Nazywam się... Szafy Lej, tak chyba byś to określił. Tak, Szafy Lej, jestem pewien...

Sześć Dobroczynnych Wiatrów z nadzieją spojrział w stronę drzwi.

- ...a przybyliśmy tutaj, by dowiedzieć się czegoś więcej o waszej cudownej... górze... odmianie bambusa... odgłosie płynącej wody o zachodzie... „niech to...” cywilizacji.

Za nim Truckle energicznie demonstrował reszcie ordy, co on i Szkieletowi Jeźdźcy Bruce’a Huna zrobili kiedyś z poborcą podatków. Zamaszyste ruchy ręki szczególnie mocno przyciągały uwagę Sześciu Dobroczynnych Wiatrów. Nie rozumiał słów, ale jakoś wcale ich nie potrzebował.

- „Dlaczego tak z nim gadasz?”

- „Nie znam drogi, Dżyngis. Nie istnieją mapy Zakazanego Miasta. Potrzebny nam przewodnik.”

Kozia Twarz zwrócił się do poborcy.

- Czy zechcesz, panie, pójść z nami?

Wyjść stąd, pomyślał Sześć Dobroczynnych Wiatrów. Tak! Na korytarzu mogą stać gwardziści!

- Jedną chwileczkę - wtrącił Diamentowe Zęby, gdy urzędnik kiwnął

głową. - Weź pędzel i zapisz, co mówię.

Po minucie już ich nie było. W gabinecie pozostał tylko poprawiony rozkaz. Teraz brzmiał tak:

„Róże czerwone są, a fioletowe bzy. Siedem Szczęśliwych Kłód ma dostać jedno prosię i tyle ryżu, ile uniesie, ponieważ został Jednym Szczęśliwym Wieśniakiem. Z rozkazu Sześciu Dobroczynnych Wiatrów, poborcy podatkowego, Langtang. Pomocy. Pomocy. Jeśli ktoś to przeczyta, to porwał mnie w niewolę złowrogi eunuch. Ratunku”.

* * *

Rincewind i Dwukwiat leżeli w sąsiednich celach i wspominali dawne piękne czasy. To znaczy Dwukwiat wspominał dawne piękne czasy. Rincewind dłubał słomką w szczelinie między kamieniami. Nie znalazł nic lepszego. Musiałby pracować kilka tysięcy lat, by osiągnąć jakiś efekt, ale to przecież nie powód, by rezygnować.

- Karmią tutaj? - zapytał, przerywając potok wspomnień.
 - Czasami. Ale nie są to wspaniałe potrawy z Ankh-Morpork.
 - Doprawdy... - wymruczał Rincewind, drapiąc dalej.
- Maleńki kawałek tynku wydawał się gotów do wypadnięcia.
- Nigdy nie zapomnę smaku kiełbasek pana Dibblera.
 - Ludzie zwykle tak mają.
 - Taka uczta trafia się raz na całe życie.
 - Owszem, często.

Słomka się złamała.

- Niech to demon! - Rincewind usiadł prosto. - Co właściwie jest takiego ważnego w tej Czerwonej Armii? - zapytał. - Przecież to banda dzieciaków. Tylko utrapienie.

- Tak... Obawiam się, że nastąpił pewien zamęt pojęciowy - wyjaśnił Dwukwiat. - Hm... Słyszałeś kiedyś o teorii, że historia toczy się cyklami?

- Widziałem rysunek w jednym z notatników Leonarda z Quirmu... - Rincewind podjął pracę z kolejną słomką.

- Nie, chodzi o to, że... kręci się jak koło. Jeśli staniesz w jednym miejscu, wszystko powróci znowu.

- Ach, to... Niech to demon!

- Tutaj wielu w to wierzy. Uważają, że historia rozpoczyna się od nowa co trzy tysiące lat.

- Możliwe - zgodził się Rincewind, który szukał nowej słomki, więc słuchał nieuważnie. Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie słów. - Trzy tysiące lat? To trochę krótko, nie? Wszystko? Gwiazdy, oceany, inteligentne życie ewoluujące z absolwentów studiów humanistycznych... Takie rzeczy?

- Ależ skąd. To tylko... tło. Właściwa historia rozpoczęła się od stworzenia Imperium przez cesarza Lustro Jedyne Słońca. Pierwszego cesarza. I jego sługę, Wielkiego Maga. To tylko legenda. Chłopi w nią wierzą. Patrzą na Wielki Mur i mówią: Coś tak wspaniałego mogło być zbudowane tylko z pomocą magii... A Czerwona Armia... Prawdopodobnie była zwyczajną, dobrze zorganizowaną jednostką wyszkolonych żołnierzy. Pierwsza prawdziwa armia, rozumiesz. Przedtem walczyły tylko niezdyscyplinowane bandy. Nic w tym magicznego. Wielki Mag nie mógł przecież naprawdę... Chłopi wierzą w różne głupstwa...

- Ale w co takiego wierzą?

- Mówią, że Wielki Mag sprawił, by sama ziemia ożyła. Kiedy wszystkie armie kontynentu stanęły naprzeciw Zwierciadła Jedyne Słońca, Wielki Mag... puścił latawca.

- To rozsądne - stwierdził Rincewind. - Kiedy dookoła trwa wojna, weź sobie wolny dzień. To moje motto.

- Nie, nie zrozumiałeś. To był specjalny latawiec. Pochwycił błyskawicę na niebie, a Wielki Mag uwięził ją w butelkach. Potem wziął zwykłe błoto i... wypiekając je w błyskawicy, uformował z niego armię.

- Nie słyszałem o takich zaklęciach.

- Mają też zabawne pomysły na temat reinkarnacji...

Rincewind zgodził się. Zapewne mają. Pomagały im chyba przetrwać te długie bawole godziny: wiecie, kiedy umrę, mam nadzieję powrócić jako... jako człowiek trzymający na sznurku bawoła, ale odwróconego w inną stronę.

- Eee... nie. Oni wcale nie myślą, że człowiek powraca - tłumaczył Dwukwiat. - No... użyłem niewłaściwego słowa, prawda? Trochę ten język zapomniałem. Myślałem o preinkarnacji. To jak reinkarnacja, tylko na odwrót. Uważają, że rodzisz się, zanim umrzesz.

- Coś takiego... - Rincewind skrobał tynk. - Zadziwiające! Narodziny przed śmiercią? Życie przed śmiercią? Ludzie chyba strasznie się podniecają, kiedy o tym słyszą.

- To nie jest dokładnie... Hm, wszystko łączy się z przodkami. Trzeba zawsze szanować przodków, bo pewnego dnia można zostać jednym z nich i... Czy ty mnie słuchasz?

Kawałeczek tynku wypadł ze szczeliny. Całkiem nieźle jak na dziesięć

minut pracy, pomyślał Rincewind. Przed następnym złodowaceniem wydostaniemy się stąd...

Zauważył nagle, że pracuje przy ścianie łączącej jego celę z celą Dwukwiata. Poświęcenie kilku tysięcy lat, by otworzyć przejście do sąsiedniego lochu, to jednak marnowanie czasu.

Zaczął przy innej ścianie. Skrob... Skrob...

Rozległ się przeraźliwy krzyk.

Skrobskrobskrob...

- Brzmi to, jakby cesarz się obudził - stwierdził z dziury w murze głos Dwukwiata.

- I urządza sobie poranne tortury, co?

Rincewind zaczął stukać w wielkie bloki odłamkiem kamienia.

- To właściwie nie jego wina. Po prostu nie zna się na ludziach.

- Naprawdę?

- Wiesz, że dzieci często przechodzą etap wyrywania muchom skrzydełek?

- Ja nigdy tego nie robiłem - zapewnił Rincewind. - Nie można ufać muchom. Wydają się małe, ale mogą się okazać paskudne.

- Dzieci ogólnie, chciałem powiedzieć.

- Tak? I co?

- On jest cesarzem. Nikt nie ośmielił się mu powiedzieć, że to niewłaściwe. To tylko kwestia, no wiesz, większej skali. Wszystkie pięć

rodów walczy między sobą o tron. On sam, żeby zostać cesarzem, zabił swojego bratanka. Nikt mu nie powiedział, że nie należy zabijać ludzi dla zabawy. Przynajmniej nikt nigdy nie zdołał dokończyć pierwszego zdania. A Hongowie, Fangowie, Tangowie, Sungowie i McSweeneyowie zabijają się nawzajem od tysięcy lat. To element królewskiej sukcesji.

- McSweeneyowie?

- Bardzo stary ród.

Rincewind z ponurą miną kiwnął głową. To przypominało zapewne hodowlę koni. Jeśli system premiuje zwycięstwem zdradzieckich morderców, w końcu zaczyna się hodować niezwykle zdradzieckich morderców. Prowadzi to do sytuacji, kiedy strach pochylić się nad kołyską...

Rozległ się kolejny krzyk.

Rincewind zaczął kopać kamienie.

Klucz przekręcił się w zamku.

- Oho! - zawołał Dwukwiat.

Ale drzwi pozostały zamknięte.

Po chwili Rincewind podszedł do nich i na próbę szarpnął za ciężki żelazny pierścień.

Drzwi uchyliły się na zewnątrz, ale niezbyt daleko, gdyż bezwładne ciało strażnika stanowi dość niezwykłą, lecz skuteczną blokadę.

Przy kluczu w zamku wisiało kółko z innymi kluczami.

Niedoświadczony więzień natychmiast rzuciłby się do ucieczki. Ale Rincewind ukończył studia doktoranckie na kierunku pozostawania przy życiu. Wiedział, że w takich sytuacjach najlepszym rozwiązaniem jest

uwolnienie wszystkich więźniów. Potem należy klepnąć każdego z nich w ramię, szepnąć: „Szybko! Idą po ciebie!”, a następnie usiąść w miłym i spokojnym miejscu, dopóki pogoń nie zniknie w oddali.

Najpierw otworzył drzwi celi Dwukwiata.

Niski człowieczek był chudszy i brudniejszy, niż go zapamiętał. Miał też rzadką brodę. Zachował jednak swą podstawową cechę, którą Rincewind tak dobrze poznał - szeroki, promienny, a przede wszystkim ufny uśmiech. Ten uśmiech sugerował, że cokolwiek złego przytrafia się właścicielowi, jest z pewnością zabawną pomyłką i bez żadnych wątpliwości zostanie wkrótce wyjaśnione przez rozsądnych ludzi.

- Rincewind! To naprawdę ty! Nie sądziłem, że jeszcze cię kiedyś zobaczę! - zawołał.

- Tak, moje myśli biegły zbliżonym torem - odparł Rincewind.

Dwukwiat zauważył ciało strażnika przed celą.

- Nie żyje? - zapytał.

- Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa.

- Ty go zabiłeś?

- Byłem w celi!

- Coś takiego... Niezła sztuczka.

Rincewind pamiętał, że mimo kilku lat doświadczania twardych faktów w tej kwestii, Dwukwiat nigdy nie chciał zrozumieć, że jego towarzysz dysponuje takimi zdolnościami magicznymi jak pospolita mucha domowa. Nie warto było nawet go przekonywać, gdyż wtedy do listy nieistniejących zalet Rincewinda dodawał jeszcze skromność.

Rincewind spróbował dopasować klucze do innych zamków. Z cel wychodzili ludzie w łachmanach i mrugali niepewnie w odrobinę lepszym oświetleniu. Jednym z nich - musiał trochę się odwrócić, by zmieścić swe ciało w wąskich drzwiach - okazał się Trzy Zaprzężone Woły. Sądząc z wyglądu, został mocno pobity, choć może po prostu ktoś usiłował zwrócić jego uwagę.

- To jest Rincewind - oznajmił z dumą Dwukwiat. - Wielki Mag. Wiecie, choć siedział w celi, zdołał zabić strażnika.

Uprzejmie obejrzeli zwłoki.

- Właściwie to nie ja - zaprotestował Rincewind.

- Jest także skromny.

- Niech żyje sprawa ludu! - powiedział Trzy Zaprzężone Woły przez spuchnięte wargi.

- Dla mnie kufel! - odparł Rincewind. - Tu być klucze do celi, ty wypuścić ludzi już, rach-ciach-ciach.

Któryś z uwolnionych więźniów pokuśtykał na koniec korytarza.

- Tutaj też leży zabity strażnik! - poinformował.

- To nie ja - jęknął Rincewind. - Owszem, chciałem może, żeby padł trupem, ale...

Ludzie odsunęli się lekko. Lepiej nie przebywać zbyt blisko człowieka, który jest zdolny do takich życzeń.

Gdyby działo się to w Ankh-Morpork, ktoś by pewnie zapytał: „Ach tak, magicznie pchnął ich nożem w plecy?”. Ale to dlatego, że w Ankh-Morpork znali Rincewinda, a poza tym wiedzieli, że jeśli mag naprawdę chciał kogoś zabić, ten ktoś nie miał już pleców do wbijania noża.

Trzy Zaprzężone Woły pokonał jakoś techniczne problemy związane z dopasowywaniem kluczy. Kolejne drzwi stawały otworem...

- Kwiat Lotosu? - ucieszył się Rincewind.

Przytuliła się do ramienia Trzech Zaprzężonych Wołów i uśmiechnęła radośnie do Rincewinda. Inni członkowie kadry wychodzili za nią z celi.

I nagle, ku zdumieniu Rincewinda, Kwiat Lotosu zauważyła Dwukwiata, pisnęła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Długie trwanie córczym afektom! - zaintonował Trzy Zaprzężone Woły.

- Zamknąć pokrywę przed uderzeniem! - odparł Rincewind. - Tego... O co tu właściwie chodzi?

Bardzo mały żołnierz Czerwonej Armii pociągnął go za rękaw.

- To jej tata - powiedział.

- Nigdy nie mówiłeś, że masz dzieci!

- Na pewno mówiłem. Często. - Dwukwiat wyplątał się z uścisku. - Zresztą... to przecież dozwolone.

- Jesteś żonaty?

- Byłem, owszem. Musiałem ci o tym wspomnieć.

- Pewnie akurat przed czymś uciekaliśmy. Czyli jest gdzieś pani Dwukwiatowa, tak?

- Była przez jakiś czas. - Na moment wyraz niemalże gniewu przemknął po nadnaturalnie dobrodusznym obliczu Dwukwiata. - Niestety, już nie.

Rincewind odwrócił głowę, gdyż było to lepsze niż oglądanie twarzy dawnego towarzysza.

Piękny Motyl także wyszła z celi. Stała przy drzwiach ze złożonymi dłońmi i skromnie spuszczonego wzrokiem.

Dwukwiat podbiegł do niej.

- Motyl!

Rincewind spojrzał w dół, na czerwonoarmistkę z królikiem.

- To też jego córka, Perło?

- Aha.

Niski człowieczek podszedł do Rincewinda, ciągnąc za sobą dziewczęta.

- Znasz moje córki? - zapytał. - To jest Rincewind, który...

- Mieliśmy już przyjemność - przerwała mu surowo Motyl.

- Jak się tu znaleźliście?

- Walczyliśmy ze wszystkich sił - odparła Motyl. - Ale po prostu było ich zbyt wielu.

- Mam nadzieję, że nie próbowaliście wyrywać im broni - rzekł Rincewind tak sarkastycznie, jak tylko się ośmielił.

Motyl rzuciła mu tylko ponure spojrzenie.

- Przepraszam - powiedział szybko.

- Ziola twierdzi, że odpowiedzialny jest system - wtrąciła Kwiat Lotosu.

- Założę się, że opracował już lepszy. - Rincewind popatrzył na grupę

więźniów. - Tacy jak on zwykle tak mają. A właściwie gdzie on się podział?

Dziewczęta obejrzały się równocześnie.

- Nie widzę go tutaj - zdziwiła się Kwiat Lotosu. - Ale myślę, że kiedy gwardziści nas zaatakowali, oddał życie za sprawę.

- Dlaczego?

- Bo zawsze mówił, że to zrobi. Wstyd mi, że sama postąpiłam inaczej. Ale oni chyba chcieli nas schwytąć, nie pozabijać.

- Nie widziałam go - powiedziała Motyl. Ona i Rincewind porozumieli się wzrokiem. - Myślę, że może... już go tam... nie było.

- Chcesz powiedzieć, że był już pojmany?

Motyl znowu zerknęła na Rincewinda. Magowi przyszło do głowy, że o ile Kwiat Lotosu odziedziczyła wizję świata po Dwukwiacie, Motyl musiała mieć ją po matce. Myślała bardziej jak Rincewind, to znaczy jak najgorzej o każdym.

- Możliwe - przyznała niechętnie.

- Poniósł znaczącą ofiarę dla wspólnego dobra - oświadczył Trzy Zaprzęzione Woły.

- Co minutę jeden się rodzi - odparł Rincewind.

Motyl opanowała się szybko.

- Jednakże - rzekła - musimy jak najlepiej wykorzystać tę okazję.

Zmierzający już do schodów Rincewind zamarł.

- Co dokładnie masz na myśli? - spytał.

- Nie rozumiesz? Jesteśmy wolni wewnątrz Zakazanego Miasta!

- Nie ja. Ja tam nigdy nie jestem wolny. Zawsze jestem szybki.

- Wrogowie sprowadzili nas tutaj, ale odzyskaliśmy wolność...

- Dzięki Wielkiemu Magowi - wtrąciła Kwiat Lotosu.

- ...i naszym obowiązkiem jest walczyć!

Podniosła miecz zabitego strażnika i machnęła nim dramatycznie.

- Musimy zburzyć pałac, tak jak sugerował Zioła!

- Jest was tylko trzydziestka! - zaprotestował Rincewind. - To żadna burza. Najwyżej przelotna mżawka.

- W Zakazanym Mieście są tylko nieliczni gwardziści. Jeśli zdołamy pokonać strzegących komnat cesarza...

- Zginiecie!

Spojrzała gniewnie.

- Przynajmniej nie na darmo zginieemy!

- Zmyjmy kraj krwią męczenników! - zahuczał Trzy Zaprzężone Woły.

Rincewind odwrócił się błyskawicznie i groźnie wystawił palec na wysokość nosa Trzech Zaprzężonych Wołów, bo tak wysoko zdołał sięgnąć.

- Naprawdę oberwiesz, jeśli jeszcze raz palniesz coś takiego! - krzyknął i skrzywił się nagle, uświadamiając sobie, że właśnie grozi człowiekowi trzy razy cięższemu od siebie. - Posłuchajcie mnie, dobrze? - rzekł spokojniejszym tonem. - Wiem to i owo o ludziach, którzy mówią o cierpieniu dla wspólnego dobra. Nigdy nie oni cierpią! Kiedy usłyszycie

kogoś, kto wrzeszczy: „Naprzód, mężni towarzysze!”, przekonacie się, że właśnie on siedzi za piekielnie wielkim głazem i ma na głowie jedyny hełm naprawdę odporny na strzały! Rozumiecie?

Urwał. Kadra patrzyła na niego jak na wariata. Spojrzał na ich młode, pełne zapału twarze i nagle poczuł się bardzo, ale to bardzo stary.

- Ale są sprawy, za które warto umierać - stwierdziła Motyl.

- Nie, nie ma. Ponieważ masz tylko jedno życie, a pięć innych spraw możesz dostać na każdym rogu ulicy.

- Wielkie niebiosa, jak możesz żyć z taką filozofią?

Rincewind nabrał tchu.

- Długo.

* * *

Sześciu Dobroczynnym Wiatrom wydawało się, że to doskonały plan. Straszliwi starcy byli zagubieni w Zakazanym Mieście. Chociaż wyglądali na żyłastych i przypominali trochę naturalne drzewka bonsai, które zdołały zapuścić korzenie na omiatanym wichrami urwisku, byli jednak bardzo starzy. I wcale nie ciężko uzbrojeni.

Dlatego poprowadził ich w stronę sali ćwiczeń.

A kiedy byli już wewnątrz, ile sił w płucach krzyknął o pomoc. Zdumiał się, że nie odwrócili się i nie uciekli.

- Czy teraz już możemy go zabić? - spytał z nadzieją Truckle.

Kilkudziesięciu muskularnych mężczyzn przestało okładać pięściami

drewniane belki i stosy cegieł. Spojrzeli podejrzliwie na przybyszów.

- Jakies pomysły? - zapytał Saveloy.

- Och, jej. Wyglądają na twardzieli, co?

- Wymyśliłeś coś cywilizowanego?

- Nie. Obawiam się, że teraz to wasza sprawa.

- Ha! Na to czekałem! - zawołał Caleb i przecisnął się naprzód. - Codziennie ćwiczyłem, no nie? Z moim klockiem.

- To ninje - wyjaśnił z dumą Sześć Dobroczynnych Wiatrów, kiedy dwóch mężczyzn zatrzasnęło drzwi. - Najlepsi wojownicy świata! Poddajcie się!

- To ciekawe - przyznał Cohen. - Hej, ty, w tej czarnej pizamie! Dopiero wstałeś z łóżka, co? Kto tu jest z was najlepszy?

Jeden z mężczyzn spojrzał ponuro na Cohena i przystawił rękę do najbliższej ściany. Pojawiło się wgłębienie.

Potem skinął głową poborcy podatków.

- Kim są ci starzy głupcy, których nam sprowadziłeś?

- Myślę, że to barbarzyńscy najeźdźcy.

- Skąd wiesz? Jak on na to wpadł? - zdumiał się Mały Willie. - Przecież nosimy te gryzące portki, jemy widelcem i w ogóle...

Główny ninja parsknął wzgardliwie.

- Bohaterscy eunuchowie? - powiedział. - Starcy?

- Kogo nazwałeś eunuchem? - zapytał groźnie Cohen.

- Czy mogę mu pokazać, co ćwiczyłem z moim klockiem? - dopytywał się Caleb, przeskakując z artretycznej nogi na nogę.

Ninja przyjrzał się blokowi drewna.

- Nawet tego nie wgnieciesz, starcze.

- Tylko popatrz. - Caleb trzymał kloc na wyciągniętej ręce. Uniósł drugą, stękając trochę, kiedy dotarła do wysokości ramienia. - Widzisz tę pięść? Uważasz na moją pięść?

- Uważam - potwierdził ninja, z trudem powstrzymując śmiech.

- Dobrze. - Caleb kopnął go prosto w krocze, a kiedy ninja zgiął się wpół, uderzył klockiem drewna w głowę. - Bo powinieneś uważać na stopę.

Na tym walka by się skończyła, gdyby w sali był tylko jeden ninja. Natychmiast jednak trzasnęły cepy i syknęły wyciągane z pochew długie, zakrzywione miecze.

Orda zbiła się w ciasną gromadkę. Hamish zsunął koc, odsłaniając ich arsenał. Jednak kolekcja wyszczerbionych kling wyglądała dość skromnie wobec doboty przeciwno nim lśniących zabawek.

- Ucz, może odprowadź pana poborcę do kąta, żeby mu się co nie stało - zaproponował Cohen.

- To szaleństwo! - zawołał Sześć Dobroczynnych Wiatrów. - Ci ludzie to najlepsi wojownicy na świecie, a wy jesteście garstką staruszków! Poddajcie się od razu, to sprawdzę osobiście, czy możecie liczyć na zwrot nadpłaty.

- Nie warto się denerwować - uspokoił go Saveloy. - Nikomu nie stanie się krzywda. W sensie metaforycznym, oczywiście.

Dzyngis Cohen machnął kilka razy mieczem.

- No dobra, chłopaki - powiedział. - Pokażcie swoje najlepsze ninjostwo.

Sześć Dobroczynnych Wiatrów patrzył ze zgrozą, jak orda ustawia się w szereg.

- To będzie prawdziwa rzeź! - jęknął.

- Obawiam się, że tak - zgodził się Saveloy. Sięgnął do kieszeni po torbę miętowych cukierków.

- Kim są ci obłąkani starcy? Co robią?

- Na ogół pracują jako barbarzyńscy bohaterowie. Ratuja księżniczki, okradają świątynie, walczą z potworami, przeszukują starożytne, pełne grozy ruiny... Takie rzeczy.

- Ale wyglądają na tak starych, że powinni już nie żyć. Po co oni to robią?

Saveloy wzruszył ramionami.

- Nigdy nie zajmowali się niczym innym.

Ninja przekoziółkował przez salę, wrzeszcząc, z mieczami w obu rękach. Cohen czekał na niego w pozycji podobnej do gracza w baseball.

- Zastanawiam się - mówił spokojnie Saveloy - czy znany jest panu termin „ewolucja”?

Spotkali się. Powietrze zamigotało.

- Albo „przetrwanie najsilniejszego”?

Wrzask trwał nadal, choć teraz bardziej natarczywy.

- Nawet nie zauważyłem, jak poruszył mieczem - szepnął Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

- Ludzie często nie zauważają.

- Ale... są tacy starzy...

- Istotnie. - Nauczyciel podniósł głos, by być słyszany wśród krzyków.
- To prawda. Są bardzo starymi barbarzyńskimi bohaterami.

Poborca przyglądał się zafascynowany.

- Może miętusa? - zaproponował Saveloy, gdy wózek Hamisha przemknął z łoskotem w pogoni za człowiekiem ze złamanym mieczem i z gorącym pragnieniem zachowania życia. - Przekona się pan, że pomagają, jeśli człowiek przez dłuższy czas przebywa w towarzystwie Srebrnej Ordy.

Aromat unoszący się z papierowej torebki trafił Sześć Dobroczynnych Wiatrów niczym miotacz ognia.

- Jak pan może coś czuć po zjedzeniu czegoś takiego?

- Nie mogę - odparł z zadowoleniem Saveloy.

Poborca wciąż patrzył. Walka była błyskawiczna i zażarta, ale tylko z jednej strony. Ordyńcy walczyli tak, jak można się spodziewać po starcach: powoli i starannie. Całą aktywność przejęli ninje. Nieważne jednak, jak celnie leciały gwiazdki do rzutów, jak szybkie były kopnięcia, cel zawsze - bez widocznego wysiłku - znajdował się gdzie indziej.

- Ponieważ mamy akurat wolną chwilę - zaczął Saveloy, gdy coś z wieloma ostrzami wbiło się w ścianę tuż nad głową poborcy - zastanawiam się, czy mógłby pan powiedzieć mi coś na temat tego wielkiego wzgórza za miastem. To bardzo ciekawa formacja.

- Co? - spytał z roztargnieniem Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

- Wielkie wzgórze.

- Chce pan o nim rozmawiać? Teraz?

- Geografia to moje hobby.

Czyjeś ucho trafiło w ucho Sześciu Dobroczynnych Wiatrów.

- No więc... nazywamy je Wielkim Wzgórzem... Proszę spojrzeć, co on robi z...

- Ma wyjątkowo regularny kształt. Czy to formacja naturalna?

- Co? Eee... och... nie wiem. Podobno pojawiło się tysiące lat temu. W czasie straszliwej burzy. Kiedy zmarł pierwszy cesarz. On... On zaraz zginie! Zaraz zginie! Zgi... Jak on to zrobił?

Sześć Dobroczynnych Wiatrów przypomniał sobie nagle, jak to będąc jeszcze dzieckiem, grywał z dziadkiem w Shibo Yangcong-san. Staruszek zawsze wygrywał. Nieważne, jak starannie chłopiec planował swoją strategię, zawsze odkrywał, że dziadek całkiem niewinnie, tuż przed decydującym posunięciem wnuka, umieszczał kamień akurat we właściwym miejscu. Przodek całe życie spędził, grając w shibo. Ta walka była podobna.

- Ojej - szepnął.

- Otóż właśnie - zgodził się Saveloy. - Mają bardzo wiele doświadczenia w nieumieraniu. I doskonale opanowali tę sztukę.

- Ale... czemu tutaj? Po co tu przybyli?

- Zamierzamy dokonać kradzieży - wyjaśnił Saveloy.

Sześć Dobroczynnych Wiatrów ze zrozumieniem pokiwał głową. Skarby Zakazanego Miasta były wręcz legendarne. Nawet krwiożercze upiory musiały o nich słyszeć.

- Mówiąca Waza cesarza P'gi Su? - zgadywał.

- Nie.

- Nefrytowa Głowa Sung Ts'uit Li?

- Nie. Obawiam się, że to zły trop.

- Tajemnica produkcji jedwabiu?

- Niech pan da spokój. Z przędzy jedwabników. Wszyscy to wiedzą. Nie, chodzi nam o coś cenniejszego.

Sześć Dobroczynnych Wiatrów poczuł, jak mimo woli ogarnia go podziw. Tylko siedmiu ninjów stało jeszcze o własnych siłach, a Cohen walczył na miecze z jednym z nich, drugą ręką skręcając papierosa.

Saveloy dostrzegł błysk w oczach tęgiego poborcy.

Jemu zdarzyło się to samo.

Cohen pojawiał się w życiu ludzi niczym zabłąkana planeta w spokojnym systemie planetarnym. Człowiek ciągnął za nim, bo wiedział, że nic podobnego już go nie spotka.

On sam spokojnie poszukiwał skamielin w czasie szkolnych wakacji i całkiem przypadkowo trafił do obozu tych szczególnych skamielin zwanych Srebrną Ordą. Potraktowali go przyjaźnie, gdyż nie miał ani pieniędzy, ani broni. I polubili, ponieważ wiedział to, czego oni nie wiedzieli. I tyle.

Bez wahania podjął wtedy decyzję. To pewnie kwestia atmosfery. Dawne życie przemknęło mu przed oczami i nie potrafił sobie przypomnieć ani jednego dnia, kiedy dobrze się bawił. Pomyślał, że może albo przyłączyć się do ordyńców, albo czeka go powrót do szkoły, a niedługo uścisk wilgotnej dłoni, krótkie brawa i emerytura.

Cohen miał coś w sobie. Chyba określa się to charyzmą. To coś pokonywało nawet jego normalny zapach kozła, który właśnie zjadł szparagi w curry. Wszystko robił nie tak, jak należy. Przeklinał ludzi i używał wobec cudzoziemców języka, który Saveloy uważał za wyjątkowo obraźliwy. Wykrzykiwał określenia, które każdemu innemu zyskałyby bezpłatne poderżnięcie gardła jakąś ciekawą i egzotyczną bronią - i uchodziło mu to na sucho. Po części dlatego że było jasne, iż nie ma w tym złośliwości, ale przede wszystkim dlatego że był, no... Cohenem, czymś w rodzaju naturalnego żywiołu na nogach.

To działało na każdego. Kiedy akurat z trollami nie walczył, lepiej żył z nimi niż ludzie, którzy tylko myśleli, że trolle mają takie same prawa jak wszyscy. Nawet ordynicy, co do jednego uparci indywidualiści, ulegli temu czarowi.

Ale Saveloy dostrzegał też brak celu w ich życiu. I pewnej nocy skierował rozmowę ku możliwościom oferowanym przez Aurient...

Twarz Sześciu Dobroczynnych Wiatrów rozpromieniła się nagle.

- Macie księgowego? - zapytał.

- No... właściwie to nie.

- Czy ta kradzież ma być traktowana jako dochód czy jako inwestycja?

- Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. Orda nie płaci podatków.

- Jak to? Nikomu?

- Nie. To zabawne, ale nigdy nie potrafia dłużej utrzymać pieniędzy. One jakoś znikają, wydane na pijaństwa, kobiety i luksusy. Przypuszczam, że z bohaterskiego punktu widzenia można to uznać za podatki.

Puknęło - to Sześć Dobroczynnych Wiatrów odkorkował buteleczkę

tuszu i polizał pędzelek.

- Ale takie rzeczy w pracy barbarzyńskiego bohatera można chyba wliczyć do uzasadnionych kosztów uzysku - powiedział. - Należą do specyfikacji zawodu. Oczywiście, trzeba też uwzględnić amortyzację i zużycie broni, odzież ochronną... Z pewnością mają prawo do odliczenia przynajmniej jednej nowej przepaski biodrowej rocznie...

- Nie sędzę, żeby odliczali sobie nawet jedną na stulecie.

- No i fundusz emerytalny.

- Hm... proszę nie wymawiać tego słowa. Uważają, że jest nieprzyzwoite. Ale w pewnym sensie po to właśnie tutaj przybyli. To ich ostatnia przygoda.

- Znaczy, kiedy już zrabują tę bardzo cenną rzecz, o której nie chce mi pan powiedzieć?

- Właśnie. Miło będzie, jeśli pan do nas dołączy. Mógłby pan może zostać barbarzyńskim... pchać ziarna... kawałkiem sznura z węzłami... no... księgowym. Zabił pan już kogoś?

- Nie bezpośrednio. Ale zawsze uważałem, że wielkich zniszczeń można dokonać dobrze umieszczonym Ostatecznym Wezwaniem Płatniczym.

- Aha - uśmiechnął się Saveloy. - Cywilizacja.

Ostatni ninja stał jeszcze na nogach, ale ledwo, ledwo. Hamish właśnie przejechał mu wózkiem po palcach. Saveloy klepnął poborcę po ramieniu.

- Przepraszam - rzekł - ale często muszę interweniować na tym etapie.

Podszedł do ocalałego ninji, który rozglądał się oszołomiony. Sześć mieczy splatało się wokół jego szyi, jak gdyby uczestniczył w energicznym tańcu ludowym.

- Dzień dobry - odezwał się Saveloy. - Chciałbym zwrócić pańską uwagę, że ten oto Dżyngis jest, wbrew wszelkim pozorom, człowiekiem zadziwiająco szczerym. Trudno mu zrozumieć pustą brawurę. Dlatego ośmielę się zasugerować, by powstrzymał się pan od sformułowań w stylu „Wolę raczej zginąć, niż zdradzić swego cesarza” albo „No dalej, pokażcie, na co was stać”, jeśli naprawdę, ale to naprawdę pan tak nie uważa. Gdyby chciał pan prosić o łaskę, wystarczy prosty gest ręką. Radzę jednak, by nie próbował pan kiwać głową.

Młody człowiek zerknął z ukosa na Cohena, który uśmiechnął się zachęcająco.

Szybko pomachał ręką.

Miecze się rozplotły. Truckle walnął ninję w głowę maczugą.

- Dobra, nie musisz marudzić, przecież go nie zabiłem - oświadczył nadąsany.

- Au! - Mały Willie eksperymentował z cepem i uderzył się we własne ucho. - Jak oni w ogóle mogą walczyć takimi patykami?

- Co?

- Ale te ozdoby na Noc Strzeżenia Wiedźm wyglądają całkiem groźnie - stwierdził Vincent, podnosząc gwiazdkę do rzutów. - Aargh! - Zaczął ssąć palec. - Bezużyteczny zagraniczny złom.

- Kiedy ten chłopak wykonał salto w tył przez całą salę z toporkami w rękach, to robiło wrażenie.

- No.

- Pomyślałem wtedy, że nie powinieneś tak wystawiać miecza.

- Nauczył się czegoś ważnego.

- Niewiele mu z tego przyjdzie, skoro już po nim.

- Co?

Sześć Dobroczynnych Wiatrów był na wpół rozbawiony, na wpół zaszokowany.

- Zaraz, zaraz! Widziałem wcześniej, jak ci gwardziści walczą. Są niepokonani!

- Nikt nas nie uprzedził.

- Ale pokonaliście ich wszystkich.

- No.

- A jesteście zaledwie eunuchami!

Zgrzytnęła stal. Sześć Dobroczynnych Wiatrów zamknął oczy. Czuł dotyk zimnego metalu przynajmniej w pięciu miejscach na szyi.

- Znowu to słowo - zabrzmiał głos Cohena Barbarzyńcy.

- Jesteście... przecież... ubrani... jak... eunuchowie... - wymamrotał Sześć Dobroczynnych Wiatrów, starając się nie przełykać.

Saveloy cofnął się, chichocząc nerwowo.

- Widzicie - tłumaczył szybko - jesteście za starzy, żeby udawać gwardzistów, a nie wyglądacie na urzędników, więc pomyślałem, że to będzie, no, doskonałe przebranie...

- Eunuch! - ryknął Truckle. - Znaczy, różni tu patrzyli na mnie i myśleli, że włączę się dookoła i mówię Helluo, Saltat?

Jak wielu mężczyzn, którym testosteron zawsze przelewał się uszami,

ordynicy nigdy nie starali się precyzyjnie zrozumieć co bardziej złożonych dziedzin seksualności. Jako urodzony nauczyciel, Saveloy nie mógł się powstrzymać, by ich nie poprawiać - nawet pod groźbą miecza.

- To znaczy „tańce łakomstwa”, a nie, jak zdajesz się sądzić, „witaj, żeglarzu”, co tłumaczy się *naheus nauta* . I eunuchowie tak nie mówią. Przynajmniej na ogół nie. Posłuchajcie, to wielki zaszczyt być eunuchem w Zakazanym Mieście. Wielu z nich zajmuje bardzo wysokie stanowiska w...

- No to szykuj się na wysokie stanowisko, nauczycielu! - krzyknął Truckle.

Cohen wytrącił mu miecz.

- Wystarczy, dość tego. Mnie też się to nie podoba, ale to tylko przebranie. Nie powinno się liczyć dla człowieka, który kiedyś odgryzł niedźwiedziowi łeb. Mam rację?

- Niby tak, ale... no wiesz... to nie to... znaczy, niedawno mijaliśmy młode panienki, chichotały...

- Może później znajdziesz je i doprowadzisz do prawdziwego śmiechu - odparł Cohen. - Ale powinienes nas uprzedzić, Ucz.

- Przepraszam.

- Co? Co on gada?

- Powiedział, że jesteś EUNUCH! - huknął Mały Willie prosto do ucha Hamisha.

- Aha! - ucieszył się Hamish.

- Co?

- To właśnie ja. Jedyne prawdziwy!

- Nie, jemu chodzi...

- Co?

- A tam, mniejsza z tym. Dla ciebie, Hamish, to i tak wszystko jedno.

Saveloy rozejrzał się po zdemolowanej sali ćwiczeń.

- Ciekawe, która godzina - mruknął.

- Ach! - zawołał Sześć Dobroczynnych Wiatrów, szczęśliwy, że może trochę poprawić nastrój. - Widzicie, mamy takie niezwykle, napędzane przez demony aparaty; mówią, która jest godzina, nawet jeśli nie widać słońca...

- Zegary - przerwał mu Saveloy. - Mamy je w Ankh-Morpork. Ale demony w końcu wyparowują, dlatego u nas napędzają je... - Pomyślał chwilę. - Ciekawe. Nie macie odpowiedniego słowa. Hm... Ukształtowany metal, który wykonuje pracę? Zęby na kole?

- Koła z zębami? - wystraszył się poborca.

- Jak nazywacie to, co miele zboże?

- Chłopi.

- Tak, ale czym mielą?

- Nie wiem. Po co mi to? Wystarczy, że chłopi wiedzą.

- Tak... Przypuszczam, że to wiele wyjaśnia - westchnął smutnie Saveloy.

- Jeszcze kawał czasu do świtu - zauważył Truckle. - Może byśmy poszli do pałacu i zabili wszystkich w łóżkach?

- Nie, nie - zaprotestował Saveloy. - Ciągłe wam powtarzam, że trzeba to

załatwić należycie.

- Mogę wam pokazać skarbiec - zaproponował Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

- Nie należy wręczać małpie klucza do plantacji bananów. Ma pan inny pomysł, czym można ich zająć przez godzinę?

* * *

W lochach pewien człowiek mówił o rządzie. Ile sił w płucach.

- Nie możecie walczyć za sprawę! Sprawa to tylko rzecz!

- W takim razie walczymy za wieśniaków - rzekła Motyl. Cofnęła się o krok; gniew uchodził z Rincewinda jak para z kotła.

- Tak? A czy ich kiedyś poznałaś?

- No... widziałam ich.

- Świetnie. A co takiego chcecie osiągnąć?

- Lepsze życie dla ludu - odparła zimno Motyl.

- I myślisz, że wybuch jakiegoś powstania i powieszenie paru osób to załatwi? Przybywam z Ankh-Morpork; mieliśmy tam więcej rewolucji i wojen domowych niż wy... ciepławych kaczych łap. I wiecie co? Władcy ciągle rządzą! Zawsze są górą!

Uśmiechali się z uprzejmym i lęklwym niezrozumieniem.

- Posłuchajcie. - Potarł dłonią czoło. - Wszyscy ci ludzie na polach, ci trzymający bawoły... Jeśli wybuchnie rewolucja, będzie im się żyło lepiej, tak?

- Oczywiście. Nie będą już zależni od okrutnych i bezdusznych kaprysów Zakazanego Miasta.

- To świetnie. Czyli tak jakby sami będą mogli za siebie decydować?

- Oczywiście - zapewniła Kwiat Lotosu.

- Za pośrednictwem Komitetu Ludowego - dodała Motyl.

Rincewind oburącz złapał się za głowę.

- Coś podobnego - powiedział. - Sam nie wiem czemu, ale miałem takie prorocze widzenie!

To im zaimponowało.

- Nagle ogarnęło mnie przeczucie - mówił dalej - że w tym Komitecie Ludowym wcale nie znajdzie się tak wielu trzymających bawoły na sznurkach. Właściwie to jakiś... jakiś głos mówi mi, że duża część Komitetu Ludowego, poprawcie mnie, jeśli się mylę, duża część stoi właśnie przede mną.

- Początkowo, oczywiście - przyznała Motyl. - Wieśniacy nie umieją nawet czytać i pisać.

- Podejrzewam, że nie wiedzą nawet, jak należycie uprawiać ziemię. Przecież robią to dopiero od trzech, czy czterech tysięcy lat.

- Istotnie wierzymy, że można dokonać wielu usprawnień. Jeśli będziemy działać w kolektywie.

- Założę się, że będą naprawdę uradowani, kiedy im pokażecie - mruknął

Rincewind.

Ponuro wbił wzrok w podłogę. Właściwie to podobała mu się praca trzymającego bawołu na sznurku. Wydawała się niemal równie dobra jak zawód rozbitka. Tęsknił za życiem, w którym mógłby się skupić na miękkości błota pod stopami i podziwiać kształty chmur; życia, w którym umysł nadaża za człowiekiem, dzięki czemu może godzinami spekulować, kiedy bawół znowu użyźni glebę. Ale taka praca była prawdopodobnie wystarczająco trudna, nawet bez ludzi, którzy chcieli ją usprawnić.

Miał ochotę zawołać: Jak możecie być tacy mili, a przy tym tacy głupi? Najlepsze, co można zrobić dla chłopów, to zostawić ich w spokoju. Niech sami sobie radzą. Kiedy ludzie potrafiący czytać i pisać zaczynają walczyć w imieniu tych, którzy nie potrafią, kończy się to inną odmianą głupoty. Jeśli chcecie im pomóc, zbudujcie gdzieś wielką bibliotekę albo co, i zostawcie otwarte drzwi.

Ale to przecież Hunghung. W Hunghung nie można myśleć w ten sposób. Tutaj ludzie nauczyli się robić to, co się im każe. Orda to rozpracowała.

Imperium miało coś gorszego od bata. Miało posłuszeństwo. Bat skryty w duszy. Wykonywać polecenia każdego, kto mówi, co robić. Wolność oznacza tylko, że mówi ktoś inny.

Wszyscy zginiecie.

Jestem tchórzem. Ale nawet ja lepiej od was znam się na prowadzeniu walk. Uciekałem już z pól paru całkiem niezłych bitew.

- Och, po prostu wynieśmy się stąd - rzekł w końcu.

Ostrożnie podniósł miecz zabitego strażnika i już przy drugiej próbie zdołał go chwycić z właściwego końca. Przez chwilę ważył broń w dłoni, potem pokręcił głową i odrzucił.

Kadra przyjęła to z ulgą.

- Ale ja was nie prowadzę - zaznaczył jeszcze Rincewind. - Ja tylko pokazuję drogę. Drogę do wyjścia. Zrozumiano?

Stali z minami zbitych psów, jak ludzie, którzy przeżyli właśnie kilkuminutową tyradę. Wszyscy milczeli. Dwukwiat odezwał się pierwszy.

- On często wygłasza takie mowy. A potem dokonuje czegoś bardzo męznego.

Rincewind parsknął tylko.

Na szczycie schodów leżał następny martwy strażnik. Gwałtowna śmierć była najwyraźniej zaraźliwa.

Natomiast oparty o ścianę czekał na nich pęk mieczy. I przywiązany do nich zwój.

- Wielki Mag pokazuje nam drogę od dwóch zaledwie minut, a już sprzyja nam wyjątkowe szczęście - zauważyła Kwiat Lotosu.

- Nie dotykajcie tych mieczy - ostrzegł Rincewind.

- Ale przypuśćmy, że spotkamy gwardzistów. Czy nie powinniśmy bronić się przed nimi do ostatniej kropli krwi? - spytała Motyl.

Rincewind spojrzał na nią tępo.

- Nie. Macie uciekać.

- Tak, pamiętam - wtrącił Dwukwiat. - I drugiego dnia bitwy doczekać. To takie powiedzonko z Ankh-Morpork.

Rincewind zawsze uważał, że celem ucieczki jest zachowanie zdolności do ucieczki również drugiego dnia.

- Zastanówcie się - powiedział. - Rzadko kiedy więźniowie zostają w tajemniczy sposób uwolnieni z cel, przypadkiem znajdują obok stos broni i wszystkich strażników wygodnie usuniętych. Czy to was nie dziwi?

- I jeszcze mapę! - zawołała Motyl. Oczy jej błyszczały. Machnęła zwojem.

- Czy to mapa drogi do wyjścia? - upewnił się Rincewind.

- Nie! Do komnat cesarza! Patrzcie, są tu zaznaczone! O tym właśnie wspominał czasami Zioła. Na pewno jest w pałacu! Powinniśmy zabić cesarza!

- Kolejny szczęśliwy przypadek - zgodził się Dwukwiat. - Ale przecież jeśli tylko z cesarzem porozmawiamy...

- Nie słuchałeś? - przerwał mu Rincewind. - W ogóle nie zobaczymy cesarza! Nie przyszło wam do głowy, że strażnicy rzadko kiedy się zakłuwają? Że cele rzadko otwierają się same z siebie? Że nie znajduje się zwykle tak dogodnie porzuconych mieczy i nigdy, ale to nigdy nie trafia się na mapy mówiące „Tędy, chłopcy”? Zresztą i tak nie da się rozmawiać z kimś, kto jest tylko o porcję krewetkowych krakersów oddalony od Zestawu Obiadowego A na dwie osoby.

- Nie - rzekła stanowczo Motyl. - Musimy wykorzystać taką sposobność.

- Po drodze jest mnóstwo gwardzistów.

- No cóż, Wielki Magu, będziesz musiał wiele razy mieć życzenie.

- Wydaje ci się, że wystarczy mi pstryknąć palcami, o tak, a wszyscy gwardziści padną trupem? Ha! Chciałbym, żeby tak było.

- Tamci dwaj już padli - zameldowała Kwiat Lotosu z wylotu korytarza prowadzącego do lochów. I tak żywiła już lękliwy podziw dla Rincewinda. Teraz była przerażona i zachwycona.

- Przypadek!

- Bądźmy poważni - zaproponowała Motyl. - Mamy w pałacu sprzymierzeńca. Może to ktoś, kto właśnie w tej chwili ryzykuje życie! Wiemy, że część eunuchów stoi po naszej stronie.

- Pewnie nic im nie pozostało do stracenia.

- Masz lepszy pomysł, Wielki Magu?

- Tak. Wracajmy do cel.

- Co?

- Coś tu brzydko pachnie. Czy naprawdę zabiłabyś cesarza? Ale tak naprawdę?

Motyl się zawahała.

- Często o tym rozmawialiśmy. Dwa Ogniste Zioła uważało, że gdybyśmy zabili cesarza, jego śmierć rozpaliby pochodnię wolności...

- Owszem. To byłabyś ty, płonąca na stosie. Naprawdę, wracajmy lepiej do cel. To najbezpieczniejsze miejsce. Pozamykam was i... pójdę na zwiady.

- Bardzo odważna propozycja - przyznał Dwukwiat. - Typowa dla tego człowieka - dodał z dumą.

Motyl rzuciła Rincewindowi spojrzenie, którego nauczył się lękać.

- To rzeczywiście dobry pomysł - zgodziła się. - A ja będę ci towarzyszyć.

- Ale przecież... to bardzo niebezpieczna wyprawa.

- Nic nie może mi grozić, dopóki jestem z Wielkim Magiem.

- To prawda. Szczera prawda - potwierdził Dwukwiat. - Nic mi się nigdy nie stało, to pewne.

- Poza tym - mówiła dalej jego córka - mam mapę. Byłoby straszne, gdybyś zabłądził w korytarzach i przypadkiem opuścił Zakazane Miasto, prawda?

Rincewind zrezygnował. Przyszło mu do głowy, że zmarła żona Dwukwiata musiała być kobietą niezwykle inteligentną.

- Niech będzie - ustąpił. - Ale masz mi nie wchodzić w drogę. I robić to, co ci powiem. Jasne?

Motyl skłoniła się pokornie.

- Prowadź, o Wielki Magu.

* * *

- Wiedziałem! - zawołał Truckle. - To trucizna!

- Nie, nie. Tego się nie je. Tym się naciera ciało - tłumaczył Saveloy. - Patrzcie. Uzyskujemy to, co w cywilizacji nazywamy czystością.

Większa część Srebrnej Ordy stała po pas w ciepłej wodzie. Każdy z mężczyzn skromnie zasłaniał się rękami. Hamish odmówił opuszczenia wózka, więc nad wodę wystawała mu tylko głowa.

- To kłuje - oświadczył Cohen. - Skóra mi się od tego łuszczy i rozpływa.

- To nie jest skóra - poprawił go Saveloy. - Czy któryś z was widział kiedyś łaźnię?

- Ja widziałem - pochwalił się Mały Willie. - Zabiłem w takiej Szalonego Biskupa Pseudopolis. Są tam... - zmarszczył czoło - ...bąbelki i różne takie. I piętnaście nagich dziewczec.

- Co?

- Na pewno. Piętnaście. Dobrze pamiętam.

- To już lepiej - ucieszył się Caleb.

- A my do nacierania mamy tylko to mydło.

- Cesarz jest rytualnie kąpany przez dwadzieścia dwie łąziebne - wtrącił Sześć Dobroczynnych Wiatrów. - Mogę iść porozmawiać z haremowymi eunuchami i obudzić je, jeśli chcecie. To prawdopodobnie wydatek do rozliczenia, w kategorii „rozrywki”.

Poborca wdrażał się do swego nowego stanowiska. Doszedł już do tego, że chociaż ordyńcy - jako indywidualni podatnicy - w czasie wykonywania obowiązków barbarzyńskich bohaterów zarobili góry pieniędzy, stracili prawie wszystko, angażując się w inne typy działalności (w myślach sklasyfikował je jako „kreowanie wizerunku”), niezbędne w tym zawodzie. Tym samym mieli prawo do zwrotu całkiem okazałych sum.

Fakt, że nie byli zarejestrowani w żadnych urzędach podatkowych, nigdzie* [przyp.: Jedynie na plakatach z podpisem: „Poszukiwany martwy”], był całkiem drugorzędny. Liczyła się zasada.

Z odsetkami, ma się rozumieć.

- Nie, nie. Żadnych młodych kobiet. Nalegam - powiedział stanowczo Saveloy. - Bierzecie kąpiel, żeby być czyści. Na młode kobiety będziecie mieli dość czasu później.

- Kiedy to wszystko się skończy, jestem umówiony - oznajmił nieco zakłopotany Caleb. Tęsknie pomyślał o jednej z niewielu kobiet, z którymi

prowadził rozmowę. - Ona ma własną farmę. Nadam się na kaczora.

- Założę się, że Ucz tak tego nie nazywa - zakpił Mały Willie. - Założę się, że każe ci mówić „ptactwo wodne”.

- He, he, he.

- Co?

Sześć Dobroczynnych Wiatrów podszedł dyskretnie do Saveloya, wykorzystując chwilę, gdy ordyńcy zaczęli eksperymenty z olejkami kąpielowymi. Początkowo próbowali je wypić.

- Doszedłem do tego, co chcecie ukraść - oznajmił.

- Ach tak? - odpowiedział grzecznie Saveloy. Obserwował Caleba, który pojął nagle, że być może przez całe życie miał niewłaściwe podejście, i teraz próbował obcinać sobie paznokcie mieczem.

- To legendarna Diamentowa Trumna Schz Yu!

- Nie. Znowu pomyłka.

- Hm...

- Wychodzimy z kąpieli, panowie! - zawołał nauczyciel. - Wydaje mi się, że... tak... opanowaliście handel, stosunki towarzyskie...

- He, he, he... Przepraszam...

- I zasady opodatkowania - ciągnął Saveloy.

- Też opanowaliśmy? - zdziwił się Cohen. - A co to jest?

- Zabieracie kupcom prawie wszystkie pieniądze - wyjaśnił Sześć Dobroczynnych Wiatrów, podając mu ręcznik.

- I tyle? Robię tak od lat!

- Nie. Do tej pory zabierałeś wszystkie pieniądze - sprostował Saveloy. - W tym właśnie popełniałeś błąd. Zbyt wielu zabijałeś, a tych, których nie zabiłeś, zostawiałeś w nędzy.

- Jak dla mnie to strasznie dobry pomysł - uznał Truckle, wydobywając z ucha kredowe pokłady. - Kupcy w nędzy, my w bogactwach.

- Nie, nie, nie!

- Nie, nie, nie?

- Tak. To niecywilizowane.

- To tak jak z owcami - tłumaczył Sześć Dobroczynnych Wiatrów. - Obdzierasz je ze skóry raz, a lepiej strzyc co roku.

Orda spojrzała na niego tępo.

- Kultura myśliwsko-zbieracka - stwierdził Saveloy z odcieniem beznadziei. - Niewłaściwe porównanie.

- Chodzi o cudowny Śpiewający Miecz Wonga, tak? - szepnął Sześć Dobroczynnych Wiatrów. - To jego chcecie ukraść?

- Nie. Właściwie „ukraść” nie jest odpowiednim słowem. No cóż, panowie, może nie staliście się jeszcze cywilizowani, ale jesteście czyści i wypłukani, a dla wielu ludzi to jedno i to samo. Czas więc, jak sądzę, na... działanie.

Ordyńcy wyprostowali się. Znowu wracali do obszaru pojęć zrozumiałych.

- Do sali tronowej! - rozkazał Dżyngis Cohen.

Sześć Dobroczynnych Wiatrów nie kojarzył zbyt szybko, w końcu jednak zdołał dodać dwa do dwóch.

- Cesarz! - zawołał i uniósł dłoń do ust ze zgrozą, zabarwioną nieco zachwytem. - Zamierzacie go porwać!

Błysnęły diamenty, gdy Cohen wyszczerzył zęby.

* * *

Dwaj martwi gwardziści leżeli w korytarzu prowadzącym do osobistych komnat cesarza.

- Słuchaj, jak właściwie wzięli was żywcem? - szepnął Rincewind. - Wszyscy gwardziści, których widziałem, mieli wielkie miecze. Jakim cudem nie zginęliście?

- Przypuszczam, że zamierzali nas torturować - odparła Motyl. - Udało nam się zranić dziesięciu z nich.

- Jak? Okleiliście ich ulotkami? Śpiewaliście rewolucyjne pieśni, dopóki się nie poddali? To jasne: ktoś chciał, żebyście przeżyli.

Podłogi śpiewały w ciemności. Każdy krok wydobywał chóry pisków i jęków, całkiem jak podłogi w Niewidocznym Uniwersytecie. Ale trudno było spodziewać się czegoś takiego w pięknym, błyszczącym pałacu.

- Nazywamy je słowiczymi podłogami - wyjaśniła Motyl. - Stolarze zakładają małe metalowe kołnierze na gwoździach, aby nikt nie mógł się zakraść niezauważony.

Rincewind zerknął na trupy. Żaden z gwardzistów nie wydobył miecza. Oparł ciężar ciała na lewej nodze - podłoga zgrzytnęła.

- To się nie zgadza - stwierdził szeptem. - Nie można podkraść się do kogoś po takiej podłodze. Czyli tych gwardzistów zabił ktoś, kogo znali. Wynośmy się stąd...

- Idziemy dalej - rzekła stanowczo Motyl.

- To pułapka. Ktoś wykorzystuje cię do załatwienia własnej brudnej roboty.

Wzruszyła ramionami.

- Skręć w lewo za tą dużą nefrytową statua.

* * *

Była czwarta w nocy, godzina do świtu. W salach stali strażnicy, ale niezbyt wielu. W końcu byli w głębi Zakazanego Miasta, za jego wysokimi murami i wąskimi bramami. Nic nie mogło się przecież zdarzyć.

Potrzebny był specyficzny umysł, by przez całą noc stać na straży jakiejś pustej sali. Jedna Wielka Rzeka miał taki umysł, orbitujący spokojnie wśród błogiej poza tym pustki jego czaszki.

Bez oporów nazwali go Jedną Wielką Rzeką, ponieważ przypominał Hung rozmiarami i szybkością ruchu. Wszyscy spodziewali się, że zostanie zapaśnikiem tśimo, ale odpadł na teście inteligencji, ponieważ nie zjadł stołu.

Niemożliwe było, by zaczął się nudzić. Po prostu brakowało mu wyobraźni. Ale ponieważ przyłbica jego hełmu i tak prezentowała światu niezmienny wyraz metalicznej wściekłości, dopracował umiejętność spania na stojąco.

Teraz też drzemał spokojnie; słyszał tylko z rzadka ciche piski, jak gdyby bardzo ostrożnej myszy.

Nagle przyłbica odsunęła się w górę i jakiś głos zapytał:

- Czy wolisz raczej zginąć, niż zdradzić swego cesarza?

A drugi głos dodał szybko:

- To nie jest podchwytliwe pytanie.

Jedna Wielka Rzeka zamrugał, po czym skierował wzrok niżej. Jakaś zjawa na piszczącym wózku trzymała bardzo duży miecz wymierzony dokładnie w to niewygodne miejsce, gdzie górna część zbroi nie całkiem stykała się z dolną.

Odezwał się trzeci głos:

- Powinienem chyba zaznaczyć, że ostatnie dwadzieścia dziewięć osób, które odpowiedziały nieprawidłowo, są... krajaną suszoną rybą... przepraszam, martwe.

A czwarty wtrącił z naciskiem:

- I nie jesteśmy eunuchami.

Jedna Wielka Rzeka zadudnił od myślowego wysiłku.

- Myślałem, że raczej bym se pożył - rzekł.

Człowiek z diamentami w miejscu, gdzie powinien mieć zęby, po przyjacielsku klepnął go w ramię.

- Zuch chłopak - pochwalił. - Przyłącz się do ordy. Przydasz się nam. Może jako machina oblężnicza.

- Kto wy? - zapytał.

- To jest Dzyngis Cohen - wyjaśnił Saveloy. - Sprawca wielkich czynów.

Zabójca smoków. Niszczyciel miast. Raz kupił jabłko.

Nikt się nie roześmiał. Saveloy już dawno odkrył, że ordyńcy nie pojmują samej koncepcji sarkazmu. Pewnie nikt go na nich nie próbował.

Jedna Wielka Rzeka został wychowany tak, by wykonywać polecenia. Ruszył za człowiekiem z diamentowymi zębami, ponieważ był on taką właśnie osobą, za którą się podąża, kiedy powie: „Za mną!”.

- Ale wiecie, są tu dziesiątki tysięcy ludzi, którzy naprawdę wolą zginąć, niż zdradzić swojego cesarza - szepnął Sześć Dobroczynnych Wiatrów, kiedy szli gęsiego korytarzem.

- Mam nadzieję.

- Niektórzy z nich trzymają wartę wokół Zakazanego Miasta. Ominęliśmy ich, ale wciąż tam są. Wcześniej czy później trzeba będzie jakoś sobie z nimi poradzić.

- To świetnie - ucieszył się Cohen.

- Źle - sprzeciwił się Saveloy. - Ta sprawa z ninjami przydała się, żeby poprawić sobie humory...

- poprawić humory... - mruknął Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

- ...ale lepiej unikać wielkiej bitwy na otwartym terenie. Narobimy bałaganu.

Cohen podszedł do najbliższej ściany, ozdobionej wspaniałym deseniem paw, i wyjął nóż.

- Papier - stwierdził. - Zwyczajny papier. Papierowe ściany. - Wsunął głowę w otwór. Rozległ się piskliwy jęk. - Oj, przepraszam panią. Oficjalna inspekcja ścienna. - Cofnął się z uśmiechem.

- Nie możecie przechodzić przez ściany! - zaprotestował Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

- Dlaczego nie?

- Bo to... bo to są ściany! Co by się działo, gdyby tak każdy przez nie przechodził? Myślicie, że po co są drzwi?

- Ja tam myślę, że są dla innych - odparł Cohen. - Którędy do tej sali tronowej?

- Co?

- To myślenie lateralne - wyjaśnił Saveloy, kiedy ruszyli za nim. - Dżyngis perfekcyjnie opanował pewną odmianę myślenia lateralnego.

- Co to znaczy lateralne?

- Hm... to chyba pewien typ mięśni, jak sądzę.

- Myślenie mięśniami... no tak, rozumiem - mruknął Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

* * *

Rincewind wsunął się w przestrzeń pomiędzy ścianą a dość zabawnym posągiem psa z wywieszonym językiem.

- Co teraz? - spytała Motyl.

- Jak liczna jest Czerwona Armia?

- Liczy sobie wiele tysięcy - odparła wyzywająco Motyl.

- W Hunghung?

- Ależ nie. Ale w każdym mieście jest kadra.

- Jesteś tego pewna? Spotkałaś ich kiedyś?

- Och, nie. To by było niebezpieczne. Tylko Dwa Ogniste Zioła wie, jak się z nimi skontaktować...

- Zabawne. Wiesz, co o tym myślę? Myślę, że ktoś chce wybuchu rewolucji. A wy jesteście tak potwornie uprzejmi i grzeczni, że musi się porządnie namęczyć, by ją zorganizować. Ale kiedy ma się już buntowników, można osiągnąć wszystko...

- To nie może być prawda...

- Ci rebelianci w innych miastach... dokonują wielkich rewolucyjnych czynów, prawda?

- Stale otrzymujemy raporty.

- Od naszego przyjaciela, Dwóch Ognistych Ziół?

Motyl zmarszczyła czoło.

- Tak...

- Zaczynasz myśleć, co? - mruknął Rincewind. - Te leniwe komórki mózgowe w końcu biorą się do roboty, co? To dobrze. Przekonałem cię?

- Ja... sama nie wiem.

- No to wracajmy.

- Nie. Teraz muszę się przekonać, czy to, co sugerujesz, jest prawdą.

- Niepewność cię zabija, co? Na demony, jak wy mnie strasznie irytujecie. Popatrz tutaj...

Rincewind podszedł do końca korytarza. Zamykały go szerokie, dwuskrzydłowe drzwi strzeżone przez parę nefrytowych smoków.

Otworzył.

Komnata za drzwiami była niska, ale rozległa. W samym środku pod baldachimem stało łóżko. Trudno było rozpoznać leżącego w nim człowieka, jednak zdradzał pewien szczególny bezruch, sugerujący ten rodzaj snu, po którym trudno liczyć na przebudzenie.

- Widzisz? - powiedział Rincewind. - Jest zamordowany. Już.

Kilkunastu żołnierzy spoglądało na niego w zdumieniu.

Za sobą usłyszał zgrzyt podłogi, a potem świszczący odgłos zakończony stukiem, jakby ktoś uderzył wilgotną skórą o kamień.

Rincewind przyjrzał się najbliższemu żołnierzowi. Żołnierz trzymał miecz.

Jedna kropla krwi spłynęła po ostrzu i - po krótkim zneruchomieniu dla lepszego efektu dramatycznego - upadła na podłogę.

Rincewind uniósł głowę i uchylił kapelusza.

- Bardzo panów przepraszam - powiedział. - Czy to sala 3B?

I rzucił się do ucieczki.

Deski podłogi jęknęły pod jego stopami. Z tyłu ktoś wykrzyczał przydomek Rincewinda, który brzmiał: „Nie pozwólcie mu uciec!”.

Pozwólcie mi uciec, błagał w duchu Rincewind. Proszę, pozwólcie mi

uciec.

Pośliznął się na zakręcie, przebił papierową ścianę i wylądował w ozdobnej sadzawce z rybami. Jednak w pełnym biegu zyskiwał kocie, niemal mesjanistyczne własności. Woda ledwie się zakołysała, gdy odbił się od powierzchni i pognął dalej.

Za nim ktoś wylądował ciężko na cennym karpiu złocistym.

Rincewind biegł.

Skąd - to najważniejszy czynnik dowolnej panicznej ucieczki. Zawsze ucieka się skądś. A dokąd - to samo się okaże.

Przeskoczył ciąg niskich kamiennych stopni, przetoczył się, poderwał i wbiegł w przypadkowo wybrany korytarz.

Nogi realizowały plan. Najpierw szaleńczy, bezmyślny pęd, żeby wyjść poza bezpośrednie zagrożenie, a potem równe, długie kroki, by jak najbardziej zwiększyć dystans do pogoni. Na tym polegała cała sztuka.

Historia wspomina o biegaczu, który po bitwie przebiegł czterdzieści mil, by w domu przekazać wiadomość o zwycięstwie. Tradycyjnie uważany jest za najwspanialszego biegacza wszech czasów. Gdyby jednak przekazywał wiadomość o nadchodzącej bitwie, zostałby wyprzedzony przez Rincewinda.

Mimo to... ktoś Rincewinda doganiał.

* * *

Nóż przebił ścianę sali tronowej i wyciął otwór dostatecznie duży, by zmieścić się w nim wyprostowany człowiek albo jeden wózek inwalidzki.

Ordyńcy mruczei do siebie.

- Bruce Hun nigdy nie wchodził tylnymi drzwiami.

- Zamknij się.

- W ogóle się nie zbliżał do tylnych bram, ten Bruce Hun.

- Zamknij się.

- Kiedy Bruce Hun zaatakował Al Khali, zrobił to przy wieży głównej bramy, z tysiącem wrzeszczących ludzi na małych konikach.

- Niby tak, tylko że... kiedy ostatnio widziałem Bruce'a Huna, jego głowa tkwiła na kiju.

- Zgadza się, trudno zaprzeczyć. Ale nad główną bramą. Znaczy, przynajmniej się przebił.

- Jego głowa się przebiła.

- A niech...

Saveloy był usatysfakcjonowany. Komnata, do której weszli, mogła uciszyć Srebrną Ordę, choćby na krótko. Była wielka, naturalnie, ale spełniała też inną rolę. Kiedy Zwierciadło Jedynege Słońca spajał razem plemiona, państwa i wysepki, postanowił zbudować pomieszczenie mówiące wodzom i ambasadorom: to największa sala, w jakiej byliście; jest wspanialsza niż wszystko, co mogliście sobie wyobrazić, i mamy tu więcej takich.

Chciał, żeby była imponująca. Bardzo wyraźnie życzył sobie, by olśnić prostych barbarzyńców, skłonić ich, by poddali się od razu. Niech będą tu wielkie posągi, powiedział. I szerokie, ozdobne kotary. Niech stoją kolumny i rzeźby. Niech przybysz zaniemówi z podziwu. Niech wszystko to powie mu: „Oto cywilizacja, możesz się do niej przyłączyć albo zginąć. A teraz padnij

na kolana albo zostaniesz obniżony w inny sposób”.

Orda zainteresowała się na tyle, by dokonać szczegółowej inspekcji.

- Całkiem niezły lokal, trzeba przyznać - stwierdził w końcu Truckle. - Ale gdzie mu tam do chaty naszego wodza w Skundzie. Patrzcie, nie ma nawet ogniska na środku.

- Moim zdaniem krzykliwy.

- Co?

- Typowo zagraniczny.

- Wywaliłbym stąd to wszystko, rozsypał trochę porządnego siana na podłodze i powiesił tarcze na ścianach.

- Co?

- Ale pomyśl, jakby ściągnąć parę setek stołów, można by tu całkiem nieźle pohulać.

Cohen ruszył przez rozległą przestrzeń podłogi w stronę tronu stojącego pod wielkim, ozdobnym baldachimem.

- Ustawili nad nim parasol, patrzcie.

- Pewno dach cieknie. Nie można wierzyć dachówkom. Porządna strzecha daje ci czterdzieści lat suchego mieszkania.

Tron zrobiony był z lakierowanego drewna, ale ozdobionego licznymi klejnotami. Cohen usiadł.

- To już? - zapytał. - Dokonaliśmy tego, Ucz?

- Tak - potwierdził Saveloy. - Oczywiście teraz musisz jakoś to

utrzymać.

- Przepraszam - wtrącił Sześć Dobroczynnych Wiatrów - ale coście zrobili?

- Domyśla się pan już, co chcieliśmy ukraść?

- Nie.

- Imperium.

Twarz poborcy przez kilka sekund pozostawała nieruchoma, po czym rozciągnęła się w nieco przerażonym uśmiechu.

- Myślę, że zanim przejdziemy dalej, warto pomyśleć o śniadaniu - stwierdził Saveloy. - Panie Wiatry, może zechce pan kogoś przywołać?

Uśmiech zastygł na twarzy poborcy.

- Ale... ale... nie możecie przecież w taki sposób zdobyć Imperium! - wykrztusił w końcu. - Musicie mieć armię, jak nasza arystokracja. Samo wejście tutaj... to wbrew regułom! I... i... i są tysiące gwardzistów!

- Tak, ale wszyscy na zewnątrz - zauważył Saveloy.

- Pilnują nas - dodał Cohen.

- Pilnują prawdziwego cesarza!

- To właśnie ja.

- Ach tak? - obruszył się Truckle. - A kto niby umarł i zrobił z ciebie cesarza?

- Nikt nie musi umierać - zapewnił Saveloy. - To się nazywa uzurpacja.

- Właśnie - zgodził się Cohen. - Mówisz tylko: Słuchaj no, kurdupłu, nic tu po tobie. Spływaj na jakąś wyspę i...

- Dzyngis - przerwał mu łagodnie Saveloy. - Czy potrafiłbyś się powstrzymać od określania cudzoziemców w ten niewątpliwie obraźliwy sposób? To niecywilizowane.

Cohen wzruszył ramionami.

- Ale i tak będziecie mieli wielki problem z gwardzistami i resztą - ostrzegł Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

- Może nie - sprzeciwił się Cohen. - Powiedz im, Ucz.

- Panie Wiatry, czy kiedykolwiek widział pan, eee... byłego cesarza? - zapytał Saveloy.

- Oczywiście, że nie. W ogóle mało kto go... - Zamilkł.

- Teraz pan rozumie. Szybko się pan orientuje, panie Wiatry. Tak jak wypada Głównemu Poborcy Imperium.

- To i tak się nie uda, ponieważ... - Sześć Dobroczynnych Wiatrów znów umilkł. Słowa Saveloya dotarły do jego mózgu. - Główny Poborca? Ja? Czarny kapelusz z czerwonym, rubinowym guzikiem?

- Tak.

- I jeszcze z piórkiem, jak chcesz - dodał wielkodusznie Cohen.

- Czyli... gdyby taki, powiedzmy, zwyczajny administrator dystryktu, niewiarygodnie okrutny wobec swoich urzędników, zwłaszcza wobec ciężko pracującego zastępcy, w pełni zasługiwał na solidne, uczciwe lanie...

- To już leży całkowicie w pańskich kompetencjach jako Głównego Poborcy Imperium.

Uśmiech Sześciu Dobroczynnych Wiatrów groził teraz, że oderwie górną część głowy właściciela.

- A w sprawie nowego opodatkowania... Często przychodziło mi na myśl, że świeże powietrze jest zbyt łatwo dostępne i znacznie poniżej kosztów produkcji...

- Wysłuchamy pańskich opinii z najwyższym zainteresowaniem - zapewnił Saveloy. - Tymczasem jednak niech pan zorganizuje śniadanie.

- I każe przysłać - dodał Cohen - wszystkich tych kurdupli, którym się wydaje, że wiedzą, jak wygląda cesarz.

* * *

Ścigający był coraz bliżej.

Rincewind minął zakręt i zobaczył trzech blokujących przejście gwardzistów. Byli żywi i mieli miecze.

Ktoś wpadł mu na plecy, pchnął go na ziemię i przeskoczył do przodu.

Rincewind zacisnął powieki.

Usłyszał kilka uderzeń, jęk, a potem bardzo dziwny, metaliczny odgłos.

To brzęczał hełm kręcący się w kółko na podłodze.

Ktoś postawił Rincewinda na nogi.

- Masz zamiar leżeć tak przez cały dzień? - spytała Motyl. - Chodźmy. Ci z tyłu są całkiem blisko.

Zerknął na powalonych gwardzistów i ruszył za dziewczyną.

- Ilu ich tam jest? - wykrztusił.

- Teraz siedmiu. Ale dwóch utyka, a jeden ma kłopoty z oddychaniem.
No chodź!

- Pobiłaś ich?

- Czy zawsze w ten sposób marnujesz oddech?

- Jeszcze nie spotkałem kogoś, kto by za mną nadążył!

Skręcili na rogu i niemal zderzyli się z następnym gwardzistą.

Motyl nawet nie przystanęła. Zrobiła dystyngowany kroczek, wykonała piruet na jednej nodze i kopnęła żołnierza w ucho tak mocno, że okręcił się wokół własnej osi i wylądował na głowie.

Odetchnęła i poprawiła włosy.

- Powinniśmy się rozdzielić - uznała.

- Nie! - zaprotestował Rincewind. - To znaczy... muszę cię przecież chronić!

- Wrócę do pozostałych. Ty odciągniesz gdzieś gwardię...

- Wszyscy tak umiecie?

- Oczywiście - potwierdziła kwaśno Motyl. - Mówiłam ci przecież, że walczyliśmy z gwardzistami. Jeśli się rozdzielimy, przynajmniej jedno z nas ucieknie. To mordercy! A na nas miała spaść wina!

- Próbowałem ci to wytłumaczyć. Zaraz, przecież chcieliście, żeby zginął!

- Tak, ale my jesteśmy rewolucjonistami. A oni to gwardia pałacowa!

- Eee...

- Nie ma czasu. Spotkamy się w Niebiosach.

Odbiegła.

- Aha. - Rincewind rozejrzał się uważnie. Wszędzie panowała cisza.

Gwardziści pojawili się na końcu korytarza. Szli ostrożnie, jak wypada ludziom, którzy niedawno spotkali Motyl.

- Tam!

- Czy to ona?

- Nie, to on!

- Łapać go!

Przyspieszył znowu, skręcił i odkrył, że znalazł się w ślepym zaułku. A sądząc po dźwiękach z tyłu, groziła mu nie tylko ślepotą. Dostrzegł jednak podwójne drzwi, otworzył je kopniakiem, wbiegł do pomieszczenia i zwolnił...

Panowała tu ciemność, jednak odgłosy i atmosfera sugerowały rozległą przestrzeń, a pewne elementy zapachowe kojarzyły się ze stajnią.

Było jednak nieco światła - płonął ogień. Rincewind podszedł bliżej i odkrył, że płonie pod wielkim jak człowiek kotłem pełnym ryżu.

Teraz, kiedy oczy przyzwyczały się do półmroku, dostrzegł także jakieś kształty leżące pod ścianami ogromnej sali.

Chrapały cicho.

Kształty były chyba istotami ludzkimi, a przynajmniej miały ludzi wśród

swych przodków, zanim setki lat temu ktoś powiedział: „Przekonajmy się, jakich wielkich grubasów zdołamy wyhodować. Ale naprawdę się postaramy”.

Każdy z olbrzymów był ubrany w coś, co dla Rincewinda wyglądało jak pielucha, i spał spokojnie obok misy zawierającej dość ryżu, by doprowadzić do eksplozji dwadzieścia normalnych osób. Pewnie na wypadek gdyby obudził się w nocy i miał ochotę coś przekąsić.

Kilku ścigających pojawiło się w drzwiach. Zatrzymali się, a po chwili ruszyli dalej, ale bardzo ostrożnie, czujnie zerkając na przelewające się powoli ciała.

- Oj, oj, oj! - wrzasnął Rincewind.

Gwardziści znieruchomieli, patrząc na niego z lękiem.

- Budźcie się! Budźcie! Spójrzmy, jak wstają słonie!

Chwycił wielką chochlę i zabębnił nią o kocioł z ryżem.

- Wstawać! Złazić z kozety i wkładać skarpety, czy co tam nosicie!

Śpiący zaczęli się poruszać.

- Oooorrrrr?

- Oooooaaoooooor!

Podłoga zadrżała, gdy czterdzieści grubych jak pnie nóg zsunęło się z posłań. Cielska przemieściły się tak, że w mroku Rincewind miał wrażenie, iż obserwuje go dwadzieścia niedużych piramid.

- Haaarooooohhhh?

- Ci ludzie! - Rincewind rozpaczliwym gestem wskazał swych

prześladowców, którzy wycofywali się z wolna. - Ci ludzie mają kanapkę z mięsem!

- Oorrryorrreaah?

- Oooorrrr?

- I z musztardą!

Dwadzieścia małych główek obróciło się równocześnie. Łączna liczba osiemdziesięciu wyspecjalizowanych neuronów zaiskrzyła i zbudziła się do życia.

Ziemia zadygotała. Zapaśnicy ruszyli z nadzieją w stronę gwardzystów - powolnym, lecz niepowstrzymanym truchtem, który mogło zahamować tylko zderzenie z innym zapaśnikiem albo z kontynentem.

- Oooorrr!

Rincewind skoczył do przeciwległych drzwi i przebiegł na drugą stronę. W małym pokoju siedziało kilku ludzi. Dwaj pili herbatę i grali w shibo, obserwowani przez trzeciego.

- Zapaśnicy biorą się za pasy! - wrzasnął. - Chyba wybuchło prawdziwe stampede!

Jeden z graczy rzucił kamienie shibo.

- Niech to upiór! A to już co najmniej godzina od ostatniego karmienia!

Wszyscy trzej chwycili rozmaite siatki, kije oraz fragmenty odzieży ochronnej i zostawili Rincewinda samego.

Zauważył kolejne drzwi. Wykonał przez nie taneczne pas. Nigdy nie próbował robić tanecznego pas, ale uznał, że należy mu się jedno - w nagrodę za szybkie myślenie.

Trafił do jeszcze jednego korytarza. Pobiegł nim, ponieważ brak pościgu nie jest żadnym powodem do przerywania ucieczki.

* * *

Pan Hong składał kartkę papieru.

Był w tym ekspertem, ponieważ cokolwiek robił, poświęcał temu całą uwagę. Pan Hong miał umysł jak nóż, choć całkiem możliwe, że z zakrzywionym ostrzem.

Drzwi się rozsunęły. Gwardzista o poczerwieniałej od biegu twarzy rzucił się na podłogę.

- O panie Hong, który wywyższony jest...

- Tak, rzeczywiście - przerwał mu z roztargnieniem pan Hong, wykonując trudne zagięcie. - Co się tym razem nie udało?

- Panie?

- Pytałem, co się tym razem nie udało.

- Uhm... zabiliśmy cesarza zgodnie z poleceniem...

- Czyim?

- Panie! Sam rozkazałeś!

- Czyżby? - zdziwił się pan Hong, składając papier wzdłuż.

Gwardzista przymknął oczy. Miał wizję - bardzo krótką wizję - swojej przyszłości. Był w niej zaostrzony kij.

Mówił dalej:

- Nigdzie nie znaleźliśmy więźniów, panie! Słyszeliśmy, że ktoś się zbliża, a potem... potem zobaczyliśmy dwoje ludzi, panie. Ścigamy ich. Ale pozostali zniknęli.

- Żadnych sloganów? Żadnych rewolucyjnych ulotek? Żadnych winnych?

- Nie, panie.

- Rozumiem. Pozostań tutaj.

Dłonie pana Honga nie przerywały pracy, on zaś spojrzał na trzecią osobę w komnacie.

- Masz mi coś do powiedzenia, Dwa Ogniste Ziola? - zapytał uprzejmie.

Przywódca rewolucjonistów zmieszał się trochę.

- Czerwona Armia była dość kosztowna - przypomniał pan Hong. - Sam druk ulotek... I nie możesz się skarżyć, że ci nie pomagałem. Otworzyliśmy drzwi cel, zabiliśmy strażników, daliśmy twoim nędznym ludziom miecze i mapę, czyż nie? A teraz trudno mi będzie twierdzić, że zamordowali cesarza, niech pozostanie martwy przez dziesięć tysięcy lat, skoro nie ma po nich nawet śladu. Ludzie zaczną stawiać zbyt wiele pytań, a nie mogę przecież zabić wszystkich. W dodatku, jak się zdaje, mamy też w pałacu jakichś barbarzyńców.

- Musiało się zdarzyć coś nieprzewidzianego, panie. - Ziola jak zahipnotyzowany wpatrywał się w dłonie pieszczące papier.

- Co za szkoda. Nie lubię, kiedy zdarza się coś nieprzewidzianego. Gwardzisto! Zrehabilituj swą nędzną osobę i wyprowadź go. Będę musiał zrealizować inny plan.

- Panie!

- Słucham cię, Dwa Ogniste Zioła.

- Kiedy ty... kiedy uzgodniliśmy... kiedy zostało uzgodnione, że Czerwona Armia będzie ci oddana, obiecałeś mi rekompensatę.

Pan Hong uśmiechnął się.

- A tak, przypominam sobie. Powiedziałem, nieprawdaż, że ani słowem, ani na piśmie nie wydam rozkazu, by cię zgładzić. I muszę dotrzymać słowa. Inaczej kim bym się stał?

Wykonał ostatnie zagięcie i rozłożył dłonie, stawiając papierową ozdobę na lakierowanym stoliku przed sobą.

Zioła i żołnierz spojrzeli na nią.

- Gwardzisto... zabierz go stąd - polecił pan Hong.

Była to przepięknie skonstruowana figurka człowieka.

Zdawało się jednak, że zabrakło papieru na głowę.

* * *

Wewnętrzny dwór składał się z około osiemdziesięciu mężczyzn, kobiet i eunuchów na różnych etapach niewyspania. Zdumieli się, widząc, kto siedzi na tronie.

Orda zdumiała się, widząc dwór.

- Kim są te wszystkie toboły z przodu, z gębami jakby się octu napiły? - szepnęła Cohen, od niechcienia podrzucając nóż. - Chyba nawet bym ich nie

spalił.

- To żony poprzednich cesarzy - syknął Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

- Ale nie musimy się z nimi żenić, co?

- Nie wydaje mi się.

- A czemu mają takie małe stopy? - pytał dalej Cohen. - Lubię solidne stopy u kobiet.

Sześć Dobroczynnych Wiatrów wytłumaczył. Twarz Cohena stwardniała.

- Dużo się uczę o tej cywilizacji, nie ma co - stwierdził. - Długie paznokcie, okaleczone stopy i słudzy biegający dookoła bez swoich rodzinnych klejnotów. Ha.

- Co się tu dzieje, jeśli wolno spytać? - odezwał się mężczyzna w średnim wieku. - Kim jesteś? Kim są ci starzy eunuchowie?

- A kim ty jesteś? - zapytał Cohen. Wydobył miecz. - Chcę wiedzieć, żeby można to było wypisać na twoim nagrobku.

- Zastanawiam się, czy pora nie jest właściwa na prezentację - wtrącił Saveloy. Wystąpił naprzód. - To - rzekł - jest Dżyngis Cohen... Odłóż to, Dżyngis... Formalnie rzecz biorąc, barbarzyńca. A to jego orda. Zdobyli wasze miasto. A wy...

- Barbarzyńscy najeźdźcy? - rzucił z wyższością dworzanin. - Barbarzyńscy najeźdźcy przybywają tysiącami! Wielcy, wrzeszczący mężczyźni na małych konikach!

- A nie mówiłem? - wtrącił Truckle. - Ale czy ktoś mnie posłucha?

- Nie jedliśmy jeszcze śniadania - zauważył Cohen, znowu podrzucając

nóż.

- Ha! Wolę raczej zginąć, niż poddać się komuś takiemu!

Cohen wzruszył ramionami.

- Czemu od razu nie mówiłeś?

- Oj! - szepnął Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

Był to bardzo precyzyjny rzut.

- A kim on był właściwie? - spytał Cohen, gdy ciało osunęło się na podłogę. - Ktoś go tu znał?

- Dżyngis... - Saveloy westchnął ciężko. - Tyle razy już miałem ci powiedzieć: kiedy ludzie mówią, że wolą zginąć, to niekoniecznie naprawdę wolą zginąć. Nie zawsze.

- No to czemu tak mówią?

- Bo tak się robi, mniej więcej.

- Znów ta cywilizacja?

- Obawiam się, że tak.

- Może załatwimy to raz na zawsze, dobrze? - Cohen wstał. - Kto woli raczej zginąć, niż mieć mnie za cesarza, ręka w górę.

- Jest ktoś? - zachęcił Saveloy.

* * *

Rincewind biegł kolejnym korytarzem. Czy w tym miejscu w ogóle nie było zewnątrz? Kilka razy już sądził, że znalazł wyjście, ale prowadziło na wewnętrzny dziedziniec gigantycznego budynku, pełen pluskających fontann i wierzb płaczących.

W dodatku pałac zaczynał się budzić. Słyszał...

...czyjeś szybkie kroki za sobą.

Ktoś zawołał:

- Hej!

Rincewind skoczył w najbliższe drzwi.

Znalazł się w pomieszczeniu wypełnionym parą. Przepływała wielkimi, kłębiastymi chmurami. Niewyraźnie dostrzegł człowieka popychającego wielkie koło. Przez myśl przemknęły mu słowa „izba tortur”, ale zapach mydła sprawił, że zastąpiło je słowo „pralnia”. Dość blade, lecz niewiarygodnie czyste postacie unosiły głowy znad balii i przyglądały mu się z ledwie śladem zaciekawienia.

Nie wyglądały na ludzi mających kontakt z bieżącą sytuacją.

Na wpół przebiegł, na wpół przespacerował między bulgoczącymi kotłami.

- Tak trzymać. Dobra robota. Tak jest, szur-szur-szur. Niech popatrzę, jak te wyżymaczki wyżymają. To lubię. Czy jest tu inne wyjście? Piękne bąbelki, naprawdę doskonałe bąbelki. Ach...

Jeden z pracujących w pralni, który sprawiał wrażenie zarządcy, patrzył na niego podejrzliwie i wyglądał, jakby miał zamiar coś powiedzieć.

Rincewind przebiegł przez dziedziniec zawieszony sznurami z suszącym się praniem. Dysząc, stanął plecami do ściany.

Choć było to wbrew jego podstawowym zasadom, chyba nadszedł czas, by zatrzymać się i pomyśleć.

Ścigali go. To znaczy ścigali uciekającą postać w wyblakłej czerwonej szacie i mocno przypalonym spiczastym kapeluszu.

Z najwyższym wysiłkiem zdołał pogodzić się z myślą, że gdyby miał na sobie coś innego, całkiem możliwe, że by go nie ścigali.

Na sznurze tuż przed nim kołysały się w lekkim wietrze bluzy i spodnie. Ich szycie tak się miało do krawiectwa, jak rąbanie drewna do stolarki. Ktoś opanował sztukę zszywania rury i na tym właściwie poprzestał. Wyglądały całkiem jak ubrania, jakie nosili prawie wszyscy w Hunghung.

Pałac jest niemal miastem samym w sobie, odezwał się głos rozsądku. Musi być pełen ludzi wypełniających rozmaite zadania, dodał jeszcze.

To by oznaczało... zdjęcie naszego kapelusza, podsumował.

Rincewind się zawahał. Trudno byłoby niemagowi pojąć skalę takiej sugestii. Mag prędzej wyszedłby na ulicę bez swej szaty i spodni niż bez kapelusza. Bez kapelusza ludzie mogliby wziąć go za... za kogoś całkiem zwyczajnego.

W oddali rozległy się krzyki.

Głos rozsądku dobrze pojmował, że jeśli nie będzie ostrożny, to skończy martwy wraz z całą resztą Rincewinda. Rzucił więc sarkastycznie: Dobrze, zatrzymaj ten nasz nędzny kapelusz. Ten nasz przeklęty kapelusz to przyczyna, dla której w ogóle wpadliśmy w to bagno; myślisz może, że zachowasz głowę, żeby go na niej nosić?

Ręce Rincewinda, także świadome, że jeśli nie wezmą spraw w siebie, zbliżają się czasy niezwykle wręcz ciekawe i bardzo krótkie, powoli sięgnęły do sznura. Zdjęły parę spodni i koszulę. Wcisnęły je pod szatę.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Na dziedziniec wypadli żołnierze, do których przyłączyło się paru pastuchów tsimo. Jeden z nich machał kijem.

Rincewind skoczył pod łuk bramy i do ogrodu.

Była tam mała pagoda. Były wierzby i piękna dama na mostku. Karmiła ptaki.

I jakiś człowiek malujący talerz.

* * *

Cohen zatarł ręce.

- Nikt? Dobrze. Czyli wszystko załatwione.

- Ehm.

Mały człowieczek w pierwszym rzędzie demonstracyjnie trzymał ręce przy sobie.

- Przepraszam bardzo - powiedział. - Co by się stało w hipotetycznej sytuacji wezwania przez nas gwardzistów i wydania was?

- Zginiecie, zanim jeszcze wbiegną przez drzwi - odparł rzeczowo Cohen. - Jeszcze jakieś pytania? - dodał wśród chóru wzburzonych syknięć.

- Tego... cesarz... to znaczy poprzedni cesarz miał grupę bardzo szczególnych gwardzistów...

Coś zadźwięczało cicho. Coś małego i wieloramiennego potoczyło się zza schodów i zakręciło na podłodze. Była to gwiazdka do rzutów.

- Spotkaliśmy ich - wyjaśnił Mały Willie.

- Świetnie, świetnie - zapewnił mały człowieczek. - Zatem wszystko jest chyba w porządku. Dziesięć tysięcy lat dla naszego cesarza!

Okrzyk został podjęty, choć niezbyt równo.

- Jak ci na imię, młody człowieku?

- Cztery Wielkie Rogi, panie.

- Bardzo dobrze. Doskonale. Widzę, że daleko zajdziesz. Czym się zajmujesz?

- Jestem wielkim asystentem szambelana.

- Który z was jest szambelanem?

Cztery Wielkie Rogi wskazał człowieka, który wołał zginąć.

- Zapamiętajcie, moi drodzy - powiedział Saveloy. - Awans przychodzi szybko do ludzi, którzy umieją się przystosować, panie szambelanie. No, nadeszła pora śniadania.

- A co może zaspokoić apetyt cesarza? - spytał nowy szambelan, starając się wyglądać na człowieka ucieszonego i umiejącego się przystosować.

- Różne potrawy. W tej chwili najchętniej wielkie kawały mięsa i mnóstwo piwa. Przekonacie się, że łatwo jest zadowolić cesarza. - Saveloy uśmiechnął się tym dyskretnym uśmieszkiem, który czasem wykorzystywał, kiedy wiedział, że tylko on jeden dostrzeże żart. - Cesarz nie ceni tego, co określa „fikuśnym zagranicznym żarciem pełnym oczu i różnych takich”. Preferuje prostą i zdrową żywność, na przykład kiełbasę wykonaną z rozmaitych organów zwierzęcych, zmielonych i opakowanych w odcinek jelita. Aha, jeśli chcecie sprawić mu przyjemność, trzymajcie się dużych kawałów mięsa. Czy nie tak, panie?

Cohen przyglądał się dworzanom. Kiedy człowiek przeżył

dziewięćdziesiąt lat, unikając wszelkich ataków mężczyzn, kobiet, trolli, krasnoludów, olbrzymów, zielonych stworów z mnóstwem nóg oraz, przy pewnej okazji, rozwścieczonego homara, wiele może się dowiedzieć o innych, zwyczajnie obserwując ich twarze.

- Co? - powiedział. - Aha. Jasne. Zgadza się. Duże kawały. Panie poborco... co ci ludzie właściwie robią całymi dniami?

- A co chciałbyś, żeby robili, panie?

- Och, niech się pieprzą.

- Słucham, panie?

- [Skomplikowany piktogram] - przetłumaczył Saveloy.

Nowy szambelan był nieco zaskoczony.

- Jak to? Tutaj?

- To takie powiedzenie, mój chłopcze. Chodzi mu o to, żeby wszyscy wyszli stąd jak najszybciej.

Dwór wyszedł z komnaty. Dostatecznie skomplikowany piktogram jest wart tysiąca słów.

* * *

Po przejściu stampede malarz Trzy Solidne Żaby podniósł się na nogi, wyjął pędzel z nosa, ściągnął sztalugi z drzewa i spróbował myśleć o rzeczach kojących.

Ogród nie był już taki jak poprzednio.

Wierzba została przygięta. Pagodę zdemolował rozszały zapaśnik, który zjadł dach. Gołębie odfrunęły. Mały mostek był złamany. Jego modelka, konkubina Nefrytowy Wachlarz, uciekła z płaczem, kiedy tylko wydostała się z ozdobnej sadzawki.

Na dodatek ktoś ukradł jego słomkowy kapelusz.

Trzy Solidne Żaby poprawił to, co pozostało mu z ubrania, i zdołał jakoś się opanować.

Talerz z jego szkicem leżał rozbity, oczywiście.

Wyjął z torby następny i sięgnął po paletę.

Na samym jej środku widniał wielki odcisk stopy...

Trzy Solidne Żaby miał ochotę się rozpłakać. Żywił takie dobre przeczucia co do tego obrazu. Wiedział, że stworzy coś, co ludzie zapamiętają na długo. A farby? Czy ktokolwiek pojmie, ile ostatnio kosztuje cynober?

Wziął się w garść. Został mu tylko niebieski. Cóż, on im jeszcze pokaże...

Starając się nie zwracać uwagi na otaczające go zniszczenia, skoncentrował się na obrazie, jaki zachował w pamięci.

Chwileczkę, myślał. Nefrytowy Wachlarz ścigana po mostku przez człowieka wymachującego rękami i krzyczącego „Z drogi!”, a za nim człowiek z kijem, trzech gwardzistów, pięciu ludzi z pralni i zapaśnik, który nie może się zatrzymać.

Oczywiście, trzeba to będzie trochę uprościć.

* * *

Ścigający skręcili za róg - wszyscy z wyjątkiem zapaśnika, który nie był zbudowany do tak gwałtownych manewrów.

- Gdzie on pobiegł?

Znaleźli się na dziedzińcu. Po jednej stronie stały chlewy, po drugiej stosy śmieci.

A na samym środku - spiczasty kapelusz.

Jeden z gwardzistów chwycił kolegę za ramię tuż przed tym, nim tamten zdążył zrobić krok do przodu.

- Tylko spokojnie - powiedział.

- To przecież zwykły kapelusz.

- A gdzie jest reszta? Nie mógł przecież... tak sobie... zniknąć w...

Cofnęli się obaj.

- Też o nim słyszałeś?

- Podobno wystarczyło, że zamachał rękami, a wybił wielką dziurę w murze!

- To jeszcze nic! Podobno w górach wylądował na niewidzialnym smoku!

- Co powiemy panu Hongowi?

- Nie chcę rozlecieć się na kawałki!

- A ja nie chcę tłumaczyć panu Hongowi, że nam uciekł. I tak mamy

kłopoty. A dopiero niedawno spłaciłem mój hełm.

- No to... możemy zabrać kapelusz. To będzie dowód.

- Słusznie. Podnieś go.

- Ja? Ty go podnieś!

- Może być chroniony przez straszliwe zaklęcia.

- Naprawdę? I dlatego wolisz, żebym to ja go dotknął? Dziękuję ci uprzejmie. Niech któryś z nich go przyniesie.

Robotnicy z pralni wycofywali się ostrożnie; hunghungańska tradycja posłuszeństwa znikła niczym poranna rosa. Żołnierze nie byli tu jedynymi, którzy słyszeli plotki.

- Nie my!

- Mamy pilne zamówienie na skarpety!

Gwardzista obejrzał się. Jakiś wieśniak wychodził akurat z chlewa. Niósł worek, a twarz miał skrytą pod szerokim słomkowym kapeluszem.

- Hej, ty!

Wieśniak osunął się na kolana i uderzył czołem o ziemię.

- Nie zabijajcie mnie!

Gwardziści porozumieli się wzrokiem.

- Nie chcemy cię zabijać - wyjaśnił pierwszy. - Masz tylko podnieść ten kapelusz.

- Jaki kapelusz, o potężny wojowniku?

- Ten! Natychmiast!

Wieśniak popęzł bokiem po bruku.

- Ten kapelusz, o panie?

- Tak!

Wieśniak przesunął dłoń po kamieniach i dotknął wystrzępionego ronda.

A potem wrzasnął:

- Twoja żona jest wielkim hipopotamem! Twarz mi się rozpuszcza!
Twarz się rozpuuuuszczaaaa!

Rincewind odczekał, aż wszyscy uciekną i ucichnie stukot sandałów, po czym wstał, otrzepał kapelusz i schował go do worka.

Poszło mu o wiele lepiej, niż się spodziewał. Odkrył kolejny wart zapamiętania fakt dotyczący Imperium: nikt nie patrzy na wieśniaków. Wystarczy ubranie i kapelusz. Nikt prócz gminu tak się nie ubiera, więc każdy, kto jest tak ubrany, musi być człowiekiem z gminu. Przypominało to funkcje reklamowe kapelusza maga, tyle że na odwrót. W pobliżu ludzi w spiczastych kapeluszach należało zachowywać się ostrożnie i grzecznie, żeby nie poczuł się urażeni; tymczasem w słomkowym kapeluszu człowiek stawał się naturalnym celem dla „Hej, ty!” i...

Dokładnie w tej chwili ktoś za Rincewindem krzyknął „Hej, ty!” i uderzył go kijem po plecach.

Po chwili stanął przed nim rozgniewany sługa. Pomachał mu palcem.

- Spóźniłeś się! Jesteś niedobrym człowiekiem! Wchodź natychmiast!

- Ja...

Kij uderzył ponownie. Pałacowy sługa wskazał odległe drzwi.

- Krnąbrność! Wstyd! Do roboty!

Mózg Rincewinda przygotował odpowiedź: Aha, myślimy, że jesteśmy taki Mądrała-san, bo mamy wielki kij, co? Otóż przypadkiem jestem wielkim magiem i wiesz, co możesz sobie zrobić z tym kijem?

Jednak gdzieś pomiędzy mózgiem, a ustami słowa zmieniły się w:

- Tak jest! Już pędzę!

* * *

Orda została we własnym gronie.

- No cóż, panowie... Dokonaliśmy tego - stwierdził po chwili Saveloy. - Macie świat podany na talerzu.

- Wszystkie skarby, jakie zechcemy - dodał Truckle.

- Zgadza się.

- No to nie marnujmy czasu - powiedział. - Poszukajmy jakichś worków.

- To nie ma sensu - przypomniał mu Saveloy. - Okradalibyście samych siebie. To przecież Imperium. Nie da się go wsadzić do worka, żeby wyjąć na następnym obozowisku.

- A co z gwałceniem?

Saveloy westchnął.

- Jak rozumiem, w cesarskim haremie przebywa trzysta konkubin.

Jestem pewien, że z przyjemnością poznają was bliżej, choć sprawa byłaby prostsza, gdybyście zdjęli buty.

Starcy patrzyli na niego zdziwieni, jak mogłaby patrzeć ryba usiłująca pojąć koncepcję roweru.

- Trzeba brać rzeczy małe i cenne - stwierdził wreszcie Mały Willie. - Najlepiej rubiny i szmaragdy.

- A przed wyjściem rzucić tu zapalkę - dodał Vincent. - Papierowe ściany i lakierowane drewno będą się palić jak piekło!

- Nie, nie, nie! - zaprotestował Saveloy. - Same wazy w tej sali są bezcenne!

- Eee... za wielkie, żeby je nosić. Nie zmieszczą się na koniu.

- Przecież pokazałem wam cywilizację!

- Tak. Niezła jest na krótką wizytę. Nie mam racji, Cohen?

Cohen zgarbił się na tronie. Wbijał wzrok w przeciwną ścianę.

- Co mówiłeś?

- Żeby zabrać wszystko, co zdołamy unieść, i wynosić się stąd do domu.

- Co?

- Do domu... no...

- Taki był plan, tak?

Cohen unikał spojrzenia Saveloya.

- No tak... - mruknął. - Plan.

- To dobry plan - zapewnił go Truckle. - Świetny pomysł. Wchodzisz tu jako szef? Doskonale. Dobry numer. Nie trzeba się bawić z zamkami i całą resztą. I teraz możemy już ruszać do domu. Z całym skarbem, jaki damy radę unieść.

- Po co? - zapytał Cohen. - Jak to po co? Przecież to skarb!

Cohen najwyraźniej podjął już decyzję.

- A na co wydałeś swój ostatni łup, Truckle? Mówiłeś, że wyciągnąłeś z tego nawiedzonego zamku trzy worki złota i klejnotów.

Truckle zrobił zdziwioną minę, jakby Cohen zapytał go, czym pachnie fiolet.

- Na co wydałem? Nie pamiętam. Sam wiesz, jak to jest. Czy to ważne, na co wydajesz pieniądze? To przecież łup! Zresztą... na co ty wydałeś swoje?

Cohen westchnął.

Truckle wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Chyba nie myślisz, żeby naprawdę tu zostać? - Zerknął gniewnie na Saveloya. - Wy dwaj, zdaje się, coś tu nakręciliście.

Cohen bębnił palcami po poręczy tronu.

- Chciałeś wracać do domu - przypomniał. - To znaczy dokąd?

- No... dokądkolwiek...

- W dodatku Hamish...

- Co? Co?

- Przecież on ma już sto pięć lat, nie? Może pora, żeby się ustatkował?

- Co?

- Ustatkował? - powtórzył Truckle. - Kiedyś sam próbowałeś. Ukradłeś farmę i mówiłeś, że będziesz hodował świnię! Dałeś spokój po... ile to było? Po trzech godzinach?

- Co on gada? Co on gada?

- Powiedział, że PORA SIĘ USTATKOWAĆ!

- Niech se wsadzi...

* * *

W kuchni panował zamęt. Trafiła tu połowa dworu, w większości przypadków po raz pierwszy w życiu. Pomieszczenie było zatłoczone jak plac targowy. Służba przeciskała się między dworzanami, usiłując jak najlepiej wypełniać swe obowiązki.

Fakt, że jeden z ich grona nie całkiem się orientował, jakie obowiązki ma wypełniać, w ogólnym zamieszaniu pozostał niezauważony.

- Czuliście? - oburzała się pani Dwa Ruczaje. - On śmierdzi!

- Jak upalny dzień w chlewie! - oceniła pani Brzoskwiniowy Płatek.

- Z przyjemnością stwierdzam, że nie mam żadnych doświadczeń w tym względzie - odparła dumnie pani Dwa Ruczaje.

Pani Nefrytowa Noc, sporo młodsza od dwóch pozostałych, której dość się podobał Cohenowy zapach niemytego lwa, zachowała milczenie.

- Tylko tyle? Wielkie kawały? - irytował się główny kucharz. - Dlaczego nie zje po prostu całej krowy, skoro tak je lubi?

- Czekaj, aż usłyszysz o diabelskiej potrawie zwanej kiełbasą - ostrzegł szambelan.

- Wielkie kawały! - Kucharz był bliski łez. - Gdzie w wielkich kawałach mięsa jest sztuka kulinarna? Nawet bez sosu? Wolałbym umrzeć, niż zwyczajnie podgrzewać wielkie kawały mięsa!

- Och! - westchnął nowy szambelan. - Głęboko bym się zastanowił nad taką wypowiedzą. Nowy cesarz, oby leżał w kąpieli przez dziesięć tysięcy lat, skłonny jest uznawać takie zarzekanie się za prośbę.

Gwar ucichł nagle. Przyczyną milczenia był jeden cichy, wyraźny dźwięk: odgłos wyciąganego korka.

Pan Hong miał godny wielkiego wezyra talent pojawiania się jakby znikąd. Omiótł wzrokiem kuchnię. Z pewnością była to jedyna praca domowa, jaką kiedykolwiek wykonał.

Podszedł bliżej. Z rękawa swej szaty wyjął małą czarną buteleczkę.

- Przynieście tu mięso - rozkazał. - Sos sam się pojawi.

Zebrani obserwowali go z lękiem. Otrucia należały do hunghungańskiej etykiety dworskiej, jednak zwykle zajmowano się nimi w ukryciu, tak nakazywały dobre maniery.

- Czy jest tu ktoś, kto ma coś do powiedzenia? - zapytał pan Hong.

Jego wzrok był niczym kosa. Kiedy przesuwiał się po kuchni, ludzie wahali się, chwiali i padali.

- Doskonale. Wolę raczej umrzeć, niż zobaczyć... barbarzyńcę na tronie Imperium. Niech je te swoje... wielkie kawały. Przynieście mięso.

Nastąpiło dziwne poruszenie na podłodze, potem krzyki i uderzenie kija. Jakiś wieśniak przecisnął się naprzód, ostrożnie popychając wózek z wielkim półmiskiem pod pokrywą. Na widok pana Honga odsunął wózek na bok, rzucił się na ziemię i z pokorą uderzał czołem o podłogę.

- Odwracam swój niegodny wzrok od twej... grządkie w dogodnym położeniu... „niech to demon...” osoby, o panie.

Pan Hong trącił go stopą.

- Miło zobaczyć, że nie zaginęła sztuka okazywania szacunku - stwierdził. - Zdejmij pokrywę.

Wieśniak wstał i - nadal pokornie schylony - odkrył półmisek.

Pan Hong przechylił buteleczkę i trzymał ją nieruchomo, dopóki ostatnia kropla nie wypłynęła z sykiem. Wszyscy wpatrywali się w niego jak skamieniali.

- A teraz niech zanoszą to mięso barbarzyńcom - rzekł.

- Natychmiast, wasza niebiańska... pędzelkowość... wierzbolistność... prawość.

- Skąd pochodzisz, wieśniaku?

- Z Bes Pelargic, o panie.

- Aha. Tak myślałem.

* * *

Rozsunęły się wielkie bambusowe drzwi. Nowy szambelan wkroczył do sali, prowadząc całą karawanę wózków.

- Śniadanie, o władco tysiąca lat - zaanonsował. - Wielkie kawały świni, wielkie kawały kozy, wielkie kawały wołu i siedem rodzajów smażonego ryżu.

Jeden ze służących zdjął pokrywę z półmiska.

- Ale posłuchajcie lepiej mojej rady i nie próbujcie tej wieprzowiny - powiedział. - Jest zatruta.

Szambelan odwrócił się gwałtownie.

- Bezczelny wieprz! - krzyknął. - Zginiesz za to!

- To Rincewind, co? - odezwał się Cohen. - Wygląda jak Rincewind...

- Gdzieś tu mam swój kapelusz - odparł Rincewind. - Musiałem go wepchnąć do spodni...

- Trucizna? - spytał Cohen. - Jesteś pewien?

- Nie, skąd. To była czarna buteleczka i miała wymalowaną czaszkę ze skrzyżowanymi piszczelami, a kiedy ją przechylił, dymiła - tłumaczył Rincewind, kiedy Saveloy pomagał mu się przebrać. - Czy to sos anchois? Nie przypuszczam.

- Trucizna - mruknął Cohen. - Nienawidzę trucicieli. To najgorsze typy. Skradają się, dodają jakichś brudów do uczciwego jedzenia...

Spojrzał gniewnie na szambelana.

- Czy to ty? - Zerknął na Rincewinda i wskazał kciukiem skulonego mężczyznę. - To był on? Bo jeśli tak, potraktuję go jak szalonych Wężowych Kapłanów ze Startu, tylko tym razem użyję obu kciuków!

- Nie. To był ktoś, kogo nazywali panem Hongiem. Ale wszyscy patrzyli, jak to robił.

Szambelan wydał z siebie krótki, rozpaczliwy krzyk. Rzucił się na podłogę i już miał ucałować stopę Cohena, gdy uświadomił sobie, że miałoby to ten sam skutek co zjedzenie wieprzowiny.

- Łaski, niebiańska istoto! Wszyscy jesteśmy tylko pionkami w rękach pana Honga!

- Co w nim takiego niezwykłego?

- To... wspaniały człowiek! - zapewnił bełkotliwie szambelan. - Złego słowa nie powiem o panu Hongu. I z całą pewnością nie wierzę, jakoby wszędzie miał szpiegów! Niech żyje pan Hong, tyle tylko mogę dodać. - Zaryzykował uniesienie głowy i tuż przed oczami zobaczył ostrze miecza Cohena.

- Dobra. A w tej chwili kogo bardziej się boisz? Mnie czy tego pana Honga?

- Ja... pana Honga.

Cohen uniósł brew.

- Jestem pod wrażeniem. Wszędzie szpiegdy, tak?

Rozglądał się po sali, aż natrafił wzrokiem na bardzo wielką wazę. Podszedł do niej i podniósł pokrywę.

- Dobrze ci tam?

- Eee... tak? - odpowiedział głos z głębi wazy.

- Masz wszystko, czego ci trzeba? Zapasowy notes? Nocnik?

- Eee... tak?

- A miałbyś ochotę na, bo ja wiem, jakieś sześćdziesiąt garnców wrzącej

wody?

- Eee... nie?

- Wolałbyś raczej zginąć, niż zdradzić pana Honga?

- Eee... czy mogę się chwilę zastanowić, jeśli wolno?

- Nie ma sprawy. I tak trzeba czasu, żeby zagrząć tyle wody. Zastanawiaj się.

Cohen odłożył pokrywę.

- Jedna Wielka Matko! - rzucił.

- On ma na imię Jedna Wielka Rzeka, Dżyngis - poprawił go Saveloy.

Gwardzista z wolna wrócił do życia.

- Masz pilnować tej wazy, a gdyby się poruszyła, zrobisz z nią to, co ja kiedyś z Zielonym Nekromantą Nocy. Jasne?

- Nie wiem, coś zrobił, panie.

Cohen wytłumaczył mu. Jedna Wielka Rzeka się rozpromienił. Z wnętrza wazy dobiegł odgłos kogoś, kto usiłuje nie wymiotować.

Cohen spokojnie wrócił na tron.

- Powiedz mi coś więcej o tym Hongu, szambelanie - polecił.

- Jest wielkim wezyrem.

Cohen i Rincewind spojrzeli na siebie.

- Zgadza się - przyznał Rincewind. - A wszyscy przecież wiedzą, że wielcy wezyrzy są zawsze...

- ...absolutnymi i kompletnymi sukinsynami - dokończył Cohen.

- Nie wiem czemu. Wystarczy dać takiemu turban z czubkiem pośrodku, a to ich coś tam moralne od razu się łamie. Zawsze ich zabijam, jak tylko spotkam. Dzięki temu później zyskuję na czasie.

- Od razu wydał mi się jakiś taki śliski - stwierdził Rincewind.

- Posłuchaj, Cohenie...

- Dla ciebie: cesarzu Cohenie - wtrącił Truckle. - Nigdy nie wierzyłem magom, ot co. Nigdy nie wierzyłem żadnemu facetowi w sukience.

- Rincewind jest w porządku - zapewnił Cohen.

- Dzięki - mruknął Rincewind.

- ...ale całkiem bezużyteczny jako mag.

- Przypadkiem narażałem przed chwilą własną szyję, żeby was uratować, bardzo uprzejmie dziękuję. - Rincewind zirytował się. - Posłuchaj, paru moich przyjaciół siedzi w bloku więziennym. Czy mógłbyś... Zaraz, zaraz... cesarz?

- Mniej więcej - przyznał Cohen.

- Chwilowo - dodał Truckle.

- Formalnie - uzupełnił Saveloy.

- Czy to znaczy, że możecie przenieść moich przyjaciół w jakieś bezpieczne miejsce? Myślę, że pan Hong zamordował starego cesarza i teraz chce na nich zrzucić winę. Nie wpadnie tylko na to, mam nadzieję, że chowają się w celach.

- Dlaczego w celach? - zdziwił się Cohen.

- Bo gdybym tylko miał okazję uciec z celi pana Honga, to bym uciekł - tłumaczył gorączkowo Rincewind. - Nikt o zdrowych zmysłach by nie wrócił, gdyby miał szansę się wyrwać.

- Jasne. Mały Willie i Jedna Wielka Matka, weźcie kogoś i sprowadźcie tych ludzi tutaj.

- Tutaj? - zaprotestował Rincewind. - Chciałem, żeby trafili w jakieś bezpieczne miejsce.

- Przecież my tu jesteśmy. Będziemy ich bronić.

- A kto was obroni?

Cohen zignorował tę uwagę.

- Szambelanie - rzekł - pana Honga nie ma pewnie w okolicy, ale... Wśród dworzan był taki facet z nosem jak borsuk. Grubas w wielkim różowym kapeluszu. I taka chyba baba z twarzą jak kapelusz ze szpilkami.

- To pan Dziewięć Szczytów i pani Dwa Ruczaje - domyślił się szambelan. - Tego... nie gniewasz się na mnie, panie?

- Ależ skąd, niech cię bogowie mają w opiece. Więcej nawet, zrobiłeś na mnie takie wrażenie, że powierzę ci dodatkowe funkcje.

- Panie?

- Na początek funkcję kosztującego potrawy. A teraz idź i sprowadź mi tu tych dwoje. Wcale mi się nie podobały ich miny.

Dziewięć Szczytów i Dwa Ruczaje zostali wprowadzeni chwilę później. Ich przelotne spojrzenie na nietknięte mięso było niezauważalne dla tych, którzy go nie oczekiwali.

Cohen wesoło skinął im głową.

- Zjedzcie to - polecił.

- Panie! Jadłem obfite śniadanie! Jestem już całkiem pełny! - zaprotestował Dziewięć Szczytów.

- To szkoda - stwierdził Cohen. - Jedna Wielka Matko, zanim znowu uśniesz, zajmij się panem Dziewięć Szczytów i zrób w nim trochę miejsca, żeby mógł zjeść jeszcze jedno śniadanie. To samo dotyczy damy, jeśli w ciągu pięciu sekund nie usłyszę jej mlaskania. Solidny kęs z każdego talerza, zrozumiano? I dużo sosu.

Jedna Wielka Rzeka wydobył miecz.

Dwoje arystokratów spoglądało nieruchomo na parujące stosy mięsiwa.

- Jak dla mnie, wygląda całkiem smacznie - rzucił swobodnym tonem Cohen. - A patrzycie, jakby coś było z tym nie w porządku.

Dziewięć Szczytów delikatnie włożył sobie do ust kawałek wieprzowiny.

- Doskonałe - zapewnił niewyraźnie.

- Teraz połknij.

Mandaryn przełknął głośno.

- Wspaniałe - oświadczył. - A teraz, jeśli wasza wysokość pozwoli, chciałbym...

- Nie spiesz się. Nie chcielibyśmy przecież, żebyś przypadkiem wsadził sobie palce w gardło albo coś w tym rodzaju. Prawda?

Dziewięć Szczytów czknął.

Potem czknął jeszcze raz.

Zaczął wypuszczać dym z dolnej części szaty.

Orda skoczyła za rozmaite osłony dokładnie w chwili, gdy wybuch usunął spory obszar podłogi, kolisty fragment sufitu i całego pana Dziewięć Szczytów.

Kapelusz z rubinowym guzikiem przez chwilę kręcił się na podłodze.

- Ja tak mam po marynowanych cebulkach - stwierdził Vincent.

Pani Dwa Ruczaje stała nieruchomo, zaciskając powieki.

- Niegłodna? - spytał Cohen.

Pokręciła głową.

Cohen rozparł się na tronie.

- Jedna Wielka Matko!

- Rzeko, Cohenie - poprawił go Saveloy.

Gwardzista podszedł ciężkim krokiem.

- Zabierz ją stąd i wsadź do jakiegoś lochu. Dopilnuj, żeby nie brakło jej jedzenia, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Tak, wasza wysokość.

- A pan szambelan może pobiec do kuchni i powiedzieć kucharzowi, że tym razem on sam będzie jadł razem z nami, i to będzie jadł pierwszy. Jasne?

- Całkiem jasne, wasza wysokość.

- To ma być życie? - wybuchnął Caleb, gdy szambelan wybiegł z

komnaty. - Tak traktują cesarza? Nie mogę wierzyć nawet jedzeniu? Po mojemu zamordują nas tutaj we własnych łóżkach!

- Nie bardzo widzę, jak mogliby ciebie zamordować we własnym łóżku - mruknął Truckle.

- Właśnie. Bo ciebie nigdy tam nie ma - dodał Cohen.

Podszedł do wielkiej wazy i wymierzył jej kopniaka.

- Słyszałeś to wszystko? - zapytał.

- Tak, proszę pana - odpowiedziała waza.

Zabrzmiał śmiech, ale dość nerwowy. Saveloy uświadomił sobie, że Srebrna Orda nie była przyzwyczajona do takich działań. Kiedy prawdziwy barbarzyńca chciał kogoś zabić przy posiłku, zapraszał go ze wszystkimi sługami, sadzał przy stole, czekał, aż się upiją i zasną, po czym wzywał ukrytych własnych ludzi i masakrował wrogów szybko, sprawnie, honorowo. Było to absolutnie uczciwe. Metoda: „upij ich, a potem wyrznij do nogi” należała do najstarszych sztuczek w każdym podręczniku, a w każdym razie należałaby, gdyby barbarzyńcy przejmowali się podręcznikami. Każdy, kto dawał się złapać na tę sztuczkę, czynił światu przysługę, pozwalając się zarębać przy deserze. Ale przynajmniej można było ufać jedzeniu. Barbarzyńcy nie zatrują jedzenia - nigdy nie wiadomo, kiedy im samym zabraknie kęsa strawy.

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość - odezwał się Sześć Dobroczynnych Wiatrów, który kręcił się przy tronie. - Wydaje mi się, że pan Truckle ma rację. Ehm... znam trochę historię. Właściwa metoda sukcesji to brnąć do tronu przez morza krwi. To właśnie planuje pan Hong.

- Mówisz? Morza krwi, tak?

- Albo przez górę czaszek. To także dopuszczalna możliwość.

- Ale... ale... myślałem, że cesarska korona przechodzi z ojca na syna - zdumiał się Saveloy.

- No, niby tak - przyznał Sześć Dobroczynnych Wiatrów. - Przypuszczam, że teoretycznie może się tak zdarzyć.

- Mówiłeś, że kiedy już znajdziemy się na szczycie piramidy, wszyscy będą robić, co im każemy - zwrócił się do nauczyciela Cohen.

Truckle spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Wy dwaj to zaplanowaliście? - spytał oskarżycielskim tonem. - Od początku o to wam szło? Cała ta nauka, jak być cywilizowanym? A na samym początku mówiliście, że to będzie naprawdę wielka kradzież! I co? Myślałem, że zwyczajnie spakujemy masę towaru i znikniemy. Rabować i palić, to właściwy sposób...

- Tylko rabować i palić, rabować i palić, potąd mam już tego rabowania i palenia! - zirytował się Saveloy. - Jedynie o tym potraficie myśleć? O rabowaniu i paleniu?

- No, kiedyś było jeszcze gwałcenie - westchnął tęsknie Vincent.

- Nie chcę cię martwić, Ucz, ale oni mają rację - odezwał się Cohen. - Walka i rabunek... to właśnie potrafimy. Wcale mi się nie podobają wszystkie te pokłony i padanie na ziemię. Nie jestem pewien, czy zostałem stworzony do cywilizacji.

Saveloy przewrócił oczami.

- Nawet ty, Cohenie? Wszyscy jesteście tacy... tacy tępi! - rzucił gniewnie. - Sam nie wiem, po co się z wami męczę! Znaczący, spójrzcie na siebie! Wiecie, czym jesteście? Jesteście legendami!

Ordyńcy cofnęli się o kilka kroków. Nie widzieli jeszcze, żeby Ucz stracił cierpliwość.

- To *odlegendum* , co oznacza coś zapisanego - wyjaśnił Saveloy. - Rozumiecie, czytanie i pisanie. Książki, które, nawiasem mówiąc, są dla was równie obce jak Zaginione Miasto Ee...

Truckle nerwowo podniósł rękę.

- Właściwie to ja kiedyś odkryłem Zaginione Miasto...

- Cisza! Teraz ja! O czym to mówiłem? A tak... nie umiecie czytać, co? Nigdy nie nauczyliście się czytać? W takim razie zmarnowaliście pół życia. Mogliście kolekcjonować perły mądrości zamiast lichych klejnotów. To zresztą lepiej, że ludzie o was czytają, a nie spotykają twarzą w twarz, ponieważ, panowie, bardzo by się rozczarowali!

Rincewind patrzył zafascynowany, czekając, aż ktoś utnie Saveloyowi głowę. Ale nie zanosilo się na to. Nauczyciel był chyba zbyt rozzłoszczony, by stracić głowę.

- Czego tak naprawdę dokonaliście, panowie? I nie opowiadajcie mi o skradzionych klejnotach i władcach demonów. Czego dokonaliście naprawdę?

Truckle znów podniósł rękę.

- Ja na przykład zabiłem kiedyś wszystkich czterech...

- Tak, tak, tak - przerwał mu Saveloy. - Zabiliście to, wykradliście tamto, a gdzieś tam jeszcze pokonaliście wielkie ludożercze awokada, ale to wszystko... głupstwa. Zwykła tapeta, panowie! To niczego nie zmieniło! Nikt się nie przejął! W Ankh-Morpork uczyłem chłopców, którzy uważali was za mity. Tyle osiągnęliście. Oni sądzą, że ktoś was wymyślił. Jesteście bajką, panowie. Kiedy zginiecie, nikt nie zauważy, bo i tak myślą, że już dawno was nie ma.

Przerwał, by nabrać tchu, po czym podjął już spokojniej:

- Ale tutaj... tutaj przynajmniej mogliście stać się prawdziwi. Mogliście przestać się bawić własnym życiem. Mogliście otworzyć na świat to starożytne, ale nieco już gnijące Imperium, A przynajmniej... - zawahał się - taką miałem nadzieję. Naprawdę myślałem, że uda się nam coś osiągnąć.

Usiadł.

Orda stała nieruchomo, wpatrzona we własne stopy lub kółka.

- Ehm... mogę coś powiedzieć? Wodzowie zwrócą się przeciwko wam - oświadczył Sześć Dobroczynnych Wiatrów. - Stoją wokół stolicy ze swymi wojskami. Normalnie walczyliby między sobą, ale teraz wszyscy będą walczyć z wami.

- Wolą takiego truciciela jak ten Hong, zamiast mnie? - zdziwił się Cohen. - Przecież to drań.

- Tak, ale... ich drań.

- Możemy się bronić. Są tu grube mury - zauważył Vincent. - Znaczą te zrobione nie z papieru.

- Nawet o tym nie myśl - sprzeciwił się Truckle. - Żadnego oblężenia. Oblężenia są niechlujne. Nienawidzę zjadania butów i szczurów.

- Co?

- Powiedział, ŻE NIE CHCEMY OBLĘŻENIA, BO BĘDZIEMY MUSIELI JEŚĆ BUTY I SZCZURY, Hamish.

- A co? Nogi się skończyły?

- Ilu mają żołnierzy? - spytał Cohen.

- Jakies sześćset, może siedemset tysięcy - odparł poborca.

- Przepraszam. - Cohen wstał z tronu. - Muszę się naradzić ze swoją ordą.

Ordyńcy zbili się w ciasną grupkę. Od czasu do czasu wśród prowadzonej chrapliwym szeptem dyskusji dało się słyszeć głośniejsze „Co?”. Po chwili Cohen się obejrzał.

- Morza krwi, tak? - upewnił się.

- No... tak - potwierdził Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

Dyskusja rozgorzała na nowo.

Po dłuższej chwili wysunęła się głowa Truckle'a.

- Mówiłeś: góra czaszek? - zapytał.

- Tak, chyba tak właśnie powiedziałem - przyznał poborca. Zerknął nerwowo na Rincewinda i Saveloya, który tylko wzruszył ramionami.

Szepty, szepty, „Co?”...

- Przepraszam...

- Tak?

- A jaka wysoka ta góra? Bo czaszki się rozsypują.

- Nie wiem, jaka wysoka! Po prostu dużo czaszek!

- Chciałem się tylko upewnić.

Orda najwyraźniej podjęła decyzję. Ordyńcy stanęli rzędem, patrząc na pozostałych.

- Będziemy walczyć - oznajmił Cohen.

- Właśnie. Powinieneś od razu nam powiedzieć o tych czaszkach i krwi - dodał Truckle.

- Pokażem im, czy jeszcze żyjem, czy nie - zarechotał Caleb.

Saveloy pokręcił głową.

- Chyba nie dosłyszeliście. Mają przewagę stu tysięcy do jednego!

- Po mojemu to wszystkich przekona, że jeszcze żyjem.

- Tak. Ale mój plan właśnie na tym polegał, żeby wam pokazać, jak dotrzeć na szczyt piramidy, nie wyrabując sobie drogi mieczem - zaprotestował Saveloy. - To naprawdę możliwe w tak zakonserwowanym społeczeństwie. Ale jeśli spróbujecie walczyć z setkami tysięcy żołnierzy, wszyscy zginiecie.

A potem, ku własnemu zdumieniu, dodał jeszcze:

- Prawdopodobnie.

Orda wyszczerzyła zęby w uśmiechach.

- Duża przewaga wcale nam nie przeszkadza - zapewnił Truckle.

- Lubim dużą przewagę - dodał Caleb.

- Widzisz, Ucz, przewaga tysiąca na jednego nie jest o wiele gorsza niż dziesięciu na jednego - wyjaśnił Cohen. - A to dlatego że... - Zaczął odliczać na palcach. - Po pierwsze, taki typowy żołnierz, co to się bije dla żołądu, a nie o życie, nie będzie nadstawiał karku, kiedy ma dookoła innych, którzy też mogą załatwić sprawę. Po drugie, nie tak wielu da radę dostać się blisko nas, będą się przepychać i potrać. Po... - Spojrzał na własną dłoń z wyrazem głębokiego namysłu.

- ...trzecie - odpowiedział mu Saveloy.

- Właśnie, po trzecie, jak zaczną machać mieczami, to co drugi raz trafiają swoich i zaoszczędzą nam roboty. Rozumiesz?

- Ale nawet jeśli to prawda, podziała tylko na krótko - zaprotestował Saveloy. - Choćbyście zabili dwustu, będziecie zmęczeni, a was będą atakować ciągle nowi.

- Oni też się zmęczą - oświadczył z satysfakcją Cohen.

- Dlaczego?

- Bo przez ten czas, żeby do nas dotrzeć, będą musieli biec pod górę.

- To jest logika, ot co - stwierdził z aprobatą Truckle.

Cohen klepnął oszołomionego nauczyciela w plecy.

- Nic się nie martw - pocieszył go. - Jak już zdobyliśmy Imperium według twojego planu, to utrzymamy je według naszego. Ty nam pokazałeś cywilizację, a my ci pokażemy barbarzyństwo.

Przeszedł kawałek, po czym odwrócił się i podjął ze złośliwym błyskiem w oku.

- Barbarzyństwo? Ha! Kiedy my zabijamy ludzi, robimy to szybko i sprawnie, patrząc im w oczy, i chętnie potem postawimy im piwo na tamtym świecie. Żadnych pretensji. Nigdy nie znałem barbarzyńcy, który by ciął ludzi powolutku w małej celi albo torturował kobiety, żeby ładniej wyglądały, albo wlewał truciznę do porządnego żarcia. Cywilizacja? Jak to jest cywilizacja, możesz sobie ją wcisnąć tam, gdzie słońce nie dochodzi!

- Co?

- Powiedział, żeby SOBIE JĄ WCISNAŁ TAM, GDZIE SŁOŃCE NIE DOCHODZI, Hamish.

- Aha. Byłem tam.

- Ale cywilizacja to przecież coś więcej! - oburzył się Saveloy. - To... muzyka, literatura, koncepcja sprawiedliwości, ideały...

Rozsunęły się bambusowe drzwi. Jak jeden mąż, z trzeszczącymi stawami, ordyńcy odwrócili się, unosząc broń.

Ludzie stojący w drzwiach byli wyżsi i lepiej ubrani od chłopów. Poruszali się jak ktoś przyzwyczajony do pewności, że nikt nie stoi mu na drodze. Przed nimi jednak stał drżący ze strachu wieśniak niosący czerwoną flagę na kij. Wszedł do sali tronowej ponaglany mieczem.

- Czerwona flaga? - szepnął zdziwiony Cohen.

- To znaczy, że chcą rozmawiać - wyjaśnił Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

- No wiesz... tak jak u nas biała flaga kapitulacji - dodał Saveloy.

- Pierwsze słyszę - mruknął Cohen.

- To znaczy, że nie wolno ci ich zabijać, dopóki nie będą gotowi.

Saveloy starał się nie słuchać szeptów rozbrzmiewających mu za plecami.

- Czemu nie zaprosimy ich na ucztę i nie wyrzniemy wszystkich, jak się upiją?

- Słyszałeś, co mówili. Jest ich siedemset tysięcy.

- Tak? No to trzeba podać coś prostego, makaron albo co...

Grupa arystokratów wkroczyła na środek sali. Cohen i Saveloy wyszli im na spotkanie.

- Ty też - rzucił Cohen, łapiąc cofającego się Rincewinda. - Spryciarz z ciebie i dobrze gadasz.

Pan Hong spoglądał na nich z miną człowieka, który po przodkach odziedziczył umiejętność spoglądania na wszystkich z góry.

- Nazywam się pan Hong. Jestem wielkim wezyrem cesarza. Rozkazuję wam natychmiast opuścić to pomieszczenie i poddać się sądowi.

Saveloy zerknął na Cohena.

- Nic z tego - odparł Cohen.

Saveloy zastanowił się szybko.

- Hm, jak by to ująć... Dżyngis Cohen, przywódca Srebrnej Ordy, przekazuje panu Hongowi wyrazy szacunku, jednakże...

- Powiedz mu, żeby się wypchał - przerwał Cohen.

- Wydaje mi się, panie Hong, że odgaduje pan, jakie przeważają tu opinie.

- Gdzie reszta twoich barbarzyńców, prostaku? - zapytał pan Hong.

Rincewind przyglądał się Saveloyowi. Tym razem stary nauczyciel wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć.

Mag najchętniej by stąd uciekł. Jednak Cohen miał rację. Choć brzmiało to bezsensownie, przy nim będzie chyba bezpieczniej. Ucieczka wcześniej czy później zbliżyłaby go do pana Honga.

Który najwyraźniej wierzył, że są gdzieś jeszcze inni barbarzyńcy...

- Powiem wam tyle i tylko tyle - rzekł pan Hong. - Jeśli opuścicie Zakazane Miasto teraz, czeka was przynajmniej szybka śmierć. A potem

wasze głowy i inne ważne elementy będą pokazywane we wszystkich miastach Imperium, aby ludzie wiedzieli, jak straszna jest kara.

- Kara? - zdziwił się Saveloy.

- Za zabicie cesarza.

- Nie zabiliśmy żadnego cesarza - zapewnił Cohen. - Osobiście nie mam nic przeciwko zabijaniu cesarzy, ale tego nie zabiliśmy.

- Został zamordowany w swoim łóżu godzinę temu - oznajmił pan Hong.

- Nie przez nas - zaznaczył Saveloy.

- Przez ciebie! - zawołał Rincewind. - Tylko że mordowanie cesarza jest wbrew zasadom, więc chciałeś zrzucić winę na Czerwoną Armię!

Pan Hong spojrzał na niego tak, jakby go widział pierwszy raz w życiu i wcale nie był z tego powodu szczęśliwy.

- W tych okolicznościach - zauważył - wątpię, czy ktokolwiek wam uwierzy.

- A co się stanie, jeśli teraz nie ustąpimy? - spytał Saveloy. - Wolę wiedzieć o takich rzeczach.

- Będziecie umierać powoli i w sposób... interesujący.

- To saga mojego życia - stwierdził Cohen. - Zawsze umierałem bardzo powoli i w interesujący sposób. Co to będzie? Walki uliczne? Dom przeciw domowi? Każdy na każdego?

- W prawdziwym świecie - odparł jeden z pozostałych wodzów - staczymy bitwy. Nie bójki, jak barbarzyńcy. Nasze armie spotkają się na równinie pod bramami miasta.

- Co jest pod bramami miasta?

- Chciał powiedzieć, że przed bramą miasta, Dżyngis.

- Aha. Znowu ta cywilizowana gadka. Kiedy?

- Jutro o świcie.

- Dobra - zgodził się Cohen. - Nabierzemy apetytu na śniadanie. Czy jeszcze mogę wam w czymś pomóc?

- Jak wielka jest twoja armia, barbarzyńco?

- Nie uwierzcie, jak wielka - odparł Cohen i zapewne była to prawda. - Podbijaliśmy kraje. Całe miasta ścieraliśmy z map. Gdzie przejdzie moja armia, tam już nic nie wyrasta.

- Przynajmniej to jest faktem - przyznał Saveloy.

- Nie słyszeliśmy o was - rzekł arystokrata.

- Właśnie - odparł Cohen. - To dowodzi, jacy jesteśmy skuteczni.

- Jedno trzeba powiedzieć o jego armii - wtrącił ktoś nagle.

Wszyscy spojrzeli na Rincewinda, który był niemal tak samo zdumiony, słysząc własny głos. Ale tor myśli dotarł do terminalu...

- Co takiego?

- Może zastanawialiście się, czemu dotąd widzieliście jedynie... generałów - mówił dalej Rincewind powoli, jakby wymyślał wszystko na poczekaniu. - To dlatego, rozumiecie, że sami żołnierze są... niewidzialni. Eee... tak. Właściwie są upiorami. Wszyscy to wiedzą, prawda?

Cohen przyglądał mu się w oszołomieniu.

- Krwiożercze upiory, prawdę mówiąc - ciągnął Rincewind. - Powszechnie wiadomo, że tylko takie żyją poza Wielkim Murem. Prawda?

Pan Hong parsknął drwiąco. Ale pozostali wodzowie patrzyli na Rincewinda jak ludzie, którzy wprawdzie podejrzewają, że żyjący poza Murem są zwykłymi istotami z krwi i kości, jednak ich władza opiera się na milionach innych, którzy wcale w to nie wierzą.

- To śmieszne! Wy przecież nie jesteście niewidzialnymi krwiożerczymi upiorami - zauważył jeden z nich.

Cohen otworzył usta tak, by błysnęły diamentowe zęby.

- Zgadza się - potwierdził. - Bo my... my należymy do tych widzialnych.

- Ha! Żałosna próba! - zawołał pan Hong. - Upiory czy nie, i tak was pokonamy!

- Cóż, poszło lepiej, niż się spodziewałem - uznał Saveloy, kiedy wodzowie opuścili salę tronową. - Czyżbyś chciał spróbować wojny psychologicznej, Rincewindzie?

- To była ona? Znam się na tym - zapewnił Cohen. - To jest wtedy, kiedy przez całą noc przed bitwą walisz w tarczę, żeby wrogowie nie mogli się wyspać, śpiewasz „Jutro obetniemy wam jaja!” i takie tam.

- Mniej więcej - przyznał dyplomatycznie Saveloy. - Ale nic z tego, obawiam się. Pan Hong i jego generałowie są zbyt wyrafinowani. Szkoda, że nie możesz sprawdzić tej metody na zwykłych żołnierzach.

Za nimi cicho zapiszczał królik. Odwrócili się. Do sali weszła właśnie młodociana kadra Czerwonej Armii. Wśród nich była też Motyl; uśmiechnęła się blado do Rincewinda.

Rincewind zawsze polegał na ucieczce. Ale może czasami człowiek musi stanąć mężnie i walczyć, choćby dlatego że nie ma już dokąd uciekać.

Jednak zupełnie nie radził sobie z bronią.

Przynajmniej nie z taką normalną.

- Hm... - odezwał się. - Jeśli wyjdziemy teraz z pałacu, zabiją nas. Tak?

- Wątpię - odparł Saveloy. - Teraz sprawa podlega Sztuce Wojny. Ktoś taki jak Hong pewnie poderżnąłby nam gardła, ale skoro wypowiedziano wojnę, wszystko musi się odbyć zgodnie z tradycją.

Rincewind nabrał tchu.

- To szansa jedna na milion - rzekł. - Ale może się udać...

* * *

Czterech Jeźdźców, których przybycie zwiastuje koniec świata, to jak wiadomo Śmierć, Wojna, Głód i Zaraza. Ale również mniej spektakularne wydarzenia mają swoich Jeźdźców. Na przykład Czterej Jeźdźcy Przeziębienia to Zasmarkanie, Kaszel, Katar i Brak Chusteczek; Czterej Jeźdźcy, których przybycie poprzedza wszelkie publiczne święta, to Burza, Wichura, Deszcz oraz Roboty Drogowe.

Wśród armii obozujących na rozległej aluwialnej równinie wokół Hunghung siodłali już swe wierzchowce niewidzialni jeźdźcy, znani jako Dezinformacja, Plotka i Pogłoska...

Życie w obozowisku dużej armii ma wszelkie wady życia w mieście, jednak bez żadnych jego zalet. Dlatego posterunki straży i linie wartownicze stają się po jakimś czasie otwarte dla cywilów, zwłaszcza jeśli mają cokolwiek na sprzedaż, a jeszcze bardziej jeśli są kobietami, których cnota zawiera pewien element komercji. Czasami wystarczy nawet, że sprzedają żywność, będącą odmianą wobec monottonnych wojskowych posiłków. Żywność proponowana w tej chwili z pewnością stanowiła taką odmianę.

- Wieprzowe kulki! Wieprzowe kulki! Kupujcie, póki... - Nastąpiła chwila ciszy, gdy handlarz w myślach sprawdzał rozmaite zakończenia tego zdania. Wreszcie zrezygnował. - Wieprzowe kulki! Na pałeczce! Może ty kupisz, szogunie, wyglądasz na... Zaraz, czy nie jesteś...

- Cichocichocicho!

Rincewind wciągnął W.S.W.H. Dibhałę w cień namiotu.

Handlarz spojrzał na zboląłą twarz pomiędzy kostiumem eunucha i szerokim słomkowym kapeluszem.

- To przecież mag, prawda? Jak się...

- Pamiętasz, miałeś poważne zamiary niezwykłego wzbogacenia się na handlu międzynarodowym? - upewnił się Rincewind.

- Tak. Możemy już zacząć?

- Wkrótce. Niedługo. Ale najpierw musisz coś zrobić. Słyszałeś te pogłoski o armii niewidzialnych wampirycznych upiórów, która tutaj zmierza?

W.S.W.H. Dibhala nerwowo przewrócił oczami. Jednak do jego zawodowych specjalności należało, by nigdy nie wydawać się źle poinformowanym - chyba że w sprawie uczciwego wydawania reszty.

- Tak? - odparł ostrożnie.

- Pogłoski, że są ich miliony? - mówił dalej Rincewind. - I to bardzo głodnych, a to z takiej przyczyny, że przez całą drogę nic nie jadły? I wyjątkowo zaciekle, bo tak zaczarował je Wielki Mag?

- Eee... tak?

- No więc to nieprawda.

- Nie?
- Nie wierzysz mi? W końcu ja powinienem wiedzieć najlepiej.
- Słuszna uwaga.
- Nie chcemy chyba, żeby ludzi ogarnęła panika, prawda?
- Panika jest niedobra dla interesów. - W.S.W.H. niespokojnie pokiwał głową.
- Dlatego postaraj się tłumaczyć wszystkim, że to pogłoska całkiem fałszywa. Wiesz, żeby ich uspokoić.
- Dobry pomysł. A te niewidzialne wampiry upiory... Czy mają jakieś pieniądze?
- Nie. Ponieważ nie istnieją.
- Racja, zapomniałem.
- I tych upiorów wcale nie jest dwa miliony trzysta tysięcy dziewięciu - dodał Rincewind. Był całkiem dumny z tego drobnego szczegółu.
- Nie dwa miliony trzysta tysięcy dziewięciu - powtórzył W.S.W.H. Oczy mu się zaszklily.
- Absolutnie nie. Nie ma ich dwa miliony trzysta tysięcy dziewięciu, nieważne, co kto opowiada. Ani też Wielki Mag nie uczynił ich dwa razy większymi niż normalnie. Zuch z ciebie. A teraz muszę już iść.

Rincewind odszedł pośpiesznie.

Handlarz stał przez chwilę zamyślony. Przyszło mu do głowy, że dość już sprzedał na dzisiaj, więc może wrócić do domu i spędzić spokojną noc w beczce w piwnicy, z workiem na głowie.

Droga poprowadziła go przez znaczną część obozu. Dopilnował, by napotkani żołnierze wiedzieli, że w plotce nie ma ani odrobiny prawdy. Co prawda za każdym razem musiał im najpierw wytłumaczyć, jaka to plotka...

* * *

Pluszowy królik zapiszczał nerwowo.

- Boję się wielkich, niewidzialnych wampirowatych upiorów! - szlochała Ukochana Perła.

Żołnierze przy ognisku próbowali ją pocieszyć, ale niestety, ich już nie miał kto pocieszać.

- I słyszałam, że już pożarły parę osób.

Jeden czy dwóch żołnierzy obejrzało się niespokojnie. W ciemności nie zobaczyli niczego, jednak nie był to dobry znak.

Czerwona Armia przemieszczała się ukradkowo od ogniska do ogniska.

Rincewind udzielił bardzo szczegółowych instrukcji. Całe swoje dorosłe życie - a przynajmniej te jego części, kiedy nie był ścigany przez stwory mające więcej nóg niż zębów - spędził na Niewidocznym Uniwersytecie. Czuł więc, że wie, na czym to polega. Niczego ludziom nie mówcie, tłumaczył. Nie mówcie. Nie można przeżyć jako mag na NU, wierząc w to, co mówią. Człowiek wierzy w to, czego nie mówią.

Dlatego nie mówcie. Pytajcie. Pytajcie, czy to prawda. Możecie ich błagać, by wam powiedzieli, że to nieprawda. Albo nawet możecie opowiadać, że kazali wam mówić, że to nieprawda. To będzie najlepsze.

Ponieważ Rincewind doskonale wiedział, że kiedy wyruszają w świat Cztorej dość niewielcy, ale bardzo złośliwi Jeźdźcy Paniki, dobrą robotę

wykonują Dezinformacja, Pogłoska i Plotka. Są jednak niczym w porównaniu z czwartym jeźdźcem, którego imię brzmi Zaprzeczanie.

Po godzinie Rincewind czuł się już całkiem zbędny.

Wszędzie toczyły się rozmowy, szczególnie zaś w regionach na granicy obozów, gdzie noc rozciągała się daleko: wielka, ciemna i bardzo wyraźnie pusta.

- No dobrze, ale dlaczego mówią, że nie ma ich dwa miliony trzysta tysięcy dziewięciu, co? Jeśli w ogóle ich nie ma, to skąd taka liczba?

- Przecież nie ma niczego takiego jak niewidzialne wampirze upiory. Jasne?

- Ach tak? A niby skąd wiesz? Widziałeś jakiego?

- Posłuchaj no. Poszedłem i zapytałem kapitana, a on twierdzi, że jest całkiem pewien. Nie ma tu żadnych niewidzialnych upiorów.

- Jak może być pewny, jeżeli ich nie widzi?

- Mówi, że w ogóle nie ma żadnych niewidzialnych wampirzych upiorów. Nigdzie.

- Tak? To czemu niby tak nagle zaczął to powtarzać? Dziadek mi opowiadał, że są ich całe miliony za...

- Czekaj... co to było?

- Co?

- Przysięgłbym, że coś słyszałem.

- Ja tam niczego nie widzę.

- Och, nie!

Wieści musiały dotrzeć jakoś do dowództwa, ponieważ około północy w obozowiskach zabrzmiały fanfary i odczytano specjalną proklamację.

Potwierdzała ona realność wampirzych upiorów ogólnie, zaprzeczała jednak ich istnieniu w dowolnym konkretnym sensie tu i teraz. Była prawdziwym arcydziełem swego typu, zwłaszcza że dzięki niej wieści dotarły do uszu tych żołnierzy, do których nie dotarła jeszcze Czerwona Armia.

Godzinę później sytuacja osiągnęła punkt krytyczny i Rincewindowi opowiadano o rzeczach, których wcale nie wymyślił. Szczerze mówiąc, wolałby o nich nie słyszeć.

Rozmawiał na przykład z grupką żołnierzy. Mówił:

- Jestem pewien, że nie ma żadnej ogromnej armii wygłodniałych upiorów.

Na co odpowiadano:

- Nie, jest tylko siedmiu starców.

- Tylko siedmiu starców?

- Słyszałem, że są bardzo starzy - opowiadał żołnierz. - Tak jakby za starzy, by umrzeć. Ktoś z pałacu mi mówił, że potrafią przechodzić przez ściany i stawać się niewidzialni.

- Nie, bez przesady - nie dowierzał Rincewind. - Siedmiu starców walczących przeciwko całej armii?

- Dziwna sprawa, nie? Kapral Toshi mówił, że pomaga im Wielki Mag. To rozsądne. Ja tam nie walczyłbym przeciwko całej armii, gdybym nie miał po swojej stronie jakiejś mocnej magii.

- Hm... a ktoś wie, jak wygląda ten Wielki Mag?

- Podobno jest wyższy niż dom i ma trzy głowy.

Rincewind zachęcająco przytaknął.

- I jeszcze słyszałem - dodał żołnierz - że Czerwona Armia też będzie walczyć razem z nimi.

- Co z tego? Kapral Toshi mówił, że to tylko banda dzieciaków.

- Nie... słyszałem, że... ta prawdziwa Czerwona Armia... no wiecie...

- Czerwona Armia nie stanie u boku barbarzyńskich najeźdźców! A poza tym nie ma żadnej Czerwonej Armii. To tylko mit.

- Tak samo jak niewidzialne wampiry upiory - wtrącił Rincewind, nakręcając odrobinę mocniej sprężynę lęku.

- Eee... no właśnie.

Zostawił ich pograżonych w dyskusji.

Nikt nie próbował zdezerterować. Ucieczka przez noc pełną nieokreślonych strachów była gorsza niż pozostawanie w obozie. Tym lepiej, uznał. To znaczy, że przerażeni żołnierze siedzą na miejscu, szukając otuchy u towarzyszy. A nic bardziej nie poprawia morale oddziału niż ktoś, kto powtarza: „Jestem pewien, że nie ma żadnych wampirzych magów” i cztery razy na godzinę chodzi do latryny.

Rincewind zaczął się więc przekradać z powrotem do miasta. Okrążył stojący w ciemności namiot i zderzył się z koniem, który ciężkim kopytem nadepnął mu na nogę.

- Twoja żona jest wielkim hipopotamem!

PRZEPRASZAM.

Rincewind zamarł, obiema rękami ściskając bolącą stopę. Znał tylko jedną osobę o głosie jak cmentarz w środku zimy.

Spróbował odskoczyć do tyłu i zderzył się z następnym koniem.

RINCEWIND, PRAWDA?, upewnił się Śmierć. TAK? DOBRY WIECZÓR. NIE SĄDZĘ, ŻEBYŚ SPOTKAŁ JUŻ KIEDYŚ WOJNĘ. WOJNO, POZNAJ RINCEWINDA. RINCEWINDZIE, TO JEST WOJNA.

Wojna dotknął hełmu w uprzejmym salucie.

- Bardzo mi przyjemnie - powiedział i wskazał trzech pozostałych jeźdźców. - Pozwól, że przedstawię ci moich synów, Terror i Panikę. A to moja córka, Clancy.

- Dobry wieczór panu - przywitały się chórem dzieci.

Clancy siedziała nachmurzona, miała kask na głowie i odznakę Klubu Kucyka.

NIE SPODZIEWAŁEM SIĘ, ŻE CIĘ TU SPOTKAM, RINCEWINDZIE.

- Och. To dobrze.

Śmierć wyjął spod szaty klepsydrę, podniósł ją do światła księżyca i westchnął. Rincewind wyciągnął szyję, by zobaczyć, ile jeszcze zostało piasku.

MÓGLBYM JEDNAK...

- Nie przejmuj się mną - przerwał mu pospiesznie Rincewind. - Ja, tego... przypuszczam, że przybyłeś tu z powodu bitwy?

TAK. ZAPOWIADA SIĘ NA WYJĄTKOWO... KRÓTKĄ.

- Kto zwycięży?

PRZECIEŻ WIESZ, ŻE TEGO BYM CI NIE ZDRADZIŁ, NAWET GDYBYM WIEDZIAŁ.

- Nawet gdybyś wiedział? Myślałem, że powinienes wiedzieć wszystko.

Śmierć wyciągnął palec. Coś sfrunęło, trzepocząc wśród nocy. Z początku Rincewind myślał, że to ćma, choć nie wydawała się puszysta i miała dziwny, nakrapiany deseń na skrzydełkach.

Usiadła na chwilę na kościstym palcu, a potem odleciała znowu.

W TAKĄ NOC JAK DZISIAJ, rzekł Śmierć, JEDYNĄ RZECZĄ PEWNĄ JEST NIEPEWNOŚĆ. BANALNE, ALE PRAWDZIWE.

Gdzieś na horyzoncie zahuczał grom.

- Ja, tego... to ja już sobie pójdę - powiedział Rincewind.

NIE BĄDŹ TAKIM DZIWAKIEM!, zawołał za nim Śmierć.

- Dziwny osobnik - zauważył Wojna.

Z NIM TUTAJ NAWET NIEPEWNOŚĆ JEST NIEPEWNA. I NAWET O TYM NIE JESTEM PRZEKONANY.

Wojna wyjął z juków duży pakunek owinięty w papier.

- Co my tu mamy? Zobaczmy... z jajkiem i rzeżuchą, z kurczakiem, i jeszcze z serem pleśniowym i piklami.

WSPANIAŁE RZECZY WYCZYNIAJĄ TERAZ Z KANAPKAMI.

- O, jest jeszcze bekonowa niespodzianka.

NAPRAWDĘ? CO MOŻE BYĆ NIESPODZIEWANEGO W BEKONIE?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że jest dość szokujący dla świni.

* * *

Ridcully długo walczył sam ze sobą, ale zwyciężył.

- Musimy sprowadzić go z powrotem - oznajmił. - To już cztery dni. Przy okazji możemy im odesłać tę piekielną rzecz z rurą. Dreszczy od niej dostaję.

Magowie spojrzeli po sobie. Nikt nie tęsknił specjalnie za Niewidzialnym Uniwersytetem z elementem Rincewinda, ale metalowy pies rzeczywiście budził dreszcze. Nikt nie chciał znaleźć się blisko niego. Otoczyli psa stołami i udawali, że go tam nie ma.

- No dobrze - zgodził się dziekan. - Ale Stibbons stale opowiada o tym, że rzeczy powinny mieć tę samą wagę. Jeśli pošlemy to coś z powrotem, czy wtedy Rincewind nie przybędzie bardzo szybko?

- Stibbons mówi, że pracuje nad odpowiednim zaklęciem - uspokoił go Ridcully. - Ostatecznie możemy rzucić pod ścianę holu materace albo coś w tym rodzaju.

Kwestor podniósł rękę.

- Słucham, kwestorze - zachęcił go Ridcully.

- Hej, gospodarzu, kufel twojego najlepszego piwa!

- Doskonale. A więc załatwione. Poleciałem już Stibbonsowi, żeby zaczął szukać...

- Na tym demonicznym urządzeniu?

- Tak.

- W takim razie nic nie może się nie udać - mruknął kwaśnym tonem dziekan.

- Trąba homara, jeśli wolno.

- Kwestor też się zgadza.

* * *

Wodzowie zebrali się w komnatach pana Honga. Starannie utrzymywali dystans pomiędzy sobą, jak wypada nieprzyjaciołom, którzy zawarli chwilowe i bardzo chwiejne przymierze. Kiedy tylko rozprawią się z barbarzyńcami, będą mogli znowu podjąć bitwę. Na razie jednak chcieli zapewnienia w jednej konkretnej kwestii.

- Nie! - stwierdził pan Hong. - I chcę być dobrze zrozumiany! Nie ma żadnej niewidzialnej armii krwiożerczych upiorów, rozumiecie? Ludzie za Murem są tacy sami jak my... tyle że gorsi od nas pod każdym względem, ma się rozumieć. Ale całkiem widzialni.

Jeden czy dwóch arystokratów nie wyglądało na całkiem przekonanych.

- A wszystkie te opowieści o Czerwonej Armii? - zapytał jeden z nich.

- Czerwona Armia, panie Tang, to niezdyscyplinowany motłoch, z którym rozprawimy się z całą stanowczością!

- Dobrze pan wie, o jakiej Czerwonej Armii opowiadają wieśniacy - odparł pan Tang. - Podobno tysiące lat temu...

- Podobno tysiące lat temu jakiś mag, który naprawdę nie istniał, wziął błoto i błyskawicę, i stworzył z nich żołnierzy, co to nie mogą umrzeć - dokończył pan Hong. - Tak. To legenda, panie Tang. Legenda wymyślona przez wieśniaków nierozumiejących, co się wydarzyło naprawdę. Armia Zwierciadła Jedyne go Słońca miała po prostu... - Pan Hong lekceważąco machnął ręką. - Miała lepsze zbroje i lepszą dyscyplinę. Nie obawiam się upiórów, a już na pewno nie obawiam się legendy, która prawdopodobnie nigdy nie była prawdziwa.

- Tak, ale...

- Wróżbita! - przerwał pan Hong.

Wróżbita, który nie spodziewał się wezwania, drgnął lekko.

- Tak, panie?

- Jak tam wnętrzności?

- No... są właściwie gotowe, panie.

Wróżbita trochę się niepokoił. Musiał użyć nieodpowiedniego gatunku ptaka, tłumaczył sobie. Uczciwie mówiąc, wnętrzności zwiastowały tylko tyle, że jeśli wyjdzie z tego żywy, to on, wróżbita, o ile będzie mu sprzyjać szczęście, zje na obiad kurczaka. Ale pan Hong wydawał się człowiekiem owładniętym wyjątkowo niebezpieczną odmianą zniecierpliwienia.

- Co ci mówią?

- Przyszłość jest... tego... przyszłość jest...

Wnętrzności kurczęcia nigdy jeszcze tak nie wyglądały. Przez chwilę miał wrażenie, że się poruszają.

- Eee... jest niepewna - zaryzykował.

- Lepiej ty bądź pewien - doradził pan Hong. - Kto zwycięży rankiem?

Cienie zafalowały na stole.

Coś zatrzepotało wokół świecy.

Wyglądało jak całkiem zwyczajna żółta ćma z czarnym deseniem na skrzydełkach.

Prorocze zdolności wróżbity, znacznie potężniejsze, niż sam podejrzewał, sugerowały teraz: To nie jest właściwa pora, by być jasnowidzem.

Z drugiej strony jednak pora nigdy nie była właściwa na przerażającą egzekucję. A zatem...

- Bez cienia wątpliwości - rzekł - wrogowie zostaną bardzo dotkliwie pobici.

- Skąd nagle jesteś taki pewny? - zdziwił się pan McSweeney.

Wróżbita zjeżył się gniewnie.

- Widzisz, panie, ten trzęsący się kawałek obok nerki? Chciałbyś może spierać się z tym zielonym ciekącym czymś? Nagle wiesz, panie, wszystko o wątrobie? Tak?

- Sami widzicie - rzekł pan Hong. - Los uśmiecha się do nas.

- Mimo to... - Pan Tang nie dawał się przekonać. - Żołnierze są bardzo...

- Możecie im powiedzieć... - zaczął pan Hong. Przerwał. Uśmiechnął się. - Możecie im powiedzieć - podjął - że istotnie zbliża się armia niewidzialnych wampirzych upiorów.

- Co?

- Tak. - Pan Hong zaczął przechadzać się po komnacie, pstrykając palcami. - Tak, nadchodzi straszliwa armia cudzoziemskich upiorów. A to rozgniewało nasze upiory... Tak, tysiąc pokoleń naszych przodków pędzi na skrzydłach wiatru, by odeprzeć barbarzyńską inwazję! Duchy Imperium powstają! Miliony duchów! Nawet nasze demony dyszą wściekłością na myśl o tym ataku! Runą niczym obłok szponów i zębów na... Słucham, panie Sung?

Wodzowie spoglądali po sobie nerwowo.

- Jest pan pewien, panie Hong?

Oczy pana Honga błysnęły za małymi okularami.

- Napiszcie odpowiednie proklamacje.

- Przecież ledwie parę godzin temu mówiliśmy ludziom, że nie ma ich...

- Powiedzcie im teraz, że są.

- Ale czy uwierzą, że...

- Uwierzą w to, w co każemy im wierzyć! - krzyknął pan Hong. - Jeśli siła nieprzyjaciela opiera się na oszustwie, to przeciwko niemu wykorzystamy jego własne kłamstwa. Powiedzcie ludziom, że za nimi staną miliardy duchów Imperium!

Pozostali wodzowie unikali jego wzroku. Nikt nie miał ochoty sugerować, że przeciętny żołnierz nie będzie zbyt szczęśliwy, mając duchy przed sobą i za plecami. Zwłaszcza wobec znanej kapryśności tych istot.

- Dobrze - rzekł pan Hong. Obejrzał się. - Jeszcze tu jesteś?

- Sprzątam podroby, panie - jęknął wróżbita.

Zgarnął szybko resztki zabitego kurczaka i wybiegł pędem.

W końcu, tłumaczył sobie, maszerując do domu, nie powiedziałem przecież, czyi wrogowie.

Pan Hong został sam.

Zauważył, że cały się trzęsie. Pewnie z wściekłości. Ale może... może uda się jeszcze wykorzystać sytuację, mimo wszystko. Barbarzyńcy przybyli z zewnątrz, a dla większości mieszkańców Imperium wszystko, co na zewnątrz, było jednakowe. Tak. Barbarzyńcy to nieistotny szczegół, łatwy do usunięcia, jednak ostrożnie wykorzystany może odegrać ważną rolę w ogólnej strategii.

Oddychał ciężko.

Przeszedł do prywatnego gabinetu i zamknął drzwi.

Wyjął klucz.

Otworzył kufer.

Przez kilka minut panowała cisza, zakłócana jedynie szelestem tkaniny.

Pan Hong spojrzał na siebie w lustrze.

Osiągnięcie tego kosztowało go wiele starań. Wykorzystał kilku agentów, z których żaden nie znał wszystkich szczegółów planu. Jednak ankhmorporski krawiec okazał się dobrym rzemieślnikiem i stosował się ściśle do podanych wymiarów. Pan Hong wiedział, że od spiczastych butów, przez rajtuzy i kubrak, po pelerynę i kapelusz z piórem, jest wcieleniem ankhmorporskiego dżentelmena. Peleryna była podszyta jedwabiem.

Dziwnie się czuł w takim ubraniu, dotykającym skóry w sposób, do jakiego nie był przyzwyczajony. Ale to wszystko drobiazgi... Tak właśnie wygląda przedstawiciel społeczności, która oddycha, idzie naprzód, może coś

osiągnąć...

Przejdzie tak przez miasto już pierwszego wielkiego dnia, a ludzie będą milkli na widok ich naturalnego przywódcy.

Nie przyszło mu nawet do głowy, że ktoś mógłby powiedzieć: „Aczcie, o za dufek! Rzuśmy a niego eglófkę!”.

* * *

Mrówki biegały pracowicie. Rzecz, która robi „ping!”, robiła „ping!”.

Magowie stali z tyłu. Gdy HEX pracował z pełną szybkością, nie mieli nic innego do roboty; mogli tylko obserwować rybki i od czasu do czasu oliwić tryby. Niekiedy rury iskrzyły się oktarynowym blaskiem.

HEX rzucał zaklęcia w tempie kilkuset na minutę. Na tym polegał cały sekret. Człowiek potrzebował co najmniej godziny, by przygotować zwyczajne zaklęcie poszukujące. HEX potrafił robić to szybciej. Raz po raz, w całym okultystycznym morzu zarzucał sieci, by złapać jedną śliską rybę.

Po dziewięćdziesięciu trzech minutach osiągnął to, co gronu profesorskiemu zabrałoby kilka miesięcy.

- Widzicie, panowie? - Myślakowi drżał lekko głos, kiedy wyjmował z pojemnika rząd klocków. - Mówiłem, że on sobie z tym poradzi.

- Kto to jest „on”? - zdziwił się Ridcully.

- HEX.

- Maszyna? To chyba „ona”?

- Tak właśnie powiedziałem, nadrektorze.

- Eee... tak.

* * *

Kolejną cechą ordyńców, jak zauważył Saveloy, była ich zdolność do odpoczynku. Starcy posiadali kocią umiejętność nierobienia niczego, gdy nic nie było do roboty.

Naostrzyli miecze. Zjedli posiłek - głównie wielkie kawały mięsa i coś w rodzaju owsianki dla Wściekłego Hamisha, któremu i tak prawie wszystko wyciekło z ust na brodę. Gwarancję zdrowej żywności uzyskali, przybijając kucharza do podłogi - za fartuch - i wieszając nad nim ciężki topór na linie przerzuconej przez belkę. Cohen, jedząc, trzymał drugi koniec liny.

Potem naostrzyli miecze jeszcze raz, z przyzwyczajenia. I... znieruchomieli.

Od czasu do czasu któryś z nich pogwizdywał jakąś melodyjkę przez to, co pozostało mu z zębów, albo skrobał szczelinę ciała w poszukiwaniu szczególnie nerwowej pchły. Głównie jednak siedzieli i wpatrywali się w pustkę.

Po długiej chwili odezwał się Caleb:

- Wiecie, wszędzie już byłem, ale nigdy na XXXX. Czasem tak sobie myślę, jak tam jest.

- Raz morze mnie tam wyrzuciło - powiedział Vincent. - Dziwaczne miejsce. Paskudne od całej tej magii. Żyją tam bobry z dziobami i wielgachne szczury z długimi ogonami skaczą dookoła i boksują się ze sobą. I wszędzie łożą tacy czarni. Mówią, że są we śnie. Ale sprytni. Wystarczy takiemu pokazać kawałek pustyni z zeschniętym drzewem, a on zaraz znajduje trzydaniowy obiad z owocami i orzechami na deser. Piwo też mają niezłe.

- Podoba mi się.

Cisza zapadła na dłużej.

Wreszcie:

- Mam nadzieję, że mają tu minstreli, co? Szkoda by było, jakbyśmy tu zginęli i nikt nie zaśpiewał o tym pieśni.

- W takim wielkim mieście na pewno mają całe tłumy minstreli.

- No to nie ma problemu.

- Nie.

- Nie.

Znowu chwila milczenia.

- Co nie znaczy, że zginiemy.

- Pewno. W moim wieku nie będę się uczył ginać, cha, cha.

Przerwa.

- Cohen...

- Co?

- Jesteś jakoś religijny?

- Wiesz, swego czasu obrabowałem masę świątyn i zabiłem sporo obłąkanych kapłanów. Nie wiem, czy to się liczy.

- A w co twoje plemię wierzy? Co czeka człowieka po śmierci w bitwie?

- No, takie wielkie tłuste baby w skrzydlatych hełmach zabierają go do

hal Io, gdzie są walki, hulanki i żłopanie przez wieczność.

Cisza.

- Znaczy, naprawdę przez wieczność?

- Chyba tak.

- Bo wiesz, zwykle człowiek po czterech dniach nawet indyka ma dosyć.

- No dobra, a u ciebie w co wierzą?

- Moim zdaniem odpływamy do piekła w łodzi zbudowanej z obciętych paznokci u nóg. Czy coś w tym rodzaju.

Znowu chwila milczenia.

- Ale nie warto o tym gadać, bo przecież nas dzisiaj nie zabiją.

- Sam zacząłeś.

- Nie warto ginąć, jak potem czekają cię tylko jakieś resztki mięsa i pływanie w łodzi cuchnącej skarpetkami. Mam rację?

- Cha, cha.

Kolejna pauza.

- A w takim Klatchu to wierzą, że jak człowiek prowadził dobre życie, w nagrodę trafia do raju, gdzie jest mnóstwo młodych kobiet.

- Taka nagroda?

- Sam nie wiem. Może kara. Ale pamiętam, że całymi dniami je się sorbet.

- Ha! Jak byłem dzieckiem, robili jeszcze prawdziwy sorbet, w takich

małych rurkach i z lukrecjową słomką, żeby dało się wszystko wyssać. Teraz już się takich nie znajdzie. Ludzie stale się gdzieś spieszą.

- Ale i tak lepiej to brzmi niż żłobanie paznokci.

Znowu cisza.

- A wierzyłeś w te gadki, że niby każdy zabity wróg staje się twoim sługą na tamtym świecie?

- Bo ja wiem...

- Ilu zabiłeś?

- Co? Jakoś tak... Może ze dwa, trzy tysiące. Nie licząc krasnoludów i trolli, ma się rozumieć.

- No to nie braknie ci kogoś, żeby podał szczotkę albo otwierał przed tobą drzwi.

Cisza.

- Stanowczo nie zginiemy, co?

- Pewno.

- Znaczy się, przewaga stu tysięcy do jednego... ha! Cała różnica to tylko kupa zer.

- Właśnie.

- Wiecie, mężni towarzysze przy boku, silne ramię... Czego jeszcze można pragnąć?

Cisza.

- Najchętniej jakiegoś wulkanu.

Cisza.

- Wszyscy polegniemy, prawda?

- Tak.

Ordyńcy spojrzeli po sobie.

- Ale, patrząc na to z jaśniejszej strony, wciąż jestem krasnoludowi Fafie winien pięćdziesiąt dolarów za ten miecz - oświadczył Mały Willie. - Wychodzi na to, że wygram na tym interesie.

Saveloy zwiesił głowę.

- Tak mi przykro - powiedział.

- Nie przejmuj się - odparł Cohen.

Szary blask świtu był już widoczny za zasłonami.

- Słuchajcie! - zawołał nagle Saveloy. - Przecież nie musicie ginąć. Możemy... no, możemy się wymknąć. Choćby znowu przez rurę. Pewnie uda się nawet przenieść Hamisha. Ludzie przybywają i wyjeżdżają przez cały czas. Na pewno zdołamy... opuścić... miasto... bez...

Umilkł. Żaden głos nie mógłby przemawiać pod naporem tych spojrzeń. Nawet Hamish patrzył na niego ponuro, choć zwykle jego wzrok ogniskował się w jakimś punkcie oddalonym o osiemdziesiąt lat.

- Nie będziemy uciekać.

- To nie ucieczka - tłumaczył Saveloy. - To rozsądne wycofanie się. Taktyka. Na bogów, to zwykły zdrowy rozsądek!

- Nie będziemy uciekać.

- Przecież nawet barbarzyńcy umieją liczyć. A sami przyznaliście, że zginiecie.

- Nie będziemy uciekać.

Cohen podszedł i poklepał Saveloya po ramieniu.

- Na tym polega bohaterowanie - wyjaśnił. - Czy kto kiedy słyszał o uciekającym bohaterze? Wszystkie te dzieciaki, co o nich opowiadałeś... wiesz, te, co myślą, że jesteśmy tylko bajką... Jak ci się zdaje, uwierzą, że uciekliśmy? No właśnie. Nie, ten układ nie przewiduje ucieczki. Uciekaniem niech się zajmie kto inny.

- Zresztą - wtrącił Truckle - gdzie nam się trafi druga taka okazja? Sześciu przeciwko pięciu armiom! To pie... To fantastyczne! Nie mówimy tu o legendach! Moim zdaniem mamy niezłe szansę na mitologię!

- Ale... wy... zginiecie.

- Och, to element całej sytuacji, przyznaję. Istotny element. Pomyśl, jak odejdziemy!

Saveloy patrzył na nich i z wolna uświadamiał sobie, że mówią innym językiem w innym świecie. Do tego świata nie miał klucza ani mapy. Mógł ich uczyć noszenia dziwacznych spodni i posługiwania się pieniędzmi, ale coś w ich duszach pozostawało niezmienione.

- Czy nauczyciele idą po śmierci w jakieś specjalne miejsce? - zainteresował się Cohen.

- Nie sądzę - odparł posępnie Saveloy.

Przez chwilę zastanawiał się, czy naprawdę istnieją Wielkie Ferie w niebie. Nie wydawało się to prawdopodobne. Na pewno będą jakieś prace do

oceny.

- Cokolwiek by się stało, kiedy już umrzesz i będziesz miał ochotę na dobrą hulankę, możesz do nas zajrzeć - zapewnił Cohen. - Mieliśmy niezłą zabawę, a to najważniejsze. No i czegoś się nauczyliśmy. Prawda, chłopaki?

Zabrzmiął ogólny pomruk aprobaty.

- Niesamowite, te wszystkie trudne słowa.

- I to kupowanie rzeczy.

- I stosunki towarzyskie, hę, he... Przepraszam.

- Co?

- Szkoda, że się nie udało, ale ja tam nigdy nie lubiłem planować - wyznał Cohen.

Saveloy wstał.

- Przyłączę się do was - rzekł.

- Niby jak? W bitwie?

- Tak.

- A umiesz walczyć mieczem? - zapytał Truckle.

- Eee... nie.

- No to straciłeś całe życie.

Saveloy był urażony.

- Przypuszczam, że po drodze załapię, o co w tym chodzi.

- Załapiesz? Przecież to miecz!

- Tak, ale... jak człowiek jest nauczycielem, musi szybko się uczyć. - Saveloy uśmiechnął się nerwowo. - Kiedyś przez jeden okres wykładałem alchemię praktyczną, gdy pan Schizma był na zwolnieniu, bo wysadził się w powietrze. A nigdy wcześniej nie widziałem kolby.

- Trzymaj. - Mały Willie podał nauczycielowi zapasowy miecz.

Saveloy zważył go w dłoni.

- Hm... mam nadzieję, że jest do niego jakaś instrukcja obsługi czy coś?

- Instrukcja? Nie. Trzymasz za tępy koniec, a tym ostrym dźgasz ludzi.

- Naprawdę? To całkiem proste. Myślałem, że będzie trudniejsze.

- Jesteś pewien, że chcesz iść z nami? - spytał Cohen.

Saveloy stanowczo kiwnął głową.

- Absolutnie. Bardzo wątpię, czy przeżyję, jeśli przegracie, i... no cóż, wydaje mi się, że bohaterowie trafiają do nieba wyższej klasy. Podejrzewam też, muszę dodać, że i życie prowadzą wyższej klasy. Naprawdę nie wiem, gdzie idą po śmierci nauczyciele, ale mam straszliwe przeczucie, że pełno tam ludzi od wychowania fizycznego.

- Trochę się tylko boję, czy dasz radę wpaść w porządną szal bitewny - wyjaśnił Cohen. - Czy zdarzyło ci się kiedyś, że zobaczyłeś czerwoną mgłę, a po przebudzeniu odkryłeś, że zagryzłeś dwudziestu ludzi?

- Dawniej uważano mnie za popędliwego, kiedy uczniowie za bardzo hałasowali na lekcji. I miałem niezłe oko w rzucie kredą.

- A co z tobą, poborco?

Sześć Dobroczynnych Wiatrów cofnął się pospiesznie.

- Ja... chyba raczej jestem stworzony do podkopywania systemu od wewnątrz.

- W porządku. - Cohen spojrzał na pozostałych. - Nigdy dotąd nie próbowałem takiej oficjalnej wojny - powiedział. - Ktoś wie, jak to się robi?

- Myślę, że po prostu stajecie w szeregu naprzeciw siebie i ruszacie do ataku - odparł Saveloy.

- Wydaje się całkiem łatwe. No dobrze, ruszamy.

Pomaszerowali, czy też - w jednym przypadku - potoczyli się lub - w drugim przypadku, Saveloya - pobiegli lekkim truchtem. Poborca włókł się za nimi.

- Panie Saveloy! - zawołał. - Przecież pan wie, co się stanie! Czy pan postradał zmysły?

- Tak - przyznał nauczyciel. - Ale chyba znalazłem lepsze.

Uśmiechnął się do siebie. Całe jego życie do tej chwili wydawało się bardzo skomplikowane. Były w nim plany zajęć, listy obecności, całe kosze rzeczy, które musiał robić, i takich, których robić nie powinien. Toczyło się po krętym torze, gdy starał się jakoś omijać te przeszkody. A teraz nagle wszystko stało się proste. Trzymasz za jeden koniec, a drugim dźgasz ludzi. Całe życie można przeżyć, trzymając się takiej maksymy. Potem zaś bardzo ciekawy tamten świat...

- Trzymaj, też ci się przyda - powiedział Caleb, wciskając mu coś w rękę, kiedy zatrzymali się w szarym brzasku. - To tarcza.

- Aha. Żeby się nią osłaniać, tak?

- Jak będziesz naprawdę potrzebował, wgryź się w krawędź.

- Tak, słyszałem o tym - pochwalił się Saveloy. - To wtedy, kiedy ogarnia szął bitewny?

- Możliwe, możliwe - zgodził się Caleb. - Dlatego wielu wojowników tak robi. Ale ja osobiście gryzę brzeg tarczy, bo jest zrobiony z czekolady.

- Z czekolady?

- W czasie bitwy nigdy nie można porządnie zjeść.

Oto ja, myślał Saveloy, maszeruję ulicą z bohaterami. To wielcy wo...

- Jakbyś nie wiedział, co robić, zdejmij ubranie - radził Caleb.

- Po co?

- To oznaka solidnego szалу bitewnego. Przeraza wrogów jak diabli. Jeśli ktoś zacznie się śmiać, dźgnij go.

Coś się poruszyło wśród koców na wózku.

- Co?

- Powiedziałem DŹGNIJ GO, Hamish.

Hamish zamachał ręką. Wyglądała jak kość obciągnięta skórą i była wyraźnie zbyt chuda, by utrzymać topór, który jednak trzymała.

- Zgadza się! Prosto w nagety!

Saveloy szturchnął Caleba.

- Powinienem to wszystko notować - stwierdził. - Gdzie właściwie są te nagety?

- To niewielki łańcuch górski w pobliżu Osi.

- Fascynujące.

* * *

Obywatele Hunghung zebrali się na murach miasta. Niecodziennie przecież trafia się taka bitwa.

Pracując łokciami i kolanami, Rincewind przeciskał się między ludźmi, aż dotarł do kadry, która zdołała zająć najlepsze miejsca nad główną bramą.

- Po co tu jeszcze siedzicie? - zapytał. - Moglibyście już być całe mile stąd.

- Chcemy zobaczyć, co się stanie, oczywiście - odparł Dwukwiat.

Okulary błyszczały mu podnieceniem.

- Ja wiem, co się stanie! Orda będzie natychmiast wybita! A czego się właściwie spodziewacie?

- Ale zapominasz o niewidzialnych wampirzych upiorach.

Rincewind spojrzał na niego zdumiony.

- O czym?

- To ich tajna armia. Słyszałem, że my też mamy swoje. Będzie ciekawie.

- Dwukwiat, nie ma żadnych niewidzialnych wampirzych upiorów.

- Jasne, wszyscy tylko zaprzeczają - wtrąciła Kwiat Lotosu. - Czyli musi w tym być ziarno prawdy.

- Przecież sam je wymyśliłem!

- Zapewne wierzysz, że je wymyśliłeś - rzekł Dwukwiat. - Ale możesz być tylko pionkiem w rękach Losu.

- Posłuchaj, nie ma żadnych...

- Ten sam dawny Rincewind... - Dwukwiat uśmiechnął się pobłaźliwie. - Zawsze i w każdej sprawie byłeś takim czarnowidzem, ale wszystko jakoś dobrze się kończyło.

- Nie ma upiorów, nie ma żadnego magicznego wojska - upierał się Rincewind. - Jest tylko...

- Kiedy siedmiu ludzi staje do walki z armią sto tysięcy razy liczniejszą, może się to skończyć tylko w jeden sposób.

- Właśnie. Cieszę się, że nabrałeś rozumu.

- Zwycięzą - stwierdził Dwukwiat. - W przeciwnym razie świat nie funkcjonowałby prawidłowo.

- Wyglądasz na wykształconą. - Rincewind zwrócił się do Motyl. - Wy tłumacz mu, dlaczego jest w błędzie. To z powodu takiego niewielkiego wynalazku, jakiego używamy w naszym kraju. Nie wiem, czy tutaj o nim słyszeliście. Nazywa się matematyka.

Dziewczyna uśmiechnęła się tylko.

- Nie wierzysz mi, prawda? - stwierdził spokojnie Rincewind. - Jesteś taka sama jak on. Wyobrażacie sobie, że co to jest? Homeopatyczna wojna? Im mniej ludzi masz po swojej stronie, tym większa jest szansa na zwycięstwo? To tak nie działa. Chciałbym, żeby tak było, ale nie jest. Nie zdarzają się zadziwiające szczęśliwe zbiegi okoliczności, nie ma magicznych rozwiązań, a dobrzy nie wygrywają dlatego, że są mali i dzielni. - Z irytacją machnął na coś ręką.

- Ty zawsze przeżywałeś - przypomniał mu Dwukwiat. - Mieliśmy niezwykle przygody, a ty zawsze przeżywałeś.

- To tylko przypadek. - I nadal przeżywasz.

- Bezpiecznie wydostałeś nas z więzienia - dodała Kwiat Lotosu.

- To zwykły zbieg oko... Uciekaj stąd!

Motyl odfrunął od jego ręki.

- Paskudztwo - mruknął Rincewind. - Ja stąd znikam - powiedział głośno. - Nie mogę zostać i patrzeć. Mam sprawy do załatwienia. Poza tym wydaje mi się, że zaraz potem zaczną mnie szukać niedobrzy ludzie.

Zdał sobie sprawę z łez lśniących w oczach Kwiatu Lotosu.

- My... sądziliśmy, że coś zrobisz - szepnęła.

- Ja? Niczego nie mogę zrobić! A już zwłaszcza niczego magicznego! Jestem z tego znany. Nie powinniście wierzyć, że Wielcy Magowie rozwiążą wasze problemy, bo nie ma takich i nie rozwiązują, a ja wiem o tym najlepiej, bo wcale nie jestem jednym z nich!

Cofnął się.

- Dlaczego zawsze mnie coś takiego spotyka? Pilnuję swoich spraw, ale ni z tego, ni z owego wszystko się komplikuje, nagle ludzie polegają na mnie i powtarzają: „Och, Rincewindzie, co z tym zrobisz?”. Otóż synuś pani Rincewindowej, jeśli była panią Rincewindową naturalnie, nie ma zamiaru nic robić! Jasne? Sami musicie sobie radzić! Żadna tajemna magiczna armia nie... Czy moglibyście przestać tak mi się przyglądać? Nie wiem, czemu niby to ma być moja wina! Mam inne sprawy! To nie mój interes!

A potem odwrócił się i pobiegł.

Nikt w tłumie nie zwrócił na niego uwagi.

Ulice były opustoszałe - według standardów Hunglung, co oznacza, że czasami dało się zobaczyć bruk. Rincewind przeciskał się i przepychał uliczkami najbliższymi muru, wypatrując jakiejś bramy ze strażnikami zbyt zajętymi, by stawiali pytania.

Za sobą usłyszał kroki.

- Słuchajcie - powiedział, odwracając się. - Mówiłem przecież, że możecie sobie...

To był Bagaż. Udało mu się wyglądać na nieco zawstydzonego.

- Aha, wreszcie się zjawiamy, co? - rzucił złośliwie Rincewind. - Cóż to się stało z tym wszędzie-podążam-za-swoim-panem?

Bagaż przestępował z nogi na nogę. Z bocznej uliczki wynurzyła się trochę większa i o wiele bardziej ozdobna jego wersja. Jej wieko było intarsjowane kosztownym drewnem, a stopy, jak wydało się Rincewindowi, miała bardziej filigranowe od stóp Bagażu z odciskami i zrogowaciałymi paznokciami. Poza tym miała też pomalowane paznokcie.

- Aha - mruknął. - No tak. Coś podobnego. Cóż, rozumiem chyba. Naprawdę? Znaczy... tak. No dobrze. Chodźmy.

Dotarł do końca uliczki i skręcił. Bagaż stukał delikatnie w większy kufer, popychając go w ślad za magiem.

Osobiste doświadczenia seksualne Rincewinda nie były zbyt rozległe, ale oglądał odpowiednie diagramy. Nie miał jednak pojęcia, jak mogłyby się stosować do akcesoriów podróżnych. Czy mówiły coś w rodzaju: „Ale szkatuła” albo „Patrz, jakie zawiasiki idą”?

Jeśli już o tym mowa, to nie miał żadnych powodów, by przypuszczać, że jego Bagaż jest samcem. Owszem, posiadał morderczą naturę, ale nie

różnił się pod tym względem od wielu znanych Rincewindowi kobiet, które zresztą w wyniku spotkania z nim zdradzały często jeszcze silniejsze mordercze zapędy. Skłonność do przemocy, jak słyszał, jest uniseksualna. Nie bardzo wiedział, czym jest uniseks, ale podejrzewał, że chodzi o to, czego normalnie doświadczał.

Przed sobą zauważył niewielką bramę. Wydawała się niestrzeżona.

Mimo lęku przeszedł przez nią i powstrzymał się od ruszenia biegiem. Władze zawsze dostrzegały biegnącego człowieka. Pora, żeby zacząć uciekać, następuje w okolicy „e” w: „Hej, ty!”.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Ludzie zebrani na murze całą uwagę zarezerwowali dla wojska.

- Patrzcie sobie - rzekł z goryczą, zwracając się do wszechświata w ogólności. - To głupie. Gdyby walczyło siedmiu przeciwko siedemdziesięciu, każdy by wiedział, kto przegra. A że to siedmiu przeciwko siedmiuset tysiącom, nikt jakoś nie jest przekonany. Tak jakby liczby już nic nie znaczyły. Ale dlaczego niby akurat ja mam coś na to poradzić? Przecież nawet nie znam tego gościa za dobrze. Owszem, uratował mi życie parę razy, ale to jeszcze nie powód, żeby ginąć straszną śmiercią, bo on nie umie liczyć. Więc możecie przestać tak się na mnie gapić.

Bagaż cofnął się odrobinę. Inny Bagaż...

...Rincewind uznał, że po prostu wygląda kobieco. Kobiety mają większe bagaże, prawda? Z powodu - wchodził tu na obce terytorium - wszystkich dodatkowych falbanek i w ogóle. To po prostu fakt, podobnie jak ten, że noszą mniejsze chusteczki od mężczyzn, chociaż ich nosy są tego samego rozmiaru. Bagaż zawsze był tym jedynym Bagażem. Rincewind nie był psychicznie gotów na obecność następnego.

Miał zatem Bagaż i... i inny Bagaż.

- Chodźcie oboje - rzucił. - Wynosimy się stąd. Zrobiłem, co mogłem.

Więcej już nie potrafię. Nic mnie to nie obchodzi. Nie mam z tym nic wspólnego. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy na mnie liczą. Nie można na mnie liczyć. Nawet ja na siebie nie liczę, a przecież jestem sobą.

* * *

Cohen spojrzał na horyzont. Wzbierały szarogranatowe chmury.

- Burza nadciąga - stwierdził.

- Jakie szczęście, że jej nie dożyjemy, bo całkiem by nas przemoczyła - odparł z satysfakcją Mały Willie.

- Ale zabawna sprawa. Wygląda, jakby nadciągała ze wszystkich stron.

- Wredna zagraniczna pogoda. Nie można na niej polegać.

Cohen przyjrzał się armiom pięciu wodzów.

Ustawiły się wokół pozycji zajętej przez Cohena. Ich taktyka wydawała się całkiem oczywista: nacierać. Ordyńcy widzieli dowódców przejeżdżających przed frontem legionów.

- Jak to ma się zacząć? - zapytał Cohen. Wzmagający się wiatr szarpał tym, co pozostało mu z włosów. - Ktoś zagwiżdże albo co? Czy po prostu wrzaśniemy i ruszymy do ataku?

- Rozpoczęcie działań następuje zwykle za porozumieniem - wyjaśnił Saveloy.

- Aha.

Cohen popatrzył na las pik i proporców. Setki tysięcy ludzi wyglądały z bliska jak bardzo duży tłum.

- Przypuszczam - odezwał się powoli - że żaden z was nie ma jakiegoś niesamowitego planu, który dotąd trzymał w sekrecie?

- Myśleliśmy, że ty masz - odparł Truckle.

Kilku jeźdźców wysunęło się z szeregów każdej armii i w grupie podjechali do ordy. Zatrzymali się o rzut oszczepem od nich i patrzyli.

- No dobra - mruknął Cohen. - Głupio mi to mówić, ale może powinniśmy pogadać o kapitulacji.

- Nie! - zaprotestował Saveloy i umilkł zakłopotany tym, jak głośno zabrzmiało to słowo. - Nie - powtórzył już ciszej. - Nie przeżyjecie, jeśli się poddacie. Tyle że nie zginiecie od razu.

Cohen podrapał się w nos.

- Jaka to była flaga... no wiesz... kiedy chcesz z nimi pogadać, ale żeby cię nie zabili?

- Musi być czerwona. Ale słuchaj, nic tym nie...

- Wszystko mi się myli. Czerwony na kapitulację, biały na pogrzeb... - mruczał Cohen. - Dobra. Ktoś ma coś czerwonego?

- Ja mam chustkę - zgłosił się Saveloy. - Ale jest biała, a poza tym...

- Dawaj ją.

Barbarzyński nauczyciel bardzo niechętnie podał chusteczkę. Cohen wyjął z pasa niewielki, bardzo zużyty nóż.

- Nie mogę uwierzyć! - jęknął Saveloy. Niemal płakał. - Cohen Barbarzyńca rozmawia o kapitulacji z takimi ludźmi!

- Wpływ cywilizacji - wyjaśnił Cohen. - Pewno zrobiłem się od niej

miękki w głowie.

Przeciągnął nożem po rękę i przycisnął chusteczkę do rany.

- I gotowe. Zaraz będziemy mieli czerwoną flagę.

Orda z aprobatą pokiwała głowami. Był to niezwykle wręcz symboliczny, dramatyczny, a nade wszystko idiotyczny gest, w najlepszej tradycji barbarzyńskiego bohaterstwa. Nie pozostał też niezauważony przez niektórych przynajmniej stojących bliżej żołnierzy.

- Gotowe - rzekł Cohen. - Ty, Ucz, i ty, Truckle, pójdziecie ze mną. Pogadamy z nimi.

- Zawloką cię do lochów! - protestował Saveloy. - Mają tam oprawców, którzy potrafią zachować cię przy życiu przez całe lata!

- Co? Co on gada?

- Powiedział, że POTRAFIĄ ZACHOWAĆ CIĘ PRZY ŻYCIU PRZEZ LATA, Hamish.

- Dobra. Mnie to pasuje.

- O bogowie! - westchnął Saveloy.

Powlókł się za tamtymi dwoma w stronę wódzów.

Pan Hong uniósł przyłbicę i znad czubka nosa przyglądał się, jak podchodzą.

- Czerwona flaga, widzicie? - Cohen pomachał wilgotną szmatką na mieczu.

- Tak - potwierdził pan Hong. - Widzieliśmy to przedstawienie. Mogło zrobić wrażenie na prostych żołnierzach, barbarzyńco, ale na mnie nie zrobiło

żadnego.

- Jak tam chcesz. Chcemy pogadać o poddaniu.

Saveloy zauważył, że inni wodzowie dyskretnie odetchnęli. Pomyślał: prawdziwy żołnierz pewnie nie jest zachwycony całą sytuacją. Nikt nie chciałby trafić do żołnierskiego nieba, gdzie wszędzie musiałby tłumaczyć, jak to kiedyś poprowadził armię na siedmiu staruszków. Za coś takiego nie dają medali.

- Aha. Oczywiście. Koniec z brawurą - rzekł dumnie pan Hong. - Zatem złożcie broń i zostaniecie odprowadzeni z powrotem do pałacu.

Cohen i Truckle spojrzeli na siebie nawzajem.

- Słucham? - zdziwił się Cohen.

- Złóżcie broń. - Pan Hong parsknął wzgardliwie. - To znaczy, że macie oddać miecze.

Cohen patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Dlaczego mamy oddać swoje miecze?

- Czy nie mówimy o waszej kapitulacji?

- Naszej?

Saveloy rozciągnął wargi w obłąkanym, szczęśliwym uśmiechu.

Pan Hong wytrzeszczył oczy.

- Ha! Mam uwierzyć, żeś przybył tu, aby nam proponować...

Wychylił się z siodła.

- A jednak po to, prawda? Wy bezrozumni mali barbarzyńcy. Czy rzeczywiście umiecie liczyć tylko do pięciu?

- Myśleliśmy sobie, że oszczędzimy ludziom ran.

- Myśleliście, że sobie oszczędzicie ran.

- Chcę zauważyć, że paru waszych też może oberwać.

- To tylko chłopci - stwierdził lekceważąco pan Hong.

- No tak, zapomniałem - mruknął Cohen. - A ty jesteś ich wodzem, tak? Jak w tych waszych szachach, tak?

- Jestem ich władcą - odparł pan Hong. - Zginą na mój rozkaz, jeśli zajdzie potrzeba.

Cohen rzucił mu szeroki, groźny uśmiech.

- Kiedy zaczynamy?

- Wracajcie do swej... bandy. A wtedy, jak sądzę, rozpoczniemy. Wkrótce.

Zerknął na Truckle'a, który rozwinął arkusz papieru. Wargi barbarzyńcy poruszały się niewprawnie, gdy wodził palcem po stronie.

- Niegodny... nędzniku, ot co - powiedział.

- Moje słowa - ucieszył się Saveloy, który sam ułożył tę tabelę.

Kiedy wrócili na pozycję ordy, Saveloy słyszał zgrzytliwy dźwięk. To Cohen ścierał z zębów kilka karatów.

- „Zginą na mój rozkaz” - mruczał. - Ten drań nawet nie wie, jaki ma być wódz, bękart jeden! Niech własnego konia przeleci!

Saveloy obejrzał się. Wodzowie chyba kłócili się o coś.

- Wiecie - powiedział - oni prawdopodobnie spróbują wziąć nas żywcem. Miałem kiedyś dyrektora całkiem do niego podobnego. Lubił zmieniać życie ludzi w mękę.

- Znaczy, będą się starać nas nie pozabijać? - upewnił się Truckle.

- Tak.

- To znaczy, że my też mamy się starać ich nie pozabijać?

- Nie, raczej nie.

- Jak dla mnie, może być.

- Co teraz zrobimy? - zainteresował się Saveloy. - Śpiewamy jakąś pieśń bojową czy co?

- Czekamy - odparł Cohen.

- Na wojnie zawsze jest dużo czekania - dodał Mały Willie.

- A tak - zgodził się nauczyciel. - Słyszałem już o tym. Podobno wojna to długie okresy nudy, a po nich krótkie okresy podniecenia.

- Nie całkiem - poprawił go Cohen. - Raczej krótkie okresy czekania, a potem długie okresy bycia martwym.

* * *

- Do licha!

Pola były poprzecinane rowami odwadniającymi. Zdawało się, że żadna

ścieżka nie biegnie prosto. Rowy okazały się zbyt szerokie, by je przeskakiwać; wyglądały wprawdzie na dostatecznie płytkie, by przez nie przechodzić, ale tylko dlatego że osiemnaście cali wody pokrywało głębię tłustego, gęstego błota. Saveloy mówił, że Imperium Agatejskie zawdzięcza swój dobrobyt żyznym łom równin. W tej chwili Rincewind czuł się bardzo bogaty.

Znalazł się blisko kopuły wzgórza górującego nad miastem. Było rzeczywiście zaokrąglone z precyzją zbyt wielką jak na przyczyny naturalne; Saveloy uważał, że takie jak ten pagórki to drumliny, wielkie stosy piasku i żwiru pozostawione za lodowcem. Drzewa porastały dolną część tutejszego drumlina, a na szczycie stał mały budynek.

Kryjówka. Tak, to właściwe słowo. Równina była rozległa, a wojska niezbyt oddalone. Wzgórze wydawało się niezwykle spokojne, jakby należało do innego świata. Aż dziwne, że Agatejczycy, którzy poza tym uprawiali absolutnie wszystko, na czym mógł stanąć bawół, pozostawili je w spokoju.

Ktoś go obserwował.

Tak, to był bawół.

Błędem byłoby stwierdzenie, że obserwował go z ciekawością. Po prostu obserwował, ponieważ oczy miał otwarte i w którymś kierunku musiał się ustawić. Losowo wybrał ten, który zawierał Rincewinda.

Jego pysk wyrażał absolutny spokój istoty, która już dawno zdała sobie sprawę z faktu, że jest zasadniczo rurą na nogach i została umieszczona we wszechświecie, by - ogólnie mówiąc - uzyskiwać przepływ.

Na drugim końcu sznura był człowiek stojący po kostki w błocie. Miał na głowie szeroki kapelusz, jak każdy trzymacz bawołu. Miał też klasyczną piżamę agatejskiego rolnika. Jego twarz wyrażała nie zidiocenie, ale zaabsorbowanie. Patrzył na Rincewinda. Podobnie jak bawół, robił to tylko dlatego, że jego oczy musiały się gdzieś skierować.

Mimo wielkich zagrożeń Rincewind nie mógł powstrzymać ciekawości.

- Ehm... dzień dobry - zagał.

Człowiek skinął mu głową. Bawół wydał odgłos cofania się pokarmu.

- Tego... wybac mi pytanie natury osobistej - powiedział Rincewind. - Tak się zastanawiam... dlaczego właściwie stoisz przez cały dzień z tym bawołem na polu?

Człowiek przemyślał problem.

- Dobre dla gleby - oświadczył w końcu.

- Ale przecież traci się tak mnóstwo czasu.

Człowiek i tę kwestię przeanalizował dokładnie.

- Czym jest czas dla krowy? - zapytał.

Rincewind wycofał się z powrotem na trakt rzeczywistości.

- Widzisz te wojska pod miastem? - spytał.

Trzymacz bawoła wyteżył wzrok.

- Tak - przyznał.

- Walczą dla ciebie.

Człowieka chyba nie wzruszyła ta wiadomość. Bawół beknął cicho.

- Jedni chcą, byś pozostał niewolnikiem, drudzy chcą, żebyś rządził krajem, a przynajmniej im pozwolił rządzić, a oni będą ci tłumaczyć, że to tak naprawdę ty. Za chwilę zacznie się straszliwa bitwa. I tak się zastanawiam... czego ty byś chciał?

Trzymacz bawołu i to pytanie wziął pod rozwagę. Rincewindowi wydało się, że powolność procesów myślowych nie wynika z przyrodzonej głupoty, ale z wagi samego problemu. Czuł, jak problem się rozrasta, jak obejmuje głębie, żdźbła, słońce, jak zmierza ku krańcom wszechświata.

Wreszcie człowiek odpowiedział:

- Przydałby się dłuższy sznurek.

- Aha. Naprawdę? No, no. Coś podobnego - rzekł Rincewind. - Rozmowa z tobą była niezwykle kształcąca. Do widzenia.

Człowiek patrzył, jak odchodzi. Obok niego bawół rozluźnił pewne mięśnie, napiął inne, podniósł ogon i uczynił świat - w bardzo małym stopniu - lepszym miejscem.

* * *

Rincewind zmierzał na szczyt wzgórza. Całkiem przypadkowo rozrzucone zwierzęce ścieżki i drewniane mostki zdawały się tam właśnie go kierować. Gdyby myślał logicznie, którą to czynność pamiętał ostatnio z okresu, kiedy miał dwanaście lat, mógłby się nad tym zastanowić.

Drzewa w dolnej części zbocza okazały się myślącymi gruszami, ale nawet to go nie zdziwiło. Liście odwracały się, by go obserwować.

Potrzebował jedynie jakiejś groty albo poręcznej...

Znieruchomiał.

- O nie - powiedział. - Nie, nie, nie. Nie złapiecie mnie na to. Wejdę do poręcznej groty, a tam będą małe drzewczki albo mądry starzec, albo jeszcze coś, i wciągnie mnie z powrotem w wydarzenia. Właśnie. Trzymać się otwartej przestrzeni. Tak, to właściwe podejście.

Na wpół wszedł, na wpół wspiał się na zaokrąglony szczyt wzgórza, wyrastający ponad drzewami jak kopuła. Teraz, kiedy był blisko, przekonał się, że szczyt nie jest tak gładki, jak wydawał się z dołu. Wiatry i deszcze przeorały ziemię wąwozami i kanałami, a krzewy skolonizowały wszystkie osłonięte zbocza.

Konstrukcja na szczycie była, ku jego zdumieniu, zardzewiała. Wzniesiono ją z żelaza: spiczasty żelazny dach, żelazne ściany, żelazne drzwi. Zauważył kilka zapomnianych gniazd, trochę śmieci na podłodze, ale poza tym niczego. To nie była dobra kryjówka. To było miejsce, gdzie każdy spróbuje szukać.

Ściana chmur otaczała już cały świat dookoła. Błyskawice iskrzyły się w jej głębi i słyszał grzmoty - nie delikatny łoskot letnich gromów, ale trzask rozrywanego nieba.

Mimo to upał niczym kołdra spowijał równinę. Powietrze wydawało się gęste. Za chwilę lunie deszcz, aż żaby z nieba polecą.

- Znaleźć miejsce, gdzie nikt mnie nie zauważy - mruczał pod nosem. - Głowę trzymać nisko. Jedyne sposoby. Co mnie to wszystko obchodzi? Nie mój kłopot.

Dysząc ciężko w przytłaczającym upale, szedł naprzód.

* * *

Pan Hong był rozzłoszczony. Ci, którzy go znali, dostrzegali to, gdyż mówił wolniej i cały czas się uśmiechał.

- A skąd ludzie wiedzą, że smoki błyskawic się gniewają? - zapytał. - Może to oznaka radości?

- Nie przy takim kolorze nieba - odparł pan Tang. - To nie jest pomyślny

kolor dla nieba. Takie niebo jak to zwiastuje.

- A cóż takiego zwiastuje, jeśli wolno spytać?

- Po prostu ogólnie zwiastuje.

- Wiem, o co tu chodzi - rzucił pan Hong z irytacją. - Boicie się walczyć z siedmioma staruszkami, prawda?

- Ludzie mówią, że to legendarnych Siedmiu Niezniszczalnych Mędrców - wyjaśnił pan Fang. Spróbował się uśmiechnąć. - Wiesz, panie, jacy są zabobonni...

- Jakich Siedmiu Mędrców? - zdziwił się pan Hong. - Wyjątkowo dobrze znam historię świata i nie ma tam żadnych legendarnych Siedmiu Niezniszczalnych Mędrców.

- Ehm... jeszcze nie - przyznał pan Fang. - Uhm... ale... w taki dzień jak dzisiaj... Może legendy muszą się kiedyś zacząć...

- To barbarzyńcy! O bogowie! Siedmiu ludzi. Czy mam wierzyć, że boimy się siedmiu ludzi?

- Jest w tym coś niedobrego - wtrącił pan McSweeney. - Tak mówią żołnierze - dodał szybko.

- Ogłosiliście proklamację o naszej niebiańskiej armii duchów? Wszyscy?

Wodzowie starali się unikać jego wzroku.

- No... tak - potwierdził pan Fang.

- Na pewno poprawiła morale.

- No... niezupełnie...

- Co chcesz przez to powiedzieć, człowieku?

- Tego... wielu żołnierzy zdezerterowało. Hm... powtarzali, że cudzoziemskie upiory to wystarczające nieszczęście, ale...

- Ale co?

- To żołnierze, panie Hong - przypomniał surowo pan Tang.

- Wszyscy znali ludzi, których woleliby już nie spotykać. A pan nie?

Na ułamek sekundy coś jakby sugestia skurczu wykrzywiła policzek pana Honga. Minęła natychmiast, ale ci, którzy patrzyli, zauważyli. Na słynnej niewzruszonej powłoce pana Honga pojawiło się pęknięcie.

- I co pan zrobi, panie Tang? Pozwoli tym bezczelnym barbarzyńcom odejść?

- Ależ skąd! Jednak... nie trzeba całej armii przeciwko siedmiu ludziom. Siedmiu bardzo starym ludziom. Wieśniacy mówią...

Głos pana Honga wzniósł się odrobinę wyżej.

- Powiedzże wreszcie, człowieku, który słucha wieśniaków. W końcu może się dowiemy, co mówią o tych głupich i zuchwałych starcach?

- Otóż o to właśnie chodzi, panie Hong. Mówią: Jeśli są tak głupi i tak zuchwali, to... jakim cudem zdołali dożyć takiego wieku?

- Szczęście!

To nie było właściwe słowo. Nawet pan Hong zdał sobie z tego sprawę. Nie szczędził trudu i mąk - zwykle trudu i mąk innych osób - by wypełnić życie pewnością. Wiedział jednak, że inni wierzą w szczęście. Tę słabość zwykle z przyjemnością wykorzystywał. A teraz szczęście samo usiadło mu przed nosem.

- Nic w sztuce wojennej nie poucza nas, jak pięć armii powinno atakować siedmiu starców - przypomniał pan Tang. - Czy są upiorami, czy nie. A to dlatego, panie Hong, że nikt jeszcze nie pomyślał, by coś takiego było możliwe.

- Jeśli się boicie, ruszę na nich tylko z moimi dwustu pięćdziesięcioma tysiącami ludzi.

- Nie boję się - zapewnił pan Tang. - Jestem zawstydzony.

- Każdy z nich uzbrojony w dwa miecze - ciągnął pan Hong, nie zwracając na niego uwagi. - I wtedy zobaczymy, jak bardzo sprzyja szczęście tym... mędrcom. Ponieważ, moi panowie, ja muszę mieć szczęście tylko raz. Oni musieliby mieć szczęście ćwierć miliona razy.

Opuścił przyłbicę.

- Macie dzisiaj szczęście, panowie?

Pozostali czterej wodzowie unikali swego wzroku.

Pan Hong zauważył ich pełne rezygnacji milczenie.

- Dobrze więc - rzekł. - Niech zabrzmia gongi i wystrzelą sztuczne ognie... by zagwarantować nam szczęście, naturalnie.

* * *

W armiach Imperium występowały liczne stopnie, niektóre całkiem nieprzetłumaczalne. Trzy Różowe Świnki i Pięć Białych Kłów byli mniej więcej szeregowcami. Nie dlatego że mieli skłonność do ludowych zabaw, gdzie długie szeregi tancerzy tupią do rytmu.

Byli szeregowcami, bo takich jak oni armia miała wielu. Tak wielu, że

nawet muły były wyższe stopniem - ponieważ niełatwo jest znaleźć dobrego muła, a takich ludzi, jak Różowe Świnki i Białe Kły, można spotkać w każdym wojsku, zwykle tam, gdzie jakaś latryna wymaga czyszczenia.

Byli tak nieznaczący, że uznali, iż atakowanie ich byłoby dla cudzoziemskiego krwiożerczego upiora zwykłą stratą czasu. Uczciwiej byłoby, skoro przybył tu z tak daleka, dać mu szansę okrutnego zamordowania kogoś wyższego rangą.

Zatem uprzejmie opuścili obóz tuż przed świtem, a teraz się ukrywali. Oczywiście, gdyby armii zagroziło zwycięstwo, zawsze mogli opuścić teren pozaobozowy. Niewielka istniała szansa, że w ogólnym podnieceniu ktoś zauważy ich nieobecność. Zresztą nabrali sporego doświadczenia w pojawianiu się na polach bitew na czas, by wraz z innymi świętować zwycięstwo. Teraz leżeli więc wśród wysokich traw i obserwowali manewrujące wojska.

Z tej wysokości wojna robiła spore wrażenie. Armia jednej strony była tak mała, że prawie niewidoczna. Oczywiście, jeśli wziąć pod uwagę bardzo stanowcze zaprzeczenia z ostatniej nocy, była wręcz niewidzialna i dlatego niewidoczna.

Właśnie wysokość ich pozycji sprawiła, że pierwsi zauważyli pierścień wokół nieba.

Unosił się tuż nad burzową ścianą chmur ponad horyzontem. Tam, gdzie trafiały go przypadkowe promienie słońca, lśnił złociście, gdzie indziej był zwyczajnie żółty. Ale biegł dookoła bez żadnej przerwy, cienki jak nić.

- Śmieszna chmura - zauważył Białe Kły.

- Faktycznie - zgodził się Różowe Świnki. - Co z tego?

Prowadząc tę dyskusję, popijali ryżowe wino z niedużej flaszki, od której Białe Kły uwolnił nocą nic niepodejrzewającego towarzysza. Nagle usłyszeli jęk.

- Ooooooch...

Wino stanęło im w gardłach.

- Słyszałeś? - spytał Różowe Świnki.

- Znaczy to...

- Ooooooch...

- Właśnie!

Obejrżeli się bardzo powoli.

Coś wysunęło się z rowu za nimi. Miało w przybliżeniu humanoidalny kształt i ociekało czerwonym błotem. Z ust wydobywały się dziwne odgłosy.

- Oooooch, szlag!

Różowe Świnki chwycił Białe Kły za ramię.

- To niewidzialny krwiożerczy upiór! - Ale ja go widzę!

Różowe Świnki obejrzał się szybko.

- To Czerwona Armia! Wychodzi z ziemi, tak jak zawsze opowiadali!

Białe Kły, który posiadał o kilka szarych komórek więcej od kolegi, a co ważniejsze, wypił dopiero drugi kubek wina, przyjrzał się dokładniej.

- To może być całkiem normalny człowiek, tylko unurzany w błocie - stwierdził. Podniósł głos. - Hej, ty!

Postać odwróciła się i spróbowała uciekać.

Różowe Świnki szturchnął kolegę w bok.

- To ktoś z naszych?
- A wygląda na takiego?
- Gońmy go!
- Po co?
- Bo ucieka!
- To niech sobie ucieka.
- Może ma pieniądze. A zresztą po co właściwie ucieka?

* * *

Rincewind zjechał do kolejnego rowu. Co za pech! Żołnierze powinni być na polu walki. Gdzie się podział honor, obowiązek i cała reszta?

Dno rowu pokrywała nadgniła trawa i mech.

Rincewind stanął i nasłuchiwał głosów ścigających.

Było duszno. Całkiem jakby nadchodząca burza pchała przed sobą cały żar, zmieniając równinę wokół Hunghung w rozgrzany piekarnik.

Nagle grunt zatrzeszczał i osunął się.

Nad brzegiem rowu pojawiły się twarze dezertarów.

Znów zatrzeszczało i ziemia osunęła się o następny cal czy dwa. Rincewind nie śmiał nawet odetchnąć w obawie, że dodatkowa waga powietrza uczyni go zbyt ciężkim. Było też jasne, że najmniejsze poruszenie, na przykład skok, może tylko pogorszyć sytuację.

Bardzo ostrożnie spojrział w dół.

Martwy mech rozstał się i Rincewind stał na czymś, co wyglądało jak zagrzebana w ziemi drewniana belka. Jednak osypujący się wokół niej grunt sugerował pustą przestrzeń pod spodem.

Ten grunt zresztą ustąpi chyba lada mo...

Rincewind rzucił się do przodu. Dno rowu zapadło się i teraz, zamiast stać na łamiącym się z wolna bloku drewna, wisiał, trzymając się czegoś, co wydawało się drugą zasypaną belką. Oceniając na dotyk, była tak samo spróchniała jak pierwsza.

W dodatku - może dla towarzystwa - także się zapadała.

A potem znieruchomiła nagle.

Twarze żołnierzy zniknęły, kiedy brzegi rowu zaczęły się osuwać. Ziemia i kamyki sypały się obok Rincewinda. Bębniły o jego buty i spadały dalej.

Wyczuwał - jako ekspert w takich sprawach - że wisi nad głębią. Z jego punktu widzenia wisiał też na wysokości.

Belka znowu się poruszyła.

Sytuacja, w ocenie Rincewinda, dopuszczała dwa rozwiązania. Mógł puścić belkę i runąć w ciemność na spotkanie nieznanego losu albo trzymać się, dopóki belka się nie zapadnie, i wtedy dopiero runąć w ciemność na spotkanie nieznanego losu.

I nagle, ku swej radości, odkrył trzecie. Czubkiem buta dotknął czegoś, nieważne czego, może korzenia albo wystającego kamienia. To coś przejęło część jego ciężaru - przynajmniej tyle, że osiągnął chwiejną równowagę: nie był całkiem bezpieczny, ale i nie całkiem spadał. Oczywiście, to tylko rozwiązanie chwilowe, ale zawsze uważał, że życie jest ciągiem

następujących po sobie chwilowych rozwiązań.

Jasnożółty motyl z ciekawym deseniem na skrzydełkach przefrunął wzdłuż rowu i usiadł na jedynej dostępnej plamie koloru, która okazała się kapeluszem maga.

Belka ustąpiła odrobinę.

- Fruwaj stąd! - powiedział Rincewind, starając się nie używać ciężkich przekleństw. - Uciekaj!

Motyl złożył skrzydełka i zaczął grzać się w słońcu.

Rincewind zwinął wargi i spróbował dmuchnąć sobie w nozdrza.

Zaskoczony motyl wzleciał w powietrze...

- No... - odetchnął Rincewind.

...i instynktownie reagując na zagrożenie, zamachał skrzydełkami o tak, a potem tak.

Krzewy zaszeleściły. A ściana chmur na niebie wygięła się w niezwykle formy.

Uformowała się jeszcze jedna chmura, wielkości mniej więcej rozzłoszczonego szarego balonika. Zaczął padać deszcz. Nie deszcz ogólny, ale deszcz konkretny. Padał konkretnie na tę stopę kwadratową gruntu, która zawierała w sobie maga. A dokładniej na jego kapelusz.

Bardzo mała błyskawica trafiła Rincewinda w nos.

- Aha! Mamy tu... - Różowe Świnki, zaglądając do rowu, zawahał się przez moment, nim podjął z namysłem: - ...głowę w dziurze... a nad nią bardzo małą ulewę.

Wtedy przyszło mu na myśl, że z ulewą czy bez, nic go nie powstrzyma przed odcięciem istotnych fragmentów byłego uciekiniera. Jedynym dostępnym istotnym fragmentem była głowa, ale to mu nie przeszkadzało.

Właśnie w tej chwili kapelusz Rincewinda dostatecznie już nasiąkł wilgocią i przegniłe drewno nie wytrzymało obciążenia. Rincewind runął w ciemność na spotkanie nieznanego losu.

* * *

Było całkiem ciemno.

Odbierał bolesne wrażenie chaosu, tuneli i osuwającej się ziemi. Założył... a przynajmniej ta część jego umysłu, która nie chlipała ze strachu, założyła, że ziemia zapadła się pod nim, i wpadł do jakiejś groty. Grota. To ważne słowo. Znalazł się w grocie. Wyciągnął rękę - bardzo ostrożnie, na wypadek gdyby czegoś dotknął - i starał się czegoś dotknąć.

Trafił na prostą krawędź. Prowadziła do dwóch innych krawędzi rozchodzących się pod kątami prostymi. Zatem... to oznaczało blok.

Ciemność wciąż była niczym duszny, aksamitny całun.

Z obecności bloku kamienia wynika, że istnieje też inne wejście do groty - normalne wejście. W tej chwili gwardziści pewnie biegną w jego stronę.

Może Bagaż biegnie z kolei w ich stronę. Ostatnio zachowywał się dziwnie, to pewne. Chyba lepiej, że go tu nie ma. Chyba...

Rincewind poklepał się po kieszeniach, powtarzając mantrę, jaką nawet niemagowie przywołują, by znaleźć zapalki, czyli szeptał rozpaczliwie pod nosem:

- Zapalki, zapalki, zapalki...

Znalazł kilka i nerwowo potarł jedną o paznokieć.

- Au!

Dymiący żółty płomyk nie oświetlił niczego poza dłonią Rincewinda i kawałkiem jego rękawa.

Rincewind przeszedł kilka kroków, nim zapalka sparzyła mu palce. Kiedy zgasła, pozostawiła niebieskie kręgi w czarnym polu widzenia.

Nie słyszał tupotu ścigających go stóp. W ogóle nic nie słyszał. W teorii powinna gdzieś kapać woda, ale powietrze wydawało się dość suche.

Sięgnął po kolejną zapalkę, ale tym razem podniósł ją jak najwyżej i wyteżył wzrok.

Uśmiechnął się do niego siedmiostopowy żołnierz.

* * *

Cohen spojrzał znowu.

- Lada chwila lunie - stwierdził. - Popatrzcie tylko na niebo.

W masie chmur pojawiały się sugestie fioletu i czerwieni, od czasu do czasu zaś jaśniejsza plama błyskawicy uderzającej gdzieś pośród nich.

- Ucz!

- Tak?

- Ty wiesz wszystko. Dlaczego ta chmura tak wygląda?

Saveloy popatrzył w kierunku wskazywanym przez Cohena. Nisko nad

horyzontem unosił się żółty pas. Obejmował cały widnokrąg: jedno wąskie pasmo, jak gdyby słońce usiłowało się przez nie przebić.

- Może szew puszcza? - zgadywał Mały Willie.

- Jaki szew?

- Gdy ma być ulewa, chmury się obrywają. Ta już się chyba rozłazi w szwach.

- Czy mi się wydaje - odezwał się Saveloy - czy naprawdę jest coraz szersza?

Caleb obserwował linie wroga.

- Cała kupa różnych gości galopuje tam i z powrotem na tych konikach - zauważył. - Mam nadzieję, że w końcu ruszą. Inaczej będziem tu tkwić cały dzień.

- Ja żem jest za tym, co by ruszyć na nich, kiedy się nie spodziewają - zaproponował Hamish.

- Czekajcie... czekajcie... - uspokajał Truckle. Dobiegły ich dźwięki licznych gongów i trzaski fajerwerków. - Wygląda na to, że te bę... te dzieci namiętności rzeczywiście się ruszą.

- Dzięki bogom! - mruknął Cohen i zgasił skręta.

Saveloy aż dygotał z podniecenia.

- Zaśpiewamy jakąś pieśń bogom, zanim pójdziemy w bój?

- Możesz, jeśli masz ochotę - zgodził się Cohen.

- Czy wzniesiemy jakieś pogańskie inkantacje albo modły?

- Raczej nie.

Cohen patrzył na niebo. Niepokoiło go o wiele bardziej niż zbliżające się szeregi nieprzyjaciół. Żółte pasmo było teraz szersze i trochę zbladło. Przez chwilę żałował, że nie ma chyba ani jednego boga czy bogini, którego świątyni nie zbezczęścił, nie obrabował albo nie spalił.

- A będziemy uderzać mieczami o tarcze i wykrzykiwać słowa wyzwania? - pytał z nadzieją Saveloy.

- Trochę już na to za późno.

Nauczyciel był tak załamany brakiem pogańskich rytuałów, że stary barbarzyńca, sam się dziwiąc swej reakcji, dodał:

- Ale nie krępuj się, jeśli lubisz takie rzeczy.

Orda dobyła rozmaitych mieczy. W przypadku Hamisha spod pledu wysunął się drugi topór.

- Zobaczymy się w niebie! - zawołał rozgorączkowany Saveloy.

- Pewno - odparł Caleb, obserwując zbliżający się szereg żołnierzy.

- Gdzie będą ucztę, młode damy i w ogóle.

- Tak, tak. - Mały Willie sprawdził palcem ostrze.

- I hulanki, i żłopanie, o ile pamiętam.

- Możliwe - przyznał Vincent, masując obolałe ścięgno.

- I będziemy robić takie te, no wiecie, co rzuca się toporem i odcina kobietom warkocze!

- Jasne. Jeśli chcesz.

- Ale...

- Co?

- Na tych ucztach... podają coś wegetariańskiego?

Nadchodząca armia wrzasnęła groźnie i ruszyła biegiem.

Pędzili na ordę niemal tak szybko jak chmury, które wrząc gwałtownie, nadpływały ze wszystkich stron.

* * *

Umysł Rincewinda tajał z wolna w ciszy i ciemności pod wzgórzem.

To posąg, tłumaczył sobie. Nic więcej. Nie ma się czym przejmować. Nawet niespecjalnie udany. Zwyczajna wielka statua człowieka w zbroi. O, tam stoi jeszcze parę, widać je na samej granicy kręgu światła...

- Au!

Upuścił zapalkę i posłał palec.

Potrzebował teraz ściany. W ścianie są wyjścia. Owszem, mogą być również wejściami, ale w tej chwili raczej nie musiał się obawiać, że wbiegnie tu jakiś gwardzista. Powietrze miało posmak starości z domieszką żelaza i lekką przyprawą błyskawic, ale poza tym wydawało się nieużywane.

Ruszył naprzód, przy każdym kroku obmacując stopą grunt.

Nagle pojawiło się światło - z palca Rincewinda skoczyła mała niebieska iskierka.

* * *

Cohen złapał się za brodę. Odsuwała się od jego twarzy.

Wianuszek włosów Saveloya stanął sztorcem na głowie.

Iskrzył.

- Wyładowania elektrostatyczne! - zawołał Saveloy.

Przed nimi rozjarzyły się piki nieprzyjaciół. Atak się załamał. Słyszeli krótkie wrzaski, kiedy iskry przeskakiwały z żołnierza na żołnierza.

Cohen uniósł głowę.

- Coś takiego - powiedział. - Spójrzcie tylko!

* * *

Drobne iskiełki zapalały się wokół Rincewinda, kiedy szedł ostrożnie po niewidzialnym gruncie.

Słowo „grobowiec” pojawiło się do rozważenia. Jednym z faktów, znanych Rincewindowi na temat grobowców, był ten, że ich budowniczowie często przejawiali niezwykłą pomysłowość w dziedzinie pułapek i ostrzy. A także umieszczali we wnętrzach różne malowidła i posągi, zapewne po to, by umarli mieli na co popatrzeć, kiedy się znudzą.

Wyciągniętą dłonią trafił na kamień. Ostrożnie ruszył w bok. Od czasu do czasu deptał coś uginającego się i miękkiego; miał nadzieję, że to błoto.

I nagle, akurat na wysokości dłoni, znalazł dźwignię. Sterczała na pełne dwie stopy.

Chwileczkę! To może być pułapka. Tyle że pułapki to zwykle, no... pułapki. Człowiek odkrywa je dopiero wtedy, kiedy jego głowa toczy się już po korytarzu parę sążni dalej. A projektanci pułapek na ogół mieli zwyczajne mordercze instynkty i nie wymagali od swych ofiar aktywnej współpracy.

Rincewind szarpnął.

* * *

Żółta chmura płynęła nad głowami w milionach fragmentów, które na fali wywołanego przez siebie wiatru poruszały się o wiele szybciej, niż mogłyby sugerować powolne uderzenia skrzydełek. Za nimi sunęła burza.

Saveloy zamrugął niepewnie.

- Motyle?

Obie walczące strony znieruchomiały, gdy motyle przelatywały nad nimi. Słyszać było nawet szelest skrzydełek.

- No dobra, Ucz - rzucił Cohen. - Może to jakoś wytłumaczysz.

- To, no... to może być całkiem naturalne zjawisko. Tego... na przykład motyle admirały znane są... właśnie... Prawdę mówiąc, nie wiem.

Chmura motyli sunęła w stronę wzgórza.

- Czy to nie znak? - zastanowił się Cohen. - Musi przecież być jakaś świątynia, której nie okradłem.

- Kłopot ze znakami i omenami - wtrącił Mały Willie - polega na tym, że nigdy nie wiesz, do kogo są skierowane. To tutaj może być całkiem dobrą wróżbą dla Honga i jego kumpli.

- No to ja ją zabieram - oświadczył Cohen.
- Nie możesz ukraść przesłania od bogów! - zaprotestował Saveloy.
- A co, jest do czegoś przybite? Nie? Na pewno nie? I dobrze. Czyli jest moje.

Wzniósł miecz. Ostatnie motyle trzepotały mu nad głową.

- Bogowie uśmiechają się do nas! - krzyknął. - Hahaha!

- Hahaha? - szepnął Saveloy.

- To żeby ich przestraszyć - wyjaśnił Cohen.

Zerknął na pozostałych ordynców. Każdy z nich lekko skinął głową.

- No dobra, chłopaki - rzekł spokojnie. - To tyle.

- Eee... co mam zrobić? - spytał Saveloy.

- Pomyśl o czymś, co cię porządnie rozzłości. Żeby aż stara krew zawrzała. Wyobraź sobie, że wróg jest wszystkim, co nienawidzisz.

- Dyrektorzy - powiedział Saveloy.

- Dobrze.

- Nauczyciele gimnastyki!

- Aha.

- Chłopcy, którzy żują gumę! - wrzasnął Saveloy.

- Patrzcie, dym mu wylatuje z uszu - zauważył Cohen. - Pierwszy na tamtym świecie czeka na resztę. Do ataku!

* * *

Żółta chmura zawirowała nad zboczami wzgórza, a potem, niesiona prądem wstępującym, wzleciała w niebo. Wzleciała ponad burzę, piętrząc się wyżej i wyżej, rozprzestrzeniając w kształt trochę podobny do młota...

Uderzyła.

Piorun trafił żelazną pagodę z taką siłą, że eksplodowała w deszczu rozpalonych do białości odłamków.

* * *

Atak siedmiu starych ludzi jest dla armii rzeczą kłopotliwą. Żaden podręcznik taktyki nie radzi, co robić w takiej sytuacji. Pojawia się tendencja do zdumienia.

Żołnierze rozstąpili się przed szarżą, a potem, kierowani prądami wielkiej ludzkiej masy, zwarli szeregi za atakującymi.

Ordę otaczał mur tarcz. Wyginał się i kołysał pod naporem ludzi, a także pod wściekłymi uderzeniami miecza Saveloya.

- No chodź, walcz! - krzyczał nauczyciel. - Palicie fajki, tak? Ty! Ten chłopak z tyłu! Może odpowiesz, co? Masz za swoje!

Cohen spojrzał na Caleba, który tylko wzruszył ramionami. Widział już ludzi opętanych bitewnym szałem, ale nikogo tak oszalałego jak Saveloy.

Krąg rozerwał się, gdy kilku ludzi próbowało odskoczyć; zderzyli się z drugim szeregiem i odbili prosto na miecze Srebrnej Ordy. Jedno z kół wózka Hamisha wymierzyło żołnierzowi zjadliwy cios w kolano, a kiedy się schylał,

napotkał jeden z toporów Hamisha sunący w przeciwnym kierunku.

Nie chodziło o szybkość - orda nie mogła poruszać się zbyt szybko. To była ekonomika. Saveloy już wcześniej zwrócił na nią uwagę. Barbarzyńcy po prostu zawsze znajdowali się tam, gdzie chcieli się znaleźć, a zatem nigdy w miejscu, gdzie trafiał czyjś miecz. Pozwalali innym biegać za siebie. Jakiś żołnierz ryzykował cięcie w stronę Truckle'a i nagle widział Cohena, który stał przed nim z uśmiechem i wzniesionym mieczem, albo Małego Williego, który kiwał mu głową z uznaniem i kłůł. Od czasu do czasu ktoś z ordynców poświęcał moment na obronę Saveloya, zbyt podnieconego, by parować ciosy.

- Cofnijcie się, durnie!

Za walczącymi pojawił się pan Hong. Miał odsuniętą przyłbicę, a jego koń stawał dęba.

Żołnierze próbowali wykonać rozkaz. W końcu napór zelżał nieco, po czym ustał. Orda stała w poszerzającym się kręgu tarcz. Panowało coś zbliżonego do ciszy, zakłócanie tylko niekończącym się gromem i trzaskami błyskawic nad wzgórzem.

Wtedy, przeciskając się gniewnie między żołnierzami, nadeszli wojownicy całkiem innego typu. Byli wyżsi, ciężiej uzbrojeni, mieli wspaniałe hełmy i wąsy, które same wyglądały jak wypowiedzenie wojny.

Jeden z nich przyjrzał się groźnie Cohenowi.

-Orrrrrr !Itiyorshu !Yutimishu !

- Czego? - zdziwił się Cohen.

- To samuraje. - Saveloy otarł pot z czoła. - Kasta wojowników. Myślę, że to było formalne wyzwanie. Tak. Chcesz, żebym z nim walczył?

Patrząc wciąż na Cohena, samuraj wyjął spod pancerza i rzucił w

powietrze skrawek jedwabiu. Drugą ręką chwycił rękojeść swego długiego, wąskiego miecza...

Prawie nie usłyszeli świstu, ale na ziemię spłynęły powoli trzy paski jedwabiu.

- Cofnij się, Ucz - powiedział wolno Cohen. - Ten jest mój. Masz jeszcze chusteczkę? Dzięki.

Samuraj spojrzał na miecz Cohena. Był długi, ciężki i miał tyle szczerb, że można by go używać jako piły.

- Nigdy ci się nią uda - stwierdził. - Takim mieczem? Nigdy.

Cohen hałaśliwie wydmuchał nos.

- Tak myślisz? To patrz.

Chusteczka poszybowała w górę. Cohen ścisnął miecz...

Zanim jeszcze chusteczka zaczęła opadać, ściął głowy trzem gapiącym się w górę samurajom. Inni członkowie ordy, którzy myśleli podobnie jak ich przywódca, załatwili dodatkowe pół tuzina.

- Caleb podsunął mi ten pomysł - wyznał Cohen. - A morał z tego brzmi: albo walczysz, albo urządzasz pokazy; twój wybór.

- Nie masz honoru! - wrzasnął pan Hong. - Jesteś zwykłym opryszkiem!

- Jestem barbarzyńcą - odparł Cohen. - A honor, jaki posiadam, jest tylko mój. Nikomu go nie ukradłem.

- Chciałem was wziąć żywcem - oznajmił pan Hong. - Jednakże nie widzę już powodów, by trzymać się tej polityki.

Dobył miecza.

- Cofnąć się, nędznicy! - ryknął. - Cofnąć się! Niech wystąpią bombardierzy!

Obejrzał się jeszcze na Cohena. Twarz mu poczerwieniała, okulary przekrzywiły się na nosie.

Stracił panowanie nad sobą. I jak to zawsze się zdarza, gdy pęka tama, fala zalewa całe krainy.

Żołnierze odstąpili.

Orda raz jeszcze stanęła w rozszerzającym się kręgu.

- Co to jest bombardier? - zapytał Mały Willie.

- Tego... wydaje mi się, że chodzi o ludzi, którzy wystrzeliwiają jakieś pociski - tłumaczył Saveloy. - Słowo pochodzi od...

- Aha, łucznicy - przerwał mu Mały Willie i splunął.

- Co?

- Powiedział, ŻE WYŚLĄ NA NAS ŁUCZNIKÓW, Hamish.

- Heheheh, żeśmy nie pozwolili, żeby łucznicy nas powstrzymali w dolinie Koom! - zarechotał antyczny barbarzyńca.

Mały Willie westchnął.

- To była bitwa między krasnoludami, a trollami. Nie jesteś ani jednym, ani drugim. To po czyjej stronie walczyłeś?

- Co?

- Pytałem, PO CZYJEJ STRONIE WALCZYŁEŚ?

- Byłem po stronie, która płaciła pieniądze za walkę - oświadczył Hamish.

- To najlepsza ze stron.

* * *

Rincewind leżał na ziemi, zasłaniając dłońmi uszy.

Głos gromu wypełniał podziemną komorę. Niebieskie i fioletowe światła jaśniały tak mocno, że widział je przez zamknięte powieki.

Wreszcie potworna kakofonia ucichła. Z zewnątrz wciąż słyszał głosy burzy, jednak światło przygasło do bladoniebieskiego lśnienia, a huk do jednostajnego brzęczenia.

Rincewind zaryzykował przewrócenie się na plecy i otwarcie oczu.

Pod stropem zwisały na pordzewiałych łańcuchach wielkie szklane kule. Każda była rozmiaru człowieka, a w ich wnętrzu trzaskały i skwierczały błyskawice, kłując szkło i szukając drogi wyjścia.

Kiedyś musiało ich tu być o wiele więcej. Przez lata dziesiątki kul spadły i leżały w kawałkach na ziemi. Na górze pozostały jednak dziesiątki innych, kołyszących się delikatnie na łańcuchach, gdy uwięzione wewnątrz błyskawice próbowały wyrwać się na wolność.

Powietrze wydawało się oleiste. Iskry sunęły po podłodze i strzelały z każdej krawędzi.

Rincewind wstał. Broda sterczała mu masą pojedynczych włosów.

Błyskawicowe kule oświeślały okrągłe jeziorko czystej - jeśli sądzić po falach - rtęci. Pośrodku wyrastała niska, pięciokątna wysepka. Nim

Rincewind zdążył się jej dokładnie przyjrzeć, pojawiła się łódka dryfująca powoli dookoła i pluszcząca cicho na rtęciowych falach.

Nie była większa od typowej łodzi wiosłowej, a na jej małym pokładzie leżała postać w zbroi. Albo może sama zbroja. Jeśli rzeczywiście była to sama zbroja, leżała z rękami złożonymi na piersi, w typowej pozycji zbroi, która odeszła do lepszego świata.

Rincewind ruszył wokół jeziora, aż trafił na płytę czegoś, co wyglądało całkiem jak złoto. Była wmurowana w podłogę przed posągiem.

Wiedział, że na nagrobkach zostawia się inskrypcje, choć nigdy nie był pewien, kto właściwie ma je czytać. Możliwe, że bogowie, choć oni przecież i tak już wszystko wiedzą. Nie wydawał mu się rozsądny pomysł, że gromadzą się przy grobie i wypowiadają uwagi w stylu: „Niech mnie, on naprawdę był Ukochanym Mężem? Nie wpadłbym na to”.

Na tym nagrobku wyryto w piktogramach tylko trzy słowa: Zwierciadło Jedyne Słońca.

Nie napisano nic o jego wielkich podbojach. Nie zamieszczono listy wybitnych osiągnięć. Nie wspomniano o mądrości, czy roli ojca swego ludu. Nie było żadnego wyjaśnienia. Ktokolwiek zna to imię, zdawał się mówić nagrobek, wie już wszystko. A twórca nie uznał chyba za możliwe, by ktokolwiek dotarł tak daleko i nie słyszał imienia Zwierciadła Jedyne Słońca.

Posąg wyglądał na porcelanowy, pomalowany w realistyczne barwy. Zwierciadło Jedyne Słońca zdawał się człowiekiem całkiem zwyczajnym. Trudno byłoby wskazać go w tłumie jako materiał na cesarza. Ale ten człowiek, w swoim małym krągłym kapeluszu i z małą krągłą tarczą, z małymi krągłymi ludźmi na małych krągłych konikach, złączył w jedno wielkie imperium tysiące walczących frakcji, często używając ich krwi jako kleju.

Rincewind przyjrzał się z bliska. Oczywiście, to tylko wrażenie, ale w

układzie ust i oczu dostrzegł wyraz, jaki ostatnio widział na twarzy Dżyngisa Cohena.

Był to wyraz twarzy człowieka, który absolutnie i całkowicie się niczego nie boi.

Łódka płynęła teraz na drugą stronę jeziora.

Jedna z kul zamigotała i ściemniała do czerwieni. Druga zrobiła to samo.

Musiał się stąd wydostać.

Zauważył jednak coś jeszcze. U stóp posągu, jakby ktoś je tam porzucił, leżał hełm, rękawice i para ciężkich butów.

Podniósł hełm. Nie wyglądał na mocny, za to okazał się całkiem lekki. Normalnie Rincewind nie dbał o odzież ochronną. Uważał, że najlepszą obroną przed każdym możliwym zagrożeniem jest znajdować się na innym kontynencie. Jednak w tej chwili zbroja wydawała się z wielu względów atrakcyjna.

Zdjął kapelusz, włożył hełm, opuścił przyłbicę i wcisnął kapelusz na czubek.

Coś mrugnęło mu przed oczami i nagle patrzył na tył własnej głowy. Obraz był ziarnisty i w odcieniach zieleni zamiast właściwych kolorów, ale zdecydowanie ukazywał tył jego głowy. Opowiadali mu kiedyś, jak wygląda.

Uniósł przyłbicę i zamrugął.

Jeziorko wciąż leżało przed nim.

Opuścił przyłbicę.

Znalazł się o pięćdziesiąt stóp dalej, z hełmem na głowie.

Pomachał ręką w górę i w dół.

Postać widoczna w przyłbicy pomachała ręką w górę i w dół.

Odwrócił się i spojrzał sobie w twarz. Tak, to był on.

W porządku, pomyślał. Magiczny hełm. Pozwala widzieć siebie z daleka. Świetny pomysł. Można oglądać, jak się wpada do różnych dziur, których się nie zauważyło, bo są tuż pod nogami.

Odwrócił się znowu, uniósł przyłbicę i zbadał rękawice. Wydawały się równie lekkie jak hełm, jednak dość niezgrabne. Można w nich złapać miecz, ale właściwie nic innego.

Przymierzył jedną. Natychmiast z cichym skwierczeniem rozjaśnił się rząd małych figurek na mankiecie. Przedstawiały żołnierzy: żołnierze kopiący, żołnierze walczący, żołnierze wspinający się...

Aha, magiczna zbroja. Całkiem zwyczajna magiczna zbroja. W Ankh-Morpork nigdy nie zyskały popularności. Nic dziwnego, że jest lekka - można je zrobić cienkie jak tkanina, jednak często bez ostrzeżenia traciły swoją magię. Ostatnie słowa wielu dawnych rycerzy brzmiały: „Nie możesz mnie zabić, bo mam magiczną aaargh”.

Rincewind podejrzliwie obejrzał buty. Przypomnił sobie, jakie kłopoty na Niewidocznym Uniwersytecie sprawił prototyp Butów Siedmiomilowych. Obuwie, które stara się zmusić użytkownika, by stawiał kroki długości siedmiu mil, wywołuje poważne naprężenia pachwinowe. Na szczęście zdążyli je na czas zdjąć ze studenta, ale i tak przez kilka miesięcy musiał nosić specjalny aparat i jadł na stojąco.

No dobrze, lecz nawet stara zbroja magiczna może się teraz przydać. Nie waży przecież wiele, a błoto Hunghung nie poprawiło stanu tego, co zostało z butów Rincewinda. Wsunął stopy w te znalezione.

Ciekawe, co się teraz stanie, pomyślał.

I wyprostował się.

Za nim, z odgłosem siedmiu tysięcy zderzających się doniczek, z błyskawicami wciąż strzelającymi w górze, stanęła na baczność Czerwona Armia.

* * *

HEX rozrósł się trochę przez noc. Adrian Rzepiszcz, który pełnił dyżur, karmił myszy, nakręcał mechanizm zegarowy i usuwał martwe mrówki, przysięgał, że nie robił nic innego i że nikt więcej nie zaglądał.

Jednak w miejscu, gdzie leżał duży i nieporęczny zestaw klocków, by z nich układać wyniki obliczeń, pośrodku sieci wielokrążków i dźwigni tkwiło teraz gęsie pióro.

- Popatrz. - Adrian nerwowo wystukał bardzo prosty problem. - To powstało po przeliczeniu tych wszystkich zakłęb zaraz po kolacji.

Mrówki ruszyły szybciej. Zakręciły się koła zębate. Sprężyny i dźwignie szarpnęły tak gwałtownie, że Myślak odstał o krok.

Pióro chwiejnie przesunęło się nad kałamarz, zanurzyło się i powróciło nad papier, który Adrian ułożył pod dźwigniami. Zaczęło pisać.

- Trochę plami - wyjaśnił bezradnie student. - Co się tu dzieje?

Myślak zastanawiał się nad tym. Ostatnie wnioski nie były pocieszające.

- No... wiemy przecież, że książki o magii stają się trochę... świadome - zaczął. - A my zbudowaliśmy maszynę do...

- To znaczy, że ona jest żywa?

- Dajmy spokój, nie warto wpadać w okultyzm. - Myślak starał się mówić z rozbawieniem. - Przecież jesteśmy magami.

- Pamiętasz ten złożony problem pól thaumicznych, który miałem wprowadzić?

- Tak. I co?

- Udzielił mi odpowiedzi o północy - rzekł Adrian z pobladłą twarzą.

- To dobrze.

- Tak, dobrze, tyle że wprowadziłem ten problem dopiero o wpół do drugiej.

- Chcesz powiedzieć, że dostałeś odpowiedź, zanim zadałeś pytanie?

- Tak!

- W takim razie po co w ogóle pytałeś?

- Przemyślałem to sobie i uznałem, że chyba muszę. Znaczący, nie mógłby znać tej odpowiedzi, gdybym mu nie powiedział, na czym polega problem. Prawda?

- Słuszna uwaga. Hm... a po co czekałeś aż dziewięćdziesiąt minut?

Adrian popatrzył na swoje spiczaste buty.

- Ja... schowałem się w wychodku. Wiesz, Zacznij z Początku mógł...

- Dobrze, dobrze. Idź, zjedz coś.

- Myślak, czy nie majstrujemy przy rzeczach, których nie rozumiemy?

Myślak spojrzał na gnomiczną bryłę maszyny. Nie wydawała się groźna,

jedynie... inna.

Pomyślał: najpierw majstrować, później rozumieć. Trzeba trochę pomajstrować, zanim dostanie się cokolwiek, co można próbować zrozumieć. Najważniejsze to nigdy, ale to nigdy nie wracać i nie chować się w Toalecie Nierozumności. Trzeba jakoś objąć umysłem wszechświat, zanim zechce się trochę go przekręcić.

Może nie powinniśmy nadawać ci imienia. Nie zastanawialiśmy się wtedy. To był taki żart. A należało pamiętać, że imiona są ważne. Rzecz z imieniem to coś więcej niż tylko rzecz.

- Idź już, Adrianie - polecił stanowczo.

Usiadł i starannie wpisał:

Halo.

Różne elementy poruszyły się.

Pióro napisało:

+ + +?????? + + + Halo + + + Zaczynij Z Początku + + +

Nad głową Myślaka wleciał przez otwarte okno niepozorny motyl o żółtych skrzydełkach z czarnym wzorem.

Myślak rozpoczął obliczenia przerzutu pomiędzy Hunghung i Ankh-Morpork.

Motyl przysiadł na moment w labiryncie szklanych rurek. Kiedy odfrunął, pozostawił po sobie maleńką plamkę nektaru.

W dole Myślak bardzo starannie wprowadzał dane.

Mała, ale znacząca mrówka, jedna z tysięcy, wyszła przez pęknięcie w

szkle i nim wróciła do pracy, przez kilka sekund ssała słodką ciecz.

Po chwili HEX udzielił odpowiedzi. Poza pewnym małym, lecz znaczącym szczegółem, była absolutnie poprawna.

* * *

Rincewind się odwrócił.

Z grzmotem trzasków i zgrzytów Czerwona Armia odwróciła się także.

Rzeczywiście była czerwona. Miała, jak zauważył Rincewind, ten sam kolor co gleba.

W ciemności zderzył się z kilkoma figurami. Nie zdawał sobie sprawy, że jest ich aż tyle. Długie szeregi niknęły w odległych cieniach.

Na próbę odwrócił się jeszcze raz. Za nim jeszcze raz rozległo się ciężkie tupanie.

Po kilku nieudanych próbach odkrył, że jedynym sposobem, by stanąć z nimi twarzą w twarz, jest zdjęcie butów, odwrócenie się i włożenie butów na powrót.

Na chwilę opuścił przyłbicę i zobaczył siebie, jak na chwilę opuszcza przyłbicę.

Wyciągnął rękę. Oni wyciągnęli ręce. Podskoczył. Oni podskoczyli z hukiem, od którego zakółsały się szklane kule. Błyskawice strzeliły spod ich butów.

Nagle ogarnęła go chęć, by wybuchnąć histerycznym śmiechem.

Dotknął nosa. Oni też dotknęli nosów. Z obląkańczą uciechą wykonał

tradycyjny gest odsyłający demony. Siedem tysięcy terakotowych środkowych palców wysunęło się w stronę sklepienia.

Próbował się uspokoić.

Określenie, którego nerwowo poszukiwał jego umysł, wypłynęło wreszcie na powierzchnię. Brzmiało: golem.

Nawet w Ankh-Morpork był jeden czy drugi. Zawsze spotykało się je w okolicach, gdzie żyli magowie lub kapłani o charakterze eksperymentatorów. Golemy na ogół to zwykłe gliniane figury, ożywiane odpowiednim zaklęciem czy modlitwą. Wykonywały proste zadania, ale ostatnio wyszły z mody. Kłopot nie polegał na zmuszeniu ich do pracy, ale na sprawieniu, by pracę przerwały. Jeśli na przykład człowiek kazał golemowi kopać ogródek i zapomniał o nim, po powrocie zastawał grządki fasoli długie na półtora tysiąca mil.

Rincewind przyjrzał się rękawicy.

Ostrożnie dotknął obrazka walczącego żołnierza.

Dźwięk siedmiu tysięcy równocześnie dobywanych mieczy przypominał rozzdzieranie grubego arkusza blachy. Siedem tysięcy ostrzy wymierzyło w Rincewinda.

Cofnął się o krok. Armia również.

Znalazł się w grocie razem z siedmioma tysiącami uzbrojonych w miecze sztucznych żołnierzy. Fakt, że chyba mógł nimi sterować, wcale go nie uspokajał. Teoretycznie przez całe życie sterował Rincewindem i co mu z tego przyszło?

Przyjrzał się małym obrazkom. Jeden z nich przedstawiał żołnierza z dwoma głowami. Kiedy go dotknął, armia wykonała w tył zwrot. Aha.

Teraz trzeba się stąd wydostać...

* * *

Orda obserwowała krzątanie wśród ludzi pana Honga. Ciągnęli na pierwszą linię jakieś ciężkie obiekty.

- Nie wyglądają mi na łuczników - zauważył Mały Willie.

- To Szczekający Pies - oświadczył Cohen. - Wiem coś o tym. Widziałem takie. Mają taką rurę pełną fajerwerków, a kiedy się je podpali, z drugiego końca wylatuje duży kamień.

- Czemu?

- A ty byś czekał, jakby ci podpalili fajerwerki koło dupy?

- Ucz, on powiedział „dupa” - poskarżył Truckle. - A tu jest napisane, że nie wolno mówić...

- Mamy przecież tarcze - przypomniał Saveloy. - Jestem pewien, że jeśli staniami blisko siebie i wystawimy tarcze nad głowy, nic nam nie grozi.

- Kamień jest wielki na stopę i rozpalony do czerwoności.

- Czyli nie tarcze?

- Nie - uznał Cohen. - Truckle, popchniesz Hamisha...

- Nie przebiegniem nawet pięćdziesięciu stóp - wtrącił Caleb.

- Lepiej pięćdziesiąt stóp teraz niż sześć za chwilę, nie?

- Brawo! - zawołał Saveloy.

- Co?

Pan Hong obserwował ordyńców. Widział, jak wieszają tarcze na wózku inwalidzkim, tworząc coś w rodzaju prymitywnego ruchomego muru, i że koła zaczynają się kręcić.

Uniósł miecz.

- Ognia!

- Stemplujemy jeszcze ładunek, panie!

- Powiedziałem: ognia!

- Trzeba uzbroić Psa, panie!

Bombardierzy zwijali się gorączkowo, ponaglani nie tyle lękiem przed gniewem pana Honga, ile przed szarżującą ordą.

Włosy Saveloya powiewały w pędzie. Gnał przed siebie, wymachiwał mieczem i wrzeszczał.

Jeszcze nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy.

Więc to jest ta tajemnica ukryta w jądrze wszechrzeczy: spojrzeć śmierci prosto w twarz i zaatakować... Wtedy świat staje się taki prosty.

Pan Hong zrzucił hełm.

- Ognia, nędzni wieśniacy! Szumowiny tej ziemi! Dlaczego muszę żądać dwa razy? Dajcie mi tę żagiew!

Odepchnął bombardiera, przykucnął obok Psa, pchnął go, kierując wylot lufy prosto w nadbiegającego Cohena, uniósł żagiew...

Grunt zafalował. Pies ryknął i przewrócił się na bok.

Z ziemi wysunęła się okrągła czerwona głowa z lekkim uśmiechem na

twarzy.

Rozległy się krzyki - to żołnierze próbowali uciekać po powierzchni, która była niczym ruchome piaski. Znikali, wznosząc chmury pyłu.

Ziemia się zapadła.

A potem się wybrzuszyła, kiedy przerażeni żołnierze wspinali się jeden na drugiego, ponieważ z ogólnego chaosu wysuwała się sama gleba w ludzkich kształtach.

Orda wyhamowała z poślizgiem.

- Co to jest? Trolle? - zdziwił się Cohen.

Widać było już dziesięć figur, pracowicie kopiących powietrze. Po chwili przestały. Jedna z nich odwróciła łagodnie uśmiechniętą twarz tam i z powrotem.

Sierżant musiał krzykami ustawić w szeregu garstkę łuczników, gdyż kilka strzał uderzyło o terakotową zbroję, całkiem bez skutku.

Inni czerwoni wojownicy wspinali się w ślad za byłymi kopaczami. Zderzali się z nimi z trzaskiem glinianych donic. Potem jak jeden mąż - albo troll, albo demon - dobyli mieczy, odwrócili się i ruszyli na armię pana Honga.

Kilku żołnierzy próbowało z nimi walczyć, ale jedynie dlatego, że tłok za plecami był zbyt gęsty, by mogli uciekać. Zginęli.

Czerwoni wojownicy wcale dobrze nie walczyli. Działali bardzo mechanicznie: każdy wykonywał te same pchnięcia, parowania i cięcia, niezależnie od tego, co robił jego przeciwnik. Ale byli zwyczajnie niepowstrzymani. Jeśli przeciwnik uniknął ciosów, lecz nie odsunął się z drogi, zostawał zdeptany - a sądząc po budowie, każdy terakotowy wojownik był niezwykle ciężki.

Natomiast fakt, że figury przez cały czas się uśmiechały, tylko zwiększał przerażenie.

- No, to naprawdę niezła sztuczka - stwierdził Cohen, sięgając po kapciuch z tytoniem.

- Jeszcze nie widziałem, żeby trolle tak walczyły - dodał Truckle.

Kolejne szeregi wychodziły z dziury w ziemi i radośnie cięły powietrze.

Pierwszy rząd maszerował naprzód w obłoku pyłu. Wielkiej armii trudno jest cokolwiek zrobić szybko. W dodatku dywizje próbujące przesunąć się bliżej, by sprawdzić, co się dzieje, wchodziły w drogę uciekającym osobnikom szukającym jakiejś kryjówki i permanentnego statusu cywila. Waliły gongi, a oficerowie usiłowali wykrzykiwać rozkazy, ale nikt nie wiedział, co gongi miałyby oznaczać ani jak należy te rozkazy wykonywać. Nie było na to czasu.

Cohen skręcił papierosa i zapalił zapalniczkę o własny podbródek.

- Dobrze - rzekł, zwracając się do świata jako takiego. - Poszukajmy tego przeklętego Honga.

Chmury na niebie nie wyglądały już tak złowieszczo, lecz wciąż było ich mnóstwo: zielonkawoczarnych i ciężkich od deszczu.

- To zadziwiające! - zawołał Saveloy.

Kilka kropli uderzyło o ziemię, pozostawiając w pyle małe kratery.

- Jasne, zgadza się - przyznał Cohen.

- niespotykany fenomen! Wojownicy wynurzający się z ziemi!

Kratery połączyły się ze sobą. Wydawało się, że i krople się łączą. Deszcz lał z nieba strumieniami.

- Nie wiem - powiedział Cohen, obserwując uciekający obok rozbity pluton. - Nigdy tu nie byłem. Może to się zdarza często.

- Przecież to jak w tym micie o człowieku, który zasiał smocze zęby i wyrosły straszliwe walczące szkielety.

- W to nie wierzę - oświadczył Caleb, gdy żołnierze przebiegli za Cohenem.

- Czemu?

- Po mojemu, jak zasiejesz smocze zęby, to powinny wyrosnąć smoki. A nie walczące szkielety. Co było na paczce?

- Nie wiem! Mit nie wspomina, że zęby były w paczkach.

- Powinno tam stać: „Sadzonki smoków”.

- Nie można wierzyć mitom - odezwał się Cohen. - Znam się na tym. Zaraz... tam jest... - dodał, wskazując dalekiego jeźdźca.

Na całej równinie zapanował chaos. Czerwoni wojownicy stanowili zaledwie przyczynę. Sprzymierzenie pięciu wodzów było i tak kruche niby szkło, więc paniczna ucieczka została natychmiast zinterpretowana jako zdradziecki atak. Nikt już nie zwracał uwagi na orde - nie miała przecież kolorowych proporców ani gongów. Nie była tradycyjnym nieprzyjacielem. Poza tym gleba zmieniła się teraz w błoto, błoto leciało na wszystkie strony i wszyscy od pasa w dół nosili te same barwy. A poziom błota się podnosił.

- Co robimy, Dżyngis? - zapytał Saveloy.

- Wracamy do pałacu.

- Dlaczego?

- Bo tam uciekł Hong.

- Ale tutaj mamy to zdumiewające...

- Słuchaj no, Ucz. Widziałem już chodzące drzewa, pajęczych bogów i wielkie zielone stwory z zębami. Nic nikomu nie przyjdzie z gapienia się i powtarzania „zdumiewające”. Mam rację, Truckle?

- Jasne. Wiecie, kiedy załatwiłem Pięciogłowego Kozła-Wampira ze Skundu, powiedzieli mi, że nie powinienem, bo to niby zagrożony gatunek. Ja im na to: Jasne, dzięki mnie. To ma być wdzięczność?

- No - zgodził się Caleb. - Po mojemu powinni ci dziękować, że dałeś im te wszystkie zagrożone gatunki, żeby mieli się o co martwić. W tył zwrot i wracaj do domu, żołnierzu!

Grupa żołnierzy, uciekająca przed czerwonymi wojownikami, zahamowała w błocie, patrząc ze zgrozą na ordę. I natychmiast wystartowała w innym kierunku.

Truckle przystanął, by nabrać tchu. Deszcz spływał mu po brodzie.

- Nie wytrzymam tego biegania - wyznał. - I jeszcze pchania przez to błoto wózka Hamisha. Zróbmy sobie przerwę.

- Co?

- Przerwę?! - zawołał Cohen. - Na bogów! Nie sądziłem, że tego doczekam! Bohater, który odpoczywa? Czy Voltan Niezniszczalny robił sobie przerwy?

- Teraz ma przerwę, Dżyngis. Jest martwy - oznajmił Caleb.

Cohen zawahał się.

- Jak to? Stary Voltan?

- Nie wiedziałeś? I Nieśmiertelny Jenkins też.

- Jenkins żyje. Widziałem go w zeszłym roku.

- Ale teraz jest martwy. Wszyscy bohaterowie wymarli, oprócz nas. Zresztą co do siebie też nie jestem pewny.

Cohen podszedł, chlapiąc błotem i złapał Caleba za koszulę.

- A co z Hrunem? Nie mógł zginąć! Jest dwa razy młodszy od nas!

- Ostatnio słyszałem, że znalazł pracę. Jest gdzieś sierżantem straży.

- Sierżantem straży? - nie dowierzał Cohen. - Za pieniądze?

- Tak.

- Ale... niby jak, za pensję?

- Mówił, że za rok może dosłuży się kapitana. Powiedział, że ta praca daje emeryturę.

Cohen zwolnił chwyt.

- Niewielu już nas zostało, Cohen - westchnął Truckle.

Cohen odwrócił się.

- No dobra! Nigdy nie było nas wielu! A ja jeszcze nie umieram! Nie wtedy, kiedy świat mogą przejąć tacy dranie jak Hong, którzy nie wiedzą nawet, co to znaczy wódz. Szumowiny. Tak nazwał swoich żołnierzy. Szumowiny. To jak ta piekielna cywilizowana gra, którą nam pokazałeś, Ucz.

- Szachy?

- Właśnie. Pionki są tam tylko po to, żeby wyróżnęła je druga strona! A król chowa się za ich plecami!

- Owszem, ale druga strona to ty, Dżyngis!

- Jasne! Jasne... no tak, wszystko się zgadza, to ja jestem wrogiem. Ale ja nie wypycham innych do przodu, żeby zginęli zamiast mnie. I nigdy nie używam ani łuków, ani tych niby-psów. Kiedy kogoś zabijam, to z bliska. Sprawa osobista. Armie? Jakaś pieprzona taktyka? Jest tylko jeden sposób walki, to znaczy wszyscy szarżują naraz, wymachują mieczami i wrzeszczą! A teraz wstawać i biegniemy za nim!

- Mamy za sobą ciężki ranek, Dżyngis - poskarżył się Mały Willie.

- Nie gadaj głupot!

- Poszedłbym do ubikacji. To przez ten deszcz.

- Najpierw dorwiemy Honga.

- Jak się schował w wychodku, to jestem za.

Dotarli do bram miasta. Były zamknięte. Setki ludzi, zwykłych obywateli i gwardzistów, obserwowały ich z murów.

Cohen pogroził im palcem.

- Nie będę powtarzał dwa razy - ostrzegł. - Wchodzę, jasne? Możemy to załatwić po dobroci albo nie po dobroci.

Beznamiętne twarze spoglądały w dół, na wychudłego starca, i wyżej, na równinę, gdzie armie pięciu wodzów walczyły ze sobą, a także - z przerażeniem - przeciw terakotowym wojownikom. I znów w dół. I wyżej. Niżej. Wyżej.

- Dobrze - mruknął Cohen. - Tylko nie mówcie potem, że was nie ostrzegałem.

Wzniósł miecz i przygotował się do ataku.

- Zaczekaj - powstrzymał go Saveloy. - Posłuchaj...

Zza muru rozległy się krzyki, kilka nerwowych rozkazów, a potem znowu krzyki. I jeszcze wrzaski.

Wrota bramy rozchyliły się, ciągnięte przez dziesiątki mieszkańców.

Cohen opuścił miecz.

- Aha - ucieszył się. - Nabrali rozumu, co?

Sapiąc nieco, ordyńcy powlekli się przez bramę. Tłum przyglądał się im w milczeniu. Kilku gwardzistów leżało martwych na ulicy. Większa ich liczba zdjęła hełmy i postanowiła doczekać nowej, świetlanej i cywilnej przyszłości, gdzie człowiek mniejszą ma szansę, by zostać pobity na śmierć przez gniewny tłum.

Wszystkie oczy wpatrywały się w Cohena. Twarze obracały się za nim jak kwiaty za słońcem.

On sam nie zwracał uwagi na ludzi.

- Crowdie Potężny? - zwrócił się do Caleba.

- Nie żyje.

- Niemożliwe. Był okazem zdrowia, kiedy widziałem się z nim parę miesięcy temu. Wyruszał z nową misją i w ogóle.

- Nie żyje.

- Co się stało?

- Słyszałeś o Straszliwym Ludożerczym Leniwcu z Ciup?

- Ten, co podobno strzeże wielkiego rubinu szalonego boga węży?

- Ten sam. No więc... rzeczywiście był.

Tłum rozstał się, by przepuścić ordę. Jedna czy dwie osoby próbowały klaskać, ale szybko je uciszono. Taką ciszę Saveloy słyszał dotąd tylko w najbardziej pobożnych świątyniach* [przyp.: Jedynym dźwiękiem, jaki orda słyszała w świątyniach, były krzyki: „Niewierny! Ukradł Drogocenne Oko naszego... twoja żona jest wielkim hipopotamem!"].

Rozlegały się jednak szepty, wznoszące się wśród tego czujnego milczenia niczym bąble powietrza w garnku wody na ogniu.

Brzmiały tak:

„Czerwona Armia. Czerwona Armia. Czerwona Armia”.

- A jak tam Organdy Mozolny? Wciąż dobrze się miewa w Howondalandzie, jak słyszałem.

- Nie żyje. Zatrucie metalem.

- Jak?

- Trzy miecze w brzuch.

„Czerwona Armia!”.

- Rębacz Mungo?

- Uznany za zabitego w Skundzie.

- Uznany?

- Wiesz, znaleźli tylko jego głowę.

„Czerwona Armia!”.

Orda zbliżyła się do wewnętrznej bramy Zakazanego Miasta. Tłum podążał za nią w bezpiecznej odległości.

Ta brama także była zamknięta, a przed nią stało dwóch potężnych gwardzistów. Wyraz twarzy mieli typowy dla ludzi, którym kazano pilnować bramy, więc zamierzają pilnować bramy, choćby nie wiem co. Wojsko opiera się na takich, którzy pilnują bram, mostów lub przejść, choćby nie wiem co, i często powstają heroiczne poematy ku ich czci. Zwykle pośmiertne.

- Gosbar Przytomny?

- Umarł w łóżku, jak słyszałem.

- Nie stary Gosbar!

- Każdy musi się czasem przespać.

- I nie tylko to musi - wtrącił Mały Willie. - Naprawdę potrzebuję do wychodka.

- No, stoisz przecież przed murem.

- Ale wszyscy patrzą. To by... nie było cywilizowane.

Cohen podszedł do gwardzistów.

- Dobra, będę się skracał. Zgoda? Wolicie raczej zginąć, niż zdradzić swojego cesarza?

Gwardziści patrzyli nieruchomo przed siebie.

- Jasne, rozumiem. - Wyjął miecz. Jakaś myśl przyszła mu do głowy. - A Nurker? - zapytał. - Wielki Nurker? Twardy jak stare buty, nie ma co.

- Ość - odparł Caleb.

- Nurker? Kiedyś zabił sześć trolli tylko...

- Uduławił się ością w owsiance. Myślałem, że wiesz. Przykro mi.

Cohen popatrzył na niego. Potem na swój miecz. I na gwardzistów. Przez chwilę trwała cisza, zakłócana tylko uderzeniami kropel deszczu.

- Wiecie, chłopcy - powiedział głosem nagle tak znużonym, że Saveloy zobaczył, jak tutaj, w chwili tryumfu, rozwiera się nagle otchłań. - Miałem zamiar odrąbać wam głowy. Ale... jaki to ma właściwie sens? Znaczy, kiedy się dobrze zastanowić, to po co? Jaka to różnica?

Gwardziści wciąż patrzyli przed siebie, ale oczy im się rozszerzały.

Saveloy obejrzał się.

- I tak w końcu umrzecie, wcześniej czy później - ciągnął Cohen. - I tyle. Przeżywasz swoje życie, jak najlepiej potrafisz, a potem to już nie ma znaczenia, bo jesteś martwy...

- Ehm... Cohen... - odezwał się Saveloy.

- Popatrzcie tylko na mnie. Całe życie ścinałem głowy i co z tego mam?

- Cohen...

Gwardziści już nie tylko patrzyli. Ich twarze wykrzywiały się w bardzo przekonujący wyraz grozy.

- Cohen!

- Tak? Co jest?

- Myślę, że powinieneś się obejrzeć.

Cohen obejrzał się.

Ulicą nadchodziło sześciu czerwonych wojowników. Tłum cofał się z niemą zgrozą.

Potem ktoś wykrzyknął:

- Przedłużone trwanie Czerwonej Armii!

Tu i tam wśród tłumu rozległy się wołania. Młoda kobieta uniosła dłoń zaciśniętą w pięść.

- Konieczny postęp dla ludu, z zachowaniem należnego szacunku dla tradycji!

Inni jej zawtórowali:

- Zasłużona działalność wychowawcza dla wrogów!

- Zgubiłam Pana Królika!

Czerwoni olbrzymi zatrzymali się z chrzęstem.

- Spójrzcie tylko! - zdziwił się Saveloy. - To wcale nie trolle! Poruszają się jak coś w rodzaju maszyny! Czy to was nie zaciekawia?

- Nie - odparł z roztargnieniem Cohen. - Myślenie abstrakcyjne nie należy do istotnych aspektów procesu myślowego barbarzyńcy. Chwileczkę, o czym to ja... - Westchnął. - A tak. Wy dwaj wolicie raczej zginąć, niż zdradzić swojego cesarza?

Gwardziści aż zeszywnieli z przerażenia.

Cohen wzniósł miecz.

Saveloy odetchnął głęboko, chwycił Cohena za rękę i wrzasnął:

- No to otwórzcie bramę i pozwólcie mu przejść!

Na moment zapanowało milczenie.

Saveloy szturchnął Cohena znacząco.

- Zachowuj się jak cesarz! - szepnął.

- Znaczy... mam chichotać, posyłać ludzi na tortury i takie rzeczy? Daj spokój!

- Nie! Zachowuj się tak, jak cesarz powinien się zachowywać!

Cohen przyjrzał się nieufnie nauczycielowi. Potem zwrócił się do gwardzistów.

- Dobra robota - pochwalił. - Wasza lojalność przynosi wam... jak to było... zaszczyt. Tak trzymać, a przewiduję awans dla obu. A teraz wpuście nas wszystkich, bo inaczej moi doniczkowi ludzie odrąbią wam stopy i będziecie musieli klęczeć w rynsztoku, szukając swoich głów.

Gwardziści rzucili miecze i padli na ziemię, by się ukorzyć.

- Od razu możecie wstawać - rzucił Cohen odrobinę miłszym tonem. - Ucz!

- Słucham?

- Jestem cesarzem, tak?

- No... ci ziemni żołnierze są chyba po naszej stronie. Ludzie uważają, że zwyciężyłeś. Wszyscy żyjemy. Owszem, powiedziałbym, że wygraliśmy.

- A jak jestem cesarzem, to mogę każdemu mówić, co ma robić, tak?

- W samej rzeczy.

- Ale jak należy, rozumiesz. Zwoje pergaminów i różne takie. Pętaki w

mundurach, którzy dmuchają w trąby i wrzeszczą: „To jest to, czego on od was chce!”.

- Aha, chcesz ogłosić proklamację?

- Tak. Koniec z tym durnym padaniem na ziemię. Aż mnie wstrząsa od tego. Żadnego padania nikogo przed nikim. Kiedy ktoś mnie spotka, może zasalutować albo lepiej dać mi trochę pieniędzy. Ale żadnego walenia głową o ziemię. Tylko ciarki mnie wtedy przechodzą. A teraz ułóż to jakoś i zapisz, żeby dobrze brzmiało.

- Już się robi. I...

- Czekaj, jeszcze nie skończyłem. - Cohen przygryzł wargę, skupiony na nowym dla siebie wysiłku umysłowym. - Tak. Możesz dodać, że wszyscy więźniowie mają być uwolnieni, chyba że zrobili coś naprawdę paskudnego, na przykład chcieli kogoś otruć. Sam ustalił szczegóły. Wszystkim oprawcom należy uciąć głowy. A każdy wieśniak może za darmo dostać świnie... coś w tym rodzaju. Dołóż do tego odpowiednie zawijasy typu „z rozkazu” i tak dalej.

Spojrzał na gwardzistów.

- Wstawać, mówię. Przysięgam, następny tuman, który pocałuje przede mną ziemię, dostanie kopniaka w sam kurnik. Jasne? A teraz otwierajcie bramę.

Tłum krzyczał z radości. Gdy orda wkroczyła do Zakazanego Miasta, ludzie szli za nią czymś pośrednim między rewolucyjną szarżą, a pełnym szacunku marszem.

Czerwoni wojownicy zostali na zewnątrz. Jeden z nich podniósł chrześzczącą terakotową stopę i ruszył przed siebie. Szedł tak, aż zderzył się z murem. Zataczał się przez chwilę, ale w końcu udało mu się stanąć o łokieć czy dwa od ściany.

Uniósł rękę i palcem napisał chwiejnie w czerwonym pyłe, który na mokrym tynku zmienił się w rodzaj farby:

RATUNKU POMOCY TO JA TU NA RÓWNINIE
RATUNKU NIE MOGE ZDJĄĆ TEJ PIEKIELNEJ ZBROI

* * *

Krzycząc i śpiewając, tłum sunął falą za Cohenem. Gdyby barbarzyńca miał deskę surfingową, mógłby na niej popłynąć. Deszcz bębnił ciężko o dachy i zalewał dziedzińce.

- Czemu się tak cieszą? - zdziwił się Cohen.

- Myślą, że obrabujesz pałac - wyjaśnił Saveloy. - Widzisz, słyszeli już o barbarzyńcach. Też chcą coś z tego mieć. A poza tym spodobał im się ten pomysł ze świnią.

- Hej, ty! - wrzasnął Cohen na chłopaka, który zataczał się pod ciężarem wielkiej wazy. - Nie dotykaj moich rzeczy swoimi złodziejskimi łapami! To cenne! To...

- To dynastia S'ang - odpowiedział Saveloy.

- Właśnie - potwierdziła waza.

- To dynastia S'ang, wiesz? Odlóż ją! A wy tam z tyłu... - Machnął mieczem. - Ściągajcie buty! Niszczycie podłogę! Patrzcie, w jakim jest stanie!

- Wczoraj nie przejmowałeś się podłogą - przypomniał Trackie.

- Wtedy nie była moja.

- Owszem, była - wtrącił Saveloy.

- Ale nie jak należy. Prawo podboju, to się liczy. Krew. Ludzie rozumieją krew. Jak wejdiesz tak sobie i przejmiesz tron, nikt nie potraktuje cię poważnie. Ale morza krwi... to każdy zrozumie.

- Góry czaszek - dodał z aprobatą Truckle.

- Popatrz na historię - mówił dalej Cohen. - Kiedy tylko... Hej, człowieku w kapeluszu, to mój...

- Inkrustowany mahoniowy stół do gry w Shibo Yangcong-san - mruknął Saveloy.

- ...więc go odłóż, słyszysz? Kiedy tylko trafiasz na jakiegoś króla, co o nim wszyscy mówią: „O, to był dobry król, nie ma co”, możesz postawić własne sandały, że to wielki, brodaty suczy syn, który rozbijał głowy i rechotał przy tym. Nieprawda? Ale jakiś król, który wprowadzał porządne, choć drobne prawa, czytał księgi i starał się wyglądać na inteligentnego... „Och - mówią wtedy - jasne, był w porządku, trochę miękki, nie nazwałbym go prawdziwym królem”. Tacy są ludzie.

Saveloy westchnął.

Cohen uśmiechnął się szeroko i klepnął go w plecy tak mocno, że nauczyciel zatoczył się na dwie kobiety próbujące wynieść spiżowy posąg Ly Tin Wheedle'a.

- Trudno się z tym pogodzić, Ucz, prawda? Nie możesz pojąć? Tym się nie zajmuj. W zasadzie nie jesteś barbarzyńcą. Odłóż tę nieszczęsną statuetkę, paniusiu, bo poczujesz płaz mojego miecza, jakem Cohen!

- Ale miałem nadzieję, że możemy tego dokonać tak, by nikomu nie zrobić krzywdy. Używając mózgów.

- Niemożliwe. Historia tak nie działa. Najpierw krew, potem mózg.
- Góry czaszek - wtrącił Truckle.
- Musi przecież istnieć jakiś sposób lepszy niż walka - upierał się Saveloy.
- Jasne. Całe mnóstwo. Tylko żaden nie działa. Caleb, zabierz te... te...
- ...piękne miniatury Bhong... - wymamrotał Saveloy.
- ...zabierz je temu gościowi. Jedną ma pod kapeluszem.

Otworzyły się przed nimi kolejne rzeźbione wrota. Sala była już zatłoczona, ale gdy skrzydła wrót się rozwarły, ludzie cofnęli się szybko. Starali się wyglądać na gorliwych, jednocześnie unikając wzroku Cohena.

Kiedy się rozstąpili, pozostawili na środku samotnego Sześć Dobroczynnych Wiatrów. Dworzanie precyzyjnie opanowali ten manewr.

- Góry czaszek - powtórzył Truckle. Nie należał do takich, co szybko rezygnują.

- Eee... widzieliśmy, jak Czerwona Armia powstaje z ziemi, no... tak jak przepowiedziano. Hm... w istocie jesteś preinkarnacją Zwierciadła Jedyne Słońca.

Niski poborca miał dość przyzwoitości, by zrobić zakłopotaną minę. Jak na przemówienia, jego osiągało poziom dramatyzmu porównywalny z tym, które tradycyjnie zaczyna się od słów: „Panie, twój ojciec, król...”. Poza tym nigdy, aż do teraz, nie wierzył w legendy. Nawet w tę o wieśniaku, który co roku skrupulatnie i uczciwie wypełnia zeznanie podatkowe.

- Tak, jasne - rzucił Cohen.

Podszedł do tronu i wbił miecz w podłogę. Klinga wibrowała.

- Niektórym z was trzeba będzie uciąć głowy, dla ich własnego dobra - oświadczył. - Ale jeszcze nie postanowiłem komu. I niech ktoś pokaże Małemu Williemu, gdzie jest wychodek.

- Nie trzeba - uspokoił go Mały Willie. - Po tym, jak te czerwone posągi tak nagle wylazły mi za plecami.

- Góry... - zaczął Truckle.

- Nic nie wiem o górach - przerwał mu Cohen.

- A gdzie jest Wielki Mag? - zapytał drżącym głosem Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

- Wielki Mag? - powtórzył Cohen.

- Tak, Wielki Mag, który przywołał z ziemi Czerwoną Armię.

- Nic o nim nie wiem.

Tłum przesunął się naprzód, gdy przez drzwi wbiegła kolejna grupa.

- Idą tu!

Terakotowy wojownik wkroczył do sali. Głośno tupał. Na twarzy miał bardzo delikatny uśmiech.

Staął, kołysząc się lekko. Ociekał wodą.

Ludzie cofali się ze zgrozą - z wyjątkiem ordy, jak zauważył Saveloy. Wobec nieznanego, ale strasznego zagrożenia, ordynicy byli albo zdziwieni, albo rozniewani.

Zaraz się jednak pocieszył. Wcale nie byli lepsi, po prostu inni. Dobrze sobie radzą wobec ogromnych i strasznych kreatur, lecz wystarczy poprosić, żeby przeszli się ulicą i kupili torbę ryżu, a stają się bezradni jak dzieci.

- Co mam teraz zrobić, Ucz? - szepnął Cohen.

- Wiesz, jesteś cesarzem. Chyba powinienes do niego przemówić.

- Dobra.

Cohen wstał i uprzejmie skinął olbrzymowi z terakoty.

- Dzień dobry - powiedział. - Niezła robota tam pod murami. Ty i reszta twoich chłopaków możecie wziąć dzień wolny, żeby zasadzić w sobie geranium albo co tam robicie. Właśnie... macie jakiegoś olbrzyma numer jeden, z którym powinienem pogadać?

Terakotowy wojownik zachrząścił, podnosząc w górę jeden palec.

Potem przycisnął dwa palce do przedramienia i znowu podniósł jeden.

Wszyscy dworzanie zaczęli mówić jednocześnie.

Olbrzym pociągnął dwoma palcami za śladowo wyrzeźbione ucho.

- Cóż to może oznaczać? - zdziwił się Sześć Dobroczynnych Wiatrów.

- Wydaje się to trudne do uwierzenia - stwierdził Saveloy - ale mamy chyba do czynienia ze starożytną metodą komunikacji, używaną w krainie krwiożerczych upiorów.

- Rozumie go pan?

- Tak, chyba tak. Musimy starać się odgadnąć słowo albo zdanie. Próbuje nam przekazać... zaraz... Jedno słowo, dwie sylaby. Pierwsza brzmi...

Olbrzym przycisnął do przedramienia tym razem jeden palec.

- ...jak pierwsza sylaba...

Olbrzym wysunął rękę w bok, a drugą przesunął palcami po brzuchu, jakby grał na jakimś strunowym instrumencie.

- Lutnia... grajek... - zgadywał Saveloy. - Trubadur... gitara... minstrel...

Olbrzym szybko stuknął palcem w nos i wykonał bardzo ociężały, bardzo hałaśliwy taniec. Fragmenty terakotowej zbroi stukały o siebie.

- Minstrel! Pierwsza sylaba brzmi mins - stwierdził Saveloy.

- Ehm...

Obszarpany człowieczek przecisnął się do przodu. Nosił okulary z jednym pękniętym szkłem.

- Przepraszam - powiedział. - Chyba się domyślam...

* * *

Pan Fang i kilku jego najbardziej zaufanych oficerów zebrało się u stóp wzgórza. Dobry generał zawsze wie, kiedy opuścić pole bitwy. Jeśli chodzi o pana Fanga, ta chwila następowała, kiedy widział zbliżającego się nieprzyjaciela.

Jego ludzie byli wstrząśnięci. Nie próbowali stawić czoła Czerwonej Armii. Ci, którzy spróbowali, już nie żyli.

- Trzeba... się przegrupować - wysapał pan Fang. - Potem zaczekamy do zmroku i... co to jest?

Spomiędzy krzaków rosnących nieco wyżej na zboczu, gdzie osuwająca się ziemia pozostawiła jeszcze jedną zarośniętą dolinkę, dobiegały rytmiczne odgłosy.

- Brzmi, jakby cieśla pracował, panie - stwierdził jeden z żołnierzy.

- Tutaj? W samym środku wojny? Idźcie sprawdzić, co się tam dzieje!

Żołnierz zaczął się wspinać. Po chwili odgłosy piłowania ustały.

I rozległy się znowu.

Pan Fang usiłował obmyślić nowy plan bitwy, zgodny z Dziewięcioma Użytecznymi Zasadami. Rzucił mapę.

- Dlaczego to nie przestaje? Gdzie kapitan Nong?

- Nie wrócił, panie.

- Więc idźcie i sprawdźcie, co się z nim stało.

Pan Fang spróbował sobie przypomnieć, czy wielki mędrzec wojskowości wspominał cokolwiek o walce z wielkimi, niezniszczalnymi posągami. Chyba...

Piłowanie ucichło. Po chwili zastąpiły je odgłosy przybijania.

Pan Fang obejrzał się.

- Czy można tu w ogóle liczyć na wykonanie jakiegoś rozkazu?! - ryknął.

Sięgnął po miecz i pogramolił się w górę. Krzaki rozsunęły się przed nim. Zobaczył polankę. Zobaczył pędzący kształt na setkach małych nóg...

Usłyszał trzask.

* * *

Deszcz padał tak gęsty, że krople musiały czekać w kolejce. W niektórych miejscach warstwa czerwonego iłu miała setki stóp grubości. Dawała dwa, często trzy plony rocznie. Była bogata. Była żyzna. Zmoczona, była też wyjątkowo lepka.

Ocaleni żołnierze opuszczali pole bitwy, chlupiąc, czerwoni od stóp do głów jak wojownicy z terakoty. Nie licząc tych zdeptanych, Czerwona Armia właściwie nie zabiła wielu ludzi. Groza dokonała dzieła. Więcej żołnierzy zginęło w krótkich starciach między armiami oraz - w zamieszaniu i ucieczce - zostało zabitych przez własnych kolegów* [przyp.: „Przyjacielskie pchnięcie”, jak określa się to oficjalnie.].

Terakotowa armia miała całe pole tylko dla siebie. Jej żołnierze świętowali zwycięstwo na wiele sposobów. Liczna grupa chodziła w kółko, brnąc przez lepkie błoto, jakby to było nieczyste powietrze. Inni kopali okop, którego ściany spływały na nich w ulewnym deszczu. Kilku starało się wspiąć na mur, którego nie było. Niektórzy, być może wskutek wysiłku następującego po długich wiekach bez serwisu, spontanicznie eksplodowali w fontannach niebieskich iskier. Takie gorące, czerwone szrapnele okazały się głównym czynnikiem powodującym wysokie straty nieprzyjaciela.

Przez cały czas lał deszcz - nieprzerwana ściana wody. Nie wydawał się naturalny. Wyglądał, jakby morze postanowiło odzyskać ląd metodą desantu powietrznego.

Rincewind zamknął oczy. Błoto pokrywało zbroję. Nie widział już obrazków, co przyniosło mu ulgę, gdyż był niemal pewien, że coś pokręcił. Mógłby wiedzieć to, co widział każdy pojedynczy żołnierz - to znaczy zapewne by mógł, gdyby wiedział, do czego służą te co dziwaczniejsze klawisze i jak je naciskać we właściwym porządku. Nie wiedział jednak. Zresztą ktokolwiek stworzył magiczną zbroję, nie przewidział, że będzie używana po kolana w błocie i w nurcie pionowej rzeki. Od czasu do czasu coś w niej skwierczało. Jeden but stawał się coraz bardziej gorący.

A tak dobrze się zapowiadało! Zadziałało jednak to, co zaczynał już określać czynnikiem Rincewinda. Prawdopodobnie jakiś inny mag

wyprowadziłby armię, nie zmókłby w ulewie, a teraz paradowałby ulicami Hunghung. Ludzie rzucaliby mu kwiaty i powtarzali: „Tak, to prawdziwy Wielki Mag, nie ma co”.

Jakiś inny mag pewnie by nie nacisnął błędnego obrazka i nie kazał tym figurom kopać.

Zdał sobie sprawę, że pogrąża się w żalu nad sobą. A także w błocie. Coraz bardziej. Nie warto było nawet próbować wyciągać nogi - druga stopa tylko zagłębiała się i mocniej rozgrzewała.

Błyskawica uderzyła w ziemię gdzieś niedaleko. Usłyszał syk, zobaczył parę, poczuł mrowienie i smak płonącej cyny.

Kolejny piorun trafił terakotowego wojownika. Tors eksplodował, rozrzucając krople lepkiej, czarnej smoły. Nogi przeszły jeszcze kilka kroków i znieruchomiały.

Woda oblewała Rincewinda, gęsta teraz i czerwona, gdyż rzeka Hung wystąpiła z brzegów. A błoto wsysało go nadal, niczym dziurawy ząb.

Coś przepłynęło obok w mętnej wodzie. Wyglądało jak kawałek papieru.

Rincewind zawahał się, po czym niezgrabnie wyciągnął rękę i chwycił to w rękawicę.

Jak się spodziewał, był to motyl.

- Dziękuję ci bardzo - powiedział Rincewind z goryczą.

Woda przeciekła mu między palcami.

Na wpół zacisnął dłoń, potem westchnął i jak najdelikatniej przesunął motyla na czubek palca. Wilgotne skrzydełka zwisały bezużytecznie.

Rincewind osłonił motyla drugą dłonią i dmuchnął na niego kilka razy.

- No już, leć sobie.

Motyl odwrócił się. Jego fasetowe oczy na moment błysnęły zielenią. Na próbę machnął skrzydełkami.

Przestał padać deszcz.

Zaczął padać śnieg, ale tylko nad miejscem, gdzie stał Rincewind.

- No tak - powiedział Rincewind. - Rzeczywiście. Naprawdę, bardzo ci dziękuję.

Życie jest, jak słyszał, niczym ptak wlatujący z ciemności do zatłoczonej sali, a potem wylatujący przez drugie okno w nieskończoną noc. W przypadku Rincewinda ten ptak zdążył sobie jeszcze ulżyć prosto do jego talerza.

Śnieżyca ustała. Chmury z niewiarygodną szybkością odpłynęły z kopuły nieba. Błysnęło słońce i błoto natychmiast zaczęło parować.

- Tu jesteś! Wszędzie cię szukaliśmy!

Rincewind próbował się odwrócić, ale w błocie okazało się to niemożliwe. Usłyszał plaśnięcie - to deska wylądowała na mokrej mazi.

- Śnieg na głowie? W pełnym słońcu? To on, powiedziałem sobie, bez wątpienia.

Stuknęła kolejna deska.

Nieduża lawina zsunęła się z hełmu i spłynęła Rincewindowi na kark.

Następne plaśnięcie i deska upadła na błoto obok niego.

- To ja, Dwukwiat. Nic ci się nie stało, stary przyjacielu?

- Chyba stopa mi się zagotowała, ale poza tym jestem radosny jak ptaszek.

- Wiedziałem, że to ty grasz w te szarady - powiedział Dwukwiat.

Chwycił Rincewinda pod pachy i szarpnął.

- Odgadliście sylabę „wind”? Trudno ją było zdalnie pokazać.

- Żaden z nas na to nie wpadł. Ale kiedy on zrobił: „oszlag-szlagszlag zaraz tu zginę”, wszyscy trafili to za pierwszym razem. Bardzo pomysłowe. Ehm. Chyba utknąłeś.

- To przez magiczne buty.

- Możesz jakoś je zrzucić? To błoto w słońcu twardnieje jak... no, jak terakota. Ktoś może tu później zajrzeć i je wykopać.

Rincewind spróbował poruszyć stopami. Rozległ się cichy subbłotny bulgot i nogi wysunęły się ze stłumionym mlaśnięciem. Wreszcie, po ciężkim wysiłku, Rincewind usiadł na desce.

- Przykro mi z powodu tych wojowników - powiedział. - Na początku wszystko wydawało się całkiem łatwe, ale potem pomieszały mi się te obrazki i nie umiałem ich zmusić, żeby przestali coś robić...

- Przecież odniosłeś wspaniałe zwycięstwo! - zawołał Dwukwiat.

- Naprawdę?

- Pan Cohen został mianowany cesarzem!

- Naprawdę?

- No, właściwie to nie został, bo nikt go nie mianował. Po prostu przyszedł i zasiadł na tronie. Wszyscy teraz mówią, że jest preinkarnacją

pierwszego cesarza, a on sam mówi, że jeśli chcesz zostać Wielkim Magiem, to nie ma nic przeciwko temu.

- Słucham? Chyba źle coś zrozumiałem...

- Poprowadziłeś Czerwoną Armię, prawda? Sprawileś, że powstała w godzinie próby Imperium.

- Wiesz, nie powiedziałbym, że to dokładnie tak...

- Więc cesarz chce cię wynagrodzić. Ładnie z jego strony.

- Co to znaczy: nagrodzić? - zapytał podejrzliwie Rincewind.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. Właściwie to powiedział... - Dwukwiat przymknął oczy, wytyżając pamięć. - Powiedział: „Idź i poszukaj Rincewinda; powtórz mu, że może i jest ofertą, ale przynajmniej porządnym facetem, więc może zostać Szefem Magii Imperium, czy jak to tam zechce nazwać, bo nie ufam wam, zagranicznym...” - Dwukwiat wznosił oczy ku niebu, próbując sobie przypomnieć słowa Cohena - „...domowi pomyślnego aspektu... zapachowi drzew sosny... pętałom”.

Słowa przesaczyły się w uszy Rincewinda, wśliznęły do mózgu i zaczęły tłuc o ściany.

- Szefem Magii? - zapytał.

- Tak powiedział. No... właściwie to powiedział, że chce, abyś został bryłą wymiocin jaskółki, ale to dlatego, że użył niskiego, smutnego tonu zamiast wysokiego i dociekliwego. Ale na pewno chodziło mu o maga.

- Całego Imperium?

Rincewind wstał.

- Za chwilę zdarzy się coś złego - oznajmił.

Niebo było już całkiem błękitne. Kilku obywateli zapuściło się na pole bitwy, by opatrzyć rannych i zebrać poległych. Wojownicy z terakoty stali pochyleni pod różnymi kątami, nieruchomi jak głazy.

- Lada moment...

- Chyba powinniśmy wracać.

- Prawdopodobnie uderzy meteoryt.

Dwukwiat spojrzął na spokojne niebo.

- Znasz mnie - powiedział Rincewind. - Zawsze kiedy już prawie coś chwytam, przychodzi los i skacze mi po palcach.

- Nie widzę żadnych meteorytów - zapewnił Dwukwiat. - Jak długo powinniśmy czekać?

- No to coś innego - odparł Rincewind. - Ktoś wyskoczy nagle albo nastąpi trzęsienie ziemi.

- Skoro tak twierdzisz - zgodził się uprzejmie Dwukwiat. - Hm... chcesz czekać na coś okropnego tutaj, czy może wolisz przejść do pałacu, wziąć kąpiel, przebrać się i wtedy sprawdzić, co się stanie?

Rincewind zgodził się, że równie dobrze może oczekiwać przerażającego losu w komfortowych warunkach.

- Będzie uczta - obiecał Dwukwiat. - Cesarz obiecał, że wszystkich nauczy żłobania.

Powoli, deska za deską, przesuwali się w kierunku miasta.

- Wiesz, przysięgłbym, że nic nie wspomniałeś o swoim małżeństwie.

- Jestem przekonany, że tak.

- Było mi, wiesz... Było mi przykro, kiedy się dowiedziałem, że twoja żona, tego...

- Różne rzeczy zdarzają się podczas wojny. Mam jeszcze dwie posłuszne córki.

Rincewind otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale szczęśliwy, kruchy uśmiech Dwukwiata sprawił, że słowa zamarły mu w krtani.

Szli dalej bez słowa; podnosili deski za sobą i wydłużali chodnik z przodu.

- Wracając do radośniejszych wydarzeń - odezwał się Dwukwiat, przerywając milczenie - cesarz powiedział, że jeśli chcesz, możesz założyć własny uniwersytet.

- Nie! Nie! Niech ktoś mnie szybko walnie żelazną sztabą! Proszę!

- Stwierdził, że bardzo ceni edukację, pod warunkiem że nikt go do niej nie zmusza. Wydaje proklamacje jak szalony. Eunuchowie zagrozili strajkiem.

Deska Rincewinda upadła na błoto.

- A co takiego robią eunuchowie, że mogą przestać to robić, kiedy zastrajkują?

- Podają posiłki, ścielą łóżka... takie rzeczy.

- Aha.

- Właściwie to dzięki nim funkcjonuje Zakazane Miasto. Ale cesarz przekonał ich do swojego punktu widzenia.

- Naprawdę?

- Powiedział, że jeśli natychmiast nie wezmą się do roboty, obetnie im wszystko pozostałe. Hm. Wydaje mi się, że grunt jest już dość twardy.

Własny uniwersytet. Wtedy byłby... nadrektorem. Nadrektor Rincewind wyobraził sobie, jak składa wizytę na Niewidocznym Uniwersytecie. Mógłby nosić kapelusz z bardzo wysokim szpicem. Mógłby wobec każdego zachowywać się nieuprzejmie. Mógłby...

Starał się powstrzymać od takich myśli. Na pewno coś pójdzie źle.

- Oczywiście - podjął Dwukwiat - jest możliwe, że te złe rzeczy już ci się przydarzyły. Myślałeś o tym? Może już czas na coś przyjemnego?

- Przestań mi opowiadać o tych zabawach z karmą. W moim przypadku koło fortuny straciło kilka szprych.

- Ale warto sobie to przemyśleć.

- Niby co? Że reszta mojego życia będzie spokojna i wygodna? Przykro mi, ale nie. Zaczekaj tylko. Wystarczy, że odwrócę się plecami i... bang!

Dwukwiat rozejrzał się z pewnym zaciekawieniem.

- Nie wiem, dlaczego uważasz, że twoje życie było takie złe. Mieliśmy niezłą zabawę, kiedy byliśmy młodzi. A pamiętasz, jak raz wylecieliśmy za krawędź świata?

- Często to wspominam - przyznał Rincewind. - Zwykle koło trzeciej nad ranem.

- Albo jak lecieliśmy na smoku, a on zniknął w powietrzu?

- Wiesz, czasami mija cała godzina, kiedy udaje mi się nie pamiętać.

- Albo jak zaatakowali nas ci ludzie, którzy chcieli nas zabić?

- A którą ze stu czterdziestu okazji masz na myśli?

- Takie przeżycia wzmacniają charakter - oświadczył rozczulony Dwukwiat. - Uczyniły mnie tym, kim jestem dzisiaj.

- No tak - zgodził się Rincewind. Rozmowa z Dwukwiatem nie wymagała najmniejszego wysiłku. Ufna natura małego człowieczka nie знаła pojęcia ironii i obdarzyła go niezwykłą umiejętnością niesłyszenia tego, co mogłoby wyprowadzić go z równowagi. - Tak, stanowczo mogę stwierdzić, że te przeżycia mnie też uczyniły tym, kim jestem dzisiaj.

Wkroczyli do miasta. Ulice były praktycznie opustoszałe. Większość mieszkańców zgromadziła się na ogromnym placu przed pałacem. Powszechnie wiadomo, że nowi cesarze mają skłonność do demonstracji swej szczodroblewości. Poza tym rozeszły się już wieści, że ten jest inny i rozdaje świnie za darmo.

- Słyszałem, jak wspominał o wysłaniu poselstwa do Ankh-Morpork - opowiadał Dwukwiat, kiedy człapali już po ulicy. - Podejrzewam, że wywoła tym liczne dyskusje.

- Czy był wtedy w pobliżu ten... ten Wnętrznosci Sobie Wypruwam Honorowo?

- Tak.

- Kiedy odwiedziłeś Ankh-Morpork, spotkałeś tam człowieka o nazwisku Dibbler?

- Ależ tak!

- Jeśli ci dwaj choćby podadzą sobie ręce, obawiam się, że nastąpi eksplozja.

- Ale i ty mógłbyś wrócić, jestem pewien. Przecież twój nowy uniwersytet będzie potrzebował wyposażenia. Poza tym, o ile dobrze

pamiętam, mieszkańcom Ankh-Morpork bardzo zależy na złocie.

Rincewind zacisnął zęby. Wizja nie chciała odpłynąć: wizja nadrektora Rincewinda, który kupuje Wieżę Sztuk, każe ponumerować wszystkie kamienie i odesłać je do Hunghung; nadrektora Rincewinda, który wynajmuje całe ciało profesorskie i zatrudnia ich jako woźnych; nadrektora Rincewinda, który...

- Nie!

- Słucham?

- Nie próbuj mnie zachęcać do takich myśli! Jak tylko uznam, że jednak się to opłacało, zaraz zdarzy się coś strasznego.

Wyczuł jakieś poruszenie za plecami i nagle ktoś przycisnął mu do krtani ostrze noża.

- Wielka Bryła Wymiocin Jaskółki? - zapytał głos przy jego uchu.

- Właśnie - powiedział Rincewind. - Widzisz? Uciekaj! Nie stój tak, nieszczęsny durniu! Uciekaj!

Dwukwiat patrzył na niego przez chwilę, po czym odwrócił się i odbiegł.

- Niech ucieka - zdecydował głos. - On się nie liczy.

Rincewind został wciągnięty w zaułek. Odniósł mgliste wrażenie zbroi i błota; napastnicy doskonale opanowali sztukę wleczenia jeńca w taki sposób, by nie miał szans się zapierać.

Potem rzucono go na bruk.

- Według mnie wcale nie wygląda na wielkiego - stwierdził dumny głos.
- Podnieś głowę, Wielki Magu.

Zabrzmiął nerwowy chichot żołnierzy.

- Durnie! - złościł się pan Hong. - To tylko człowiek! Przyjrzyjcie mu się! Czy wygląda na potężnego? Zwykły człowiek, który odkrył jakieś dawne sztuczki. Przekonamy się, czy pozostanie taki wielki bez rąk i nóg.

- Oj - powiedział Rincewind.

Pan Hong pochylił się nad nim. Miał błoto na twarzy i błyski szaleństwa w oczach.

- Zobaczymy, co wtedy zrobi ten twój barbarzyński cesarz. - Skinął na grupę ubłoconych, ponurych żołnierzy. - Wiesz, oni niemal wierzą, że naprawdę jesteś wielkim magiem. To przesąd, niestety. Użyteczny na ogół, ale czasami paskudnie niewygodny. Ale kiedy doprowadzimy cię na plac i pokażemy im, jaki naprawdę jesteś wielki, twojemu barbarzyńcy niewiele już życia zostanie. Co to jest?

Zerwał z dłoni Rincewinda rękawice.

- Zabawki - mruknął. - Rzeczy zrobione, a nie wyczarowane. Czerwona Armia to zwykłe maszyny, jak młyny albo pompy. Nie ma w tym żadnej magii.

Odrzucił rękawice i skinął na jednego z żołnierzy.

- Teraz - rzekł - pójdziemy na plac Imperialny.

* * *

- Hamish, chciałbyś zostać gubernatorem Bhangbhangduc i wszystkich tych wysepek dookoła? - zapytał Cohen, gdy orda pochyliła się nad mapą Imperium. - Lubisz morze?

- Co?

Drzwi sali tronowej otworzyły się z trzaskiem. Wbiegł Dwukwiat, a za nim Jedna Wielka Rzeka.

- Pan Hong złapał Rincewinda! Zabije go!

Cohen uniósł głowę.

- Może się przecież stamtąd wyczarować, nie?

- Nie! Nie ma już Czerwonej Armii! On go zabije! Musicie coś zrobić!

- No tak, ale wiadomo, jak to jest z magami - stwierdził Truckle. - Zbyt wielu ich na świecie...

- Nie. - Cohen westchnął i sięgnął po miecz. - Idziemy.

- Zaraz, Dżyngis...

- Powiedziałem: idziemy. Nie jesteśmy tacy jak Hong. Rincewind to szczur, ale nasz szczur. To co, ruszacie ze mną czy nie?

* * *

Kiedy orda wybiegła z pałacu, pan Hong ze swoim oddziałem dotarł już niemal do stóp szerokich schodów wiodących do bramy. Otaczał ich tłum gapiów odpychany przez żołnierzy.

Pan Hong mocno trzymał Rincewinda i przystawiał mu nóż do gardła.

- O, cesarz - powiedział po ankhmorporsku. - Znowu się spotykamy. Szach, jak sądzę.

- O co mu chodzi? - szepnął Cohen.

- Uważa, że przyparł cię do muru - wyjaśnił Saveloy. - Skąd wie, że nie pozwolę magowi zginąć?

- Obawiam się, że to psychologia.

- Przecież to nie ma sensu! - krzyknął Cohen. - Jeśli go zabijesz, sam zginiesz parę sekund później! Osobiście o to zadbam!

- Otóż wcale nie - odparł pan Hong. - Kiedy wasz Wielki Mag zginie, kiedy ludzie zobaczą, jak łatwo go zabić... jak długo pozostaniesz cesarzem? Zwyciężyłeś dzięki sztuczkom!

- Jakie są twoje warunki? - zapytał Saveloy.

- Nie mam żadnych. Niczego nie możecie mi ofiarować, czego sam nie potrafiłbym sobie wziąć.

Pan Hong wyrwał jednemu z żołnierzy kapelusz Rincewinda i wcisnął go jeńcowi na głowę.

- To twoje - syknął. - „Maggus”, co? Nie umiesz nawet dobrze pisać! I co, maggu? Nie chcesz jeszcze czegoś powiedzieć?

- Och, nie!

Pan Hong uśmiechnął się pogardliwie.

- Tak już lepiej - pochwalił.

- Och, nieeee!

- Doskonale.

- Aarrgh!

Pan Hong zamrugał. Trzymany mocno jeniec przez moment zdawał się wydłużać, aż osiągnął wysokość dwa razy większą od normalnej, a potem stopy strzeliły mu aż pod brodę.

I zniknął z krótkim trzaskiem.

Na placu zapadła cisza, jeśli nie liczyć odgłosu kilku tysięcy ludzi ogarniętych zdumieniem.

Pan Hong niepewnie pomacał ręką powietrze.

- Pan Hong? - usłyszał.

Odwrócił się. Za nim stał niski człowieczek, brudny i ubłocony. Na nosie miał okulary z pękniętym szkłem.

Pan Hong spojrzał na niego tylko przelotnie. Znowu próbował chwycić powietrze, jakby nie chciał uwierzyć własnym oczom.

- Proszę o wybaczenie, panie Hong - odezwał się przybysz. - Ale czy przypadkiem zapamiętał pan Bes Pelargic? Jakies sześć lat temu? Zdaje się, że toczył pan spór z panem Tangiem. Nastąpiła potyczka. Kilka zniszczonych ulic. Nic wielkiego.

Pan Hong zamrugał.

- Jak śmiesz się do mnie zwracać? - wykrztusił zdumiony.

- To nie ma właściwie znaczenia - ciągnął Dwukwiat. - Po prostu chciałbym, żeby pan sobie przypomniał. Ja... bardzo mnie to rozgniewało. Ehm... chcę z panem walczyć.

- Ty chcesz walczyć ze mną? Czy ty wiesz, z kim rozmawiasz? Masz w ogóle jakieś pojęcie?

- Ehm. Tak. O tak - zapewnił Dwukwiat.

Pan Hong zdołał się wreszcie skoncentrować. Nie miał za sobą najlepszego dnia.

- Ty bezrozumny, głupi człowieczku! Nie masz nawet miecza!

- Hej! Czterooki!

Odwrócili się obaj. Cohen rzucił swój miecz. Dwukwiat chwycił go niezgrabnie i niemal upadł pod ciężarem.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zdziwił się Saveloy.

- Chłop chce zostać bohaterem. Mnie to pasuje.

- Przecież zginie!

- Możliwe. Całkiem możliwe. Na pewno może to zrobić - zgodził się Cohen. - Ale to już nie ode mnie zależy.

- Ojczy! - Kwiat Lotosu chwyciła Dwukwiata za ramię. - On cię zabije! Chodźmy stąd!

- Nie.

Motyl złapała ojca za drugą rękę.

- Nie przyczynisz się tym do niczego dobrego - oświadczyła. - Chodźmy. Znajdzie się dogodniejszy moment...

- On zabił waszą matkę - przypomniał zimno Dwukwiat.

- Nie on, jego żołnierze.

- Tym gorzej. On nawet nie wiedział. Proszę, cofnijcie się obie.

- Posłuchaj, ojczy...

- Jeśli mnie nie posłuchacie, naprawdę się rozgniewam.

Pan Hong wy dobył swój długi miecz. Klinga lśniła.

- Czy wiesz cokolwiek o walce, urzędniku?

- Nie, właściwie nie - odparł Dwukwiat. - Ale najważniejsze jest, że ktoś powinien stanąć przeciwko tobie. Nieistotne, co się z nim potem stanie.

Ordyńcy obserwowali spór z wyraźnym zainteresowaniem. Byli twardzi, ale mieli słabość do bezsensownej brawury.

- Tak... - Pan Hong spojrzał wokół na milczący tłum. - Niech wszyscy widzą, co się stanie.

Wzniósł miecz.

Zagrzmiało.

Szczekający Pies opadł na bruk tuż przed nim.

Był bardzo gorący. Lont płonął.

Coś zasyczało.

A potem biel przesłoniła świat.

Po dłuższej chwili Dwukwiat podniósł się z bruku. Był chyba pierwszym stojącym na placu; ci, którzy nie rzucili się na ziemię, uciekli.

Z pana Honga pozostał tylko jeden but, który dymił. Ale dymiące ślady ciągnęły się z tyłu aż na schody.

Chwiejąc się lekko, Dwukwiat podążył za tymi śladami.

Wózek inwalidzki leżał przewrócony. Jedno koło wirowało powoli.

Dwukwiat zajrzał za wózek.

- Nic się panu nie stało, panie Hamish?

- Co?

- To dobrze.

Reszta ordy zebrała się w krąg na szczycie schodów. Wokół kłębił się dym - kula w przelocie podpaliła część pałacu.

- Słyszysz mnie, Ucz? - powtarzał Cohen.

- Pewno, że cię nie słyszy! Jak może cię słyszeć, kiedy tak wygląda? - powiedział Truckle.

- Może jeszcze żyje - upierał się Cohen.

- On jest martwy, Cohen. Całkiem, ale to całkiem martwy. Żywi ludzie mają więcej ciała.

- Ale wy żyjecie? - upewnił się Dwukwiat. - Widziałem, że szczeknął prosto na was.

- Odskokczyliśmy z drogi - wyjaśnił Mały Willie. - Jesteśmy dobrzy w odskakiwaniu z drogi.

- Biednemu Uczowi brakowało naszego doświadczenia w nieumieraniu - dodał Caleb.

Cohen wyprostował się.

- Gdzie jest Hong? - zapytał. - Osobiście go...

- On też nie żyje, panie Cohen - poinformował Dwukwiat.

Cohen skinął głową, jakby było to czymś całkiem normalnym.

- Byliśmy to winni staremu Uczowi - stwierdził.

- Niezły był chłop - przyznał Truckle. - Chociaż miał dziwne pomysły z tym przeklinaniem.

- Miał mózg. Przejmował się czasem. Może i nie żył jak barbarzyńca, ale niech mnie demony porwą, jeśli nie będzie miał barbarzyńskiego pogrzebu. Zgoda?

- W płonącej łodzi? - zaproponował Mały Willie.

- Coś takiego... - zdziwił się Saveloy.

- W wielkiej jamie, na szczycie stosu ciał swoich wrogów - uznał Caleb.

- Na niebiosą, cała czwarta B?!

- Pod kurhanem - oświadczył Vincent.

- Naprawdę nie róbcie sobie kłopotu - zaprotestował Saveloy.

- W płonącej łodzi, na stosie ciał swoich wrogów i pod kurhanem - zdecydował Cohen. - Nic nie jest za dobre dla starego Uczą.

- Ależ zapewniam, że czuję się doskonale - przekonywał Saveloy. - Ja... tego... oj...

RONALD SAVELOY?

Saveloy obejrzał się.

- Aha - powiedział. - No tak. Rozumiem.

ZECHCE PAN IŚĆ ZA MNA.

Pałac i orda znieruchomiały, a potem rozwiały się niczym sen.

- Zabawne - stwierdził Saveloy, podążając za Śmiercią. - Nie spodziewałem się, że tak to będzie wyglądało.

NIEWIELU SPODZIEWA SIĘ, ŻE BĘDZIE TO WYGLĄDAŁO JAKKOLWIEK.

Gruby czarny piasek zachrząścił pod tym, co - jak Saveloy podejrzewał - należało wciąż nazywać stopami.

- Gdzie jesteście?

NA PUSTYNI.

Była jaskrawo oświetlona, chociaż niebo nad nią pozostawało czarne. Saveloy spojrzał w stronę horyzontu.

- Jaka jest duża?

DLA NIEKTÓRYCH BARDZO DUŻA. DLA PANA HONGA, NA PRZYKŁAD, ZAWIERA WIELE ZNIECIERPLIWIONYCH DUCHÓW.

- Nie sądziłem, że pan Hong wierzy w duchy.

TERAZ ZAPEWNE UWIERZY WIELE DUCHÓW WIERZYŁO W PANA HONGA.

- No tak... A co się teraz stanie?

- Dalej, dalej, nie mam całego dnia! Z życiem, chłopie!

Saveloy odwrócił się i spojrzał na kobietę na koniu. Był to wielki koń, ale i kobieta była wielka. Miała warkocze, hełm z rogami i napierśnik, nad którym co najmniej tydzień musiał pracować doświadczony kowal. Obrzuciła Saveloya wzrokiem niepozabawionym życzliwości, ale też bardzo

niecierpliwym.

- Słucham? - odezwał się zdziwiony, bo nic nie zrozumiał.

- Mam tu napisane: Ronald Saveloy - odparła. - I co?

- Co i co?

- Każdy, którego zabieram - wyjaśniła kobieta, wychylając się z siodła - nazywa się „Ktoś Jakiś”. A ty jaki jesteś?

- Przepraszam, ale...

- W takim razie wpiszę cię jako Ronalda Przepraszającego. No już, wskakuj, wojna się toczy, musimy lecieć.

- Dokąd?

- Tu stoi: żłopanie, hulanki, rzucanie toporami w warkocze młodych kobiet. Zgadza się?

- Aha, no tak. Wydaje mi się, że chyba nastąpiła drobna...

- Słuchaj no, chłopie, jedziesz czy nie?

Rozejrzał się po czarnej pustyni. Został sam. Śmierć odszedł do swoich podstawowych zajęć.

Saveloy pozwolił wciągnąć się na siodło.

- Mają tam może bibliotekę? - zapytał z nadzieją, gdy wierzchovec wzniósł się w nocne niebo.

- Nie wiem. Nikt nigdy nie pytał.

- To może kursy wieczorowe? Mógłbym prowadzić kursy wieczorowe?

- Z czego?

- Hm, właściwie wszystko jedno. Maniery przy stole, na przykład. Czy to dozwolone?

- Chyba tak. Wydaje mi się, że o to też nikt nie pytał.

Walkiria obejrzała się w siodle.

- Jesteś pewien, że trafiłeś na właściwy tamten świat?

Saveloy rozważył możliwości.

- Ogólnie rzecz biorąc - stwierdził - myślę, że warto spróbować.

* * *

Zebrani na placu z wolna podnosili się na nogi.

Patrzyli na wszystko, co pozostało z pana Honga, i na ordę.

Motyl i Kwiat Lotosu podbiegły do ojca. Motyl przesunęła dłonią po armacie, badając, na czym polega sztuczka.

- Widzicie? - odezwał się Dwukwiat trochę niewyraźnie, ponieważ nie całkiem jeszcze słyszał własny głos. - Mówiłem, że jest Wielkim Magiem.

Motyl stuknęła go w ramię.

- A co z tymi? - zapytała.

Niewielka procesja przesuwiała się po placu. Na jej czele Dwukwiat rozpoznał coś, co kiedyś należało do niego.

- Był bardzo tani - powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego.
- Prawdę mówiąc, od początku mi się wydawało, że coś z nim jest nie w porządku.

Za pierwszym Bagażem szedł drugi, trochę większy. A potem, w porządku malejącym, cztery małe kuferki, najmniejszy rozmiarów damskiej torebki. Kiedy mijał leżącego hunghungczyka, zbyt przerażonego, by uciekać, przystanął i kopnął go w ucho. I natychmiast pospieszył za resztą.

Dwukwiat spojrzał niepewnie na córki.

- Są do tego zdolne? - zapytał zdziwiony. - Do robienia nowych? Myślałem, że do tego potrzeba stolarzy.

- Pewnie wiele się nauczył w Ankh-Morep-Orku - westchnęła Motyl.

Bagaże zebrały się razem u stóp schodów. Po czym Bagaż właściwy odwrócił się, rzucił jedno czy dwa tęskne spojrzenia - czy też coś, co można by uznać za spojrzenia, gdyby miał oczy - i odbiegł. Zanim dotarł do drugiego końca placu, zmienił się już w rozmazaną smugę.

- Hej, czterooki!

Dwukwiat obejrzał się. Cohen schodził po schodach.

- Pamiętam cię - oświadczył. - Znasz się na wielkim wezyrowaniu?

- Nie mam o nim pojęcia, panie cesarzu Cohenie.

- Świetnie. Bierzesz to stanowisko. Do roboty. Przede wszystkim chcę dostać kubek herbaty. Takiej mocnej, żeby mogła w niej pływać podkowa. Trzy łyżeczki cukru. Za pięć minut. Zrozumiano?

- Herbata w pięć minut? - zdumiał się Dwukwiat. - Przecież nie wystarczy czasu nawet na najkrótszy z ceremoniałów.

Cohen przyjaźnie objął go ramieniem.

- Jest nowy ceremoniał - wyjaśnił. - „Herbaty, kochanieńki? Mleko? Cukier? Pączka? Dolewkę?”. I możesz powiedzieć eunuchom - dodał - że cesarz jest bardzo dosłowny i że użył określenia „potoczą się głowy”.

Dwukwiatowi oczy rozbłysły za pękniętymi okularami. Jakoś podobała mu się ta przemowa.

Wyglądało na to, że przyszło mu żyć w ciekawych czasach.

Bagaze przysiadły grzecznie i czekały.

* * *

Los się odsunął.

Bogowie odetchnęli.

- Remis - oznajmił. - No tak. Wydaje się, że istotnie zwyciężyłaś w Hunghung, ale... straciłaś swoją najcenniejszą figurę, czyż nie?

- Słucham? - zdziwiła się Pani. - Nie całkiem rozumiem.

- O ile dobrze pojmuję tę... fizykę... - mówił Los - to nie wierzę, by cokolwiek mogło zmaterializować się na Niewidocznym Uniwersytecie tak, by niemal natychmiast nie zginąć. Co innego trafić w zaspę, a całkiem co innego w mur.

- Nigdy nie poświęcam pionków - zapewniła Pani.

- Jak możesz liczyć na zwycięstwo, nie poświęcając czasem pionka?

- Och, nigdy nie gram po to, by zwyciężyć. - Uśmiechnęła się. - Ale

gram, by nie przegrać. Patrz...

* * *

Rada Magów zgromadziła się w głębi Głównego Holu i oglądała to coś, co w tej chwili pokrywało prawie połowę ściany.

- Interesujący efekt - uznał w końcu Ridcully. - Jak myślicie, jak szybko to się poruszało?

- Z pięćset mil na godzinę - ocenił Myślak. - Wydaje mi się, że wykazaliśmy odrobinę nadmierny entuzjizm. HEX mówi...

- Ze stojącego startu do pięciuset mil na godzinę? - zdziwił się wykładowca run współczesnych. - Musiał doznać prawdziwego szoku.

- Tak - zgodził się Ridcully. - Na szczęście dla tego biedaka, trwał bardzo krótko. Oczywiście, wszyscy powinniśmy się cieszyć, że to nie Rincewind.

Paru magów zakaszlało.

Dziekan odstąpił na krok.

- Ale co to jest? - zapytał.

- Było - poprawił go Myślak.

- Możemy sprawdzić w bestiariach - zaproponował Ridcully. - Chyba nietrudno będzie go znaleźć. Szary. Długie tylne stopy jak buty klauna. Królicze uszy. Ogon długi i spiczasty. Poza tym, naturalnie, niewiele stworzeń ma średnicę dwudziestu stóp, grubość jednego cala i jest usmażonych; to chyba bardzo ułatwi badania.

- Nie chciałbym szukać dziury w całym - rzekł dziekan - ale jeśli to nie jest Rincewind, gdzie on się podział?

- Pan Stibbons z pewnością może nam wytłumaczyć, dlaczego jego wyliczenia się nie sprawdziły.

Myślak aż rozdziawił usta.

Po chwili odezwał się tonem tak kwaśnym, jak tylko się odważył:

- Prawdopodobnie zapomniałem uwzględnić fakt, że trójkąt ma trzy właściwe kąty. Prawda? Hm. Spróbuję dla sprawdzenia przeliczyć wszystko od tyłu, ale wydaje mi się, że składowa lateralna została w jakiś sposób wprowadzona w to, co powinno być magicznym transferem bidyrekcyjnym. Prawdopodobnie efekt ten był najbardziej odczuwalny w punkcie efektywnej mediany, co spowodowało, że dodatkowy węzeł transferu pojawił się na ekwidystancie interwału łączącego dwa dotychczasowe, jak to przewiduje trzecie równanie Flume'a; prawo Turffe'a zaś odpowiada za kreację trzech różnych wektorów, każdy przesuwający mniej więcej równą masę o jeden bok trójkąta. Nie jestem pewien, dlaczego trzecia masa pojawiła się tutaj z taką prędkością, ale sądzę, że akceleracja mogła być spowodowana nagłą kreacją węzła. Oczywiście, stworzenie to mogło już wcześniej szybko się poruszać. Ale nie przypuszczam, by w stanie naturalnym było usmażone.

- A wiesz - powiedział Ridcully - myślę, że naprawdę zrozumiałem niektóre fragmenty. Z pewnością część tych krótszych słów.

- Ależ to całkiem proste - oznajmił radośnie kwestor. - Posłaliśmy tego... ten psi obiekt do Hungung. Rincewind został przerzucony w jakieś inne miejsce. A to stworzenie trafiło do nas. Jak w tej zabawie...

- Widzisz? - Ridcully zwrócił się do Stibbonsa. - Używasz języka, który potrafi zrozumieć kwestor. A on przez całe rano działa na pigułkach z suszonej żaby.

Bibliotekarz wkroczył do sali, uginając się pod ciężarem wielkiego

atlasu.

- Uuuk.

- Możesz nam przynajmniej pokazać, gdzie twoim zdaniem trafił nasz człowiek? - zapytał Ridcully.

Myślak wyjął z kapelusza linijkę i dwa cyrkle.

- Jeśli założymy, że Rincewind znajdował się pośrodku Kontynentu Przeciwwagi - zaczął - po czym wykreślimy linię...

- Uuk!

- Zapewniam, że chciałem użyć ołówka...

- Iik!

- Musimy tylko wyobrazić sobie trzeci punkt równo odległy od pozostałych dwóch... eee... Wydaje się, że to gdzieś na Oceanie Krawędziowym, a może już poza samą Krawędzią.

- Jakoś nie widzę tego czegoś w morzu - zauważył Ridcully, zerkając na niedawno laminowane zwłoki.

- W takim razie musimy uwzględnić przeciwny zwrot...

Magowie wyciągnęli szyje.

Rzeczywiście, coś tam było.

- Nawet nie jest porządnie narysowane - narzekał dziekan.

- Dlatego że nikt nie jest pewien, czy rzeczywiście istnieje - wyjaśnił pierwszy prymus.

Pośrodku morza unosił się niewielki kontynent, wręcz mały według standardów Dysku.

- XXXX - przeczytał Myślak.

- Napisali tak na mapie, bo nikt nie wie, jak się naprawdę nazywa - dodał Ridcully.

- A my go tam posłaliśmy? - przestraszył się Myślak. - W miejsce, co do którego nie mamy nawet pewności, czy istnieje?

- Och, teraz już mamy - uspokoił go Ridcully. - Musi istnieć. Nie ma wyjścia. I to pewnie bardzo bogata kraina, skoro szczury wyrastają do takich rozmiarów.

- Pójdę sprawdzić, czy można go sprowadzić...

- Ależ nie. Nie, uprzejmie dziękuję. Następnym razem słoń może nam przelecieć nad głowami, a takie słońce bardzo chłapią. Nie. Dajmy mu chwilę odpocząć. A my spróbujemy wymyślić coś innego. - Ridcully zatarł ręce. - Myślę, że pora na obiad.

- Hm... - zastanowił się pierwszy prymus. - Myśli pan, nadrektorze, że rozsądnie postąpiliśmy, zapalając sznurek, kiedy odsyłaliśmy tego psa z powrotem?

- Absolutnie - stwierdził Ridcully, gdy cała grupa oddalała się już do jadalni. - Nikt nam nie zarzuci, że nie oddaliśmy go dokładnie w takim stanie, w jakim do nas trafił...

* * *

HEX marzył delikatnie w swoim pomieszczeniu.

Magowie mieli rację. HEX nie potrafił myśleć.

Nie powstały jeszcze słowa określające to, co potrafił. Nawet HEX nie wiedział, do czego jest zdolny.

Ale zamierzał to sprawdzić.

Gęsie pióro zgrzytało na świeżym arkuszu papieru, znacząc tor ruchu atramentem. Bez żadnych właściwie powodów wyrysowało kalendarz bieżącego roku, a nad nim nieco kanciasty, złożony z liter obrazek psa stojącego na tylnych łapach.

* * *

Grunt był czerwony, tak jak w Hunghung. Ale tam była to odmiana iłu, tak żyzna, że zostawiając stołek na trawniku, człowiek wieczorem mógł liczyć na cztery drzewka. Tutaj leżał piasek, który wyglądał, jakby nabrał czerwonej barwy wskutek przypiekania letnim słońcem, przy czym lato trwało przez całe milenia.

Z rzadka rosły kępki pożółklej trawy albo grupki niskich szarozielonych drzew. Upału za to było pod dostatkiem.

Szczególnie wyraźnie fakt ten dawał się zaobserwować w niewielkiej sadzawce pod eukaliptusami. Parowała.

Z oparów wynurzyła się jakaś postać, odruchowo wybierając z brody przypalone fragmenty. Był to Rincewind.

Zaczekał, aż jego osobisty świat przestanie wirować, i skupił wzrok na obserwującej go czwórce ludzi.

Byli czarni, z twarzami pomalowanymi w linie i zawijasy. Mieli jakieś dwie stopy kwadratowe ubrania łącznie.

Istniały trzy powody, dla których Rincewind nie był rasistą. Trafiał w zbyt wiele miejsc zbyt nagle, by wykształcić u siebie taką skłonność. Poza tym, kiedy się zastanowił, większość naprawdę strasznych rzeczy, jakie mu się przydarzyły, była wynikiem działań osobników raczej bladych i w obfitej odzieży.

To dwa z trzech powodów.

Trzeci był taki, że ludzie ci, podnoszący się właśnie z kucek, trzymali włócznie wymierzone w Rincewinda. Jest coś w widoku skierowanych we własne gardło czterech włóczy, co wzbudza głęboki szacunek i sprawia, że słowa „proszę pana” same cisną się na usta.

Jeden z ludzi wzruszył ramionami i opuścił włócznię.

- Cześć, koleś - powiedział.

To oznaczało tylko trzy włócznie - znaczna poprawa.

- Ehm... to nie jest Niewidoczny Uniwersytet, prawda, proszę pana?

Trzy pozostałe włócznie przestały go wskazywać. Ludzie uśmiechnęli się. Mieli bardzo białe zęby.

- Klatch? Howondaland? - pytał z nadzieją Rincewind. - Wygląda jak Howondaland.

- Nie znamy tych koleśków, koleś - odparł jeden z ludzi.

Pozostała trójka stanęła dookoła Rincewinda.

- Jak go nazwiemy?

- To Koleś Kangur. Prosta sprawa. W jednej chwili był kangurem, a w następnej koleśkiem. Starzy koleśki mówią, że takie rzeczy zdarzają się bez przerwy. We śnie.

- Myślałem, że będzie lepiej wyglądał.

- No.

- Jest tylko jeden sposób, żeby sprawdzić.

Mężczyzna, który był najwyraźniej przywódcą całej grupki, podszedł do Rincewinda z uśmiechem zarezerwowanym zwykle dla imbecyli i ludzi trzymających broń. Wręczył mu kij.

Kij był płaski i wygięty pośrodku. Ktoś poświęcił wiele czasu, żeby kolorowymi plamkami wyrysować na powierzchni dość skomplikowane wzory. Nie wiedzieć czemu Rincewind wcale się nie zdziwił, gdy odkrył wśród nich motyla.

Łowcy przyglądali mu się wyczekująco.

- No... tak - powiedział. - Doskonały. Świetne wykonanie, naprawdę. Interesujący efekt puentylistyczny. Szkoda, że nie znaleźliście prostego kawałka drewna.

Jeden z ludzi odłożył włócznię, przykucnął i podniósł długą drewnianą rurę pokrytą takimi samymi wzorami. Dmuchnął w nią. Efekt nie był niemiły. Brzmiało to tak, jak brzmiałyby pszczoły, gdyby wymyśliły pełną aranżację orkiestrową.

- Aha - zgodził się Rincewind. - Tak.

Najwyraźniej przechodził jakąś próbę. Dali mu ten wykrzywiony kij. Miał coś z nim zrobić. Coś w oczywisty sposób ważnego. Potem...

O nie. Powie coś albo robi, prawda, a oni powiedzą: tak, tak, tak, jesteś Wielkim Kolesiem, albo coś w tym stylu, pociągną go za sobą i to będzie początek kolejnej przygody, czyli okresu grozy i rozmaitych nieprzyjemności. Życie pełne jest takich sztuczek.

Ale tym razem Rincewind nie miał zamiaru wpaść w pułapkę.

- Chcę wracać do domu - oznajmił. - Chcę do biblioteki, gdzie było miło i spokojnie. Nie wiem, gdzie jestem. I nie obchodzi mnie, co ze mną zrobicie, jasne? Nie zamierzam przeżywać żadnej nowej przygody ani ratować świata. Nie oszukacie mnie tym dziwnym kawałkiem drewna.

Chwycił kij i z całej siły, jaką zdołał zebrać, cisnął go jak najdalej od siebie.

Patrzyli nieruchomo, jak krzyżuje ręce na piersi.

- Wycofuję się z gry - powiedział. - Tutaj przerywam.

Wciąż patrzyli. Teraz uśmiechali się też do czegoś za jego plecami.

Poczuł, że zaczyna go to irytować.

- Rozumiecie? Czy wy w ogóle słuchacie? - zapytał. - Po raz ostatni wszechświat próbuje nabrać Rincewi...